

K. Wybranowski

DZIEDZICTWO





KAZIMIERZ
WYBRANOWSKI

TEGOŻ AUTORA

wyszła poprzednio powieść
p. t.

„W POŁOWIE DROGI“

DZIEDZICTWO

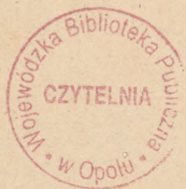
POWIEŚĆ



K. WYBRANOWSKI

WYDANIE DRUGIE

KSIĘGARNIA • ŚW. WOJCIECHA



CM 313533

Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni Św. Wojciecha S. z o. o.
w Poznaniu. — Tłoczono na papierze z własnej fabryki papieru „Malta”.

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr 128 /2011/ 04

I.

Na stacji, położonej obok powiatowego miasta, ruszało się kilku ludzi ze służby kolejowej w oczekiwaniu Północnego Expressu, który w drodze od granicy do Warszawy zatrzymywał się tu dla nabrania wody. Niebo było pochmurne, szare, ostry wiatr wschodni podrywał garstki śniegu, leżącego w brózdach zmarzniętej ziemi.

Jedyną nienależącą do służby osobą był przechadzający się po peronie mężczyzna atletycznej budowy, barczysty, gruby w karku, z szeroką, kanciastą twarzą, z małemi, głęboko osadzonemi oczyma, które tej twarzy nadawały prawie dziki wyraz. Ubrany w przyzwoity paltot z futrzanym kołnierzem i w futrzaną czapkę, mógł wyglądać na świeżo zbogaconego chama, gdyby nie powściągliwość w ruchach i skromność w wyrazie twarzy, świadcząca o tresurze.

Rozległ się gwizd lokomotywy i pociąg zwolnionym pędem zajechał na stację.

Z paryskiego wagonu lekko wyskoczył wysoki, smukły mężczyzna w wykwintnie skrojonem miejskiem futrze, w miękkim, grubym kapeluszu, i zaczął się rozglądać po stacji. Z młodzieńczemi jego ruchami stanowiła kontrast twarz blada, zmęczona i oczy badawcze, przenikliwe a zarazem jakieś niezwykle stare. Przyglądająca mu się służba stacyjna zawyrokowała, że jest cudzoziemcem.

Oczekujący na peronie atleta szybko podszedł ku niemu, zdjął czapkę, wyprostował się i rzekł:

— Grzegorz, służący z Turowa.

— Mamy, zdaje się, jechać prosto do kościoła? — zapytał przybysz po polsku, z niedostrzegalnym prawie akcentem cudzoziemskim, a jednocześnie wbił badawcze oczy w służącego, który musiał uderzyć go swym typem niezwykłym.

— Tak jest, proszę pana — odrzekł Grzegorz i, wzięwszy z rąk konduktora dwie walizki, poprowadził gościa przez budynek stacyjny na drugą stronę.

Przy okazałej limuzynie stał szofer, chłop rosły, fizycznie dobrze rozwinięty, aczkolwiek znacznie lżejszej wagi od służącego.

— Szofer Marek — przedstawił Grzegorz i zabrał się do lokowania waliz we wnętrzu samochodu tak, żeby nie przeszkadzały podróżnemu. Ten mierzył okiem to służącego, to szofera; nie mogło też ujść jego uwagi, że obaj oni, acz ukradkiem, bacznie mu się przyglądają.

Grzegorz zaprosił go, żeby zajął miejsce, okrył mu szczerlnie nogi baranicą, proponował nawet wdzianie dachy, która w zamkniętym samochodzie nie była potrzebna.

— Wiatr jest mroźny — mówił — a mamy przed sobą przeszło półtorej godziny drogi.

Siadł koło szofera i ruszyli, biorąc znaczną szybkość pomimo niezbyt równej drogi.

Podróżny przez chwilę patrzył w okna na rozciągającą się po obu stronach jednostajną, szarą równinę, poczem zapadł w zadumę.

Jechał na pogrzeb człowieka, którego był synowcem, wychowawcą i spadkobiercą. Jechał prosto z Paryża, gdzie stale mieszkał. Ze względu na spadek będzie musiał jakiś czas pozostać w Polsce, której prawie nie znał, bo od trzynastego roku życia wychowywał się, a potem pracował zagranicą. Planów żadnych tymczasem nie robił — musiał przede wszystkim zorientować się w swym nowym położeniu. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że w życiu jego za-

chodzi przewrót — jak wielki, tego jeszcze nie mógł przewidzieć.

Stryja swego widywał rzadko i znał mało; spodziewał się teraz więcej o nim dowiedzieć. Postanowił dokładnie notować sobie wszystko, coby mogło mu rzucić jakiekolwiek światło na tę postać, pod wielu względami dotychczas dla niego niezrozumiałą. Na wstępie zwrócili jego uwagę ci oto dwaj ludzie, których wygląd świadczył, że stryj jego lubił sobie dobierać do służby atletów. Czy to było tylko upodobanie?...

Obudził się z zamyślenia, gdy szofer zaświecił latarnie. Zapadała wczesna noc zimowa, noc czarna, bezgwiezdna. Przed oczyma przesuwwały się tylko silnie oświetlone pnie drzew przydrożnych. Spojrzał na zegarek, minęła już godzina jazdy. Za pół godziny pogrzeb. Znajdzie się wśród nowych, nieznanych ludzi, wobec których będzie jedynym przedstawicielem zmarłego. Prawdopodobnie będą tam sąsiedzi i niezawodnie liczni znajomi ze stolicy: stryj musiał być człowiekiem ustosunkowanym. Nie znał miejscowych zwyczajów i niebardzo wiedział, jak się trzeba zachować. Na szczęście będzie tam adwokat stryja Osiecki, który zajął się pogrzebem i w obszernym telegramie do Paryża zawiadomił go, jak ma na pogrzeb zdążyć. Ten mu udzieli wszelkich potrzebnych wskazówek.

Szofer dał parokrotny przeciągły sygnał. Wreszcie po dłuższej chwili automobil stanął. Grzegorz szybko wyskoczył i, otwartwszy drzwiczki, pomógł przybyszowi wysiąść.

Panowały ciemności nieprzeniknione. Tylko o jakie dwadzieścia kroków widać było rozwarte drzwi kościelne, z których płynęła smuga słabego światła aż do automobilu. W tem świetle stał tuż przed nim ubrany w grube futro mężczyzna średniego wzrostu, dość otyły, z krótko przystrzyżonemi, jasnymi wąsa-

mi, z twarzą przeciętnie inteligentną, na której wyrażał się zastosowany do chwili urzędowy smutek i powaga. Wyciągnął rękę do przybysza ze słowami:

— Jestem Osiecki. Czekaliśmy tylko na pana. Chodźmy do kościoła.

Po kilku słowach formalnego podziękowania adwokatowi za zajęcie się pogrzebem przybysz ruszył z nim ku wejściu do kościoła przez szpaler chłopów i bab, zgromadzonych na cmentarzu kościelnym.

Weszli, a za nimi cisnął się lud z cmentarza.

Na środku małego kościółka wiejskiego stał niewysoki katafalk, ubrany w zieleni świerkową, wśród której parę dziesiątków świec się jarzyło. Na katafalku spoczywała wielka, czarna trumna z krzyżem i obramowaniami z białej blachy, skromna trumna drewniana.

Przybysz przykląkł przed trumną, poczem stanął i zaczął rozglądać się wokoło. Obok niego stał adwokat a za nim jakiś mały, szczupły człowieczek, siwy, z krótko przyszyżoną bródką, w okularach, z wychudłą, zmęczoną twarzą. Dalej paru ludzi, wyglądających na oficjalistów i służbę. Pozatem z półtorej setki chłopów, przywiedzionych prawdopodobnie ciekawością.

— Więc to tak wygląda pogrzeb stryja? — myślał przybyły z Paryża synowiec. — Dlaczego taki ubogi? i czyż niema na świecie ludzi, którzyby mu chcieli towarzyszyć do grobu?... — Nie mógł na żaden sposób zrozumieć, co to wszystko znaczy...

Ukazał się ksiądz w czarnej kapie z organistą u boku i rozpoczął odśpiewywanie egzekwii.

Oczy garści ludu, zgromadzonego w kościele, spoczywały na przybyszu: nie było w nich ani smutku, ani współczucia, ani nawet przejęcia się obrzędem: było tylko zwyczajne, ordynarne zaciekawienie wobec zagranicznego dziwoląga, który na tem tle był istotnie niezwykłym zjawiskiem.

On sam w owej chwili przywoływał sobie w pamięci postać zmarłego stryja, człowieka zamożnego, wykwintnego, zachowującego się wszędzie na świecie, jak u siebie, i zestawiał swe wspomnienia z tem, co widział teraz przed sobą. Jakiż kontrast! Jakie to bezdennie smutne!..

Stał, górując nad otoczeniem dużą głową, na której lśniły ciemne, gładko wtył zaczesane włosy, z wysokiem i szerokiem czołem, przeciętem dwiema prostopadłemi brózdami, z dużym, prostym nosem, z suchą, starannie wygoloną twarzą. Spod mocnych, prostych brwi patrzył szaremi, głęboko osadzonemi oczyma na to, co go otaczało. Oczy te były zimne, obojętne, jakby trzymały w odległości ludzi, choć nie odpędzały ich, ale raczej przykuwały do miejsca...

Adwokat Osiecki, który co chwila rzucał nań ukradkiem spojrzenia, mówił sobie, że takie oczy i takie cienkie zaciśnięte usta powinien mieć sędzia, ażeby sprawiać wrażenie nieubłaganej, niekierującej się żadnem uczuciem sprawiedliwości i logiki.

Ksiądz skończył egzekwje, zaczęto odstawiać świece i świerczynę. Grzegorz i trzej inni ludzie, widocznie ze służby, wzięli trumnę na barki i ponieśli ją za księdzem.

Przed kościołem czekało sześciu ludzi z pochodniami, przy których słabem świetle pochód ruszył w drogę. Ta garstka, przedzierająca się z trumną przez ciemności nocne, sprawiała jakieś niesamowite wrażenie: wyglądało to tak, jakby grzebano kogoś ukradkiem, zdala od oczu ciekawego świata.

Kościół stał na krańcu wsi, a blisko niego, tuż za wsią, leżał mały cmentarzyk. Na cmentarzu czekał dół, wyrąbany w zmarzłej ziemi. Ustawiono nad nim trumnę, a ksiądz cichym, jakby zdławionym głosem odśpiewywał rozdzierające melodje obrzędu pogrzebowego.

Trumnę opuszczono w dół i rozległ się głuchy łoskot spadających na nią grud ziemi.

Jedyny przedstawiciel rodziny zmarłego stał nad dołem z pozornym spokojem, ale z poczuciem, że się dzieje coś sprzecznego z normalnym porządkiem rzeczy, coś niezrozumiałego, niewytłumaczonego. Naprzeciw niego stał Grzegorz. Oczy atlety, patrzące nieruchomo w przestrzeń, miały jakiś straszny, morderczy wyraz. Gdy trumnę opuszczono w dół, oczy te za nią podążyły: jednej chwili dzika twarz zmiękła, a spod powiek popłynęły grube łzy, w których zamigotał blask pochodni. Obserwujący Grzegorza synowiec zmarłego poczuł w tej chwili dla niego wdzięczność: te łzy były jedynym uświetnieniem przygnębiającego obrzędu. Ale zachowanie się służącego nad grobem zaniepokoiło go i zwiększało zagadkę tego pogrzebu.

Mowy pogrzebowej nie było.

Przy świetle dogasających pochodni organista zdjął z księdza kapę i ściągnął komżę, gdy Osiecki podszedł do niego z synowcem zmarłego i przedstawił:

— Pan Zbigniew Twardowski, nowy dziedzic Turowa. Ksiądz Rybarzewski, proboszcz tutejszy i przyjaciel ś. p. stryja pańskiego.

Uścisnęli sobie dłonie. Ksiądz ciekawie się przypatrywał niezwykleму wyglądowi człowiekowi, który mu ceremonjalnie dziękował za smutny obrzęd.

Podszedł mały człowieczek z siwą bródką. Adwokat przedstawił go Twardowskiemu jako doktora Zemłę, który leczył zmarłego.

— Ja tylko byłem pod ręką — prostował doktor — i służyłem w razie potrzeby. Ś. p. stryj pański leczył się u największych powag europejskich. Niestety, na ego serce nie było rady. Chwała Bogu, śmierć miał lekką.

— Tak, śmierć miał lekką — rzekł ksiądz, kładąc nacisk na pierwszy wyraz zdania. Miał jakby coś dalej mówić, ale nagle urwał.

Twardowski bystro nań spojrział i wzrok długo na nim zatrzymał. Ksiądz pod tym wzrokiem uczuł widocznie potrzebę powiedzenia czegoś, ale dorzucił tylko:

— Ma już spokój...

Synowiec zmarłego obserwował dalej księdza. Był to człowiek lat pięćdziesięciu, silnej budowy, prosty w zachowaniu się, z twarzą dość grubą, ale sympatyczną: w dużych, jasnych jego oczach widać było pewną głębię i myśli i uczucia.

Ksiądz nagle przybrał swobodny wyraz twarzy i zaproponował wszystkim trzem, by wstąpili na plebanję rozgrzać się szklanką herbaty.

Adwokat pośpieszył z odpowiedzią:

— Jak panowie wiedzą, pan Twardowski przyjechał na pogrzeb prosto z Paryża, jest niezawodnie zmęczony. Ja zaś jeszcze dziś chciałbym pomówić z nim o interesach i odjechać na noc do Warszawy, gdzie od wczesnego rana mam zajęcia.

Zostawili księdza z doktorem, sami zaś wsiedli do limuzyny, czekającej przed cmentarzem. Grzegorz zajął swe miejsce przy szoferze.

Jechali w milczeniu. Twardowskiemu brzmiały jeszcze w uszach słowa księdza, w których także tkwiła zagadka, i stał mu przed oczyma ten dziwny w swem ubóstwie, rozpaczliwy w smutku pogrzeb, pogrzeb jakby skazańca. Ksiądz, adwokat, doktor, trochę służby i garstka ciekawego ludu...

Osiecki, jakby odgadując jego myśli, przerwał milczenie.

— Pogrzeb odbył się ściśle według rozkazu zmarłego: zwyczajny dół w ziemi na parafjalnym cmentarzu, prosta drewniana trumna, jeden ksiądz, proboszcz miejscowy, żadnych mów, żadnych zaproszeń czy zawiadomień, żadnych nekrologów, ani nawet najmniejszych wzmianek w gazetach. Jakby chciał opuścić ten świat niepostrzeżenie, nie zwracając niczyjej uwagi.

Twardowski nie odpowiedział. Szukał, jaka myśl podyktowała tę wolę... Szukał na próżno.

Szofer skręcił w wąską drogę, wysadzoną drzewami, i dał przeciągły sygnał. W świetle latarni ukazał się wysoki trzymetrowy mur z czerwonej cegły. Kiedy samochód podjeżdżał, jakieś ręce rozwierały ciężkie, z grubego drzewa, mocno okute żelazem wrota, które za samochodem wnet się zatrzasnęły.

— Dziwny rygor — rzekł do siebie Twardowski.

Zatoczywszy wielkie półkole, stanęli przed domem. Lampa elektryczna, oświetlająca z góry wejście, ukazywała wysmukłe kolumny z szarego piaskowca, tworzące zgrabny portyk.

Z otwartych drzwi wybiegł służący, który pomógł im wysiąść i, wprowadziwszy do obszernego przedpokoju, zdjął z nich futra. Grzegorz znikł niepostrzeżenie.

Wnet otwarły się drzwi do wielkiego, dobrze oświetlonego hallu — dom był widocznie zbudowany po angielsku — ze schodami, prowadzącymi na górę. W ogromnym kominku paliły się z trzaskiem całe szczapy sosnowe.

Na środku stał ubrany w czarny surdut Grzegorz, trzymając w ręku tacę z bochenkiem chleba i solniczką. Skłonił się nisko w milczeniu i podał tacę Twardowskiemu, starym zwyczajem witając nowego pana chlebem i solą.

Twardowski podziękował. Kiedy stawiał tacę na stole, wzrok jego padł na stojącego przy drzwiach dużego psa, rasowego wilka, który się lekko najeżył, warcząc ścicha. Lubił widocznie psy i znał się na nich, bo stał wpatrzony w piękne zwierzę.

— Jak się nazywa? — zapytał Grzegorza.

— Piorun.

— Piorun! — powtórzył głośno Twardowski.

Pies ruszył z miejsca powoli, nieśmiało. Zbliżył się do niego, wężąc ostrożnie. Naraz zaskomlał ra-

dośnie, stanął na tylnych łapach, przednie oparł o piersi Twardowskiego i wyciągnął mordę ku jego twarzy. Gdy nowy pan zaczął go głaskać, przytulił głowę do jego piersi.

Grzegorz stał osłupiały, z otwartymi ustami.

— Nie rozumiem, proszę jaśnie pana, co się stało. Ten pies nie da do siebie dostąpić nikomu obcemu. Chyba mądry, zrozumiał, że to teraz jego pan.

Twardowski dalej głaskał psa.

— Tyś wcale nie taki mądry, jak Grzegorz myśli — śmiejąc się, mówił do zwierzęcia — tylko ty masz nos. Zwęszyłeś swego, prawda?...

Grzegorz kręcił głową: widocznie mówił sobie, że nowy dziedzic ma jakiś tajemniczy sposób zaprzyjaźniania się z psami. Patrzył na Twardowskiego z podziwem i trochę z obawą.

Osiecki, który się przyglądał tej scenie zboku, zauważył sceptycznie:

— Nie musi to taki być zły pies, jak Grzegorz mówi.

— Niech pan podejdzie — rzekł Twardowski.

Adwokat powoli się zbliżył. Pies nagle najeżył się, warknął groźnie i wystawił nań otwartą paszczę, w białe kły uzbrojoną. Adwokat się cofnął, a pies warknął drugi raz mocniej i chciał się rzucić za nim, gdy Twardowski krzyknął ostro:

— Piorun!

Pies natychmiast złagodniał i przypadł mu do nóg pokornie, tylko jeszcze warczał ścicha przez chwilę, zanim się całkowicie uspokoił.

— Dobry pies — rzekł Twardowski. — On jest już mój.

Nachylił się nad Piorunem, głaszcząc go po karku.

Grzegorz patrzył nań z coraz większym podziwem, adwokat zaś miał minę zmieszana wobec niezrozumiałego zjawiska.

— Pański stryj — rzekł — był dziwny człowiek, ale pan jest jeszcze dziwniejszy.

Twardowski uśmiechnął się, rozumiejąc, że rozsądny prawnik ma go trochę za warjata.

— No, panie mecenasie — rzekł — tu, przy tym kominku będzie nam dobrze. Usiądźmy i pomówmy, zanim nam jeść dadzą.

— Obiad może być za godzinę — poinformował Grzegorz.

— Dobrze — rzekł Twardowski. — Panu się bardzo śpieszy?

— Chciałbym wyjechać za półtorej godziny — rzekł Osiecki. — Czy mógłby mi pan dać samochód do Warszawy?

To pytanie zorjentowało Twardowskiego, że on tu jest gospodarzem i że to jego samochód.

Zwrócił się do Grzegorza:

— Powiedz szoferowi, żeby czekał przed domem za półtorej godziny, i pośpieszcie się z obiadem. A przedtem przynieś nam tu wermutu.

— Słucham jasnie pana.

Osiecki stwierdził, że dziwak z Paryża bez wahań wchodzi w rolę pana domu na wsi polskiej.

Usiedli w głębokich fotelach, wyciągając nogi ku kominkowi. Piorun ułożył się u stóp nowego pana. Już nie warczał na mecenasa, tylko spojrzeniem go zapewniał, że lepiej się nie zbliżać.

W domu panowała cisza, którą zakłócał tylko trzask palącego się na kominku drzewa.

II.

— Jak panu telegrafowałem — mówił adwokat — stryj zostawił cały majątek panu.

— Jest niezawodnie testament?

— Nie, niema. Wiedział, kiedy umrze, i na krótko przed śmiercią wszystko zostało na pana przepisane.

Oszczędza to panu kłopotów spadkobrania. Miałem też wrażenie, iż chciał, ażeby pan wszedł w posiadanie majątku bez rozgłosu.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Wszystkie papiery znajdują się w mej kancelarii w Warszawie i są do pańskiego rozporządzenia. Spodziewam się wkrótce pana widzieć u siebie.

— W tych dniach — rzekł Twardowski — wybieram się do Warszawy.

— Majątek pański — mówił dalej Osiecki — składa się z następujących pozycji: przedewszystkiem Turów. Jest to posiadłość niewielka — dwadzieścia parę włók — ale ślicznie zagospodarowana; jak pan widzi, dom jest piękny; zbudowano go przed dwudziestu laty. Odległość od Warszawy automobilem niecałe dwie godziny. Następnie, dom w Warszawie, a w nim wygodnie i ładnie urządzone mieszkanie. Stryj pański mówił mi, że pan je zna, gdyż leżał pan tam ranny w czasie najazdu bolszewickiego. Wreszcie główny majątek stanowią kapitały, ulokowane wszystkie w bankach francuskich i angielskich. W przeliczeniu na naszą walutę wynoszą one około sześciu milionów złotych. Wszystko to dziś jest złożone na pańskie imię.

— Nie sądziłem, że to taka duża suma — wtrącił spadkobierca tonem prawie obojętnym.

— Stryj pański był pierwszorzędnym finansistą. Zlikwidowawszy przed siedemnastu laty swe interesy, polokował kapitały tak, że podczas wielkiej wojny nic nie stracił; a choć żył na wysoką stopę, to jednak wydawał tylko część dochodu i majątek rósł z procentów. Jest pan więc człowiekiem zamożnym, z majątkiem, którego administracja nie zabierze panu wiele czasu.

— Tak — rzekł sucho Twardowski. — Czy stryj nie zostawił dla mnie żadnych poleceń?

— Tylko to — odrzekł adwokat, wyciągając z kieszeni i podając mu niewielką kopertę, zapieczętowaną czerwonym lakiem.

Twardowski przeczytał swe imię i nazwisko, wypisane ręką zmarłego stryja, obejrzał pieczęć z rodzinnym herbem i otworzył kopertę.

W środku była tylko pożółkła kartka papieru z wypisaną na maszynie wskazówką, jak otwierać kasę ogniotrwałą. Nic więcej.

— Może w kasie jest jakie pismo dla mnie? — zapytał.

— Napewno niema. Przed śmiercią stryj pański pokazał mi jej zawartość: podręczna gotówka, trochę kosztowności, wreszcie klucze od szaf i szuflad.

Z wyrazem zawodu na twarzy Twardowski zamilkł na chwilę, poczem przeszedł na inny przedmiot.

— Stryj mój miał niezawodnie duże stosunki w kraju?

— Niegdyś tak. Jeszcze niespełna dwadzieścia lat temu pan Alfred Twardowski był w Warszawie znaną i popularną osobistością. Od chwili wszakże zlikwidowania swych interesów zerwał wszelkie stosunki: nigdzie nie bywał, nikogo nie przyjmował. Proboszcz, doktor i ja byliśmy jedynymi ludźmi, których widywał u siebie.

— Czy wie pan, dlaczego?

— Nie wiem.

— Kiedy pan został jego adwokatem?

— W roku 1911.

— Przedtem go pan znał?

— Nie, ale wiele o nim słyszałem. Miał reputację człowieka mądrego, przedsiębiorczego, a jednocześnie bardzo honorowego. Mówiono o nim tylko dobrze. Widocznie atoli zrobił sobie potężnych wrogów, gdyż w krótkim czasie stanowisko jego się popsuło. Jako jego adwokat mogłem stwierdzić, że nie było do tego

żadnych podstaw. Wątpię, aby w świecie przemysłu i finansów można było znaleźć bardziej prawego człowieka.

— Cóż mu zarzucano?

— Do mnie nic określonego nie dochodziło. Wiedziałem tylko, że otacza go jakaś atmosfera niechęci. Może to właśnie wpłynęło na wycofanie się jego z interesów. Zresztą miał dosyć pieniędzy, a że był niezonały i bezdzietny, nie miał bodźca do robienia ich więcej.

Twardowski posępnie się zamyślił. Rozmowa z adwokatem utwierdziła go w przekonaniu, że w przeszłości stryja tkwiła jakaś wielka zagadka, ale mu nie dała klucza do jej rozwiązania. Ta zagadka już go zaczęła dręczyć: w ostatnich latach bardzo zbliżył się ze stryjem — tyle mu zawdzięczał. Z tą zagadką wreszcie mogło się wiązać pochodzenie majątku, który obecnie dziedziczył. Majątek to był nadspodziewanie wielki. Twardowski widział w swem życiu bogaczy, posiadających fortuny, wobec których jego kilka milionów były drobiazgiem. Ale te fortuny były uwięzione w rozmaitych przedsięwzięciach i nakładały na ich właścicieli zobowiązania, które czyniły ich niewolnikami posiadanego bogactwa. Tymczasem on, człowiek o skromnych potrzebach materialnych, wolny, bez żadnych obowiązków względem kogokolwiek, dostał znaczne pieniądze, z którymi może robić, co mu się podoba. Uważał więc siebie za bogatszego od tamtych. Jego pieniądze mogą się stać wielką siłą, o ile użyje ich umiejętnie. To może być bardzo ciekawe...

Nowa myśl przemknęła mu przez głowę.

— Czy ktokolwiek poza panem wie, jaki majątek stryj pozostawił? — zapytał adwokata.

— Napewno nikt. Wiedzieć będą, ma się rozumieć, o Turowie i o domu w Warszawie. Kapitały

wszakże mógł wszystkie stracić, jak wielu innych podczas wojny.

— Więc i dalej nikt nie będzie wiedział i nie będzie się ich domyślał, dobrze?

Adwokat, nieco zdziwiony, kiwnął głową na znak, że rozumie.

Wszedł Grzegorz, wnosząc na tacy wermut i wódkę z zakąskami. Osiecki napił się wódki i zabrał się do zakąsek, Twardowski poprzestał na kieliszku wermutu.

— Długo pan zabawi w Polsce? — zapytał adwokat.

— Nie robiłem jeszcze żadnych planów. Dziś myślę, że nie wrócę do Paryża, dopóki...

— Dopóki? — zapytał Osiecki, widząc, że gospodarz urwał nagle.

— Dopóki się nie zorientuję w nowym położeniu — odparł wymijająco.

Przeszli do sali jadalnej, dużej, kosztownie i ze smakiem umeblowanej. Na środku jej stał mały, okrągły stół z dwoma nakryciami.

— Najlepsze świadectwo — rzekł Osiecki, wskazując na stół — że przyjąć w tym domu nie bywało.

— Jeszcze przed wielką wojną — rzekł Grzegorz — duży stół owinęliśmy słomą i wynieśli na górę.

Przez cały obiad prawie wyłącznie mówił Osiecki — o polityce, o stosunkach warszawskich, o różnicach między ludźmi dzisiejszymi a przedwojennymi. Twardowski słuchał z zainteresowaniem, od czasu do czasu wtrącając krótkie, lakoniczne zdanie.

Wypili kawę przy stole ze względu na pośpiech adwokata.

Odprowadziwszy gościa do czekającego przed domem samochodu, Twardowski zatrzymał się w hallu i stał, grzejąc się, przy kominku, gdy podszedł do niego Grzegorz.

— Przygotowałem pokój nieboszczyka pana. Ale gdyby pan nie chciał, jest gotowy pokój gościnny.

Twardowski zauważył, że służący, zostawszy z nim sam na sam, stracił uroczystą sztywność i przestał go tytułować „jaśnie panem”. Widocznie był to zwyczaj domu.

— Zamieszkam odrazu w pokoju stryja — rzekł po krótkim zastanowieniu.

— Tak mi się zdawało — odrzekł służący. — Pewnie pan zmęczony i nie będzie teraz domu oglądał, może to lepiej jutro po dniu zrobić. Chciałbym tylko pokazać panu bibliotekę, gdzie nieboszczyk pan najwięcej przesiadywał i gdzie oddał Bogu ducha.

— Chodźmy.

Drzwi do biblioteki prowadziły prosto z hallu. Była to wielka sala o trzech oknach, cała zrobiona z dębu, z dębowym, belkowanym pułapem. W środkowej ścianie mieścił się duży, marmurowy kominek, stary, widocznie z Włoch pochodzący, na którym także palił się suty ogień. Kilka obrazów i parę rzeźb dobrze świadczyło o znawstwie gospodarza. Poza tem ściany zajęte były przez półki, zastawione do pułapu książkami. W dwóch miejscach wprawione w nie były szafy. Dwie zbroje stały po obu stronach kominka. W jednym końcu sali bokiem do okna stało duże biurko, w drugim ogromna otomana, nakryta dywanem perskim. Miękki dywan smyrneński pokrywał podłogę całej sali. Umiejętne, nierażące oświetlenie elektrycznym pajakiem, zawieszonym pośrodku, i lampami, umieszczonemi po bokach, dawało wrażenie wielkiej powagi, a jednocześnie wykwintnego smaku.

Grzegorz doprowadził Twardowskiego do otomany.

— Tu pan umarł — rzekł zdławionym, niemal łkającym głosem.

Twardowski bystro nań spojrzał: w oczach siłacza znów łzy świeciły.

— Jak to było? — zapytał.

— We wtorek, koło trzeciej popołudniu pan zadzwonił na mnie. Siedział w fotelu przed kominkiem, kazał sobie trochę wcześniej przynieść lekarstwo, którego stale zażywał. Gdy wróciłem z lekarstwem — za dwie, najwyżej trzy minuty — leżał na otomanie. Podszedłem do niego — już nie żył...

Po dłuższym milczeniu dodał:

— Rano tego dnia był ksiądz proboszcz. Pan się wypowiadał, przyjął święte Sakramenta. Widać spodziewał się śmierci.

— Powiadasz, że stryj zwykle przebywał tu, w bibliotece. Cóż robił?

— Czytał książki. A najwięcej chodził. O tak, tutaj, z końca w koniec, z końca w koniec... Z parę mil dziennie chyba wychodził. Ostatnie dwa tygodnie dużo siedział i pisał.

— Co? — zapytał żywo Twardowski.

— Nie wiem. Coś dla pana... Bo gdy skończył, włożył to wszystko w dużą kopertę, zapieczętował i powiedział: „Po mojej śmierci oddasz to panu Zbigniewowi”.

— Gdzież jest ta koperta?

— Niema jej. W wilję śmierci zastałem go, jak siedział przy kominku, koperta była rozdarta, a papiery jeden za drugim szły w ogień. Spojrzał na mnie i powiedział tylko te słowa: „Poco mu moje kłopoty, będzie miał dosyć własnych”...

Twardowski zaczął wielkimi krokami chodzić po pokoju. Co mógł zawierać ten rękopis stryja?... Dlaczego go zniszczył?... W szukaniu odpowiedzi na te pytania nie miał nawet od czego zacząć.

Myśli jego przerwał głos Grzegorza:

— Tak samiuteńko nieboszczyk pan chodził po pokoju.

Twardowski uczuł potrzebę zostania sam na sam ze sobą.

— Ja tu posiedzę trochę — rzekł do służącego. — Zadzwoń przed pójściem spać.

— Czy mam przynieść herbatę?

Twardowski spojrział na zegarek — było pół do dziewiątej.

— Koło dziesiątej — rzekł. — A gdzie Piorun?

— Zjadł kolację i hula teraz z psami po ogrodzie.

— To macie więcej psów?

— Jest wyżeł do polowania i cztery duże, bardzo złe psy do pilnowania domu w nocy. Chodzą z nocnym stróżem po ogrodzie.

Zauważywszy zdziwienie nowego pana, dodał:

— Okolica tu spokojna. Ale obawiamy się gości z dalszych stron.

Twardowski zaliczył sobie w myśli tę ostrożność do szeregu zagadek domu i zapytał tylko:

— To i Piorun pozostaje na noc w ogrodzie?

— O, nie! Dotychczas było tak, że koło dziewiątej wracał do domu i przychodził do pana do biblioteki. Potem szedł za panem na górę i nocował przy jego pokoju. Teraz, jak pan każe.

— Niech i teraz tak będzie.

Służący widocznie był zadowolony z tego zarządzenia. Wziął od pana kluczyki od waliz i polecenie przygotowania kąpieli.

Twardowski po jego wyjściu podszedł do okna, chcąc wyrzec na świat. Odsunawszy wszakże firankę, stwierdził, że okna są zabezpieczone ciężkimi żelaznymi okiennicami.

Pokręcił głową i usiadł w fotelu przed kominkiem.

Teraz, gdy został sam, zaczął zastanawiać się nad nowym położeniem, w którym się znalazł.

Siedzi obecnie w swoim własnym domu — to takie dziwne dla człowieka, który zawsze i wszędzie był gościem — i to nie w przypadkowo nabytym, ale w swej rodzinnej siedzibie, w miejscu, gdzie ojciec jego spędził lata dziecięce, gdzie siedzieli jego dziado-

wie. A jednak nie ma wrażenia, że jest u siebie. Ten dom ma swoją duszę, nieznaną mu jeszcze, pełną zagadek. W jego atmosferze jest coś ciężkiego, przyniatającego. To dusza jego stryja, z którym nigdy nie czuł się blisko związanym. Przyszła mu myśl, żeby stąd jaknajprędzej uciec, uwolnić się od ciężaru, który zaczyna go przytłaczać, wrócić do pracy, stanowiącej treść jego życia. Czuł wszakże, iż go tu coś zatrzymuje: czy związek z siedzibą rodzinną? czy tajemnica stryja?... Jakie wyznanie, czy oskarżenie zawierał dokument, pisany przy tem oto biurku, a potem rzucony w ogień?... Jakie myśli dręczyły człowieka, który się zamknął w tym pokoju i, niby więzień w celi, godzinami całemi chodził tam i spowrotem między czterema ścianami?...

Rozleniwiające ciepło kominka zaczęło go usypiać. Myśli się mieszały, związek między niemi się zrywał, oczy zaczęły się kleić...

Raz, dwa, trzy, cztery... Raz, dwa, trzy, cztery... Ktoś chodził po miękkim dywanie miarowemi krokami. Tam i spowrotem, tam i spowrotem. Twardowski, jeszcze w półśnie, słyszał te kroki. Raz, dwa, trzy, cztery... Czy słyszał?... Raczej czuł je w nerwach, w mózgu. Otworzył oczy — echo tych kroków jakby jeszcze się rozlegało, nie w pokoju, ale pod jego czaszką...

Światła w pokoju były pogaszone. Ogień na kominku dopalił się — tylko żarzące się jeszcze głównie rzucały blask czerwony na najbliższe przedmioty. Obejrzał się wkoło — nikogo w pokoju nie było. Bibliotekę zalegał półmrok, tylko na półkach złożone grzbiety książek słabo odbijały blask dogorywającego ogniska. Miał jednak niepokojące przeczucie, że nie jest sam...

U stóp swoich spostrzegł psa, który z nastawionemi uszami, jakby też zaniepokojony, patrzył w jego oczy. Rad, że ma towarzysza, Twardowski szepnął:

— Piorun!

Pies skoczył i z cichym piskiem zaczął się do niego łączyć.

W tej chwili wszedł Grzegorz, niosąc herbatę.

— Przyprowadziłem tu psa po dziewiątej, ale pan spał. Więc psa zostawiłem i przekręciłem światło. Pewnie panu Piorun nie przeszkadzał?

— Nie. Widzę, że dobrze wychowany, choć młody.

— Ma dopiero dwa lata. Ojciec jego zdechł parę miesięcy temu. Dobry był pies; choć stary i już nie-
dołężny, gryzł się z młodym o służbę przy panu. Ale ten będzie jeszcze lepszy. Mojego uczenia — dodał z dumą.

Twardowski wypił filiżankę herbaty i dźwignął się z fotelu.

— Czas iść spać — rzekł.

Grzegorz go poprowadził przez sien, jak hall po polsku nazywał, po schodach na górę.

Weszli do pokoju, wyglądającego na gabinet do pracy, z biurkiem i szafami do papierów. Przy jednej z nich stała oszklona szafa, w której zobaczył kilka dubeltówek i sztucerów w towarzystwie przyborów do polowania.

— Pan się kochał w broni — objaśniał Grzegorz, widząc, że zawartość szafy zwróciła uwagę nowego dziedzica. — W tym pokoju pan zwykle siadywał rano i tu jadał pierwsze śniadanie.

Szerokie, otwarte drzwi prowadziły do następnego ciemnego pokoju. Grzegorz podszedł do drzwi, od-
kręcił światło, i wówczas Twardowski zobaczył obszerną sypialnię z dużym francuskim łóżkiem, przygotowanym dla niego.

Weszli do niej; pies im już nie towarzyszył. Twardowski obejrzał się i zobaczył Pioruna w pokoju, który opuścili, leżącego na małym dywaniku, naprzeciw drzwi sypialni.

— On już zajął swoje miejsce — rzekł służący. — Tu śpi całą noc i pilnuje pana przez drzwi otwarte. Do sypialni nie wejdzie, chyba że pan zawoła, albo że usłyszysz coś podejrzanego. Wtedy podejdzie do łóżka, weźmie pana delikatnie zębami za rękę i dotąd będzie ręką ruszał, dopóki pana nie obudzi.

Twardowski pomyślał sobie, że to jeszcze jedna oryginalność tego niezwykłego domu.

Za sypialnią była garderoba, z niej wejście po jednej stronie do łazienki, z drugiej do pokoju dla służącego, który sypiał na górze. Grzegorz objaśniał:

— Dawniej ja tu sypiałem. Ale od czasu, jak się ożeniłem, nocuję w swoim mieszkaniu na dole, a tu sypia młodszy służący, Antoni. Pewny i sprytny chłopak.

Gdy wrócili, Grzegorz pokazał mu przy łóżku dwa dzwonki, jeden na niego, drugi na Antoniego. Nacisnął na ostatni i za chwilę zjawił się dwudziesto-kilkoletni chłopak, silnie zbudowany, z jasnym, prawie wesołym spojrzeniem.

Przedstawił go panu jako służącego osobistego od garderoby, sam zaś, zapytawszy, czy pan od niego jeszcze czego nie potrzebuje, powiedział „dobranoc” i wyszedł.

W pół godziny potem Zbigniew Twardowski, zmęczony długą podróżą i pogrzebem, spał już mocnym snem w łóżku stryja, w swoim obecnym domu.

III.

Zbigniew Twardowski był wielkim dziwakiem. Za takiego przynajmniej uważali go prawie wszyscy znajomi, których miał wielu zagranicą, a których w Polsce nie miał wcale. Dziwactwo jego plegało na tem, że był obojętny na interesy i na przyjemności, stanowiące treść życia innych ludzi, i że sprawy serca

dla niego nie istniały. Miał lat trzydzieści pięć, a był nie fizycznie, lecz duchowo bardzo stary. Uważano go za mózgowca, i to mózgowca skoncentrowanego na jednym przedmiocie, a więc prawie manjaka.

Studjował od wielu lat psychologję z zapalem, z namiętnością; znał ją głęboko, wiedział dużo, ale nic nie pisał. Niektórzy mówili o nim, że się wyko-leił, bo się zajmował dziedzinami tajemniczymi, leżącymi poza sferą nauki. Pozatem miał jedyną namiętność: uciekał często w góry i wdzierał się na najwyższe szczyty; na łatwiejsze sam, na trudniejsze z przewodnikami.

Był kosmopolitą, czującym się wszędzie u siebie, z wyjątkiem kraju ojczystego, którego prawie nie znał.

W tem dziwactwie nie było bodaj jego winy. Winne były raczej okoliczności jego życia, a nadewszystko stosunki rodzinne, które sprawiły, że od trzynastego roku wyrastał poza krajem.

Ojciec jego był jednym z trzech braci, synów szlachcica, siedzącego na dwudziestokilkowłókowym mająteczku. Przy starym systemie gospodarki była to bieda, zwłaszcza, gdy rodzice postanowili dać synom wyższe wykształcenie. Toteż, kiedy synowie pokończyli szkoły, majątek był już obdłużony do ostatniej możliwości. Po śmierci rodziców na Turowie osiadł najstarszy syn, usiłując ratować go nowoczesną gospodarką. Był to jednak człowiek chory, a raczej wma-wiający w siebie różne choroby, hipochondryk. Nie miał energii ani do życia, ani do gospodarki. Nie ożenił się, na wsi wegetował. Drugi zrzędu brat, obecnie zmarły stryj Alfred, był przeciwieństwem starszego. Był dzielny i przedsiębiorczy. Ukończył studja handlowe zagranicą i pracował kilka lat w bankach i zarządach przedsiębiorstw przemysłowych, w Niemczech, Belgji i Anglii, poczem osiadł w Warszawie, gdzie odrazu zdobył pozycję i zaczął szybko robić majątek. Wreszcie trzeci brat, ojciec Zbigniewa, młod-

szy od Alfreda o cztery lata, ukończył medycynę i zaraz po wyjściu z uniwersytetu ożenił się ze starszą od siebie o parę lat nauczycielką, w której się kochał, będąc studentem. Skutkiem tego musiał zrezygnować z doskonalenia się w swym zawodzie, osiadł w jednym z uboższych miast powiatowych jako lekarz i tam, ciężko pracując, klepał biedę.

Oddaleni od siebie trzech bracia mało się widywali. Zwłaszcza między Alfredem a ojcem Zbigniewa stosunki były naprężone. Alfred gniewał się na studenckie małżeństwo brata, uważał je za akt głupoty, a widoku żony jego nie mógł znosić, choć była miłą i zacną kobietą.

Zbigniew był jedynym dzieckiem swoich rodziców. Wychowywał się przy nich w lichej, przepełnionej żydami mieścinie. Uczyła go matka, która sama przygotowała go do szkoły średniej. W jedenastym roku życia rodzice posłali go do Warszawy, do prywatnego gimnazjum, co ogromnie obciążyło budżet skromnego lekarza. W rok potem zaczął się szereg katastrof rodzinnych. Umarł stryj z Turowa, a prawie jednocześnie z tem spadł na chłopca straszny cios — śmierć matki. W niecały rok po matce umarł ojciec. Zdrętwiały, przytępiony bólem chłopak przy łóżku umierającego ojca spotkał się po raz pierwszy ze stryjem Alfredem, o którym tylko tyle wiedział, że kupił od ojca za marny grosz jego udział w spadku po rodzicach i że był niedobry dla jego matki.

Po pogrzebie ojca stryj go zabrał ze sobą. Chłopek apatyczny, zobojętniały pojechał za stryjem do Warszawy, a potem do Szwajcarii, gdzie go stryj umieścił w pensjonacie, połączonym ze szkołą dla niewielkiej liczby zamożnej młodzieży różnych narodowości. Zostawił go tam samego wśród obcych, z którymi spoczątku nie mógł się nawet porozumieć.

W pensjonacie otoczono go wygodami, jakich przedtem nie znał, odrazu też zaciągnięto go do rozrywek

i sportów, które wypełniały życie chłopców poza lekcjami, i blisko przez rok uczono prawie wyłącznie francuszczyzny, przygotowując go do brania udziału w lekcjach. Dyrektor otaczał go szczególną opieką, traktując prawie, jak syna. Wakacje spędzał z rodziną dyrektora. Pomimo to sierota, pozbawiony w krótkim czasie rodziców, wyrwany ze swego środowiska, spośród dotychczasowych kolegów, czuł się niešťczęśliwym wygnańcem, skazanym na wygnanie przez stryja. Zamknął się w sobie, zatracił dziecięcą wesołość, stał się nad wiek poważnym i nawet oschłym. Natomiast rozwijał się umysłowo bardzo szybko, uczył się pilnie, zadziwiając nauczycieli swemi postępami, a jednocześnie fizycznie męźniał w doskonałych warunkach, które dawało mu życie w pensjonacie. Największą przyjemność sprawiały mu wycieczki szkolne w góry. Rozmiewał się w nich ogromnie; podczas wakacyj chodził we dwójkę z guwernerem, a potem pozwalano mu chodzić samemu ze zwykłym przewodnikiem, co lubił najwięcej.

Stryja nie widywał i listów od niego nie otrzymywał. Tylko od czasu do czasu dyrektor mu mówił, że miał list od stryja, który pytał o jego zdrowie i postępy.

Po trzech latach nareszcie przyjechał stryj — na zakończenie roku szkolnego. Zastał chłopaka szesnastoletniego, dobrze wyrośniętego, silnego, nad wiek poważnego, którego dyrektor przedstawił mu jako najlepszego ucznia w całej szkole. Brakowało mu dwóch lat do matury. Stryj go zabrał ze sobą na całe wakacje, które spędzili w Szwajcarii i północnych Włoszech, głównie nad jeziorami. Zobaczył kawałek nowego świata. Stryj był jakiś inny, nie taki, jak go poprzednio widział i jak go sobie przedstawiał. Był bardzo przyjacielski, rozpytywał go troskliwie o jego życie, o jego myśli i zamiary na przyszłość. Powiedział, że chce pójść w ślady ojca i zostać lekarzem.

Stryj był z niego bardzo zadowolony, ale zaniepokoiło go to, że chłopak już zapomniał trochę mówić po polsku, że dla ściślejszego wyrażenia swej myśli często posiłkuje się francuszczyzną, że o Polsce wie bardzo mało, że choć szkoła go wykształciła po katolicku, religijność jego jest zbyt sucha, formalna.

Skończyło się na tem, że stryj postanowił od wakacyj zmienić szkołę. Umieścił go we Fryburgu, we francuskim liceum katolickiem, a nadto znalazł tam na uniwersytecie młodego księdza Polaka, z którym zrobił umowę, że będzie spędzał z chłopcem po parę godzin dziennie, ucząc go języka ojczystego, rzeczy polskich, religii po polsku i pomagając mu w znalezieniu polskiej lektury.

Wybór okazał się dobry. Chłopak się z księdzem zaprzyjaźnił, uczył się od niego dużo. Ksiądz był inteligentny i wykształcony, a że również kochał góry, więc korzystali z każdej wolnej chwili na wspólne wycieczki.

Teraz już widywał stryja dość często. W podróżach swoich zagranicę wpadał on mniejwięcej co pół roku na dzień, dwa do Fryburga. Spędzał godziny całe na rozmowach z synowcem i jego przyjacielem księdzem. Te spotkania zbliżały chłopaka ze stryjem, nie wystarczały wszakże, żeby się do niego przywiązał.

Gdy zdał maturę, stryj przyjechał i zapytał go, czy nie zmienił swych zamiarów. Zbigniew wszakże trwał w postanowieniu oddania się medycynie. Uradzono tedy, że wstąpi na uniwersytet w Bernie. Stryj mu otworzył aż nadto wystarczający kredyt w jednym z banków berneńskich i chłopak zaczął samodzielne życie studenta.

Po roku, w lecie stryj wpadł na krótko do Berna, jakiś niespokojny; gorączkowo go wypytywał, czy wytrwa w rozpoczętych studjach, i ucieszył się bardzo, gdy spostrzegł, że chłopak pracę traktuje z wielkim

zapałem. Powiedział synowcowi, że mogą się przez długi czas nie zobaczyć i nie będą się mogli nawet listownie komunikować. Zanosi się w Europie na wielką wojnę, która może potrwać wcale długo. Stryj prosił go usilnie, żeby nie przerywał studjów, cokolwiek się stanie. Złożył poważną sumę w banku berneńskim i znacznie podwyższył synowcowi kredyt, licząc się już z podrożeniem kosztów życia podczas wojny.

Wojna wybuchła. Przez cztery lata jej trwania Zbigniew stryja nie widział i listu od niego nie miał. Tylko bank stale wypłacał mu pochodzące od stryja pieniądze. Student medycyny, jak wszyscy dokoła niego, przebieg wojny śledził, z kolegami o niej ciągle rozmawiał, ale jak wszyscy niebardzo jej rozumiał, był raczej nią oszołomiony. Mniej mu ona, niż innym przeszkadzała w studjach, w których pograżał się z coraz większym zapałem.

Wojna jeszcze trwała, gdy ukończył studia i zdał ostateczne egzamina. Wkrótce wszakże nastąpił rozejm, i stryj niebawem zjawił się w Bernie.

Zbigniew ledwie go poznał — tak był zmieniony. Przygarbił się, krok jego stał się ociężały, wychudłą twarz przeorały zmarszczki, których przedtem na niej nie było, oczy zapadły, przygasły. Była to ruina człowieka, którego sprzed czterech lat pamiętał jako mężczyznę w pełni sił, prosto trzymającego się, sprężystego w ruchach.

Od pierwszej chwili zauważył zmianę tonu stryja w stosunku do siebie. Nie traktował go już jako opiekun pupila, ale jak starzec dorosłego mężczyznę, w którym widzi źródło siły i szuka oparcia dla siebie.

Przez długi czas nie mógł o niczem innem mówić, tylko o wojnie, mówił jak ocalony rozbitek z jakiejś wielkiej katastrofy. W oczach miał jakby wizję strasznych przeżyć.

— Chyba cudem Bożym — mówił — uratowaliśmy się od strasznego nieszczęścia, może od całkowitej

zguby. Tak wszystko było przygotowane, żeby nas ostatecznie zniszczyć!... Gdybyś wiedział to, co ja przed tą wojną wiedziałem, zrozumiałbyś moją zgryzotę i tę trwogę, w której żyłem nieustannie. I to straszne poczucie, że sami pomagamy swój grób kopać... Ocaliliśmy, a właściwie mamy wszelkie widoki ocalenia. Bo knowania przeciw nam, których źródła są bardzo głębokie i dalekie, a sieć bardzo rozgałęziona, nie ustały i długo jeszcze nie ustaną. Ale mam już silną wiarę, że Polska nie zginie.

Zbigniew miał pojęcie o stryju, jako o człowieku zimnym, spokojnym, nieprzejmującym się niczem, ze zdziwieniem więc słuchał jego wynurzeń, zresztą bardzo niejasnych. Chciał lepiej zrozumieć, co stryj myśli, ale ten nagle urwał rozmowę o wojnie i zaczął go rozpytywać o jego sprawy i zamiary.

Odpowiedział, że się waha, czy pracować dalej przy uniwersytecie nad fizjologią systemu nerwowego i pójść drogą naukową, czy też wracać do kraju, założyć się przy jakim szpitalu i przygotować się szybko do rozpoczęcia praktyki lekarskiej. Trzeba przecie zacząć na chleb zarabiać.

Tu usłyszał rzecz, która odrazu wywróciła cały jego stosunek do życia.

— Zrobisz, co zechcesz — rzekł stryj — nic ci nie mogę narzucać. Tylko proszę cię, idź drogą, na którą cię ciągną twoje zamiłowania i ambicje. Kwestja zarobku na chleb dla ciebie nie istnieje. Pozostało nas tylko dwóch z całej rodziny na świecie: ja, przedwcześnie bezsilny starzec, szybko zbliżający się do grobu, i ty, młodzieniec, przed którym leży całe życie. Może nie wiesz, że jestem człowiekiem zamożnym. Mój majątek właściwie dziś jest twoim, bo mnie już niewiele potrzeba. Poznałem cię tyle, iż wiem, że z niego zrobisz dobry użytek i że dokonasz w życiu czegoś poważnego. Będzie jeden Twardowski, który nie zmarnuje swych zdolności i swego życia tak, jak

to zrobił twój ojciec na jeden sposób, a ja na inny. Liczysz dopiero dwadzieścia trzy lata, więc masz dużo jeszcze czasu na przygotowanie się do tego, co chcesz w życiu zrobić. Dam ci tymczasem duży kredyt i nie będę cię pytał, jak rozporządzasz pieniędzmi — mam do ciebie zaufanie.

Zbigniew był oszołomiony. To, o czym nie śmiał marzyć, długie jeszcze studia, podróże, zdobycie wiedzy, poznanie świata, stawało się teraz rzeczywistością.

Wyraził wdzięczność stryjowi, którą czuł istotnie, aczkolwiek nie mógł się zdobyć na większą względem niego serdeczność. Tkwiący w jego duszy od lat dziecięcych żal do stryja za nieprzyjaźń dla matki nie mógł pomimo wszystko wygasnąć.

Zaczął teraz nowe życie.

Dla prowadzenia dalej studjów neurologicznych przeniósł się wkrótce do Paryża. Spoczątku miał zamiar iść utartą drogą do katedry uniwersyteckiej. Później wszakże powiedział sobie, że mu katedra niepotrzebna. Poco ma tracić czas na pracę profesorską, kiedy ma środki na to, żeby się całkowicie poświęcić badaniom i nawet zdobyć na własność te pomoce naukowe, które innym tylko dać może uniwersytet. Skolei rozszerzył, a właściwie zmienił swój przedmiot studjów: od fizjologii nerwów przeszedł do psychologii, która go pochłonęła całkowicie.

Do Polski nie tęsknił. Coraz bardziej błękitniały mu wspomnienia dziecinnych lat tam przeżytych, a to, czego się dowiadywał z gazet o jej życiu w pierwszych chwilach posiadania własnego państwa, było dla niego niezrozumiałe i nie zachęcało go do powrotu. Kolegom w pracy odcinał się, jak mógł, gdy sobie drwili z tego, co się dzieje w jego ojczyźnie, a już palił się wprost ze wstydu, gdy po słynnej wyprawie na Kijów przyszła haniebna rejterada wojsk polskich. Polacy

wówczas byli pośmiewiskiem jego znajomych cudzoziemców.

Wtedy w ciągu jednego dnia zdecydował się na krok, który nie leżał nigdy w jego zamiarach. Poszedł do konsulatu polskiego, zameldował się jako ochotnik do wojska i pierwszym pociągiem, jakim mógł, odjechał do Warszawy. Zrobił to bez zapału, nawet ze złością, że przerywa sobie pracę: uważał, że honor mu nie pozwala siedzieć w Paryżu, gdy nieprzyjaciel zbliża się do stolicy jego ojczyzny.

Wprost z dworca w Warszawie udał się do urzędu wojskowego i już pozostał w koszarach. W dwa tygodnie potem leżał ranny w szpitalu, dość ciężko, ale nie niebezpiecznie. Stamtąd dopiero posłał zawiadomienie do stryja o swoim pobycie w kraju. Stryj zabrał go do swego mieszkania w Warszawie i dał mu możliwie najlepszą opiekę lekarską. W kilka tygodni potem, choć nie był jeszcze całkiem wyleczony, czuł się o tyle dobrze, iż mógł wrócić do pracy. Opuścił Warszawę i znów znalazł się w Paryżu.

Z tej krótkiej wyprawy wyniósł chaos kłócących się ze sobą wrażeń: zapał, poświęcenie, bohaterstwo, niedbalstwo, zarozumiałe nieuctwo, dziecienną próżność, co razem wzięwszy, obrażało jego suchą logikę, domagającą się we wszystkim ładu, planu i konsekwentnego wykonania. Oddalał od siebie myśl bliskiego powrotu do Polski: lepiej pracować ze skutkiem na obczyźnie i tym sposobem coś zrobić dla polskiego imienia.

W owych powojennych latach w stolicach europejskich ogromnie weszły w modę wszelkiego rodzaju seanse. Grasował powszechnie meljumizm, spirytyzm, okultyzm... Młody psycholog był ych rzeczy ciekaw i nawet na pewien czas zanadto w nie się wciągnął, odrywając się od studjów właściwych. Gruntowne wszakże przygotowanie naukowe ścisła logika ocaliły go od dostania się w ręce ordnarnych czy wyra-

finowanych szarlatanów lub od zachwiania się w naukowem traktowaniu zjawisk. Dobrze podmęczony wrócił od tych eksperymentów do pracowni, ażeby przyjść całkowicie do siebie, żeby dobrze przemyśleć, przetrwać wszystko, czego był świadkiem.

Doszedł do przekonania, że miał do czynienia z dziedziną zjawisk niezbadanych, których zgłębianiu stoi na przeszkodzie bądź nieuctwo ludzi, co się nimi zajmują, bądź oszustwa szarlatanów, którzy z nich sobie robią źródło zarobku, bądź, co najgorsza, nikczemność przebiegłych filutów, operujących nimi dla ukrytych celów.

Wtedy zrodziła się w nim namiętność dociekania w tej dziedzinie prawdy. On, człowiek niezależny, rozporządzający dużemi środkami, przygotowany naukowo, czujący w sobie duży zapas sił, będzie mógł się głębiej wdrzeć w tę krainę mroków, niż to się innym udało. Od tej chwili już miał przed sobą wytkniętą drogę, z której postanowił nie zbaczać. Wyszedł poza granice nauki urzędowej, ale z gruntu ścisłych naukowych metod nie schodził.

Spotkał się z olbrzymiemi trudnościami, przede wszystkim ze strony tych, na których liczył, że mu pomogą w nowych studjach. Jedni mu na jego pytania odpowiadali niechętnie, półgębkiem — widać było, że nie chcą mówić otwarcie, że ukrywają coś, co wiedzą lub myślą. Inni deklamowali szeroko o jakiejś wielkiej tajemnej wiedzy, istniejącej od tysiącleci, ale z tego, co mówili, mało treści można było wycisnąć; przytem często dodawali, że ta wiedza dostępna jest tylko dla wybranych, dając mu do zrozumienia, że i on mógłby do nich należeć. On wszakże zbyt cenił swą niezależność. Inni wreszcie patrzyli nań, jak na człowieka nietrzeźwego, a nawet podawali w wątpliwość równowagę jego umysłu.

To wszystko, zamiast go zniechęcić, wytwarzało coraz większą zaciętość w dochodzeniu prawdy. Ro-

bił się tylko coraz skrytszym, coraz mniej się dzielił z kimkolwiek swemi poglądami. Poszukiwania robił sam, na własną rękę: z ludźmi o swym przedmiocie rozmawiał o tyle tylko, o ile chciał z nich zrzęcznie coś wydobyć.

Zrozumiał rychło, że w tych badaniach trzeba sięgnąć w przeszłość i to nawet bardzo odległą. Nie chcąc zaś polegać na wiadomościach z drugiej ręki, pogłębił znajomość łaciny i greki, żeby być zdolnym do ścisłego rozumienia tekstów, przeszedł kurs sanskrytu, zabrał się do egiptologii i asyrjologii, nawet do hebrajszczyzny.

W Londynie zetknął się z wykształconym Hindusem, który myśli jego otworzył nowe perspektywy. Zachęcony tem odbył podróż do Indyj. Podczas rocznej blisko podróży odwiedził różne ogniska myśli tamtejszej, od Cejlonu do stóp Himalajów. Postanowił sobie w przyszłości tę podróż ponowić, już ze ściślejszym planem, a także odwiedzić inne kraje wschodnie.

Tak pracował w ciągu lat blisko dziesięciu. Dzie sięć zaś lat to wiele czasu dla człowieka zdolnego, umiającego się uczyć, którego nic od studjów nie odciąga.

Nic nie pisał, wyniku swych badań nie ogłaszał. Przygotowywał wielką pracę, którą zamierzał wydać, gdy badania należycie skompletuje. Nie miał potrzeby się śpieszyć: o żadne stanowisko się nie ubiegał, o rozgłos mu nie chodziło. Dla powodzenia jego badań wygodniej mu było pozostawać w cieniu.

Pochłonięty jednym przedmiotem, zwróciwszy wszystkie siły ducha ku jednemu celowi, przez dziesięć lat pogłębił swą myśl więcej, niż niejeden poważny badacz przez całe życie, jednocześnie wykształcił zdolność obserwacji, wyostrzył zmysły, stał się niebezpiecznym dla ludzi, mających coś do ukrycia. Że zaś przedmiotem jego badań był człowiek, przywykł nań patrzeć, jak na obiekt, jak na robaka

oglądanego przez szkło powiększające — bez zdźbła uczucia, niemal cynicznie. Był w stosunku do ludzi jakby wysuszonym przez życie, egoistycznym starcem.

I kobieta była w jego oczach tylko obiektem, chwilami potrzebnym i przyjemnym, pozatem o wiele mniej interesującym od mężczyzny.

Był dobrze wychowany, żył na stopę zamożnego człowieka, dzięki stryjowi nigdy mu nie brakowało pieniędzy: przytem nazwisko jego było znane alpinistom różnych krajów, więc wciągano go wszędzie w życie towarzyskie. To zaś, że był dziwakiem, że w zachowaniu się jego czuć było lekceważenie kobiet, czyniło go tylko bardziej interesującym i poszukiwanym... Niejedna kokietka robiła bohaterskie wysiłki, żeby go podbić, na co od czasu do czasu, byle nie na długo, pozwalał. Bywał dużo między ludźmi, nietyle dla rozrywki, ile dla zbierania spostrzeżeń.

Stryj przyjeżdżał na Zachód radzić się lekarzy mniej więcej co pół roku. Widywali się wtedy, o ile Zbigniew nie bawił poza Europą. Spotkania te zbliżały ich coraz bardziej. Stryj był coraz serdeczniejszy.

Gdy mu Zbigniew po raz pierwszy powiedział o istotnym przedmiocie swoich studjów, był ogromnie zainteresowany, przygasał jego oczy zabłyszczały. Potem wypytywał ciągle, jak postępują te studia. Nie dziwił się, że dotychczas niema żadnego wyniku tych studjów w druku; podzielał zdanie Zbigniewa, że lepiej nic nie ogłaszać, dopóki w badaniach nie zajdzie dość daleko. Coraz więcej traktował synowca już nie jak równego sobie, ale jak autorytet, wobec którego sam czuł się bardzo skromnie.

Stryj wszakże szybko starzał się i z sił opadał.

Choroba serca postępowała, pomimo starań lekarzy i kilkotygodniowej co rok kuracji w miejscach kąpielowych. Ten niepokój, ten wyraz oczu człowieka jakby tropionego, jakby przed czymś uciekającego,

który Zbigniew zauważył przy pierwszym spotkaniu po wielkiej wojnie, już mu pozostał. Gdy się ostatni raz widzieli, stryj żegnał się z nim wyjątkowo serdecznie: widocznie przeczuwał, że się więcej nie zobaczą...

IV.

Zbudziwszy się z głębokiego snu, przez dłuższą chwilę nie mógł się zorjentować, gdzie się znajduje. Wreszcie uprzytomnił sobie przeżycia poprzedniego wieczora: bezdennie smutny pogrzeb, służącego Grzegorza, jego wygląd i zachowanie się, słowa księdza, dom zamknięty i strzeżony jak twierdza, rozmowę z adwokatem i z Grzegorzem, spalony dokument, wreszcie niesamowite wrażenie kroków w bibliotece...

Jakaż wielka zmiana w jego życiu: odziedziczył majątek i... tajemnicę. Mimo tej tajemnicy przejść nie może — musi się w nią wedrzeć. Od tylu lat już wdziera się w tajemnice duszy ludzkiej i przywykł ich się nie bać. Te kroki stryja w bibliotece — bo to były jego kroki... Halucynacja... tak, ale przyczyna jej tkwiła nie w stanie jego duszy, zupełnie zdrowej, tylko nazewnątrz... w czymś, co pozostało po stryju w sali bibliotecznej. Już z tem zjawiskiem miał do czynienia raz w życiu. Gdzie to było?... Gdzieś na wsi, w Anglii, w domu, jak mówiono, nawiedzanym przez duchy. Teraz ma własne doświadczenie...

Przypomniawszy sobie Pioruna. Zaświecił lampkę przy łóżku. Ze słabo oświetlonej sypialni czarny czworokąt otwartych drzwi prowadził do sąsiedniego pokoju. W tej czarnej głębi świeciły dwa zielonawe światelka — wilcze oczy.

Zawołał psa pocichu.

Piorun wpadł, skoczył przedniemi łapami na łóżko i usiłował polizać go po twarzy.

— Dobry pies — mówił, głaszcząc Pioruna, a zarazem trzymając go w odległości — tyś nowy, ale pewny przyjaciel.

Spojrzał na zegarek: godzina szósta. Na dworze było ciemno. Zadzwoił na służącego. Wkrótce zjawił się Antoni, trochę zaspany.

Po upływie kwadransa cały dom już był w ruchu.

Gdy wrócił z łazienki, czekał nań Grzegorz z filiżanką herbaty i z zapytaniem o rozkazy.

Kazał mu wezwać na jedenastą rządcę majątku i zapytać, czy proboszcz będzie o czwartej na plebanji. Teraz wyjdzie rozejrzeć się w okolicy, a po pierwszym śniadaniu dom obejrzy.

Grzegorz wybiegł zobaczyć, czy stróż nocny już psy zamknął, poczem wyprowadził go z domu. Mróz był silniejszy, niż dnia poprzedniego, ale wiatr się uciszył i na niebie się przetało. Jeszcze świeciły gwiazdy. W ich świetle biały dom, w lekkim, nieprzeładowanym renesansie, sprawiał wrażenie pogodne, dziwnie sprzeczne z wrażeniami, które nowy mieszkaniec przeżył pod jego dachem.

Do piętrowego domu przytykał zboku niższy budynek — kuchnie i mieszkania służby. Dom stał w dużym parku, który cały był otoczony wysokim murem. Za murem z jednej strony widać było niewielkie zabudowania — stajnia i wozownia dworska, jak objaśnił Grzegorz. Folwark wraz ze starym dworem, obecnem mieszkaniem rządcy, leżał o jakie tysiąc kroków. Nową rezydencję zbudowano w czystym polu na wzgórzu.

Twardowski ruszył ku zamkniętym wrotom, przy których stał domek o dwóch oknach.

— Tu mieszka stróż dzienny — objaśnił Grzegorz. — Na drogę wychodzi się przez jego sionkę.

W otwartych drzwiach domku ukazał się duży, mocny chłop z gołą głową, któremu Grzegorz kazał otworzyć drzwi nazewnątrz.

Twardowski wszedł do sionki i przyglądał się, jak stróż odsuwa ciężkie, niby więzienne zasuwę. Kazał Grzegorzowi wracać do domu, sam zaś wyszedł na drogę. Za nim wymknął się Piorun i z nosem ku ziemi pobiegł naprzód, robiąc ciągłe wycieczki na przydrożne pola, ale zawsze trzymając się wpobliżu pana i często do niego wracając.

— Ta siedziba — mówił Twardowski — jest urządzona jak blokhaus i strzeżona tak, jakby nieprzyjaciel czał się wpobliżu. Stryj widocznie kogoś obawiał się i strzegł zarówno w dzień, jak i w nocy. Tak się nikt nie strzeże od zwykłych złodziei. Jeżeli nie cierpiał na manję prześladowczą, to któż mu mógł grozić?...

Okolica była lekko falista. Dom stał na najwyższym punkcie i widok sprzed niego był rozległy. Zaczynało szarzeć. Niedaleko było widać folwark ze starym dworem, którego ściany bieleły się poprzez obnażone z liści krzewy i drzewa. Twardowski poszedł w kierunku przeciwnym, ku pobliskiemu lasowi.

Las był dobrze utrzymany. Niezbyt stare, ale równe, wszystkie jednego wieku, wysmukłe sosny; na dole czysto, gdzieniegdzie tylko krzak jałowca czerniał z oddali. Za lasem duży zagajnik, pięknie zasadzony przed jakimi dziesięciu laty. Później znów kawałek lasu, wreszcie kopiec graniczny. W odległości paru kilometrów widać było wieżę kościołka i dużą wieś. Przed nią leżał ogrodzony drewnianym płotem i usiany krzyżami czworobok. Tam zakopano wczoraj stryja, a z nim jego tajemnicę...

Po powrocie z przechadzki wypił kawę, poczem obejrzał dom w towarzystwie Grzegorza. Dom był dość duży, urządzony z całym nowoczesnym komfortem i bardzo czysto utrzymany. Na dole przedpokój z hallem przedzielał dom na połowę. Z hallu przez oszklone drzwi — przy których Twardowski zauważył drugie drzwi żelazne, dyskretnie w mur schowa-

ne — wychodziło się na obszerny taras kamienny, a z niego po kilku schodach do ogrodu. Jedną połowę domu od strony podjazdu zajmowała biblioteka, od strony ogrodu dwa pokoje, z których jeden umeblowany na palarnię, drugi zaś z bilardem pośrodku. W drugiej połowie, odpowiadająca bibliotece wielka sala, pusta, nieumeblowana, od strony zaś ogrodu pokój jadalny i kredens. Z kredensu drzwi prowadziły do kuchni, pralni i mieszkań służby.

— Podczas wielkiej wojny — objaśniał Grzegorz — kiedy pan bawił w Rosji, tu mieszkał sztab dywizji pruskiej. Zniszczyli strasznie dom, mnóstwo rzeczy powywozili, nawet mury podziurawili, bo ciągle czegoś szukali. Całe szczęście, że biblioteka i piwnica były w Warszawie. Po wojnie pan doprowadził dom do porządku, ale salonu już nie meblował: powiedział, że niema dla kogo.

Na górze połowę domu zajmował gospodarz. W drugiej było parę pokoi gościnnych i druga łazienka.

Grzegorz nalegał, żeby pan zobaczył piwnicę. Gdy ją otworzył, patrzył nań z triumfem, jakie też na nim wrażenie robią zgromadzone skarby.

— Nacóż tyle wina — zawołał Twardowski — kiedy nie przyjmowano gości?

— Pan prawie wiele nie pił, doktorzy mu nie pozwalali. Ale lubił wino i znał się, jak chyba nikt na świecie. Gdy trafił na dobre, kupował, choć nie było potrzebne. Mówił, że trzeba ratować wino, żeby go nie wypili durnie, co się na niem nie znają. Później mówił, że kupuje dla swego dziedzica.

Twardowski przypominał sobie, jak stryj przy wspólnych obiadach zagranicą wmawiał weń, że ma zadatki na wielkiego znawcę wina. Ten epikureizm nie licował z manją prześladowczą. Nie, stryj musiał być zdrow na umyśle i musiał mieć jakiś realny powód do obaw.

— Mamy tu śliczne burgundy, bordeaux i reńskie — ciągnął Grzegorz z widoczną dumą i, wskazując na półki, zastawione flaszkami i gąsiórkami różnego kształtu i rozmiarów, oraz na dwie beczułki, dodał: — a takich węgrzynów i takiej starki dziś już chyba nigdzie nie znajdzie.

Ostatnie słowa nie wywarły na Twardowskim oczekiwanego przez Grzegorza wrażenia, bo ani węgrzyna, ani starki nigdy nie próbował. Grzegorz kończył swój wykład:

— Całe szczęście, że to było podczas wojny w Warszawie, boby pruskie chamy wszystko wypily.

Park był umiejętnie założony na sposób angielski i ładnie utrzymany. Dużo w nim było światła. Bliżej domu rosły drzewa i krzewy egzotyczne, i widoczne były ślady rabat i klombów. Brakowało stawu, na który wysokie położenie nie pozwalało.

Dookoła niewielkiego podwórka poza murem stał garaż, w nim limuzyna i otwarty samochód, niewielka wozownia z lekkim powozikiem i stajenka, w której stała para koni do powozu i dwa wierzchowce, ogier i klacz, śliczne anglo-araby.

— Pan już przez ostatnie lata konno nie jeździł, ale w koniach się kochał i często do nich zaglądał. Na spacer zawsze jeździł powozem.

Na podwórku ukazał się wysoki, szpakowaty mężczyzna, z niewielkim, jasnym wąsem. Zbliżył się do Twardowskiego i przedstawił się jako rządcą majątku Dąbrowski. Sprawiał poważne i miłe wrażenie.

Zaprężono konie do powozu, i Twardowski z rządcą pojechali obejrzeć gospodarstwo, które, jak słusznie twierdził Osiecki, było prowadzone wzorowo. Nowy dziedzic wszedł na chwilę do mieszkania rządcy, poznał jego żonę i z nieznanem sobie dotychczas wzruszeniem oglądał stary, drewniany dwór, w którym się ojciec jego urodził i wychował.

Gdy wrócił do domu, Grzegorz przedstawił ogrodnika i resztę służby domowej z kucharzem na czele. Gdy przyszła kolej na nocnego stróża, Twardowski go zapytał, gdzie jego psy, i dowiedział się, że mają mieszkanie, ogrodzone murem, na końcu parku, bo pan nie lubił, żeby trzymano psy na łańcuchu. Wreszcie zjawił się wyżeł, Wyga, bacznie przyglądając się nowemu panu.

— Ślicznie wystawia kuropatwy — rzekł Grzegorz — pan go bardzo lubił.

Wyżeł zamerdał ogonem i patrzył uważnie to na Grzegorza, to na nowego pana, jakby badał, czy na serjo mowa o kuropatwach.

Twardowski go pogłaskał.

— Teraz nie, mój Wyga, ale pójdziemy którego dnia ustrzelić zająca.

— Mamy tu i kozy w lesie, a czasem i dziki się pokazują — poinformował Grzegorz.

Poznawszy posiadłość, nowy dziedzic zjadł śniadanie i kazał sobie podać kawę do biblioteki.

— Po butelkach należy się trochę uwagi książkom — rzekł do siebie.

Pobieżnie rzucał po półkach wprawmem okiem. Było dużo cennych, starych druków, przeważnie polskich, a dalej mnóstwo książek z najrozmaitszych dziedzin — obok polskiego w kilku językach zachodniej Europy i w rosyjskim. Przeważała historia, były wszakże wszystkie dziedziny, interesujące inteligentnego, wykształconego człowieka; było dużo podróży i cała wielka poezja świata. Twardowskiego zdziwiła względnie duża ilość książek bardzo nierównej wartości z dziedziny, którą on sam się zajmował: hipnotyzm, sugestja, telepatja, dalej spirytyzm, okultyzm, nawet magja. Czyżby stryj to wszystko czytał?...

Przed czwartą kazał założyć konie i pojechał do księdza. Bawiła go jazda końmi, której tak rzadko używał.

Ksiądz przyjął go bardzo przyjaźnie i poczęstował białą kawą ze smacznym chlebem wiejskim i wybor-nem masłem. Przepraszał za skromne przyjęcie:

— Pan zagranicą do takich prostych rzeczy nie-przyzwyczajony.

Dowiedział się od księdza, że już blisko od dzie-sięciu lat siedzi na swej parafji.

— Lepiej pewnie ksiądz znał mego stryja, niż ja sam, bo podobno żyli panowie w przyjaźni.

— W przyjaźni — to może za dużo powiedziane — odrzekł ksiądz. — Jestem skromny, prosty człowiek, on zaś był pan z wielkiego świata, który dużo widział i wielkimi sprawami się zajmował. Ale był mi bar-dzo życzliwy i wieleśmy ze sobą gadali.

— Więc miałem słuszność, że ksiądz go znał dobrze?

— Od strony moralnej, proszę pana. Jestem księ-dzem — to moja wiedza i moja praktyka.

— Jakto praktyka?

— My, księża, mamy konfesjonał, w którym ciągle studjujemy dusze ludzkie. Prawda, tu, na wsi, są du-sze przeważnie bardzo proste, nieskomplikowane, ale i tu człowiek, poważnie pojmujący swój obowiązek, ma możność się wykształcić. I tu stają przed nim często bardzo trudne zagadnienia.

Twardowskiego zaczął ten proboszcz interesować.

— Stryj mój był człowiekiem religijnym?

— Tak, byłem jego spowiednikiem.

— Powiedział ksiądz, że studjuje ludzi od strony moralnej. Coby ksiądz w tym względzie o moim stryju powiedział?

Ksiądz spojrzał bystro na swego inkwizytora.

— Powiem panu tylko to, że trudno chyba spot-kać człowieka tak szlachetnego, z tak głębokiem su-mieniem. I tak ofiarnego. Ile ja dobrego ludziom zro-biłem za jego pieniądze! Nie odmawiał nigdy, tylko zabraniał mówić, że grosz pochodzi od niego. Mam

nawet wyrzuty sumienia, bo ludzie mnie są wdzięczni, zamiast jemu: nikt z nich nie wie, że to on był ich dobroczyńcą.

Twardowski doznał wielkiej ulgi.

— Doszedł do dużego majątku — wtrącił.

— Tak, ale uczciwie, swoją pracą, swoim rozumem — ksiądz mówił z namiętnością. — Iluż to ma majątki, a drobnej ofiary z nich wydobyć niesposób. Jak można patrzeć na tyle biedy bez poczucia, że się cośkolwiek robi, by jej ulżyć! W tym człowieku biło wielkie serce. Jaka szkoda, że mu życie tak nieszczęśliwie poszło.

— Mówi ksiądz: nieszczęśliwie. W czym to nieszczęście ksiądz widział?

Ksiądz na chwilę zamilkł.

— Wie pan przecie, że od wielu lat był chory na serce. Wycofał się z życia, z pracy... I ta choroba go zabiła.

— Więc ksiądz sądzi, że stryj wycofał się z życia spowodu choroby?

— Z czegożby innego?...

— Ksiądz chyba zauważył, że stryj czegoś się bał. Dowód choćby w tem, jak jego dom był strzeżony. Wygląda to wprost na jakąś manję prześladowczą.

— O, nie! - Ś. p. stryj pański był człowiekiem umysłowo zdrowym, najnormalniejszym w świecie. Tylko był bardzo nerwowy.

— Gdzież więc leżało źródło jego obaw?

Ksiądz patrzył mu długo w oczy. Wreszcie rzekł pocichu:

— Nie wiem.

Twardowski umocnił się w przekonaniu, że w życiu stryja była jakaś wielka tajemnica, ale też i upewnił się, że nie było to nic, rzucającego cień na jego uczciwość. Gdyby było inaczej, ksiądz nie mówiłby o jego zacności z takim zapalem. Stryj był ofiarą jakiegoś nieszczęścia, czy też miał jakichś potężnych

wrogów. Ale któż to mógł być?... Może ksiądz wie, ale wie, jako spowiednik, i nie powie.

— Stryj musiał tu mieć trochę stosunków w okolicy?

— Żadnych. Jednego doktora lubił i często na dłużej go u siebie zatrzymywał. Czasami bywaliśmy w Turowie razem.

— A sąsiedztwo?

Ksiądz wzruszył ramionami.

— Oni go nie interesowali, byli dla niego nudni. Nawet nienajgorsi ludzie, ale, jak mówił, bezduszni. Gadają tylko o interesach swoich i o kłopotach. Niektórzy okazali względem niego nietakt, wścibiali zanadto nos w jego sprawy, potem robili głupie plotki. Bardzo też rychło postanowił nikogo z nich nie widywać.

Żegnając się z księdzem, Twardowski rzekł:

— Odziedziczyłem majątek stryja, a więc i jego obowiązki, tak jak je pojmował. Proszę księdza zawsze się zwracać do mnie, jak do niego, o pomoc dla biednych. I na tych samych warunkach: niech nie wiedzą, od kogo to pochodzi.

Uradowany ksiądz mocno dłoń jego uściśnął.

Twardowski musiał dzień wypełnić. Wróciwszy od księdza, siadł w limuzynę i pojechał do miasta, do doktora Zemły. Zastał go w domu w godzinie, w której kończył przyjmowanie chorych.

Doktor unosił się nad szlachetnością i wysoką inteligencją zmarłego, wychwalał go jako gorącego Polaka, stwierdził, że jedyna jego choroba tkwiła w sercu, bo nerwowość, jaką u niego widział, nie przekraczała granic, notowanych dość często.

Gdy rozmowa zesła na niewytłumaczone obawy stryja, rzekł:

— Miał jakichś nieprzyjaciół, którzy widocznie nie przebiegali w środkach. Nie chciał wszakże nigdy

o tem mówić. Często się nad tem zastanawiałem, ale do niczego nie doszedłem. Tyle jest łajdactwa na świecie!... Człowiek na zapadłej prowincji nawet w dziesiątej części nie wyobraża sobie tego, co się dzieje w wielkim świecie.

Wracając do domu, Twardowski powiedział sobie, że jedyna nadzieja w Grzegorzu. On coś wie. Tylko czy będzie chciał powiedzieć?...

Po obiedzie usiadł przed kominkiem w bibliotece i służącego, który przyniósł mu kawę, zatrzymał:

— Powiedz mi, Grzegorzu, przed kim wy tak do-
mu strzeżecie? Nie przed złodziejami, bo zamykacie
się taksamo w dzień, jak w nocy. Kogo pan się tak
obawiał?

Twarz Grzegorza przybrała wyraz podobny do tego, jaki miała, gdy stał nad grobem pana. Odrzekł krótko:

— Tych łotrów, którzy go zamordowali.

— Jakto zamordowali?

— Proszę pana, nieboszczyk pan był piękny mężczyzna, silny, zdrow, wesół, nic mu nie brakowało. Dopiero, gdy go zaczęli ścigać, stracił humor, spokój, zaczął chudnąć, więdnąć, aż wkońcu wpędzili go do grobu. Mój Boże, takiego dobrego człowieka, który napewno nikomu krzywdy nie zrobił. I niema na nich kary. Ja tylko się modlę codzień do Pana Boga, żeby dał kłórego z nich w moje ręce. Nikogo w życiu nie zabiłem, ale ten żyw nie wyjdzie.

Patrzac na atletę, na którego grubej twarzy malowała się dzika wściekłość, wolno było wierzyć, że słowaby dotrzymał. Twardowski wszakże tylko myślał, jak dalej pokierować rozmową, żeby się czegoś dowiedzieć.

— Ty ich nie dostaniesz — rzekł. — Musimy we
dwóch wziąć się do tego.

Oczy Grzegorza zaświeciły.

— O, gdyby pan chciał ich znaleźć, to pan może. Ja, prosty człowiek, nie wiem, gdzie się obrócić. Ale gdy przyjdzie czas załatwić się, wtedy ja się przydam.

Twardowskiego mrowie przeszło. Przed nim stał morderca w spojrzeniu, w wyrazie twarzy, w postawie, w mięśniach napiętych, jak do tygrysięgo skoku.

— Bardzo byłeś przywiązany do pana?

— Jak ja nie miałem być przywiązany? Wziął mnie do służby ciemnego nędzarza, zrobił ze mnie człowieka, obchodził się ze mną jak przyjaciel, a gdym się ożenił, obdarzył mnie gruntem. Ja dziś jestem zamożnym gospodarzem.

— Dlaczegoż jeszcze służysz?

— Bo nieboszczyk pan powiedział mi przed śmiercią, żeby młodego pana nie opuszczać, dopóki będzie mnie potrzebował.

Twardowski czuł, że się coraz mocniej przywiązuje do pamięci stryja. Zaczynał podzielać nienawiść Grzegorza do jego nieznanych prześladowców.

— Dobrze. Weźmiemy się tedy razem do szukania tych łotrów. Czy znałeś którego z nich?

— Widziałem dwóch. Nawet wiem, że jeden się nazywa Kolmar, czy coś podobnego.

— Kolmar?

— Zdaje się, że tak.

— Gdzieś ich widział?

— Tu, w Turowie.

— Dawno?

— Z parę miesięcy po wojnie bolszewickiej.

— Jak to było?

— Jednego rana, koło dziesiątej, zajechał przed dom samochód. Wysiadło dwóch mężczyzn. Jeden z nich, starszy, kazał zameldować, że pan Kolmar przyjechał. Poszedłem do pana na górę, widziałem, że gniew go zdjął, gdy to nazwisko usłyszał. Kazał ich wpuścić do sieni — tak Grzegorz hall nazywał — i zaczął się szybko ubierać. Powiedział mi, że pójdzie

z nimi do biblioteki; mnie zaś kazał stanąć przy samych drzwiach i na zawołanie wpaść bez pukania. Tak się też stało: pan zeszedł na dół, przywitał się z nimi bez podania ręki i zamknęli się w bibliotece; ja zaś przy drzwiach stanąłem. Nie upłynęły trzy pacierze, gdy usłyszałem jakby krótki krzyk. Wpadam do biblioteki i co widzę? Pan leży na dywanie twarzą ku ziemi, na nim siedzi młodszy z nich i próbuje mu związać na plecach ręce, a starszy, ten niby Kolmar, stoi przed otwartą szufladą biurka i grzebie w papierach. Skoczyłem, zdzieliłem pięścią w łeb tego, co na panu siedział, tak, że się odrazu zwałił i stracił przytomność. Zwracam się ku drugiemu, a on stoi z browningiem na mnie wycelowanym. Dałem w mordę i browning odebrałem. Pan tymczasem wstał z ziemi i wyjął sobie z ust chustkę, bo był zakneblowany. „Zwiążno — mówi do mnie — tego, co leży na ziemi”, sam zaś wyjął swój browning z kieszeni, wycelował do drugiego i powiada: „Siadajno, Kolmar, w tym fotelu”. Ten posłuchał i usiadł. Tak trwało krótką chwilę, dopókim nie związał tamtego łobuza, który ciągle był nieprzytomny. Gdym skończył, pan wskazał na Kolmara i powiada: „Powyjmuj mu wszystko z kieszeni”. Stał z browningiem, dopókim nie wypróżnił kieszeni tego łajdaka i nie ułożył wszystkiego na biurku. Wtedy kazał mi go trzymać, a sam zaczął przeglądać wyjęte papiery. Parę sztuk zabrał, włożył do biurka i zamknął na klucz, resztę kazał mu napowrót powkładać do kieszeni. Gdy się to skończyło, kazał mi rozwiązać tamtego, który już otworzył oczy, i postawić go na nogi. Kazał wstać i Kolmarowi, a mnie wziąć jednego i drugiego za kołnierz i prowadzić przez sień i przedpokój do samochodu. Sam szedł przed nami i drzwi otwierał. Wrzuciłem ich jak tłumoki w samochód, za nimi wrzuciliśmy ich łachy. Przed zamknięciem drzwiczek pan rzekł do mnie przy nich: „Jeżeli się tu jeszcze raz po-

każą, skręcisz im karki. A teraz jazda!" Ja byłbym i wtedy skręcił im karki, gdyby pan pozwolił. Dopiero wtedy, proszę pana, zrozumiałem, dlaczego nieboszczyk pan płacił za mnie w Warszawie lekcje boksu. To pożyteczna nauka. Pan wiedział, co robi.

Twardowski słuchał opowiadania Grzegorza spokojnie, jakby właśnie oczekiwał czegoś podobnego.

— Jak ten Kolmar wyglądał?

— Brunet, średniego wzrostu, dosyć tęgi, z długimi włosami wtył zaczesanemi, z krótko przystryżoną brodą. Oczy miał, jak dwa węgle. Krótko mówiąc, żyd. Ten drugi nie wyglądał na żyda, choć też ciemny; był wyższy i wcale silny; miał krótko strzyżone wąsy. Gęba z kryminału. Widziałem, że to tylko pomocnik. Toteż miałem ochotę głównie na Kolmara.

— Czy pan po ich odjeździe mówił co o tej sprawie?

— Nie. Tylko mnie pochwalił, że wpadł wporę i ruszał się szybko.

— Nic już potem o nich nie słyszałeś?

— Nic.

— Trudno — będziemy próbowali ich znaleźć.

Grzegorz patrzył nań z bezgranicznem zaufaniem, niemal z tklivością.

Twardowski spojrział na zegarek — było pół do dziesiątej.

— Cóż to Piorun się nie pokazuje?

— Zagadałem się i zapomniałem o nim. Zaraz go przyprowadzę.

Za chwilę wpadł pies i zaczął skakać do pana, póki ten go nie popieścił. Potem położył się u stóp jego.

Twardowski zapadł w głęboki fotel i pograżył się w myślach. Tym razem nie zasnął. Ale gdy ogień na kominku zaczął dogasać, znów mu się wydało, że ktoś chodzi po pokoju. Raz, dwa, trzy, cztery... Raz, dwa, trzy, cztery...

— Ciągłe mieszkasz w tym pokoju i ciągle niepokój cię trawi — rzekł do siebie pocichu.

Spostrzegł się, że zaczyna być nietrzeźwym, i śmiał się z siebie przez chwilę.

Zaczął sam chodzić po pokoju z końca w koniec.

Tak go zastał Grzegorz, gdy wszedł z herbatą. Popatrzył na nowego pana i powiedział sobie, że jest podobniejszy do dawnego, niż mu się to spoczątku zdawało.

Po herbacie Twardowski poszedł na górę, rozebrał się, włożył szlafrok i, odpawiwszy służbę, siadł w gabinecie stryja przy biurku. Wziął arkusz papieru i zaczął na nim narzucać pojedyncze wyrazy lub krótkie zdania, z których niktby nic nie zrozumiał. Tak siedział blisko do północy...

Wreszcie wstał z powziętą decyzją. Trzeba zostać na pewien czas w Polsce i zagadkę rozwiązać. Przedtem wszakże wpadnie na krótko do Paryża i Londynu, swoje sprawy tam na dłużej ureguluje oraz zabierze potrzebne mu do pracy notatki i książki. Jutro jeszcze spędzi w Turowie, przejrzy papiery po stryju, pojutrze zaś pojedzie do Warszawy i stamtąd zagranicę.

Tu przypomniała mu się kasa ogniotrwała, do której jeszcze nie zaglądał. Znajdowała się ona w sypialni, wprawiona w mur, niewidoczna. Może tam się znajdzie jaki przyczynek do stryjowskiej tajemnicy?...

Odszukał kartkę, pozostawioną mu przez stryja, przeczytał ją uważnie i podszedł do starej makaty, zawieszanej na ścianie. Odchylił ją, znalazł zamek i zaczął układać podaną na kartce kombinację. Po dłuższej chwili otworzyły się ciężkie drzwi stalowe. Na górze leżały paczki banknotów polskich i amerykańskich, razem pewnie z kilkadziesiąt tysięcy złotych. Obok nich poustawiane były w stosiki złote suwereny angielskie oraz pięcio i dziesięciodolarówki amerykańskie na taką samą mniejwięcej sumę. Przy

nich leżało trochę kosztowności, między innemi sygnet Twardowskich. Na dole leżał szereg kluczy większych i mniejszych z kartkami, oznaczającemi, do czego służą. Więcej nic.

Twardowski zamknął kasę, odszukał swą książkę, którą w drodze zaczął czytać, i pogłaskawszy na dobranoc leżącego na swym dywaniku Pioruna, położył się do łóżka.

Może w Warszawie dowie się, kto to jest Kolmar. Tylko nikogo nie trzeba pytać.

V.

Cały dzień prawie zajęło Twardowskiemu przeglądanie papierów stryja. Znalazł je w doskonałym porządku, co go zmartwiło. Wiedział zgóry, że znajdzie w nich tylko to, co zmarły chciał zostawić, że nie zawieruszyl się tam ani jeden świstek, z punktu widzenia stryja niepotrzebny. Przyczynków do rozwiązania męczącej go zagadki nie można było oczekiwać. Niemniej przeto znalazł wiele rzeczy, które go zainteresowały i które postanowił później przestudjować.

Były tam stare papiery rodzinne Twardowskich. Osobno — te jedynie w pewnym nieładzie — schowane były wszelkiego rodzaju dokumenty, listy, notatki, pozostałe po ojcu Zbigniewa. Znalazł tam nawet swoje cenzurki szkolne. Główną część tego archiwum stanowiły papiery osobiste stryja, przeważnie dotyczące spraw przemysłowych i handlowych, któremi się zmarły zajmował swego czasu. Wyglądało to tak, że można było na ich podstawie całą jego działalność odtworzyć. Był wreszcie cały szereg rękopiśmiennych referatów, memorjałów w kwestjach przemysłowych i handlowych, a obok tego i w politycznych, co bardzo Zbigniewa zdziwiło. Ostatnie nosiły daty sprzed roku 1911, najdalej z początku 14-go.

Z czasów późniejszych nic poza korespondencją z bankami, w których miał złożone kapitały, i poza papierami dotyczącymi Turowa.

Grzegorz połączył się telefonicznie z mieszkaniem warszawskim, którem opiekował się służący Michał i jego żona, i kazał je przygotować na dzień jutrzejszy dla swego pana.

Nazajutrz Twardowski wsiadł w limuzynę i pojechał do Warszawy.

Po przyjeździe kazał sobie zaraz podać spis abonentów telefonów i szukał w nim Kolmara. Spotkał go zawód — nazwiska tego nie było. Może już nie żyje — pomyślał ze swego rodzaju żalem. Potem zadzwonił do Osieckiego i zamówił się do niego na dzień następny. Z wolnej reszty popołudnia i z wieczora skorzystał, żeby się przyjrzeć Warszawie, której prawie nie znał. Zrobiła na nim przykre wrażenie: za wiele biedy, za wiele hałasu i brudu, nieharmonijna mieszanina Wschodu z Zachodem.

Z adwokatem rozmawiał tylko o interesach, wziął od niego dokumenty, które mu były potrzebne, i wystawił plenipotecję, powierzając mu prowadzenie spraw swoich. Zawiadomił go o swym zamiarze zamieszkania na pewien czas w kraju i o natychmiastowym wyjeździe na krótki czas do Paryża. Po powrocie zjawi się u niego z prośbą, żeby na początek zechciał być jego mentorem na gruncie warszawskim.

Następnego dnia siedział już w pociągu paryskim.

Zastanawiał się nad ciekawem zjawiskiem psychicznym, które go oddawna interesowało i według niego nie było tak proste, jakby się to mogło zdawać. Była to zależność myśli ludzkiej od miejsca, w którym człowiek się znajduje. Dopóki pociąg mknął ku granicy, przetrawiał wrażenia warszawskie, myślał o pogrzebie stryja, o Turowie, o księdzu, o Grzegorzu, nawet o psie Piorunie. Za Poznaniem wszakże, a zwłaszcza za granicą niemiecką wszystko to niebieszcząło,

traciło kontury, tonęło jakby we mgle, a zato coraz natrętniej narzucały się jego myśli sprawy, które ją pochłaniały przed śmiercią stryja, jego zajęcia, rzeczy, które postanowił był sobie zrobić w najbliższym czasie, ludzie, którzy mu do tego byli potrzebni. Za granicą belgijską myśl jego żyła już całkiem w Paryżu, w tamtejszych stosunkach, wśród tamtejszych ludzi... I sam już teraz był człowiekiem mniej podobnym do tego, który siedział w Turowie i rozmawiał z Grzegorzem.

Na Gare du Nord czekał go uśmiechnięty Laurent, jego służący od lat sześciu, pracowity i pewny, wypróbowany podczas długich podróży Twardowskiego, kiedy mieszkanie pozostawało na jego opiece. Miał on przygotowany samochód, którym zawiózł pana do jego miłej garsoniery wpobliżu Trocadéro.

Laurent ze smutkiem się dowiedział, że „monsieur” zabawi w Paryżu tylko trzy tygodnie, w ciągu których robi kilkudniową wycieczkę do Londynu, a potem na nieokreślony czas pojedzie do Polski. Pocieszyło go podwyższenie pensji za czuwanie w dalszym ciągu nad mieszkaniem. Domyślił się, że pan teraz, po śmierci stryja, musi być bardzo bogaty, i wyraził gotowość pojechania z nim do Polski. Otrzymał odpowiedź, że potrzebny jest w Paryżu, w którym pan nie ma zamiaru nigdy zwijać mieszkania. Tymczasem przypadła mu praca pakowania rzeczy, papierów i części książek. Była to praca trudna, bo o każdą niemal rzecz trzeba było pytać, czy zostaje, czy idzie do kufrów.

Trzy tygodnie upłynęły niepostrzeżenie. Ze zwykłą sobie systematycznością i umiejętnością zużytkowania czasu Twardowski wszystko załatwił, o niczem nie zapomniał, widział wszystkich ludzi, których zobaczyć sobie postanowił. Nie stało się w tym czasie nic szczególnego uwagi. Tylko, kiedy pod koniec po-

bytu zagranicą wracał z Londynu do Paryża, zdarzyło mu się coś, co mu dużo dało do myślenia.

Po wylądowaniu w Calais zajął zarezerwowane miejsce w pullmanowskim wagonie i zaczytał się w książce, którą świeżo był kupił w Londynie. Od czasu do czasu, jak to było jego zwyczajem, robił ołówkiem notatki na włożonej w książkę kartce papieru.

Naraz wpadły mu w ucho słowa:

— *Look here, Kolmar...*

Twardowski drgnął nieznacznie. Kolmar! Nazwisko podane mu przez Grzegorza. Podniósł oczy od książki i spojrzał w stronę, skąd go te słowa doleciały.

Po drugiej stronie przejścia, przy sąsiednim stoliku siedzieli dwaj mężczyźni, ze sposobu noszenia się i z ubrania najklasyczniejsi Anglicy, z rysów wszakże, gdy im się przyjrzał, niewątpliwie żydzi. Prowadzili rozmowę przyciszonym głosem, ale widoczne było, że się kłócili. To sprawiało, że jeden lub drugi od czasu do czasu głos podnosił. Natychmiast wszakże się sposztał i zniżał głos aż prawie do szeptu. Obaj byli młodzi: ten, którego sąsiad nazwał Kolmarem, był poniżej trzydziestki.

Twardowski spuścił oczy na książkę, udawał, że czyta i notuje, ale próbował słuchać. Dochodziły go tylko pojedyncze wyrazy. Wśród nich często powtarzał się wyraz „Tugela”, czasami „Tugela River”...

— Coś mówią o południowej Afryce — rzekł do siebie.

Zrezygnował już z dowiedzenia się, o czym mówią ci dwaj jegomoście, z których jeden nazywał się Kolmarem, gdy naraz głosy ich się podniosły. Tym razem mówili... po polsku. Widocznie sprzykrzyło im się klócić półgłosem, nieodpowiadającym napięciu ich namietności, więc zdecydowali się głos podnieść; żeby ich wszakże nie podsłuchano, przeszli na język egzotyczny, mało znany na Zachodzie. Wszak nikt w są-

siedztwie nie wyglądał na Polaka, a najmniej ze wszystkich ten pan zaczytany i robiący sobie notatki z książki. Kolmar mówił po polsku wcale czysto i swego towarzysza, mówiącego z angielska, nazywał bądź Jamesem, bądź Stuartem.

— James Stuart! — rzekł do siebie w duchu Twardowski — jak sobie pozwolić na nazwisko, to już na dobre...

Słyszał teraz, co mówili, i zorientował się od pierwszej chwili, że mówią rzeczy interesujące. Miał biegłość w robieniu notatek, miał nawet własny system stenografii. Zaczął tedy spisywać najdokładniej całą rozmowę. Zapisał kilka kartek, których zapas miał zawsze pod bokiem. Robił to, zaglądając ciągle do książki, niby z niej przepisując.

Zachował się jak najordynarniejszy wywiadowca policyjny, uspokajał wszakże sumienie tem, że mając tropić łotrów, którzy według słów Grzegorza zamordowali jego stryja, nie może się bawić w skrupuły.

Dwaj jego współpasażerowie znikli mu z oczu na peronie w Paryżu. On zaś, przyjechawszy do swej garsoniery, notatki schował do biurka i przebrawszy się wyszedł na miasto. Wieczorem miał obiad w restauracji, na który zaprosił jednego ze znajomych.

Rano był zajęty. Dopiero popołudniu mógł zabrać się do przepisania zanotowanej w wagonie rozmowy. Przepisał ją porządnie, na maszynie. Potem uważnie ją odczytał.

Rozmowa toczyła się między dwoma nieznanymi mu ludźmi, w nieznanej, całkiem obcej mu sprawie; a jednak prawie był pewny, że mu się ona przyda w walce z nieznanymi wrogami stryja.

Wynikało z niej, że żyd, starszy wiekiem, mogący mieć pod czterdziestkę, który nazywał się Stuartem i dla niewprawnego oka mógł nawet wyglądać na Szkota, był promotorem i prezesem towarzystwa kopalni złota „*Tugela River Gold Co*“. Towarzystwo

to było, jak wiele podobnych, zwykłym szwindlem. Nadto szwindel był nieudany, bo ludzie nauczyli się już w tych rzeczach ostrożności: na udziałowców udało się połapać tylko pewną ilość drobnych rybek. Tymczasem z upadłością trzeba się śpieszyć, zrobić ją przed najbliższym terminem wypłacania dywidendy. Kolmar, który był jednym z cichych agentów Stuarta do napędzania udziałowców, nic nie upolował, za co mu tamten robił gorzkie wyrzuty. Obecnie wszakże Kolmar miał złapać grubszą rybę, jakiegoś bogatego szlachcica polskiego, żądał wszakże niesłychanie wysokiej prowizji. Stuart mu wykładał, że to się nie da rachunkowo przeprowadzić, zapewniał, że on nie myśli dla korzyści Kolmara siedzieć w więzieniu.

Rozmowa rozwijała się dalej w następujących terminach:

Kolmar. Ty i tak będziesz musiał zwać z Anglii, bo inaczej cię zamkną.

Stuart. Dokąd pojedę?

K. Człowiek z twoją głową może zrobić dużą karierę w Sowietach. Stamtąd cię nie wydadzą.

S. Tylko na miejscu rozstrzelają. Dziękuję. Zresztą, żeby długo nie gadać, moje ostatnie słowo: podzielimy się *fifty* — *fifty*.

K. Nie mogę. To przecie moje własne pieniądze.

S. Jakto twoje własne? Czyś ty zwarjował?

K. Moje własne. Jeżeli dasz mi słowo, że będziesz trzymał język za zębami, to ci powiem, dlaczego.

S. No?

K. Słowo?

S. Słowo.

K. Ten szlachcic ma córkę: dziewczyna ef-ef, ja się do niej palę. Przytem, jak się ma taką kobietę, to jest co pokazać. Można robić interesy. On więcej dzieci nie ma: jak ja się z nią ożenię, to i tak jego majątek będzie mój. Więc jak on straci na „*Tugela River*”, to ja tracę.

S. Dlaczegoż go w to pakujesz?

K. Bo póki ojciec ma majątek, ona za mnie nie wyjdzie. Najpierw muszę starego zrobić bankrutem; mój tata kupi jego majątek dla mnie — to bardzo piękna posiadłość. Jak ona nic nie będzie miała, a ja będę miał ich majątek, to wtedy interes zrobiony: ona zostanie panią Kolmar.

S. To jest na ciebie za mądry interes. To ci się nie uda. Ty zrobisz coś takiego, co popsuje całą kombinację. Jeszcze niewiadomo, czy ten szlachcic pójdzie na „Tugela River“.

K. Thorner pisze, że on już poszedł.

S. Słuchaj, czy ty nie mógłbyś pamiętać, że to nie jest teraz Thorner, ale sir Joseph Turner?

K. Przepraszam, to tak z przyzwyczajenia. Kiedy ty będziesz sir James Stuart?... A może ty zechcesz odrazu zostać pretendentem do tronu szkockiego?...

S. *Don't be a fool*. Z tobą nie można rozmawiać na serjo o biznesie. Więc dlaczego powiadasz, że ten szlachcic już gotów? Jak on się nazywa?

K. Dowiesz się, gdy dojdiesz ze mną do zgody.

S. Sir Joseph mi powie.

K. Nie powie, bo on trzyma z moim tatą.

S. Więc dokładnie, jak się ten interes przedstawia?

K. Widzisz, on posiada ładny majątek, ale dosyć obdłużony. Teraz, gdy zboże tanie, on nie ma wcale dochodu: wszystko zabierają procenty i podatki. To mu się przykrzy. Więc myśli majątek sprzedać i rzucić się w jakiś wielki interes. On uważa, że ma głowę do interesów, a jest idjota. Nie wierzy w polskie interesy i chce coś robić zagranicą. W zeszłym roku poznał się przez mego tatę w Paryżu z sir Josephem. Ogromnie się zaprzyjaźnili, bo mu imponuje szlachcic angielski, jednocześnie człowiek, znający się na wielkich interesach. Nie domyśla się nawet, że to jego dawny kompatrjota (obaj wybuchnęli śmiechem). Otóż

teraz naznaczył sobie *rendez-vous* z sir Josephem w Paryżu, żeby się jego poradzić. Jest tam już od tygodnia. Sir Joseph wskazał mu „*Tugela River*” jako najszybszy sposób zrobienia wielkich pieniędzy, i szlachcic strasznie się zapalił. Sir Joseph mu powiedział, że ty będziesz w tym czasie w Paryżu, i on czeka na ciebie. Ty musisz zrobić minę niechętną: udziałów już niewiele, wolałbyś, żeby zostały w Anglii. Dopiero, gdy bardzo będą prosili, zrobisz to dla takiego znakomitego człowieka, jak sir Joseph, że zgodzisz się szlachcica do interesu wpuścić.

S. On przecie nie ma gotówki?

K. Nic nie szkodzi. Zgodzisz się poczekać. On poleci do Polski sprzedawać majątek. Teraz, przy braku gotówki, nikt nie kupuje, a jak kto kupuje, to grubo poniżej wartości. Będzie mu się śpieszyło, więc tata zrobi mu grzeczność, jako przyjacielowi, i majątek kupi. Szlachcic będzie miał gotówkę za parę tygodni.

S. To może być.

K. To będzie napewno. Tylko pamiętaj, w Paryżu ja nie istnieję: nie znamy się, nigdyś o mnie nie słyszał.

Dalsza rozmowa była znów targowaniem się o podział łupu. Nie była ona dokończona, gdyż pociąg stanął w Paryżu.

Twardowski, odczytując sobie ten protokół powoli, widział całą sprawę jak na dłoni i uplastyczniał sobie rolę poszczególnych aktorów: James Stuart, sir Joseph Turner *alias* żyd Thorner, młody Kolmar, czy może raczej Kulmer, jak sądzić należało z brzmienia nazwiska, wreszcie jego ojciec — kto wie, czy nie największy z tych wszystkich łotrów, mieszkający w Polsce. Ostatni jedynie go naprawdę interesował. Wiele przemawiało za tem, że jest to właśnie osobistość, za którą Grzegorz tak tęsknił.

Schował do teki oryginalny dokument: był pewien, że dochodzenia przeszłości stryja zmuszą go do trud-

nej walki i przypuszczał, że w tej walce protokół z rozmowy w wagonie może się okazać bardzo przydatną bronią.

Nasunęła mu się myśl, że gdyby wiedział, kto jest owym szlachcicem, upatrzonym na ofiarę przez oszustów, mógłby go ostrzec. Z drugiej atoli strony, nawykły do roli obojętnego obserwatora, miał wstręt do mieszania się w cudze sprawy. Świat się nie zawali od tego, że jeden więcej głupiec da się okraść łotrom. To takie zwykłe...

Wprawdzie zajęcie się tajemnicą stryja musi go wyprowadzić z roli obserwatora; ale to co innego: to sprawa bardzo mu bliska, poniekąd jego własna sprawa. A kto wie, czy dla jego celów w tej sprawie nie lepiej, żeby się to planowane oszustwo udało. Może to doprowadzić do wydobycia nawierzch owego tajemniczego Kolmara czy Kulmera...

Po paru dniach opuścił Paryż.

Pojechał prosto do Turowa, raz dlatego, że chciał się w nowej siedzibie urządzić, rzeczy swoje w domu rozlokować, powtórę, że miał nadzieję czegoś jeszcze na miejscu się dowiedzieć.

VI.

W pokojach na górze zastał już miejsce dla siebie uprzątnięte. Rzeczy stryja poukładano w kufrы i przeniesiono do jednego z pustych pokoi, papiery zaś zniesiono na dół, do biblioteki. Połowę tedy górnego piętra miał całkowicie dla siebie i tam postanowił rozłożyć się ze swemi książkami i pracą, w bibliotecę zaś studjować papiery stryja. Miał jakby poczucie, że biblioteka jeszcze do stryja należy.

Porządkując w Paryżu notatki i rękopisy, wciągnął się spowrotem myślą w swą pracę, przerwana w bardzo interesującym momencie, i w drodze powrotnej

obmyślał sobie, jak ją dalej będzie prowadził w Turowie. Zabrał ze sobą wszystkie potrzebne materiały i był przekonany, że w ciszy wiejskiej szybko posunie ją naprzód.

Ale gdy wyskoczył z wagonu na stacji i ujrzał kanciaste oblicze czekającego nań Grzegorza, wszelkie myśli naukowe pierzchły mu z głowy i pozostał w niej tylko Turów ze swą tajemnicą. Zrozumiał, że dopóki tajemnica ta będzie nad nim wisiała, o skupieniu się w pracy naukowej niema mowy. Gdy zaś stanął przed wieczorem w domu, odczuł przytłaczającą jego atmosferę: dom ten miał swą duszę, która nad nim panowała, nim rządziła, zmuszała go do ześrodkowania myśli na sprawach zmarłego stryja. Chcąc o nich zapomnieć, trzebaby stąd uciec. Taka zaś ucieczka byłaby podłą dezercją.

Dlatego wieczorem, po obiedzie nie poszedł do siebie na górę, ale zamknął się, jak sobie mówił, ze stryjem w bibliotece.

Wysłał przed obiadem listy do księdza i do doktora z zaproszeniem na wieczór dnia następnego. Może z nich jeszcze co wyciągnie... Teraz siedział sam i w myśli zestawiał wszystko, co widział, czego się dowiedział, usiłując dojść do jakichś wniosków, a przynajmniej do przypuszczeń, któreby mogły stanowić punkt wyjścia dla dalszych poszukiwań.

Jedyne zaczepienie widział w nazwisku Kolmar. Teraz już wiedział, że taki człowiek napewno istnieje i, co ważniejsze, że jest wierutnym łotrem. Trzeba będzie po przyjeździe do Warszawy zająć się jego odszukaniem.

Trudno, trzeba się zabawić w detektywa. Nie będzie to dla niego nowością, bo jego badania psychologiczne nieraz go do tej roli zmuszały.

Nie poszedł spać, dopóki nie usłyszał kroków stryja w bibliotece. Stało się to już jego potrzebą: miał poczucie, że tym sposobem zbliża się ze zmarłym,

wnika w jego duchową istotę. Czekał z napiętemi nerwami...

Raz, dwa, trzy, cztery...

Zjawisko powtarzało się widocznie co wieczór, regularnie o tej samej porze. To musi być odbicie jednej chwili, jakiegoś jednego wyjątkowo silnego przeżycia.

Tym razem bacznie obserwował zachowanie się Pioruna. Pies podniósł głowę, nastawił uszy i niespokojnie patrzył w oczy nowemu panu. Widocznie i zwierzę coś odczuwało. Najlepszy dowód, że źródło halucynacji leży nazewnątrz — w tym pokoju. Jakież to fakt wybitny, potwierdzający jego poglądy w tej dziedzinie, a jednocześnie świadczący o potężnym dramacie, rozegranym w duszy człowieka, który tu przemieszkiwał...

Twardowski widział w życiu tyle zjawisk, uważanych za nadnaturalne, tak się z nimi otrząsał, że choć w tym wypadku zjawisko dotyczyło świeżo zmarłego człowieka, który mu był bliskim, a po śmierci stawał się coraz bliższym, nie przestał być spokojnym, przedmiotowym obserwatorem, nie tracił zdolności logicznego myślenia. Warunki wychowania, a przede wszystkim studia w tak trudnej, tak niebezpiecznej dla równowagi umysłu dziedzinie zrobiły go człowiekiem aż prawie do nienormalności panującym nad sobą. Człowiek przeciętny w tym wypadku nie zrozumiałby go, możeby nawet nabrał do niego obrzydzenia.

Raz, dwa, trzy, cztery... Jakie to wyraźne, jak ten rytm kroków wbija się w duszę, nastrajając ją na dziwny tragizm. Jest w tem coś strasznie przyniatającego...

Tak z całym spokojem Twardowski analizował swoje wrażenia.

Służący przyniósł herbatę.

— Wiesz, Grzegorzu — rzekł Twardowski — zdaje się, że wpadł na trop twojego Kolmara.

Silacz zadrżał. Podniecony czekał, co więcej usłyszy.

— Jeżeli to ten, o którym słyszałem, to łotr nie-lada.

— Łotr?... — krzyknął Grzegorz — to napewno ten. Widział go pan?

— Jeszcze nie. Ale już wiem, że jest taki, że mieszka w Warszawie i że jest wielkim oszustem. Mam nadzieję, że go wkrótce odnajdę.

Służący rzucił się do ręki Twardowskiemu i gorąco ją ucałował.

— Proszę pana — błagał — niech mię pan zabierze ze sobą do Warszawy.

Twardowski ze zdziwieniem patrzył na rozgorączkowanego atletę. Uśmiechnął się przyjaźnie.

— Tak ci pilno odnowić z nim znajomość?... Nie trzeba się niecierpliwić. Jeśli chcemy się do niego dobrać, musimy postępować ostrożnie i ze spokojem, żeby nam się ptaszek nie wymknął. Możesz na mnie liczyć: gdy przyjdzie czas, pojedziesz do Warszawy i zobaczysz swego starego przyjaciela.

Grzegorz roześmiał się — od tego śmiechu Twardowskiemu ciarki przeszły po skórze.

Widział przed sobą nie służącego, ale towarzysza wyprawy, pewnego, odważnego i silnego, mogącego jednak sprawiać kłopot swą niecierpliwością i zbyt prostem, niezawodnie, pojęciem sposobów walki. Rozumiał, że Grzegorzowi należy się udział w tej walce, i nie wątpił, że przypadnie mu w niej jakaś rola.

Pogawędzili jeszcze pół godziny, poczem Twardowski, przypomniawszy sobie, że spędził przeszło dobę w podróży, poszedł na górę.

W nocy spadł niewielki śnieg, i Twardowskiemu, gdy wstawszy wyrżał przez okno, świat się ukazał w nowej postaci. Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz widział tak wielką białą przestrzeń.

— Dobry ranek na polowanie — zauważył Grzegorz, gdy się zjawił w jego pokoju.

Twardowskiemu myśl ta trafiła do przekonania. Za godzinę był już w polu z dubeltówką pod pachą i z Wygą, węszącym ślady zajęcia. Kilkustopniowy mroź przyjemnie szczypał go po twarzy...

Chociaż nigdy polowania w tych warunkach, w tym klimacie nie używał, nie miał wrażenia nowości; przeciwnie, miał jakby poczucie, że nie pierwszy raz tego doświadcza, że to coś zwykłego, z czym jest zżyty, że tego mu właśnie brakowało. Wciągał pełną piersią ostre, mroźne powietrze, rozkoszował się niem, poił oczy widokiem białej równiny i czarno-białego boru. Cieszyło go, że się rozumie z Wygą, który mu się wydał najmilszym towarzyszem. Przestał filozofować.

Wrócił do domu dopiero po paru godzinach, dumny, że przyniósł dwa zajęcia.

Przebierając się, spojrział w lustro i zdziwił się: oczy patrzyły jakoś jaśniej, twarz była mniej skupiona, swobodniejsza, wyglądał na swego młodszego brata... Cóż to za magiczny wpływ paru godzin spędzonych na powietrzu!...

Przypomniawszy sobie swoje wycieczki alpejskie. Odświeżały go, rozwijały w nim siły fizyczne, budziły nawet polot duchowy — ale to było co innego. Tu miał poczucie, że znalazł coś, czego mu brakowało: takie poczucie musi mieć roślina, gdy po suszy deszcz spadnie, ryba, gdy ją spowrotem rzuci do wody, pojmane zwierzę, gdy z niewoli ucieknie do lasu, góral, gdy z miasta wróci w swoje góry. Tak, to jest przyroda, w której wyrosła jego rasa, a od której on się oderwał. Dlatego zetknięcie z nią sprawiło mu taką rozkosz...

Po raz pierwszy poczuł swój fizyczny związek z tą ziemią, jakieś pierwotne, żywiołowe do niej przywiązanie, jakąś potrzebę zbliżenia się do niej, choćby kosztem wyrzeczenia się innych wartości, choćby miał

nawet zgłupieć... Niedosć jest myśleć — trzeba żyć; niedosć radować się odkryciami — trzeba używać życia, trzeba się rozkoszować tem, co ono daje! A pierwszym warunkiem rozkoszy dla każdej istoty jest znalezienie się w swoim żywiole...

Była to reakcja człowieka młodego, żyjącego życiem zbyt jednostronnem, które go zrobiło przedwcześnie starym, bunt uśpionych instynktów, domagających się zaspokożenia. Chwilowo zapędził się w tej reakcji daleko i niebawem cofnął się, ale już sztuczna równowaga jego duszy została naruszona. Już zaczął się w tej duszy proces, który czasami doprowadza do wielkich przewrotów wewnętrznych, często kończy się utonięciem w kwietyzmie, wyrzuceniem się wyższych wzlotów. Czuł, że jemu to nie grozi.

Wieczorem przyjechali na obiad proboszcz i doktor.

Ksiądz był bardzo ożywiony, rozmowny, prawie wesoły, Twardowski wszakże zbyt wprawnym był obserwatorem, ażeby się nie zorjentować, skąd to pochodzi. Zbyt księdza indagaował w sprawie stryja przy pierwszych odwiedzinach i tem go spłoszył. Ksiądz niezawodnie wiele wiedział, tylko nie chciał, czy nie mógł powiedzieć. Otrzymałszy teraz zaproszenie na wieczór do Turowa, obawiał się dalszej indagacji i postanowił się opancerzyć. Można się było bronić milczeniem, ale to widocznie uznał za mniej dogodne; zresztą, jako człowiek towarzyski, nie chciał popsuć wieczoru. Wolał się tedy uzbroić w nastrój pogodny, w rozmowność, i zagadując gospodarza, uniemożliwić mu prowadzenie śledztwa.

Widząc to, Twardowski postanowił wejść w ton księdza, być równie jak on swobodnym, łatwym. Po rannem polowaniu czuł się nawet w tym kierunku trochę usposobionym. Powiedział sobie, że zacząwszy od przyrody, trzeba się zbliżyć z ludźmi, w niej ży-

jącymi, pograżyć się na chwilę w miejscowem środowisku.

Kazał Grzegorzowi dać do obiadu dobre trunki, ażeby ułatwić rozwiązanie języków.

Zaczęto od poważnej wiekiem starki, której gospodarz z gośćmi wypili po parę kieliszków.

— No, niech pan powie, — zagadnął ksiądz wesóło — czy tam zagranicą mają taką dobrą wódkę?

— Piję ją po raz pierwszy w życiu — odrzekł gospodarz. — Przyznaję, że jest to jedna z najszlachetniejszych wódek, jakie kosztowałem.

— Widzi pan, że i Polska ma dobre rzeczy — żartował sobie ksiądz z cudzoziemskiego gospodarza — a zaręczam panu, że znajdzie pan tu i dobrych ludzi.

— Ale łajdaków o wiele więcej — wtrącił doktor. — Strasznie ludzie po wojnie spodleli.

— Oj, panie doktorze — odparł ksiądz z wyrzutem — jest pan pocziwym człowiekiem, ale strasznie zgryźliwym. Na starość robi się z pana mizantrop. To chyba dlatego, że ma pan takie ciężkie życie, że dla chleba musi się pan tak grzebać w brudach żydowskich. Zawsze panu współczułem. Nie ma pan słuszności: ludzie nie są tacy źli, tylko są głupi. Tak jak ja widzę, grzeszą oni o wiele więcej z głupoty, niż ze złości. Przyglądając się im, czytając w gazetach o tem, co się tam na szerszym świecie dzieje, widzę na każdym kroku ciemnotę, niezdolność zrozumienia, co w życiu więcej warte, a co mniej, dziecinną próżność i pochodzące z niej fałszywe ambicje. Ustawiają sobie domki z kart, a gdy te się rozsypują, złoścą się, zwalają winę na innych i mszczą się na nich za swoją własną głupotę. Dzieci, panie, dzieci! Więcej rozumu, więcej dojrzałości, a dużo mniej będzie zła w Polsce.

Twardowski przyglądał się księdzu, który, jego zdaniem, z niezwykłą prostotą mówił mądre rzeczy.

Niewątpliwie był to człowiek, który dużo przemyślał i w sercu miał wiele miejsca na dobre dla ludzi uczucia. Widział w nim wielką kulturę przy bardzo prostych formach. Szedł od niego jakiś orzeźwiający powiew, jak od tych pól, przysypanych czystym, białym śniegiem.

Ksiądz tymczasem starał się, żeby rozmowa się nie urwała. Przeszedł na politykę, zaczął mówić o osobistościach głośnych w publicznym życiu, ilustrując nimi swe poglądy. Mówił z humorem, często z niewinnymi drwinami, a zawsze dochodził do wniosku, że ma się do czynienia z głupotą, nie zaś ze złością.

— Ten, panie, udaje gorszego, niż jest, żeby pod pozorami złości ukryć swą głupotę.

Twardowski uśmieł się szczerze.

— Nie wiedziałem, że ksiądz taki złośliwy. Ale doprawdy, zdaje mi się, że ma słuszość. To wszystko, co mówi, jest bardzo mądre. Myślę, że najlepiej wyjdę, gdy od księdza będę się uczył rozumieć życie tutejsze.

— Wolne żarty — ksiądz zaśmiał się — tam, w Warszawie, znajdzie pan mędrców, którzyby mnie, prostaka, w kozi róg zapędzili.

Pod koniec obiadu Grzegorz wniósł czarną, omszałą butelkę i nalał w kieliszki starego węgryna.

— Zdrowie gospodarza! — zawołał ksiądz wesoło i umoczył usta w kieliszku.

Na twarzy jego rozlała się pełna respektu powaga.

— No, panie doktorze — rzekł — teraz się pan rozchmurzy. Jeżeli pan to wino będzie pił z melancholią, stracę dla pana wszelki szacunek. Jak to dobrze, że Pan Bóg dał ludziom takie wino i że go dał mało.

Twardowski, który pierwszy raz w życiu pił starego węgryna, godził się z księdzem w wysokiej opinii o trunku.

— Ale dlaczego dobrze, że mało? — zapytał.

— Bo tem wyżej je człowiek ceni, im rzadziej mu się zdarza z niem spotkać; powtóre zaś, gdyby go było dużo, wszyscy bylibyśmy pijakami.

Jakoś i doktor zaczął się rozweselać.

— Takie wino nie może szkodzić nikomu, przeciwnie, dodaje zdrowia! — zawołał z entuzjazmem.

— Brawo! — odpowiedział ksiądz i zwrócił się do gospodarza:

— I tu pan widzi, że Polska ma dobre rzeczy.

— Ależ to wino węgierskie.

— Niech pan je spróbuje na Węgrzech znaleźć. Tylko u nas umieją starego węgryzyna w piwnicach wychować: *Cracoviae et Varsoviae educatum*, mówi się oddawien dawna.

Rozmowa popłynęła dalej tak, jakby siedzący przy stole trzej ludzie żadnych trosk nie mieli.

Grzegorz niepostrzeżenie odkorkował drugą butelkę. Ksiądz, który od początku mierzył okiem zawartość naczynia, z pozornem przerażeniem zawołał:

— Co, druga flaszka... Ależ nie wróćimy do domu na własnych nogach. Ha, trudno, odkorkowana, trzeba wypić.

Pili dalej. Proboszcz wpadał w coraz większą werwę, co zauważywszy Grzegorz podał kawę i dyskretnie się usunął.

Gdy zostali sami, ksiądz zaczął po przyjacielsku atakować gospodarza:

— *In vino veritas*, więc niech się pan naprawdę nie gniewa. Od początku przyglądam się panu i dziwuję. Pan patrzy takimi staremi oczyma, jakby pan conajmniej dwieście lat chodził po świecie. Musiał pan strasznie dużo myśleć i musi pan być ogromnie mądry. Dlatego ja, prostak, nie mogę pana rozgryźć. Ale się boję tych starych oczu: zdaje mi się, że człowiek, który takimi oczyma patrzy na świat, wszystko

widzi, wszystko rozumie i... na wszystko jest obojętny. A obojętność to wielkie nieszczęście i wielki grzech.

— Nieszczęście i grzech zarazem? — zapytał Twardowski, zdziwiony i zaintrygowany tematem, nad którym się nigdy nie zastanawiał.

Ksiądz mówił już teraz całkiem poważnie, zapalając się coraz bardziej.

— Tak, panie. Nieszczęście, bo dla człowieka obojętnego życie traci wartość, nie umie on skorzystać z tego, co daje ono najlepszego. Grzech, bo Pan Bóg postawił człowieka na ziemi poto, żeby w miarę swych sił uczciwy porządek na niej zaprowadzał, żeby usuwał i naprawiał zło, a tworzył dobro. Wiedza, mądrość — to wielkie rzeczy, ale dopiero wtedy, gdy promieniają, gdy zapładniają inne umysły, by wkońcu znaleźć odbicie w dobrym czynie. Patrzeć, rozumieć, widzieć przyczyny wszystkiego i coraz bardziej oddalać się od świata, od ludzi, żeby ich w lepszej perspektywie oglądać — do czego to wszystko prowadzi?... — Pan siedzi tu przy mnie, a ja mam wrażenie, że pan patrzy na mnie z jakiejś wielkiej odległości. To straszne... Mnie się zdaje, iż to skutek tego, że pan siedział zawsze wśród obcych, którzy pana nic nie obchodzili, w krajach, z którymi nic pana nie wiązało, nawet wśród przyrody, obcej potrzebom pańskiej istoty. Intelpekt pański się rozrastał, ale co się dzieje z innymi władzami pańskiej duszy?...

Twardowski skoczył.

— Księżu; czy wiesz, że ja o tem samem dziś rano myślałem?...

Tu ksiądz osłupiał.

— Jakto? z jakiego powodu?

— Wyszedłem w pole z dubeltówką i gdy wciągnąłem w płuca to ostre zimowe powietrze polskie, poczułem się jakoś w swoim żywiole i tak się rozkoszowałem, jak nigdy w życiu. I wtedy powiedziałem

sobie, że trzeba się z tą rodzimą przyrodą zbliżyć choćbym miał zgłupieć.

— Chwała Bogu — zawołał ksiądz — nie jest pan stracony. Niechże pan na początek choć z dubeltówką częściej chodzi.

Spojrzał na trzeciego towarzysza.

— Masz tobie — rzekł — teraz, gdy człowiek chciałby naprawdę coś mądrego powiedzieć, doktorowi oczy się kleją. Biedak, za wiele pracuje — należy mu się spoczynek.

Doktor nie miał sił oponować.

— Trzeba jechać — mówił ksiądz — i na mnie czas, jest już pół do dwunastej. Doktora najlepiej tu na miejscu do łóżka położyć — on ma dalej do domu.

Powstali. Twardowski poczuł, że ma lekką głowę, ale nogi ciężkie. Przypisał to nieprzyzwyczajeniu do węgierskiego wina.

— Musimy rychło dokończyć tej rozmowy — zwrócił się do księdza — będę czekał tego niecierpliwie. Albo się pokłócę z księdzem, albo sobie przyjaźń zaprzysiężemy.

— Kłócić się można i w przyjaźni — odrzekł ksiądz i mocno potrzęsnał ręką gospodarza.

Po odejściu księdza i po odprowadzeniu doktora do jego pokoju Twardowski poszedł z Grzegorzem i z Piorunem do siebie.

— Wiesz, Grzegorzu — mówił — że ten proboszcz to mądry i tęgi człowiek.

— Ze świecą takiego drugiego szukać, proszę pana.

Grzegorz, nie budząc Antoniego, pomógł Twardowskiemu się rozebrać.

Tego wieczora nowy dziedzic Turowa zasnął z jakimś nieznanem, błogiem uczuciem. Śniło mu się, że się znajduje pośrodku bezbrzeżnej białej równiny; oddycha pełną piersią i upaja się powietrzem, które

wprowadza rozkoszny bezwład w jego ciało; posuwa się naprzód, kołysząc się na prawo i na lewo, a ksiądz go podtrzymuje, żeby nie upadł.

VII.

Twardowski jechał do Warszawy z planem wejścia między ludzi, zapoznania się z życiem polskim, a zarazem odszukania Kolmara bez zwracania uwagi na swoje zainteresowanie tą osobistością.

Z Turowa jednak wywiózł trochę nowych wiadomości o stryju. Z przejrzenia papierów zmarłego odtworzył sobie mniejwięcej jego dawniejszą rolę w życiu przemysłowem, a nawet w części jego poglądy polityczne w przeddzień wybuchu wojny światowej. Nazajutrz po wieczorze, spędzonym w towarzystwie księdza i doktora, miał przy śniadaniu długą rozmowę z doktorem, który u niego nocował.

Doktor znał Turów jeszcze za życia drugiego stryja. Tamten ciągle się leczył na urojone przeważnie choroby i często doktora wzywał. Gdy po jego śmierci majątek przeszedł w ręce stryja Alfreda, nowy właściciel wziął odrazu zdolnego i energicznego rządcę, porobił wielkie wkłady i postawił gospodarstwo na pierwszorzędnej stopie. Spoczątku sam rzadko do Turowa dojeżdżał. W parę lat wszakże zaczął budować dom dla siebie, zdala od folwarku, wybrawszy nań miejsce najładniejsze i najzdrowsze. Sąsiedzi nad tem wydziwiali, nie rozumiejąc, że człowiek bogaty mógł sobie na to pozwolić. Przy domu założył duży ogród i otoczył go niskim, ażurowym murem. To było ciekawe, że w niespełna rok po zbudowaniu domu kazał ten murek rozebrać, a na jego miejsce wyciągnął obecny mur wysoki i zaprowadził surowy rygor w stróżowaniu domu, co sąsiedzi już uważali za wa-

rjację. Podczas wielkiej wojny, po zajęciu kraju przez Niemców, przebywał w Rosji, a gdy wrócił, zwłaszcza po najeździe bolszewickim, rygor ten został jeszcze zaostrzony: kto, w dzień nawet, chciał się do domu dostać, z wyjątkiem jego, doktora i księdza, musiał czekać przed bramą, dopóki stróż nie dostał pozwolenia na wpuszczenie go do środka. Doktor nie umiał objaśnić źródeł tej ostrożności, ale nie wątpił, że pan Alfred musiał mieć do niej poważne powody.

Doktor też znał przeszłość Grzegorza. Był on synem stajennego z Turowa. Pan Alfred zwrócił uwagę na piętnastoletniego chłopaka; podobał mu się, bo był bystry, a jednocześnie znakomicie wyrośnięty i na swój wiek fizycznie silny. Wziął go ze sobą do Warszawy, a gdy przywiózł go po dwóch latach do Turowa, nie mogli ludzie chłopaka poznać. Ucywilizował się, nauczył się dobrze pisać, a jednocześnie nabrał wyglądu wprost atletycznego. Podobno uczył się boksu na koszt pana. Został pomocnikiem przy starym służącym, który później, gdy pan Alfred podczas wojny wyjechał, objął opiekę nad domem. Stary służący w trzecim roku wojny umarł i Grzegorz pod kontrolą rządcy tę opiekę sam dalej sprawował. Użerał się z Niemcami, którzy w Turowie bywali częstymi gośćmi: raz byliby go nawet rozstrzelali, gdyby rządca zręcznym wybiegiem nie był go obronił. Po powrocie pan Alfred bez względu na jego wiek młody zrobił go szefem służby domowej i swoim powiernikiem. Doktor był zdania, iż Grzegorz karierę zawdzięczał temu, że pan Alfred chciał mieć przy boku człowieka silnego i fizycznie wyćwiczonego, który mógłby być jego obrońcą w potrzebie; Grzegorz zaś przy wszystkich swoich zaletach odznaczał się zimną krwią i odwagą. Był panu wdzięczny, a wdzięczność ta w dwójnasób wzrosła, gdy po ożenieniu się dostał kawał gruntu, przez co stał się zamożnym gospodarzem.

Doktor oświadczył, że czułby się bardzo źle, gdyby Grzegorz go uważał za wroga swojego pana.

Niewątpliwie doktor podzielił się z nim wszystkim, co wiedział. Niestety, klucza do tajemnicy stryja nie posiadał.

W Warszawie Twardowski znał tylko Osieckiego i od niego postanowił zacząć penetrację w jej życie. Najnormalniejszą drogą wydało mu się poznanie przede wszystkim sfer naukowych, uniwersyteckich, z którymi najłatwiej mu było znaleźć wspólny język. Zapytał też mecenas, czy nie posiada w tych sferach znajomości.

Osiecki był wdowcem i miał dwie zamężne córki. Życiem towarzyskiem nie żył: stosunki jego ograniczały się do rodziny i do klientów. Jeden wszakże z jego zięciów był profesorem na wydziale prawnym, a nadto jedna ze znakomitości uniwersyteckich, profesor Topoliński, był jego kolegą ze szkolnej ławy. Rzadko się wprawdzie widywali, ale stosunek między nimi pozostał życzliwym, przy pewnej ze strony Topolińskiego protekcyjności.

Ofiarował się więc mecenas urządzić niewielką kolację.

— Będzie nas dwóch — rzekł — zaproszę Topolińskiego i kogoś, kogo on mi poradzi, i zięciowi powiem, żeby przyprowadził któregoś wybitniejszego ze swych kolegów.

Szybko się zakrzętnął i w parę dni towarzystwo już zeszło się u niego na kolację. Twardowski uważnie je obserwował.

Topoliński był odęty i namaszczony. Mówił jak wyrocznia i jak wyrocznia był mętny. Zięć Osieckiego — typ umysłu raczej rzemieślniczy — był niezbyt inteligentny, ale zato skromny i nieśmiały. Natomiast pozostali młodzi profesorowie robili wrażenie ludzi zdolnych i żywych. Różnili się bardzo między sobą. Przyprowadzony przez Topolińskiego Kozie-

niecki był dobrze ubrany, miał maniery salonowe, wysławiał się gładko. Natomiast zaproszony przez zięcia Osieckiego prof. Piętka był bardzo prosty, niezgrabny i pomimo młodego wieku trochę oryginał.

— Pan pracuje naukowo? — zapytał gościa zagranicznego Topoliński.

Twardowski postanowił być skromny.

— Naukowo, to trudno powiedzieć — odparł. — Nic nie napisałem i nigdzie nie wykładałem. Raczej interesuję się nauką.

Topoliński zaczął mówić o znakomitościach naukowych, z którymi znał się osobiście. Stąd wywiązała się między nim a Twardowskim dyskusja o znaczeniu i wartości prac jednego z profesorów paryskich, którego obaj znali. Młodzi profesorowie słuchali jej chciwie — widać było, że Twardowski imponuje im inteligencją, wiedzą i dyscypliną umysłową. Kozieniecki milczał i zachowywał powagę; Piętka natomiast głośno przytakiwał Twardowskiemu i rzucał ku niemu spojrzenia, aż nadto wyraźnie mówiące, że uważa Topolińskiego za skończonego osła.

Po pewnym czasie Kozieniecki rzekł:

— Szkoda, że pan nic nie napisał i nie starał się o katedrę. Byłby pan świetnym profesorem.

— Nie wiem — odparł Twardowski. — Zaszkodziło mi to, że miałem dość dużą rentę, wyznaczoną mi przez stryja, i nie byłem zmuszony na chleb pracować. Skutkiem tego nie skupiłem się na jednym przedmiocie, pozwoliłem swoim zainteresowaniom za nadto się rozszerzyć i zostałem właściwie dyletantem.

Wiedział, że mówi nieprawdę, nie chciał wszakże powiedzieć, jaki jest istotny przedmiot jego badań.

— Cóż pana sprowadziło do nas? — spytał Piętka.

— Przed kilku tygodniami stryj mój zmarł i przyjechałem objąć po nim spadek.

— Jak na imię było pańskiemu stryjowi? — pytał Topoliński.

— Alfred. Może pan go znał?...

Topoliński jakoś się ożywił, jakby zaniepokoił.

— Owszem, spotykałem go, ale to było bardzo dawno. Nie widziałem go od lat kilkunastu.

Widoczne było, że profesor niechętnie się przyznaje do tej znajomości, ale że jednocześnie chciałby się czegoś od Twardowskiego dowiedzieć.

— Stryj pański był człowiekiem bogatym, nieprawda?

— Był, przed wojną. Wojna wszakże jednych wzbogaca, innych zuboża. Dużo też podczas wojny stracił. Została po nim niewielka posiadłość ziemska i trochę gotówki.

Osiecki strzygł uszami i ukradkiem spoglądał na Twardowskiego.

— Pan, naturalnie, blisko znał swego stryja? — pytał Topoliński.

— Niewiele. Do lat trzynastu, do śmierci mego ojca, nie znałem go wcale. Po śmierci ojca zabrał mnie i umieścił w szkołach zagranicą. Od tego czasu widywałem go, ale rzadko i na krótko. Przytem, był to człowiek zamknięty w sobie. Nigdy mi nic o sobie nie mówił. Mogę powiedzieć, że go nie znałem prawie wcale.

Znów mówił nieprawdę z całą świadomością. Zauważył, że Topoliński jakby się trochę uspokoił.

— Zostaje pan teraz w kraju? — pytał profesor.

— Na pewien czas przynajmniej.

Rozmowa przeszła na inne tematy i wkrótce zerbrani się rozeszli.

Twardowski sobie zanotował Topolińskiego jako człowieka bez naukowej wartości, ale mogącego przedstawiać pewną wartość w poszukiwaniach przeszłości stryja.

W dwa dni potem złożył mu wizytę elegancki profesor Kozieniecki.

Po wielu komplementach, któremi obdarzył gospodarza, rzekł:

— Spotkałem wczoraj w towarzystwie dobrą moją znajomą, panią Czarnkowską. Pan wie, kto to są państwo Czarnkowscy?

— Nie, nie słyszałem o nich.

— To znany ziemianin, człowiek majątny. Są to ludzie bardzo mili i kulturalni. Prowadzą dom w Warszawie i, trzeba przyznać, że dobierają interesujące towarzystwo. Jest to głównie zasługą ich córki. Panna Wanda jest osobą bardzo inteligentną. Otóż pani Czarnkowska, usłyszawszy ode mnie o panu, bardzo zapragnęła pana poznać i zobowiązała mię, że w czwartek pana do nich przyprowadzę. W czwartki zawsze przyjmują. Przyszedłem pana zaprosić w jej imieniu. Niech pan nie odmawia, bo ona mi nie daruje, jeżeli się bez pana pokażę.

— Ależ owszem — odrzekł śmiejąc się Twardowski. — Mojem właśnie pragnieniem jest poznać towarzystwo warszawskie.

Kozieniecki wyszedł ucieszony. Nazajutrz, w czwartek, wstąpił po Twardowskiego i pojechali razem do Czarnkowskich. W drodze zdążył mu opowiedzieć różne rzeczy o nich, między innemi, że panna Wanda jest córką tylko pana Czarnkowskiego, który się ożenił jako wdowiec, ojciec malutkiego dziecka. Pani Czarnkowska zastąpiła jego córcę matkę.

Przybyli wcześniej — w salonie jeszcze nikogo nie było. Wyszła do nich pani Czarnkowska z panną. Pani daleka jeszcze od pięćdziesiątki, acz ze zmęczoną twarzą, zachowała spore resztki niewątpliwej piękności. Panna, bardzo urodziwa, ciemna blondynka z niebieskawo-szaremi oczyma, uderzyła go przede wszystkim wyjątkowo piękną postawą. Nie mógł oderwać oczu od jej linii. Nie podobała mu się wszak-

że z zachowania. Widział w życiu wiele młodych pań, ale tylko w Ameryce spotykał dziewice, tak ostentacyjnie okazujące mężczyznom lekceważenie: podała mu rękę odniechcenia, stojąc do niego bokiem, Kozienieckiego zaś przywitała jak młodszego i głupszego kolegę, choć przerastał ją wiekiem o jakie osiem lat i był niewątpliwie człowiekiem bardzo inteligentnym.

Pani Czarnkowska posadziła go naprzeciw siebie w rogu salonu, panna zaś zabrała Kozienieckiego do przeciwnego rogu, gdzie zaczęła z nim ożywioną rozmowę.

— To pan jest synowcem pana Alfreda Twardowskiego — rzekła pani Czarnkowska słabym, jakby złamanym głosem. — Nic nie wiedziałam, że umarł.

— Pani go znała?

— O tak, spotykaliśmy się często; ale to było bardzo już dawno.

— Ja sam bardzo mało znałem swego stryja i cieszę się ogromnie, gdy spotykam osobę, od której mogę coś o nim słyszeć.

— To był człowiek niezwyklej wartości; bardzo inteligentny... Gdyby nie to straszne nieszczęście...

Twardowski czekał, co dalej usłyszy, ale ucięła i nic więcej nie mówiła.

— Jakie „nieszczęście”? — zapytał.

Po pewnem wahaniu odpowiedziała:

— Jego choroba...

— Choroba?... nie słyszałem... Na cóż on był chory?

Zmieszała się i zeszywniała.

— Ja się na tych chorobach nie znam. Lekarze mówili, że mu grozi paraliż postępowy, czy jakiś tam. Twardowski osłupiał.

Goście tymczasem schodzili się, przeważnie młodzi — goście panny Wandy. Skorzystał z tego, że parę starszych pań usiadło koło pani domu, i prze-

niósł się do drugiej części salonu, żeby posłuchać ożywionej rozmowy, która się tam toczyła. W uszach mu brzęczały słowa: „paraliż postępowy“...

Zbliżył się do Kozienieckiego.

— Pana domu niema?

— Jeszcze nie wrócił z zagranicy.

W młodem towarzystwie mówiono o najnowszych utworach młodej literatury. Rej wodziła panna Czarnkowska, która wyrażała swoje dla nich uznanie. Kazała jednemu z panów przeczytać jakiś wiersz, głównie odznaczający się tem, że spotykało się w nim wyrazy i pojęcia, któremi poezja dotychczas nie operowała. Po skończeniu czytania rozległy się głosy zachwytu. Batutę w tym chórze trzymała panna Wanda.

Twardowski poczuł potrzebę powiedzenia jej czegoś nieprzyjemnego.

— Mojem zdaniem, — rzekł — słuszość mają krytycy, którzy za główne źródło tych powojennych kierunków w literaturze i sztuce uważają upadek szkół podczas wojny, a stąd nieuctwo młodych twórców. Wykazano pionierom nowych prądów literackich, że nie znają największych poetów świata i ogłaszają jako odkrycia to, co inni przed nimi lepiej powiedzieli. Zresztą, istotna oryginalność u zbyt młodych poetów i artystów to fikcja. Najwięksi genjusze zaczynali od naśladownictwa, a dopiero, gdy duch ich dojrzał i zmężniał, wypowiadała się ich samoistość, ich oryginalność. Żeby posunąć naprzód twórczość w jakiegokolwiek dziedzinie, trzeba poznać i zrozumieć to, co przed nami zrobiono. Zdaje mi się, że Mickiewicz był nie tylko jednym z największych genjuszów poetyckich świata, ale i jednym z najbardziej wykształconych Polaków swej epoki.

— Tak mówią starsi — odcięła się panna Czarnkowska, wywołując uśmiechy na wszystkich twarzach. — Do nas młodych przemawia młoda literatura i młoda sztuka. Sprawia ona na nas głębsze

wrażenie, niż wszystko, co przedtem pisano lub malowano.

— Przemawia... sprawia wrażenie... — przedrzeźniał Twardowski i czuł, że jest niegrzeczny. — Interesował mię zawsze stosunek publiczności do sztuki. Doszedłem do przekonania, że ludzie, mający własne zdanie o utworach sztuki i o twórcach, zdarzają się wyjątkowo. Ogół myśli i czuje to, co mu wmówiono, żyje pod sugestją. Można postawić przed ludźmi zdartą miotłę i, jeżeli się dobrze do tego zabrać, będą się nią zachwycali.

Panna Wanda lekko się zaczerwieniła i zagryzła usta. Reszta towarzystwa zlodowaciała. Widocznie nie zdarzyło się nigdy, żeby ktoś ośmielił się przemawiać do panny Czarnkowskiej podobnym tonem.

Dyskusja się urwała. Towarzystwo rozbiło się na grupki i powoli zaczęło się rozchodzić. Podszedł i on z Kozienieckim do panny Wandy, żeby się pożegnać.

Podawała mu rękę w milczeniu, zimno i grzecznie, ale z oczu jej przemawiał gorzki wyrzut. Zatrzymała Kozienieckiego i coś mówiła do niego pocichu, gdy Twardowski żegnał się z panią domu. Był przekonany, iż Kozieniecki odbiera od panny wymówki za to, że takiego gbura przyprowadził do ich domu.

Gdy się znaleźli na ulicy, Kozieniecki ku jego zdziwieniu zakomunikował mu, iż panna Wanda prosiła go, ażeby Twardowskiego na następny czwartek koniecznie przyprowadził, bo musi się z nim wyklócić.

Rozstawszy się z Kozienieckim, szedł powoli do domu, wyrzucając sobie, że zbyt niegrzecznie postąpił z panną Czarnkowską. Jeszcze żadnej kobiety w życiu tak nie potraktował... Zaczął sobie przypominać i stwierdził, że bywał jeszcze niegrzeczniejszy. Tak, ale to było co innego... Tamte były złośliwe, wstrętne baby. A ta, to trochę dzieciak, i wcale nie wstrętny. Jeszcze teraz miał przed oczyma wspaniałe linje jej giętkiej postaci. Ale należało jej dać nauczkę za jej

zarozumiałość i za to impertynenckie zachowanie się od pierwszej chwili. Zresztą, był zirytowany tem, co usłyszał o swoim stryju od pani Czarnkowskiej.

Dziwna kobieta... Zaczęła mówić o stryju z widoczną sympatją, a potem powtórzyła o nim takie obrzydliwe kłamstwo. Bo to niezawodnie kłamstwo...

Wróciwszy do siebie, siadł natychmiast i napisał list do doktora Zemły, powtarzając mu swą rozmowę z panią Czarnkowską. Pytał, co doktor wie o tem. Sam zaniósł list na dworzec kolejowy, żeby jeszcze tego wieczora odszedł.

Ciągle jeszcze wracał myślą do popołudniowej wizyty u Czarnkowskich. Zły był na siebie i na dziewczynę, która go sprowokowała do niegrzecznego zachowania się. Jej się należała nauczka, ale nie w tej formie. Powiedziała Kozienieckiemu, że chce się z nim wyklócić... Dobrze; tylko niech ona nie myśli, że mu zaimponuje i że robi z niego takiego pudła, jak z Kozienieckiego.

W sobotę miał odpowiedź od Zemły. List był pisany z widocznem wzburzeniem. „Jest to — mówił pocziwy doktor — nikczemne kłamstwo. Pan Twardowski nie tylko nie miał najmniejszych symptomów paraliżu postępowego, ale nie przechodził w swem życiu choroby, która ten paraliż musi poprzedzać. W czasie, kiedy opuścił Warszawę i kiedy go poznałem, był to człowiek, któremu każdy mógł zdrowia pozazdrościć, i dopiero później zaczął na serce niedomagać. Na to, co tu piszę, daję panu słowo honoru. Zastosuję się do pańskiego życzenia i zachowam to wszystko przy sobie, ale, doprawdy, chciałoby się głośno krzyczeć z oburzenia na nędzników, którzy podobne oszczerstwa na tego człowieka puszczali w obieg”.

Nowe okno otworzyło mu się na przeszłość stryja. Ktoś go oczerniał, walczył z nim oszczerstwem. Ciekawa rzecz, kto i w jakim celu... Może być, że

z pani Czarnkowskiej da się wyciągnąć więcej. Zdaje się, że go dobrze znała, bodaj nawet interesowała się nim bliżej — tak można było sądzić z jej tonu. I Topoliński mógłby pewnie coś powiedzieć. Niewątpliwie miał jakieś stosunki ze stryjem; tylko ten nie robił wrażenia przyjaciela...

Twardowski nabrał otuchy. Te pierwsze kilka dni w Warszawie już go naprowadziły na pewne ślady. Wierzył, że posuwając się umiejętnie naprzód, wkrótce dotrze do prawdy. Zaczęła go ogarniać namiętność. Przypomniawszy sobie Wygę na tropie zajęczym: musiał się on czuć taksamo.

Tylko niema jeszcze śladu Kolmara.

VIII.

Twardowski siedział rano przy biurku w swoim gabinecie. Przed nim leżała kupa nowych książek, które przeglądał jedną po drugiej.

Było to jego stałą metodą, że gdy przyjeżdżał do nowego kraju, rozczytywał się w jego literaturze powieściowej, co mu dawało pewne pojęcie o miejscowych stosunkach i o psychice społeczeństwa. Teraz właśnie zabierał się do współczesnej, powojennej powieści polskiej.

Wśród tego zajęcia usłyszał dzwonek u drzwi wejściowych. Za chwilę wszedł służący i podał mu bilet wizytowy:

HENRYK CULMER

Kto to być może?...

Wszedł pan średniego wzrostu, dość otyły, w wieku lat jakichś sześćdziesięciu. Wyglądał imponująco... Duża, biała grzywa, zarzucona wtył, i równie biała, przystrzyżona na ostro broda. Od tej białości odbijały czerwone, lśniąco policzki i jeszcze czerwieńsze wargi: dolna, gruba, opuszczona i zgięta w dno-

bek, niby przygotowany do ciągnięcia jakiejś słodyczy. Najbardziej uderzały oczy — czarne jak węgle, gorejące jak węgle rozżarzone, oczy prawie nigdy niespotykane pod północnem niebem. Wiał od nich żar arabskiej czy syryjskiej pustyni.

— Semita — rzekł sobie w duchu Twardowski. Wskazał gościowi fotel koło biurka.

— Czem panu mogę służyć? — zapytał uprzejmie.

— Czy panu znane jest moje nazwisko? — pytał gość śmiało, głosem pewnym, bardzo dźwięcznym.

— Niestety, nie.

— Pomimo angielskiego brzmienia należy ono do Polaka. Jesteśmy w Polsce już od paru pokoleń.

Twardowski spojrzał na leżący przed nim bilet i przeczytał nazwisko po angielsku: Kolmar! Przynajmniej coś bardzo bliskiego. I tamten w wagonie był raczej Culmerem, niż Kolmarem...

Zesztywniał wewnątrz. Nazewnątrz nic nie okazał.

— Usłyszałem o panu — mówił dalej gość — od mojej dobrej znajomej, pani Czarnkowskiej, i przyszedłem pana poznać. Byłem wielkim przyjacielem pańskiego stryja. Myślałem, że Alfred mówił panu o mnie.

— Niestety, — rzekł Twardowski, panując nad sobą — myśmy się ze stryjem bardzo rzadko i tylko na krótko widywali. Stryj nigdy mi o swoich sprawach i stosunkach nic nie mówił. Żałuję bardzo, ale nazwisko pańskie po raz pierwszy spotykam. Zaczynam dopiero poznawać Polskę. Z wyjątkiem pierwszych lat dziecięcych całe życie spędziłem zagranicą.

— Bardzo dobrze — mówił z namaszczeniem Culmer — że pan w kraju osiada. Nam potrzeba ludzi zdolnych i wykształconych. Słyszałem, że pan pracuje naukowo?...

Twardowski powtórzył mu to, co powiedział profesorowi Topolińskiemu.

— Jaka to szkoda, że stryj pański poniósł duże straty podczas wojny! To był człowiek bardzo za-
możny.

Twardowski przypomniał sobie, że z panią Czarn-
kowską nie mówił o sprawach majątkowych stryja.
A więc Culmer musiał mieć relacje o nim od kogo
innego, chyba od Topolińskiego — do czego się nie
przyznał. To zasługiwało na zanotowanie.

— Pewnie będzie pan chciał poznać trochę ludzi
tutejszych — ciągnął Culmer. — Służę panu swemi
stosunkami, których mam sporo. Jest pan dla mnie
synowcem mego drogiego przyjaciela. Mam nadzieję,
że mię pan odwiedzi. Będzie pan najmielszym gościem.

Po krótkiej rozmowie o rzeczach obojętnych chciał
wyjść, gdy Twardowski go zatrzymał:

— Nie wiedziałem nawet o tem, że stryj mój był
oddawna ciężko chory. Podobno groził mu paraliż po-
stępowy?

Culmer popatrzył nań badawczo.

— Dziś — odrzekł — po jego śmierci można już
o tem między nami mówić. To była opinia poważnych
lekarzy. I to było przedmiotem wielkiego mojego
zmartwienia. Inaczej, Alfred nigdyby się tak całkowi-
cie nie wycofał z życia, w którym miał wielkie po-
wodzenie.

— Sam studjowałem medycynę — rzekł Twardow-
ski — i chętniebym z którym z tych lekarzy pomówił
o moim stryju. Byłbym panu bardzo wdzięczny, gdy-
by pan zechciał mię z nimi zapoznać.

— Niestety — odrzekł nieco zbyt pośpiesznie Cul-
mer — obaj doktorzy, którzy stan jego zdrowia znali
i o nim opinjowali, już nie żyją.

— Jaka szkoda!

Tym razem w głosie Twardowskiego nie było nic
udanego: żal jego był całkiem szczery.

Po wyjściu gościa odświeżał sobie w pamięci opis
„Kolmara“, który dał mu w Turowie Grzegorz. Jeżeli

tamten przez dziesięć lat ostatnich całkiem osiwiiał, był to ten sam człowiek. A jeżeli tak, to trzymający się godnie pan Henryk Culmer był nielada ptaszkiem. Mówić o „drogim przyjacielu Alfredzie” po opowiedzianej przez Grzegorza scenie w Turowie mógł tylko łotr niemałego kalibru. Jeżeli zaś jest on przytem „tata” owego Kolmara z pociągu Calais-Paryż?...

Twardowski zaczął gwizdać.

Sprawa idzie szybko. Nie miał potrzeby szukać „Kolmara”, sam mu wlażł w ręce. Chce nawiązać z nim przyjazne stosunki. Ciekawa rzecz, w jakim celu. Trzeba pójść do niego — to będzie bardzo interesujące.

Tymczasem są do zanotowania fakty: Culmer zna panią Czarnkowską, nazywa ją swoją dobrą znajomą; podpisuje się pod kłamstwem o chorobie stryja, powołuje się nawet na powagi lekarskie, które... poumieraliły; musi być blisko z Topolińskim, który pośpieszył go poinformować o zjawieniu się synowca Alfreda Twardowskiego; wreszcie Culmer chce uchodzić w jego oczach za przyjaciela zmarłego stryja.

Wziął do ręki katalog telefoniczny. Tym razem znalazł adwokata Henryka Culmera.

Adwokat?... Twardowski się zamyślił.

Po chwili wziął znów katalog odszukał numer Osieckiego i zadzwonił. Osiecki był w domu i mógł go przyjąć za kwadrans. Ubrał się, wyszedł z domu i wsiadł w pierwszą taksówkę.

— Pan mi mówił — rzekł na wstępie do Osieckiego — że pan prowadził sprawy mojego stryja od lat dziewiętnastu. Więc przed panem stryj miał innego adwokata, od którego pan sprawy stryja przejął.

— Naturalnie.

— Kto był tym adwokatem?

— Kulmer, Henryk Kulmer.

— Kulmer?...

— On sam wymawia swoje nazwisko inaczej. Kolmar czy coś w tym rodzaju. Ma to być wymawianie angielskie: rodzina jego ma niby pochodzić z Anglii. Jeden wszakże z naszych starych, dziś już nieżyjących kolegów, twierdził stanowczo, że Kulmery to Żydzi polskie z Prus i że nazwisko ich pochodzi od Chełmna na Pomorzu. Chełmno po niemiecku Kulm. Wogóle najdawniej cywilizowane rodziny żydowskie w Warszawie pochodziły z Prus Królewskich i z Poznańskiego. Przyszły one tu z Prusakami po trzecim rozbiore.

— Jakiegoż on jest wyznania?

— Kalwińskiego. Powiada, że przodkowie jego, Szkoci, praktykowali prezbiterjanizm; ojciec zaś jego wybrał kalwinizm, który jest prawie tem samem, a ma tradycje polskie. To wszystko błaga. U nas wogóle Żydzi, którzy dla wygody zmieniają wyznanie, lubią kalwinizm, bo to najdalsze od rzymskiego katolicyzmu i przytem najmniej kłopotliwe.

— Pan go zna dobrze?

— Mało. Nie lubię go. Jednakże on ma pozycję w Warszawie. Wielu ludzi obdarza go dużem zaufaniem i radzą się go nietylko w kwestjach prawnych. Ma reputację bardzo mądrego.

— Dlaczego stryj przeniósł się od niego do pana?

— Nie wiem. Akty otrzymałem nie od niego, ale od pana Twardowskiego, który sam je od Kulmera odebrał. Sam też siedział ze mną dobrych kilka godzin, sprawdzając, czy Kulmer wszystko w porządku oddał.

— Czy likwidacja interesów stryja zaczęła się już przy Kulmerze?

— Nie. Rozpoczął ją pan Twardowski wkrótce po przeniesieniu spraw do mnie. Zdaje się, że wtedy stosunki między nim a Kulmerem były całkiem zerwane. Gdy były jakie wątpliwości, zwracałem się

na piśmie do Kulmera i na piśmie otrzymywałem odpowiedź.

Twardowski wrócił do domu, zadowolony z wyniku dochodzenia.

Culmer był adwokatem stryja, poczem „drogi przyjaciel Alfred” odebrał mu swe sprawy i zerwał z nim stosunki. Stało się to w krytycznym roku 1911, po którym stryj wycofał się z życia. Co się w owym roku stało?... Oto główne pytanie. Za wszelką cenę trzeba znaleźć na nie odpowiedź i sam Culmer musi do tego dopomóc. Dlatego trzeba udawać naiwne-go, niepraktycznego filozofa, który się niczego nie domyśla. Trzeba przez jakiś czas jeszcze kłamać.

Twardowski, chociaż czystej krwi Polak, skutkiem swego niepolskiego wychowania i odcięcia od własnego społeczeństwa w okresie, kiedy charakter człowieka ostatecznie się formuje, nie podlegał nigdy wahaniom od chwili, gdy sobie jakiś cel wyraźnie postawił, i nie uznawał możliwości niepowodzenia. Wierzył, że gdy człowiek zrobi wszystko, co potrzeba, cel zawsze osiągnie. Wszystko inne wtedy schodziło na drugi plan, cała jego energja skupiała się na jednej sprawie, szedł przed siebie pewnym krokiem, dopóki u celu nie stanął. Nie było w nim nic z Hamleta.

Był to jego sposób używania życia: osiągnięcie celu było dla niego o wiele większą rozkoszą, niż doznanie przyjemnych wrażeń. I rozkosz była tem większa, im cel był trudniejszy do osiągnięcia.

W danym wypadku nie zdawało mu się, żeby przedsięwzięcie było bardzo trudne. Bawiła go atoli jego niezwykłość. Podniecała go gra psychologiczna, rozpoczynająca się między nim a łotrem, który usiłuje zbliżyć się z nim dla jakiegoś ukrytego celu.

Nazajutrz poszedł do Culmera. Nie zastał go i tylko bilet zostawił.

Twarz służącego, który mu drzwi otwierał, wydała mu się znajomą. Wracając więc do domu, zastana-

wiał się nad tem, gdzie mógł tę twarz widzieć. Duża głowa, osadzona na małym ciele, rysy brzydkie, wstrętne, jakaś dziwna mieszanina rasowa, niby Żyd, a jednak niecałkiem Żyd. Wiek koło pięćdziesiątki. Z zachowania się raczej oficjalista, niż służący... Nareszcie przypomniał sobie. To tylko podobieństwo. Zupełnie takie samo wrażenie zrobił na nim służący jednego profesora paryskiego, również Żyda z pochodzenia, odgrywającego bardzo wpływową rolę w stosunkach francuskich, przyczem niepodobna było zrozumieć, skąd pochodzą jego wpływy.

— To widocznie jakaś osobna rasa służących u pewnego typu ludzi — rzekł ze śmiechem do siebie Twardowski, któremu jakaś odległa myśl przebiegła przez głowę.

Wieczorem zadzwonił Culmer.

Prosił go nazajutrz na śniadanie i przepraszał, że robi to tak bezceremonjalnie. Chciałby, żeby pan Twardowski traktował go jak starego znajomego, jak przyjaciela. Obaj są ludźmi pracy: najwygodniej, z najmniejszą stratą czasu pogadają sobie przy stole. Jest wdowcem, mieszka sam i na śniadaniu nikogo więcej nie będzie.

Twardowski podziękował i obiecał się stawić.

Przyjął to zaproszenie, jak wyzwanie na pojedynek. Przeciwnik jest, zdaje się, wypróbowanym fechtmistrzem i trzeba mu sprostać. Najlepiej będzie obmyślić sobie rolę i grać ją konsekwentnie. Ciekawa rzecz, kto kogo lepiej obelga...

Nie uważał siebie za nowicjusza: przez lata całe, przy swoich studjach, musiał wiele dyplomatyzować, wiele kłamać, żeby się dowiedzieć tego, czego szukał.

Nazajutrz stawił się punktualnie. Ten sam wstrętny famulus wpuścił go do salonu, dość pospolicie umeblowanego. Uderzała ogromna ilość chryzantemów, różnych barw, form i wielkości, zarówno rosnących w do-

niczkach, jak ciętych, powtykanych w wazony i wazoniki.

Wszedł gospodarz. Był już mniej namaszczony, a zato bardziej poufały. Dziękował Twardowskiemu za przyjęcie zaproszenia: tak mu miło, że ten go traktuje po przyjacielsku.

— Dziwią pana pewnie te kwiaty — rzekł, zataczając ręką. — Chryzantemy to moja wielka słabość. Zacni przyjaciele o niej wiedzą i ciągle mi je przysyłają....

Twardowski sobie powiedział, że ta słabość to najpewniej błaga, poza, która dobrze robi w interesie. I pewnie bestja sam sobie je kupuje.

Wszedł służący: do stołu podane.

Gospodarz uprzedził, że śniadanie będzie skromne.

Twardowski niebawem się przekonał, że skromne nie było, tylko było za ciężkie.

Gospodarz rozpoczął rozmowę.

— Pan sobie wybrał drogę naukową. W jakim kierunku pan pracuje?

— Ukończyłem medycynę — odrzekł Twardowski — i miałem zamiar zostać lekarzem. Stryj jednak zapewnił mi poważną pomoc materjalną i postanowiłem dalej studjować. Spoczątku siedziałem w fizjologii, potem zainteresowała mię psychologia. Poprzednie studja dały mi do niej dobrą podstawę, w niej też utkwilem.

— Może pod wpływem stryja?...

— Nie. Stryj się nie interesował przedmiotem moich studjów — Twardowski rozumiał, że tu lepiej nie powiedzieć prawdy. — Wogóle mało się mną interesował, poza tem, że mi materjalnie pomagał.

— Wybrał pan sobie bardzo ciekawą gałąź wiedzy. Pewnie pan ma już poważne rezultaty swych studjów.

— Niestety, przekonałem się, że gdy człowieka nie zmusza potrzeba starania się o katedrę, trudno

mu skupić się na jakimś jednym, ograniczonym zagadnieniu, i zanadto się rozprasza. Dotychczas nic nie napisałem.

— Ma pan zamiar kontynuować studia?

— Nie wiem — tu znów mówił nieprawdę — w każdym razie przedmiot nie przestanie mnie interesować. Teraz muszę się zająć spadkiem po stryju. Nie jest to wielki majątek, ale przy dobrej administracji da mi całkowitą niezależność.

— Jest pan uprzywilejowany. Człowiek inteligentny, wykształcony, znający świat, a przytem materialnie niezależny — to wielka siła. Ma się rozumieć, gdy wytworzy sobie stosunki, dające mu możliwość działania. Nie ma pan zamiaru wejść w nasze życie publiczne, w politykę?...

— O tem nie myślałem.

— Takich ludzi u nas potrzeba. Z pańskimi danymi mógłby pan zająć wysoko i wiele zrobić.

— Sądzi pan? — zapytał Twardowski, udając wielkie zainteresowanie.

— Niezawodnie. Nam brak ludzi europejskich. Nadto pan jest czystą, niezapisaną kartą, nic panu z pańskiej przeszłości nie zawadza.

— Ale też nie mam żadnych zasług, nic, coby za mną przemawiało.

— To właśnie dobrze. Każdy działacz robi mądre rzeczy i głupstwa: jeden więcej mądrych rzeczy, inny więcej głupstw. Wprawdzie są sposoby zmuszenia opinii, żeby jednym pamiętała mądre rzeczy, a innym głupstwa, nawet wmówienia jej rzeczy, których nie było; naogół wszakże ludzie u nas o wiele lepiej pamiętają innym błędy, niż zasługi. I dlatego opinia nasza najchętniej obdarza zaufaniem ludzi nowych, niemających przeszłości. Zwłaszcza, jeżeli jej się do tego pomoże umiejętnem wprowadzeniem nowego człowieka. Tu i ja mógłbym oddać panu pewne usługi, bo mam trochę wpływu.

Twardowski zrozumiał, że Culmer chce obudzić w nim ambicje, do których zaspokojenia byłby mu potrzebny. Zaczął więc udawać, że się na wędkę bierze.

— Wszystko — rzekł — zależy od tego, czy będę mógł żyć się z Polską. Jestem z nałogów cudzoziemcem: wyrosłem na Zachodzie.

— Któż z nas jest całkiem żyty z Polską? — odrzekł gospodarz. — My, ludzie bardziej europejscy, wszyscy czujemy się tu niecałkiem u siebie. Jedyne na to sposob, żebyśmy się solidarnie trzymali, działali według planu i zaprowadzili tu Europę. Pan ma do tego wielkie warunki, bo, wychowany na Zachodzie, wolny pan jest od przesądów, które tu hamują prawdziwy postęp.

— To jest introdukcja do czegoś — pomyślał Twardowski i czekał, co Culmer dalej powie. Ale ten przerwał, zainteresowawszy się nagle kaczka z tygla z oliwkami. Spytał gościa, jak mu smakuje, i rozmowa chwilowo przesunęła się na gastronomję.

Gdy przeszli na czarną kawę i cygara do gabinetu gospodarza, Culmer zagadnął:

— Zajął pan mieszkanie w Warszawie i dom na wsi po stryju?

— Tak.

— Jeszcze się pan pewnie całkiem nie urządził?

— O nie. Mam zresztą jeszcze swoje mieszkanie w Paryżu.

— To nie tak łatwo dom jednego człowieka zrobić domem drugiego. Alfred był dużą indywidualnością, miał szerokie zainteresowania, nagromadził w domu dużo rzeczy, które lubił, książek, papierów... Papierów musi być mnóstwo?

— Tak, bardzo dużo.

— Pewnie pana interesują?

— Niebardzo — skłamał Twardowski. — Przeważnie dotyczą one jego dawnych interesów, które nie są mojemu i na których się nie znam.

— Przeglądał je pan?

— Bardzo powierzchownie.

— Cóż pan z niemi zrobił?

— Trzeba je będzie rozklasyfikować: oddzielić to, co może mieć jakieś znaczenie, resztę zaś złożyć do kufrów. Całe szczęście, że stryj zostawił papiery we wzorowym porządku.

Culmer widocznie opanowywał się, żeby nie pokazać, jak go ten przedmiot interesuje. Twardowski zauważył, że służący Jakób, jak go Culmer nazywał, kręci się ciągle po pokoju, czy jest potrzebny, czy nie, i uważnie słucha rozmowy. Culmerowi to wszakże nie przeszkadzało — widocznie przywykł z nim dzielić swe tajemnice.

— W każdym razie — rzekł gospodarz — to żmudna praca, zwłaszcza dla kogoś, komu sprawy Alfreda są całkiem obce. Gdybym panu mógł być w tym względzie pożyteczny, to służę. Mógłbym przyjechać na parę dni do Turowa i razem zrobilibyśmy tę robotę.

— Jakże mię pan ucieszył! — beczelnie zawołał Twardowski. — Gotów jestem chwycić pana za słowo i skorzystać z pańskiej propozycji. Wiem, że byłoby to niesumienne wyzyskanie pańskiego drogiego czasu, ale tak się tej pracy boję!

Culmer widocznie nie posiadał się z radości.

— Ależ, panie — rzekł — zrobię to z wielką przyjemnością. Przy mojej pomocy załatwimy to dziesięć razy szybciej, niż gdyby się pan sam grzebał.

— A więc dziękuję panu serdecznie. Gdy tylko będę miał czas i odwagę na zabranie się do tej roboty, pozwoli pan, że się udam do pana.

— Może pan na mnie liczyć. Tylko lepiej z tem nie zwlekać.

Pożegnali się w dobrych humorach, każdy z czego innego zadowolony. Culmer cieszył się, że młody Twardowski wygląda na człowieka nieszkodliwego, że są widoki obudzenia w nim ambicji i tym sposobem zrobienia z niego posłusznego narzędzia, że wreszcie teraz otwiera mu się łatwa droga dobrania się do papierów Alfreda Twardowskiego i oczyszczenia pozostałego po nim archiwum z dokumentów niepotrzebnych. Twardowski był pewien, że zrobił duży krok naprzód w swoich poszukiwaniach. Teraz już nie miał najmniejszej wątpliwości, że jego Culmer jest „Kolmarem” Grzegorza. Jeszcze nie wiedział, jakie białogrzywy mecenas ma nań zamiary, w jakim celu próbuje w nim budzić ambicje polityczne, ale miał pewność, że i o tem rychło się dowie.

IX.

Twardowski, wybierając się w czwartek popołudniu do Czarnkowskich, nie myślał ani o Culmerze, ani o swoich poszukiwaniach. Zastanawiał się nad tem, jak naprawić nietakt względem panny Wandy, którego się dopuścił poprzednim razem, a jednocześnie, jak dziewczynę osadzić, nauczyć trochę skromności i właściwego tonu wobec ludzi poważnych. Trudno wytłumaczyć, dlaczego, myśląc o tem, spoglądał często w lustro i mówił sobie, że wygląda za surowo, za staro, i dlaczego od czasu do czasu przesuwały mu się przed oczyma boskie linje amazonki, którą postanowił poskromić.

Tym razem powitał go pan domu, który świeżo powrócił z zagranicy.

Ojciec panny Wandy był pięknym, eleganckim mężczyzną; miał pewnie z pięćdziesiąt kilka lat, ale trzymał się znakomicie. Był na swój wiek bardzo młody zarówno w ruchach, jak w sposobie ubierania

się, jak w manierze, estetycznie niedbałej, mającej w sobie coś nieodpowiedzialnego, jak wreszcie w dyskretnie agresywnem zachowaniu się wobec kobiet.

Powitał Twardowskiego bardzo uprzejmie, powiedział mu parę komplementów pod adresem jego zmarłego stryja, którego, jak mówił, znał niestety bardzo mało. Wreszcie cieszył się, że w osobie synowca przybywa krajowi człowiek wysokiej kultury i wiedzy. Był swobodny, nie ubierał się w powagę, mówił tak, jakby był jego rówieśnikiem, i pokazał mu parę ładnych kobiet w zgromadzonem towarzystwie.

Gdy go ktoś oderwał, Twardowski podszedł do pani, zdołał się z nią wszakże tylko przywitać, gdyż była zajęta rozmową.

Znalazł się znów w otoczeniu panny Wandy, razem z niezbędnym Kozienieckim. Postanowił nie brać udziału w ogólnej, ożywionej rozmowie, która toczyła się w jej kółku.

Na nieszczęście, mówiono o przedmiocie, który aż za dobrze znał i który miał tę właściwość, że go podniecał do mówienia ludziom rzeczy nieprzyjemnych. Parę z osób obecnych świeżo brało udział w seansie spirytystycznym: wymieniano duchy, które dały się wywołać, i powtarzano, co mówiły. Panie zwłaszcza, a wśród nich panna Wanda, były ogromnie temi relacjami przejęte...

Twardowskiego cała ta rozmowa irytowała, zwłaszcza gniewało go zachowanie się panny Czarnkowskiej. Panował wszakże nad sobą, nic nie mówił, tylko się uśmiechał ironicznie.

Panna Wanda spoglądała nań od czasu do czasu. zdawało mu się, że ją niecierpliwi jego milczenie i że go chce sprowokować. Nareszcie odezwała się do niego:

— A pan co myśli o spirytyzmie?

— Zbyt wielki — rzekł — mam respekt dla duchów, ażebym je posądzał o to, że chcą się fatygować

do pierwszego lepszego saloniku i przed byle kim zwierzać ze swych myśli. Jest to jedna z najzabawniejszych postaci snobizmu twierdzić, że się posiada stosunki z duchami, że się je nawet ma na swoje rozkazy.

— Więc pan sądzi, że to wszystko błaga?

— Przeważnie błaga, świadoma lub nieświadoma.

— To, co pan mówi, nie jest komplementem dla uczestniczących w seansach.

— Sądzę, że pani nie żąda ode mnie komplementów, tylko mego zdania. Trzeba dużej i trudno nabywanej dyscypliny umysłowej na to, żeby umieć kontrolować swe wrażenia, żeby ściśle zdawać sobie sprawę z tego, co się widzi i słyszy. Osoby, biorące udział w seansach, zwykle tych warunków nie posiadają.

— Ale nie będzie pan chyba twierdził, że to wszystko błaga, że tam nic się nie dzieje?

— Nie. Zachodzą tam pewne zjawiska nerwowe i psychiczne, niedostatecznie dotychczas zbadane. Osoby wszakże, które chodzą po seansach, nie mają żadnych kwalifikacyj do ich badania. Nie posiadają do tego ani wiedzy, ani metody. W tych warunkach jedynym wynikiem jest zniszczenie nerwów i demoralizacja myśli. Czasami — dodał, śmiejąc się — jest i inna demoralizacja, jeżeli mniemane duchy są zbyt płochy i zuchwałe.

Kilku mężczyzn zaczęło się śmiać głośno.

— Z panem trudno rozmawiać — rzekła nadąsana panna Czarnkowska.

— Proszę pani, ja się przypadkiem na tym przedmiocie znam trochę i poważnie mię on interesuje. Niech więc pani nie żąda ode mnie, ażebym o nim mówił tak, jak mówią szarlatani lub warjaci i naiwni, którzy im wierzą.

— Chciałabym, żeby mi pan kiedy powiedział, co pan naprawdę o nim myśli,

— Owszem, mógłbym to zrobić w pewnych granicach. Ale toby wymagało sporo czasu, bo musiałaby się pani przedtem niektórych rzeczy nauczyć.

— A jeżeli pana naprawdę poproszę o lekcję?

— To dam pani lekcję — rzekł, śmiejąc się dobrodusznie.

Zauważył, że tym razem była pokorniejsza, i bardzo go to ucieszyło.

Rozmowa o spirytyzmie skończyła się. Po tym dialogu dotychczasowi entuzjaści bali się usta otworzyć. Towarzystwo rozbiło się na grupki.

Panna Wanda przysiadła się do Twardowskiego.

— Wie pan — rzekła — że jeszcze nie widziałam tak nieznośnego, jak pan, człowieka.

— Bardzo się cieszę.

Spojrzała nań pytająco.

— Bo mię pani choć tym sposobem wyróżnia.

Zarumieniła się. Pokrywając swoje zmieszanie, zawołała:

— Ho, ho, ho! Taki poważny człowiek i mówi takie płóche rzeczy!

— A kto pani powiedział, że jestem takim poważnym człowiekiem?

— Pan jest taki poważny, że aż mróz od pana wieje.

Twardowski miał minę naprawdę przerażoną.

— To straszne oskarżenie — rzekł — i doprawdy chyba niesłuszne.

— Już dobrze, że się pan broni.

— Przed dwoma tygodniami u siebie na wsi wziąłem rano dubeltówkę i wyszedłem z psem w pole strzelać zające. Żeby pani wiedziała, jaki ja wtedy byłem niepoważny! Jak mnie nic nie obchodziło, tylko to pole, ten las, to mroźne powietrze, którem

się upajałem, i ten pies, z którym rozumieliśmy się znakomicie! Mówiłem sobie, że to więcej warte, niż wszystkie poważne rzeczy...

Patrzyła nań zdziwiona i rozpromieniona.

— A wieczorem tego samego dnia piliśmy z proboszczem i doktorem — bardzo miłymi ludźmi — rozmawialiśmy o winie i tym podobnych poważnych rzeczach. I było nam ogromnie wesoło.

— To pan umie takie rzeczy robić?...

— Okazuje się, że umiem.

— E, to pan nie taki straszny! Pan jest straszny tylko wtedy, kiedy mi pan wyraźnie mówi, że jestem głupia, jak but.

Twardowski się roześmiał.

— Przesadza pani. Ale niech pani szczerze powie, czy pani naprawdę się uważa za bardzo mądrą?

Zaczerwieniła się.

— Bo wtedy jabym się pani bała...

— Jeżeli mam pana przerażać, to już wolę być głupią.

Twardowski nie ukrywał przyjemności, jaką mu te słowa sprawiły.

Dziewczyna wszakże nie dała za wygraną.

— Ale dlaczego mi pan to na każdym kroku mówi? Czyż ja jestem głupsza od innych?...

Twardowski się zastanowił.

— Przedewszystkiem, tego nie mówię.

— A co?

— Chcę tylko pani pokazać, że mówi pani z wielką pewnością siebie o rzeczach, których pani nie rozumie i nie może zrozumieć.

— A inne nie robią tego samego?

Narazie Twardowski nie mógł znaleźć odpowiedzi. Po chwili zaczął mówić powoli:

— U innych to tak nie razi. Ich to tak nie psuje, mówię w znaczeniu estetycznym. Zresztą, zawzięłem

się trochę na panią za to, że pani lekceważąco traktuje mężczyzn.

— Kiedy oni to lubią.

— A ja tego nie lubię.

Wyciągnęła do niego rękę.

— Dziękuję panu, że pan choć chwilę poważnie ze mną pogadał. Chciałabym kiedy dłużej porozmawiać z panem, gdy nie będzie w salonie tylu osób. Teraz nas ze wszystkich stron obserwują. Wprawdzie mi to pochlebia, że mię widzą w tak poważnem towarzystwie, ale mię to krępuje i odbiera tupet. Przyjdzie pan kiedy do nas poza temi urzędowemi czwartkami, prawda?...

— Przyjdę.

Następnego dnia otrzymał zaproszenie na obiad do państwa Czarnkowskich na wtorek przyszłego tygodnia. Nie wątpił, że zawdzięczał je pannie Wandzie. Tegoż dnia zadzwonił do niego Culmer, pytając, czy ma wolny wieczór środy. Chciałby zgromadzić kilku interesujących ludzi, żeby Twardowskiego z nimi zapoznać.

— Wtorek, środa, — liczył Twardowski — dziś jest piątek. Cztery dni czasu — jadę do Turowa.

Kazał zatelefonować do domu po samochód i na wieczorny obiad był już w Turowie.

Grzegorz powitał go uradowany. Widać było, iż oczekuje, że pan mu coś powie. Zauważył, że pan jest jakiś ożywiony, ale nic nie mówi. Twardowski po obiedzie poszedł prosto na górę, zamknął się u siebie i czytał.

Lektura Twardowskiego tym razem nie była poważna. Czytał jakąś nową powieść polską. Nie imponowała mu swą wartością, ale czytał z wielkiem zainteresowaniem: odkrywał świat nieznany.

Bohaterkę powieści porównywał z Wandą Czarnkowską, która na tem porównaniu ogromnie wygrywała. Doszedł do przekonania, że wszystko, co go

w niej raziło, pochodzi ze środowiska, a nie z niej samej. Dziwił się nawet, że to środowisko więcej jej nie zepsuło... I uznał to za jej zasługę.

Od czasu do czasu odkładał książkę i chodził po pokoju lub rozmawiał z Piorunem, którego mu Grzegorz przyprowadził.

Zaczytał się do późnej nocy i poszedł spać z myślami nie o przeczytanej powieści, ale o pannie Czarnkowskiej.

Wczesnie rano był już w polu z dubeltówką, poprzedzany przez uradowanego Wygę. Czuł się lekkim na ciele i umyśle — zdawało mu się, że wyrastają mu skrzydła. Włóczył się, niewiele strzelając, prawie do południa.

Popołudniu postanowił odwiedzić proboszcza. Tym razem poszedł do niego piechotą, opanowany jakąś niepowstrzymaną potrzebą ruchu.

Ksiądz przywitał go z miłym zdziwieniem:

— Nie wiedziałem, że pan jest w Turowie.

— Wpadłem na parę dni wczoraj wieczór.

Ksiądz mu się przyglądał uśmiechnięty.

— Co się stało? — zapytał.

— Nic. Przyjechałem, bo miałem parę dni wolnych.

— Nie o to chodzi. Pytam, co się stało z panem. W panu zaszła jakaś zmiana.

— Widzę, że ksiądz mi odbiera chleb: jest lepszym psychologiem, niż ja. Bo ja w sobie żadnej zmiany nie widzę.

— Panie, pan się zmienił nawet fizycznie. Cofam to, com owego wieczora przy butelce powiedział. Zrobił się pan jakiś lekki, twarz nabrała życia, widać krew pod skórą i w oczach się coś świeci. Patrzy pan nie jak sędzia, ale raczej jak winowajca, który coś zbroił.

Twardowski zaczął się śmiać.

— Przysięgam, że nic nie zbroiłem. Tylko od rana spędzam czas na świeżem powietrzu, włóczę się po polu i lesie. Ot i do księdza przyszedłem piechotą.

Ksiądz kręcił głową — widocznie to tłumaczenie mu nie wystarczało.

— Dobrze to wszystko — rzekł Twardowski — ale gdzież ta kawa? Ja tu przyszedłem na kawę.

Ksiądz wypadł z pokoju, jak z procy. Twardowski tymczasem napróżno rozglądał się za lustrem, chcąc sprawdzić trafność jego spostrzeżeń.

— Za chwilę kawa będzie — rzekł ksiądz, wracając. — Tak mię pan spiorunował swym wyglądem, że zapomniał o obowiązkach gospodarza. Bardzo to zanie z pańskiej strony, że pan przyszedł do starego klechy. Siadajmy i pogadajmy.

Twardowski stwierdził, że ksiądz prowadzi dalej swą politykę: gada dużo, ażeby gościowi nie pozostawić czasu na zadawanie pytań.

— Doprawdy z panem cud się dzieje — ciągle mówił ksiądz. — To zetknięcie z Polską tak na pana działa: tam, na obczyźnie, był pan rośliną, którą z korzeniami wyrwano z ziemi. Jest pan jak Anteusz, który przypadając do ziemi, nowych sił nabiera. A może?...

— Co może?...

— Może pan spotkał jakie polskie dziewczę?... Przecie to w pańskim wieku byłoby całkiem naturalne. I dałby Bóg — toby pana już ostatecznie przywiązało do Polski.

— Spojrzał i trup, jak w powieści, co?

— No nie, tego nie mówię. Ale tak zainteresował się trochę... Przecież pan chyba nie jest obojętny na wdzięki kobiece?...

— Chce ksiądz, żebym mu powiedział, co myślę?... Ksiądz się boi, żebym go nie indagował co do prze-

szłości stryja, i dlatego wyszukuje coś na mnie. Najlepszą obroną jest atak, jak mówią Niemcy.

Ksiądz spoważniał.

— Niech się ksiądz nie boi. Mam wielką dla księdza przyjaźń i wierzę w jego przyjaźń. Wiem, że mi ksiądz powie wszystko, co może powiedzieć, i więcej już pytać nie będę.

Ksiądz w milczeniu wyciągnął do niego rękę i uścisnęli sobie dłonie.

— Ze swej strony księdzu powiem, że prowadzę dochodzenia w Warszawie, i zdaje mi się, że jestem na dobrej drodze. Mam nadzieję, że wkrótce będę mógł księdzu opowiedzieć bardzo interesujące i bardzo ważne rzeczy.

Pożegnali się serdecznie. Ksiądz chciał go odesłać swojemi końmi, ale Twardowski uparł się wracać piechotą. Jeszcze nie zaspokoił swej potrzeby ruchu.

W drodze do Turowa zapytywał siebie, skąd księdzu przyszło do głowy wmawiać w niego, że go zajmuje jakaś dziewczyna. Jedyna młoda kobieta, którą bliżej poznał, to panna Czarnkowska. Prawda, że go trochę zainteresowała, ale raczej w ujemnym sensie — nie fizycznie, bo jest ładna, a gdy chodzi o linje ciała, wyjątkowo piękna. Niewątpliwie, nie jest taka zła, jak się spoczątku wydawała — jest coraz sympatyczniejsza. Można ją lubić i można się nią interesować. Ale śmieszne jest twierdzić, że to zainteresowanie czyta się na jego twarzy. Zaczny ksiądz, *mais c'est un farceur!*...

Przez te parę dni żył w polu i w lesie. We wtorek przed wieczorem wrócił do Warszawy.

Za godzinę miał być u Czarnkowskich na obiedzie. Zgodnie z poleceniem, które wydał na wyjezdne, kąpiel czekała i wszystko do przebrania było przygotowane.

Twardowski nigdy wiele nie myślał o swej powierzchności, ale ubierał się dobrze. Renta od

stryja pozwalała mu na to, lubił wszystko w najlepszym gatunku, nie znosił lichoty i partactwa, między innymi źle skrojonego ubrania. Toteż, nie mając wcale świadomości tego, był elegantem niedbającym o elegancję, a więc w najlepszym stylu.

Tym razem myślał o tem, jak będzie wyglądał. Był bardzo zadowolony, że ma nowy, sprawiony na jesieni frak, który znakomicie leży. Przeglądał się długo w lustrze i doszedł do przekonania, że parę dni, spędzonych na wsi, nieustannie na powietrzu, ogromnie poprawiło jego wygląd. Był o wiele młodszy, lżejszy, swobodniejszy. Przypomniawszy sobie, co mu proboszcz powiedział... Może nie tylko ksiądz jest zdolny to za- uważać...

U Czarnkowskich było kilkanaście osób, między innymi i Culmer, koło którego chodzono z ogromną atencją. Culmer był stale uśmiechnięty i mówił paniom przyjemne rzeczy tonem, świadczącym, że łaskawie poświęca dla nich coś ze swej powagi. Kozieńskiego, ani wogóle młodzieży tym razem nie było. Najmłodszym wśród mężczyzn był Twardowski.

Jedną z ostatnich zjawiła się w salonie panna Czarnkowska. Długo się widać ubierała, ale ze skutkiem. Wyglądała nadzwyczajnie.

Wsunęła się do salonu z pozorną skromnością, przywitała się najpierw ze starszem towarzystwem, wkońcu stanęła przed Twardowskim. Wyciągnęła do niego rękę, spuściwszy oczy, jakgdyby się wstydziła swego pysznego dekoltu, ale widocznie chciała mu dać czas na jego podziwianie zbliżając się, bo nie ruszała się z miejsca...

Twardowski uczuł potrzebę powiedzenia jej czegoś przyjemnego.

— Mój proboszcz — rzekł — który się uważa za fizjognomistę, w tych dniach mi powiedział, że jestem pod wrażeniem jakiejś kobiety. W tej chwili zaczynam temu wierzyć.

— Widzę, że pan chce sobie poprawić reputację — odparła z udaną powagą i poszła dalej.

Kiedy służba roznosiła wódki i zakąski, zbliżył się do Twardowskiego hrabia Opoczyński.

— Byłem świeżo — rzekł — na ślubie mej kuzynki w Rzymie. Widziałem się tam z młodym Gravosą, który, jak wielu Włochów, jest zapalonym alpinistą. Opowiadał mi, że wspinając się zeszłego lata na Monte Rosa, spotkał się z Polakiem Twardowskim...

— Pamiętam — odrzekł Twardowski. — Brał on udział w wycieczce profesora Rossiego.

— Więc to o panu była mowa? Chciałem właśnie zapytać, czy to nie ktoś z pańskich krewnych. Ależ w takim razie pan jest znakomitym człowiekiem. Gravosa mi mówił, że Rossi był zachwycony spotkaniem pana, że już przedtem wiele o panu słyszał. Jakże się żona moja ucieszy, gdy się o tem dowie! Chodźmy do niej.

Wziął go pod rękę i podprowadził do swej żony, która rozmawiała w tej chwili z panną Wandą.

— Marysiu! — zawołał — mówiłaś w Rzymie, że bardzobyś pragnęła poznać pana Twardowskiego, tego zdobywcę szczytów alpejskich, o którym opowiadał Gravosa. Oto go masz we własnej osobie.

— Jakżem szczęśliwa! — zawołał hrabina, wyciągając rękę do Twardowskiego. — Imponuje mi dzielność i szukanie niebezpieczeństwa; a tak mało jest mężczyzn, w których się to widzi.

Panna Czarnkowska podniosła zdumione oczy.

— Chodzenie po górach — tłumaczył Twardowski — jest jedną z najmilszych rozrywek, w szczególności dla mnie, który się wśród gór wychowałem. W miarę ćwiczenia wspina się człowiek coraz wyżej, i to jest wielka rozkosz. Wogóle — zaśmiał się — lubimy się wspinać coraz wyżej. To nie jest takie niebezpieczne.

— Ależ panie, — wtrącił Opoczyński — ci Włosi opowiadali, że pan bierze najtrudniejsze szczyty, i cytowali kogoś, komu pan ocalił życie z narażeniem własnego...

Drzwi do pokoju jadalnego otwarto i zawiadomiono, że obiad podany.

— Musi nas pan odwiedzić — rzuciła hrabina — i opowiedzieć nam o swoich alpejskich przygodach.

Twardowski się skłonił. Miał poleczone prowadzić do stołu pannę Wandę, więc podał jej ramię. Szła z nim, nic nie mówiąc.

Gdy usiedli koło siebie, zwróciła się do niego:

— Pan jest *une boîte à surprise*. Teraz znów człowiek się dowiaduje, że pan jest bohaterem alpejskim.

— Jak to pani górnołotnie nazywa...

— Jestem w strachu na myśl, czego się mogę jutro dowiedzieć...

— Sądzi pani, że może to być coś strasznego?...

— Już teraz mi pan niesłychanie imponuje. Gdy jeszcze coś nowego usłyszę, nie będę śmiała podnieść oczu na pana. Ale, naprawdę, to musi być cudowna rzecz znaleźć się na szczycie ponad chmurami, daleko od tej ziemi, na której ludzie mieszkają... Czy pan sądzi, że ze mnie mogłaby być alpinistka?

— Znakomita. Osoba tak ślicznie zbudowana musi być silną i zręczną.

Zarumieniła się uszczęśliwiona.

— Jakto przyjemnie z pańskich ust usłyszeć coś pochlebnego! Poszłabym w góry pod pańską komendą; tylko pan straszenieby mię tyranizował...

— Czy pani naprawdę tak myśli?...

Uderzona dziwnie miękkim tonem jego głosu popatrzyła mu długo w oczy.

— Wie pan, że pan teraz jest jakiś inny, niż pan był...

— Może mój proboszcz miał słuszność...

Znów się zarumieniła i na długo zamilkła.

Gdy towarzystwo przeszło do salonu na czarną kawę, Twardowski stał się na chwilę przedmiotem ogólnego zainteresowania. Opoczyński opowiedział o jego sławie alpinisty swoim sąsiadkom przy stole, a żona jego swoim sąsiadom; ci zaś puścili to dalej.

Twardowskiemu narazie wydało się, że w Polsce tak wielce interesują się ludzie tym szlachetnym sportem. Niebawem wszakże spostrzegł, iż towarzystwu wcale nie chodzi o to, co on tam w Alpach robi, tylko o to, że o nim mówią zagranicą, w Rzymie, podobno nawet w Paryżu i Londynie.

Ta rozmowa o nim zaczęła go dobrze nudzić, gdy spostrzegł, że panna Wanda podeszła do etażerki w przeciwnym rogu salonu, wzięła z niej elegancko oprawną książeczkę i, otwórzszy ją, szła prosto ku niemu. Wstał z krzeselka i zrobił kilka kroków na jej spotkanie.

— To tylko wybieg — rzekła pocichu — by pana uwolnić od rozmowy, która, widzę to dobrze, nudzi pana. Nie mam wcale zamiaru zawracać panu głowy poezją, która pana nie interesuje.

— Przeciwnie, interesuje mnie i dużo jej czytałem.

— Znów niespodzianka. Pan taki suchy uczony...

— Ani taki uczony, ani taki suchy. Co to pani ma w ręku?

— Powiadam panu, że to tylko wybieg. Niech pan tu usiądzie ze mną, to panu coś powiem.

Usiedli na uboczu.

— Myślałam dużo o tem, co mi pan ostatnim razem powiedział.

— Co ja pani powiedziałem?

— Że ja lekceważąco traktuję mężczyzn.

— To prawda.

— I że jestem smarkata, która się mądrzy.

— To było trochę inaczej.

— Mniejsza o to — ten był sens. Otóż po zastanowieniu się doszłam do przekonania, że to nie moja wina.

— A czyja?

— Mężczyzn.

— Jakimże to sposobem?

— Nas, młode dziewczyny, nieraz oskarżają, że jesteśmy za mało kobietami. Może to i prawda. Ale jeżeli tak jest, to dlatego, że mężczyźni są za mało mężczyznami.

— Jak to pani ładnie powiedziała.

— Mówi pan, jak Kozieniecki.

— Kozieniecki jest bardzo inteligentnym człowiekiem.

— Nie. On się zachwyca moją inteligencją, a więc jest głupi.

Wobec tego nieodpartego argumentu Twardowski parsknął śmiechem.

— A jeżeli mówi to nieszczerze i świadomie przewraca w głowie głupiej dziewczynie, składa dowód, że nie ma charakteru. A to jest rzecz jeszcze gorsza.

— To mu się dostało!

— Powiem panu więcej. Widzę ze wszystkiego, że on ma zamiar oświadczyć się o mnie. Jeszcze niedawno możebym go przyjęła, ale teraz... niech sobie idzie na spacer. Wolę zostać starą panną. Doszłam do przekonania, że kobieta może kochać naprawdę tylko takiego mężczyznę, który jej imponuje, który jest od niej mądrzejszy i silniejszy, który ma charakter.

Twardowski milczał i patrzył na dziewczynę zachwycony. Myślał sobie, że ma ona więcej sensu w głowie, niż mu się zdawało.

— Mam wrażenie, że się panu podoba to, co mówię. Tylko niech mi pan nie powie jakiego komplementu, bo panu z tem nie do twarzy. Wtedy panu znów powiem, że zachowuje się pan jak Kozieniecki.

Tyle miałam panu do powiedzenia. Teraz uciekam, bo będą mieli do mnie pretensję, że pana zabrała na cały wieczór.

Twardowski wrócił do reszty towarzystwa. Właśnie mecenas Culmer się żegnał: człowiek poważny, mający tyle rzeczy na głowie, wcześniej udaje się na spoczynek. Przechodząc koło Twardowskiego, podał mu rękę i rzekł półgłosem:

— Spotkamy się jutro wieczór, prawda?

— Ogromnie mądry człowiek — rzekł do niego Czarnkowski po wyjściu Culmera.

— Mądrzejszy, niż ludzie myślą — odrzekł Twardowski.

Gdy się żegnał tego wieczora z panią Czarnkowską, uśmiechnęła się do niego mile i powiedziała mu:

— Najwidoczniej klimat polski panu służy. Bardzo się pan zmienił na korzyść — dobrze pan wygląda. Ale widzę, że Wandeczka wytrwale wykonywa swój program. Ciągłe mi mówi, że się musi z panem wyklócić.

— Zdaje się — odparł — że w tej kłótni będę pobity.

X.

Na wieczornej herbacie u Culmera zastał kilkunastu panów, wśród których aż trzech byłych ministrów; pozostali byli to profesorowie, sędziowie, adwokaci, wreszcie jeden powieściopisarz.

Jednego z obecnych gospodarz, niby przez rozłaznienie, nie przedstawił mu ani z tytułu, ani z nazwiska. Był to człowiek starszy, miał z sześćdziesiąt pięć lat, mały, brzydki — z typu podobny do służącego Jakóba. Tylko gdy Jakób nie wyglądał wcale na głupiego, ten miał wyraz twarzy szczególnie tępy. Nie odezwał się ani słowem przez cały wieczór i znikł

wcześniej od innych, nie żegnając się z nikim. Wszyscy obecni chodzili koło niego z jakimś nabożeństwem, jakby był dla nich najwyższą powagą.

Rozmowa toczyła się o zagadnieniach doby współczesnej: o komunizmie, o bezrobotnych, o maltuzjanizmie, o pacyfizmie, o arbitrażu, o Lidze Narodów... Twardowski, który w tych sprawach miał poglądy, klójące się z ogólnie przyjętymi, postanowił ich nie ujawniać. Bawił się w duchu, wygłaszając z emfazą utarte komunały, będące w obiegu na Zachodzie. Widział, że to sprawia gospodarzowi i jego gościom ogromną przyjemność. Niemal wszyscy obdarzali go komplementem, że jest europejskim człowiekiem.

W dwa dni po tej herbatce Culmer zadzwonił do niego z zapytaniem, kiedy może przyjść na dłuższą rozmowę. Umówili się co do godziny.

— Oho — rzekł do siebie Twardowski — zbliża się punkt kulminacyjny w rozwoju naszej przyjaźni z panem Henrykiem Culmerem. Ciekawym, z czym on przyjdzie...

Culmer tym razem był znów namaszczony. Zaczął od tego, że Twardowski zrobił bardzo dobre wrażenie na jego gościach. Mówił to takim tonem, jakby mu winszował zdania egzaminu. Później zaczął mówić o jego przyszłości, o karierze, która przed nim leży.

— Ma pan wszelkie warunki, żeby zająć wysokie stanowisko i stać się człowiekiem głośnym, nie tylko w tym kraju.

Twardowski dyskretnie robił minę, jakby się zaczynał do tych perspektyw zapalać.

— Chcę panu do tego pomóc — ciągnął dalej Culmer. — Chcę pana zbliżyć, powiem więcej, związać z ludźmi, mającymi wielkie wpływy w kraju i zagranicą. Wielkie wpływy — to mało powiedziane; rządzą oni wszędzie i decydują o karierach ludzkich: z nimi zawsze się dochodzi, bez nich nigdy.

Przerwał i obserwował, jakie jego słowa wywarły na Twardowskim wrażenie. Ten milczał, ale miał wyraz twarzy prawie entuzjastyczny.

— Właściwie dziwne jest, że pan dotychczas z nami się nie związał, że pan nie zetknął się z nami zagranicą. Jesteśmy wszędzie. Tłumaczyć to można tylko tem, że pan tak samotnie, tak na własną rękę chodził po świecie.

Twardowski wyraził zdziwienie, że istnieje na świecie taka potężna organizacja, o której on nic nie wiedział. Prawda, że siedział w książkach i zajmował się przedmiotem, niewymagającym związku z życiem...

Culmer zaczął wymownie wyklądać cele i zadania tej organizacji: jak popiera ona wszędzie prawdziwy postęp, broni sprawiedliwości, opiekuje się słabymi, walczy z gwałtem i przemocą, tępi obskurantyzm, uczy kochać ludzkość, bez względu na różnice ras i wyznań i t. d., i t. d.

Twardowski wyglądał na zachwyconego.

— Teraz przechodzę do najważniejszego — mówił Culmer. — Pan zajmuje się nauką... Ale żeby pan był człowiekiem nawet genialnym i pracował przez całe długie życie, zawsze pan zostanie w granicach wiedzy dostępnej dla ogółu, dla tłumu. Zawsze niedostępna będzie dla pana wiedza wyższa, wiedza wybranych, wiedza o tem, co zawsze dla tłumu było cudem. Zwłaszcza w dziedzinie pańskiego przedmiotu, psychologii.

Do Twardowskiego już próbowali tak mówić niektórzy ludzie zagranicą. Traktował ich jak szarlatanów. Tym razem postanowił słuchać z udaną powagą.

— Skądże wy tę wiedzę macie? — zapytał.

Culmer zaczął mówić prawie rytmicznie, jakby deklamował jakiś wyuczony poemat. Twarz mu się zmieniła, oczy, utkwione w Twardowskiego, nabrały dziwnego wyrazu...

Twardowski to znał: widział podobne operacje w pracowniach i klinikach.

— Nie wiedziałem — rzekł do siebie w duchu — że pan mecenas Culmer jest także hipnotyzerem. Zobaczmy, jak on to robi...

Culmer w najmniejszej mierze nie podejrzewał, że ma przed sobą człowieka z rozległą i gruntowną wiedzą o duszy ludzkiej w rozmaitych jej odmianach i stadiach rozwojowych, o reakcjach między duszami jednostek: o sugestji, hipnotyzmie, telepatji, wreszcie o dziejach duchowych ludzkości. Nie wiedział, że ten młody psycholog studiował autorów starożytności, najdawniejsze dokumenty pisane, i że wie dobrze, co mówią o przeszłości człowieka szczątki, pozostałe po dawnych cywilizacjach, spod powierzchni ziemi wydobyte.

Temu człowiekowi, operującemu wszystkimi wiadomościami, zdobytemi przez sumienne, metodyczne badania, deklamował niezdarną opowieść, będącą zlepkiem starych podań Wschodu, wytworów fantazji indywidualnej, starych i względnie nowych, ale jednych i drugich z czasów, kiedy ludzie mieli bardzo mętne pojęcia o prawach, rządzących przyrodą i historją.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że jego słuchacz, trzeźwy, zimny, krytyczny, śmieje się w duchu z dzisiejszego człowieka, niby inteligentnego i wykształconego, który może z powagą podobne brednie powtarzać.

Plótł duby smalone o Atlantydzie, o jakiejś genialnej rasie ludzi, która żyła na ziemi przed setkami tysięcy lat, o wiedzy przez nich posiadanej, o ich pozostałych potomkach, którzy tę wiedzę odziedziczyli i zazdrośnie jej strzegli przed tłumem, przed niższym gatunkiem ludzi. Mówił o Indjach, o których odleglejszej przeszłości nikt nic, prócz wybranych, nie wie, o kapłanach egipskich i chaldejskich, których tajem-

nice nikomu z tłumu nie są znane, o przechowywaniu tych tajemnic przez mędrców Izraela, o przedostaniu się tej wiedzy do Europy, raz w czasach greckich, w czasach Pitagorasa oraz misterjów eleuzyńskich i orlickich, później pod koniec wieków średnich, o jej panowaniu w najwyższych umysłach humanizmu, reformacji, a później siedemnastego i osiemnastego wieku, wreszcie o jej zamknięciu w łonie potężnej organizacji, która przez nią doszła do panowania nad światem.

Dla Twardowskiego niewiele w tem wszystkim było nowego. Jedne rzeczy wiedział, innych się domyślił na podstawie swych dziesięcioletnich studjów.

Umiałby dać o tem wszystkim Culmerowi wykład, tylko o wiele logiczniejszy i niekłóćący się z danymi dzisiejszej wiedzy, nieodbiegający od podstaw naukowego myślenia. Wiedział także, co to jest ta potężna organizacja, w której imieniu Culmer przemawiał.

Nie ujawniał wcale tego, co myśli: postanowił grać dalej komedję.

Culmer, pewny swego magnetycznego wpływu na słuchacza, był coraz mniej ostrożny, wypowiadał się coraz śmielej, coraz zuchwalej.

Wreszcie skończył. Patrzył na Twardowskiego, który siedział pokornie, niby całkiem ujarzmiony. Po dłuższem milczeniu Twardowski zapytał słabym głosem:

— Co mam zrobić, żeby tę wiedzę osiąść?

— Wejść do nas: już postanowiono pana przyjąć. Musisz pan złożyć przysięgę na dochowanie tajemnicy, przejść inicjację i wytrzymać próby, którym będziesz poddany.

Twardowski dowiedział się wyraźnie, o co chodzi. Wstał z fotela, wziął papierosa, zapalił i rzekł spokojnym, ale mocnym głosem:

— To znaczy: utracić moją niezależność.

Culmer osłupiał. Zmiana tonu Twardowskiego była dla niego całkiem nieoczekiwana. Przez chwilę nie mógł słowa przemówić. Wreszcie odezwał się:

— W pewnej mierze tak. Trzeba czemś zapłacić, gdy się tak wiele otrzymuje.

— Dla mnie — odrzekł Twardowski — moja niezależność nie ma ceny.

— Więc pan odmawia?

— Odmawiam.

— Panie, niech pan pamięta o naszej zasadzie: kto nie z nami, ten przeciw nam. Niech pan się zastanowi nad skutkami swego kroku.

Był wyraźnie zdenerwowany.

Twardowski się zreflektował, że może zbyt stanowczo odpowiedział. Na to jeszcze za wcześnie. Trzeba jeszcze zachować możność pociągnięcia Culmera za język, jeżeli ma wykryć tajemnicę stryja.

— Zastanowię się — rzekł. — Pan rozumie, że to krok ogromnej wagi. Nie można się nań w jednej chwili zdecydować. Trzeba go pod każdym względem rozważyć. Żądam od pana paru tygodni czasu.

Culmer milczał przez dłuższą chwilę.

— Zgadzam się, ale radzę panu powziąć decyzję jaknajrychlej. Leży to w interesie pańskim.

— Czy mogę panu zadać jedno pytanie?

— Niech pan zada; zobaczę, czy mogę odpowiedzieć.

— Czy stryj mój, Alfred, do was należał?

Culmer zawahał się, ale widocznie pomyślał, że odpowiedź może przyspieszyć decyzję Twardowskiego.

— Tak.

— Dziękuję. W ciągu najdalej trzech tygodni dam panu odpowiedź.

Culmer ociągał się, jakby jeszcze chciał coś powiedzieć. Widocznie jednak nic do powiedzenia nie znalazł i niechętnie wyszedł.

Twardowski zrozumiał, że położenie jego zaczyna być trudne. Culmera nie da się utrzymać długo w zawieszeniu. Z chwilą zaś, kiedy mu da odpowiedź ostateczną — odmowną, bo innej dać nie może, stosunki będą zerwane. To zaś może przeciąć dalsze jego poszukiwania.

Dla zyskania na czasie i zabezpieczenia się od natrętnych telefonów mecenasa postanowił wyjechać nazajutrz do Turowa.

Wieczorem zabrał się do robienia notatek z rozmowy z Culmerem. Miała ona nietylko duże znaczenie dla jego poszukiwań obecnych, ale była również wcale ważnym przyczynkiem do jego studjów. Kierownikom organizacji, do której Culmer chciał go wciągnąć, przypisywał posiadanie pewnych wiadomości z zakresu wiedzy hermetycznej starożytnych, którą studjował. Skąpe rewelacje Culmera potwierdzały to, zarówno jak i jego opinię, że wiedza ta do nich doszła tylko w małej części i do tego w postaci zwulgaryzowanej skutkiem tego, że od ludów cywilizowanych starożytności przechodziła ona drogą tradycji ustnej i niezdarnych praktyk przez pokolenia niskiego poziomu cywilizacyjnego i umysłowego.

Zadawał sobie mimochodem pytanie, jakim sposobem można brać dziś ludzi inteligentnych na taką opowieść, jaką słyszał z ust Culmera, na taki stek sprzecznych z dzisiejszą wiedzą bredni. Mogło to oszałamiać ludzi dawniejszych z ich skąpą wiedzą o przyrodzie i o przeszłości człowieka, mogło sprawiać wrażenie nawet na umysłach siedemnastego i osiemnastego wieku, ale dziś?... Tu przypomniał sobie, jak często sam stwierdzał zupełną ignorancję w tych rzeczach u ludzi, zajmujących wysokie stanowiska w dzisiejszym świecie, nawet u uczonych poważnie pracujących w innych dziedzinach. Tak, mówił sobie, jeszcze jest dużo pola dla szarlatanów.

Jego stryj, o ile Culmer nie skłamał, spoczątku do tej organizacji należał, ale później musiał z nią zerwać. Przypomniawszy sobie rozmowy ze stryjem podczas spotkań zagranicą i to, co mu ksiądz o tym człowieku opowiadał. W głowie naraz zrobiło mu się jasno. Tak, w tem zerwaniu tkwi istota tajemnicy stryja. Zaczęła się walka, do której ten człowiek nie był należycie uzbrojony i w której został pobity...

Przypomniawszy sobie przyjazd stryja do Szwajcarii, kiedy ten przeniósł go do Fryburga, do francuskiego liceum katolickiego. Musiało to nastąpić wkrótce po zerwaniu. Ta data zbiega się z datą likwidacji interesów i wycofania się z życia towarzyskiego. Wszystko zaczyna być jasne. I ta ciekawość Culmera do papierów stryja staje się wcale jasną...

Zerwał się podniecony, jak wtedy, kiedy raz w ciągu swoich dociekań naukowych zrobił odkrycie, które mu oświeciło i wytłumaczyło cały szereg zjawisk. Zaczął chodzić dużymi krokami po pokoju, myśli szybko biegały mu po głowie, w której układał się cały obraz przeszłości stryja, stanowiący już teraz logiczną całość. Wszystko się z sobą wiązało.

Nazajutrz popołudniu stawiał się Marek z autodem. Po drodze do Turowa Twardowski kazał mu skręcić do miasteczka, chcąc się rozmówić z doktorem i usłyszeć ostateczne potwierdzenie tego, co jego list zawierał.

Zemła, ledwie go zobaczył, zaczął wzburzony wykrzykiwać:

— No i niech pan powie, co za nikczemność, co za łajdactwo! Do czego ludzie są zdolni! Ja przecie znałem jego organizm, jak swój: nie widziałem zdrowszego człowieka.

Nie było najmniejszej wątpliwości, że doktor był szczery.

— Jaki mógł być cel tego kłamstwa? — myślał głośno Twardowski.

— Żeby mu zaszkodzić w interesach — odparł bez namysłu doktor.

Po chwili milczenia zawołał:

— Wie pan co? Tego właśnie rodzaju kłamstwo zabija człowieka przede wszystkim w oczach kobiety. Kto wie, czy tu nie wchodziła w grę kobieta...

Twardowskiego ta myśl uderzyła. Przecie od kobiety usłyszał to po raz pierwszy. Pani Czarnkowska mówiła dziwnym tonem o jego stryju... Jeszcze jedna zagadka!

Przez cały wieczór ta zagadka nie schodziła mu z myśli.

Siedział w bibliotece po obiedzie, zestawiał sobie fakty i daty.

Panna Wanda ma najwyżej lat dwadzieścia dwa. Czarnkowski się ożenił ze swoją obecną żoną, kiedy córka jego była małym dzieckiem...

Zaczął liczyć...

Tak, ożenił się w czasie, kiedy stryj Alfred związał swoje interesy i porzucił Warszawę. Dziwny zbieg... Czy to aby zbieg okoliczności? Czy między temi faktami niema związku?... A ona, Czarnkowska?... Chciała go koniecznie poznać. Od początku zaczęła mówić o stryju. Usiłowała mówić spokojnie, ale w jej tonie było coś tragicznego. Zrazu nie zdał sobie sprawy z tego, ale teraz to widzi. Potem unikała z nim rozmowy. Może bała się z czemś zdradzić...

Zamyślił się tak, że stracił poczucie miejsca, w którym się znajdował, zapomniał o wszystkim, co go otaczało.

Naraz znów wydało mu się, że ktoś chodzi miarowymi krokami po pokoju — tam i spowrotem, tam i spowrotem...

Twardowskiego ogarnął głęboki, przygniatający smutek. Jak ten nieszczęśliwy człowiek szamotał się w matni intryg, które go otaczały!...

— Zaczynam cię rozumieć — szepnął. — Uspokój się: oni już długo triumfować nie będą...

Przetarł oczy, oprzytomniał. Kroki w pokoju ucichły.

— Jak się dziwić ludziom nieotrzaskanym z temi rzeczami — rzekł do siebie — kiedy ja sam tracę trzeźwość i rozmawiam ze zmarłymi...

Zadzwoił na Grzegorza, kazał pogasić światła i poszedł na górę w towarzystwie nieodłącznego Pioruna.

Rano wziął na ramię dubeltówkę i całe przedpołudnie spędził z Wygą w polu i w lesie.

Popołudniu wybrał się piechotą do proboszcza.

— Opowiem ci to — myślał — czegoś ty mi nie chciał opowiedzieć.

Ksiądz go powitał serdecznie i zaczął wypytywać, jak mu się żyje w Warszawie.

— Dobrze — odrzekł Twardowski — bom się sporo dowiedział. Przypomina sobie ksiądz, żem mu obiecał opowiedzieć to, czego się dowiem. Przyszedłem dotrzymać obietnicy.

Ksiądz widocznie się zaniepokoił.

— Niewątpliwie ksiądz wie o „Związku uczynnych grabarzy“?...

— Muszę wiedzieć, bo przecie jest to organizacja walcząca z Kościołem. Nigdy wszakże nie zajmowałem się nią bliżej i moje wiadomości są bardzo ogólne.

— Otóż wykryłem, że mój nieszczęśliwy stryj był członkiem tej organizacji.

— Jak to można taką rzecz wykryć?

— Później księdzu dokładnie to opowiem. Teraz niech mu wystarczy, żem wykrył. Na parę lat przed wielką wojną stryj z nimi zerwał — jeszcze nie wiem, z jakiego powodu. Wtedy wypowiedzieli mu walkę, w której główną bronią były oszczerstwa. On był sam, oni zaś mieli organizację, więc walka była nie-

równa. Oni go zwyciężyli, zmusili do wycofania się z życia. Potem, obawiając się, żeby nie zrobił użytku z dokumentów, które miał w ręku, starali się wszelkimi sposobami je wydrzeć i prześladowali go w dalszym ciągu. Dlatego musiał się do końca życia strzec ich...

Ksiądz nie grał komedji, nie udawał zaciekawionego sensacyjnymi odkryciami. Widoczne było, że to wszystko nie było dla niego nowością. Tylko nieruchomość jego twarzy świadczyła, iż robi wielki wysiłek, ażeby się nie zdradzić z tem, co mu wiadomo.

Twardowski ciągnął dalej:

— Główną osobistością wśród wrogów stryja był mieszkający w Warszawie adwokat Henryk Culmer.

Ksiądz drgnął. Ciągłe milczał zawzięcie. Twardowski kończył:

— Poznałem tego łotra. Ciągłe jeszcze szuka sposobu dobrania się do papierów stryja. Wobec tego będę musiał z nim dojść do rozprawy.

Ksiądz się zasępił.

— Odkryłem jeszcze rzecz inną — ciągnął Twardowski. — Była w życiu stryja kobieta, którą kochał i z którą bodaj miał zamiar się żenić. Ta kobieta z nim zerwała. Okłamano ją, że stryj jest chory, zagrożony paraliżem postępowym...

Ksiądz wreszcie przerwał milczenie:

— Nie wiem, skąd pan te wiadomości zdobył i o ile są one pewne. To tylko wiem, że ś. p. stryj pański nie chciał, żeby się pan zajmował jego przeszłością...

— Prawda, ale nie kierował się względami na siebie, tylko na mnie. Wiem, że spoczątku miał zamiar powierzyć mi całą tajemnicę swego życia. Dopiero przed samą śmiercią zdecydował się zamknąć ją przede mną, ażeby mnie nie obarczać tą ciężką spuścizną. Nie chciał niczem krępować mej swobody, od-

ciągać mnie od spraw moich: chciał być tylko moim dobrodziejem.

— Tak — odparł ksiądz — on już ma spokój: nic mu już nie możemy dać, prócz modlitwy za jego duszę. Pan ma przed sobą swoje życie i obowiązki, które trzeba spełnić.

— Nie mogę całkowicie się z księdzem zgodzić. Mojemu stryjowi stała się wielka krzywda, z którą umarł. W dalszym ciągu krzywda się dzieje jego pa-mięci. Moim obowiązkiem jest tę krzywdę naprawić i nie spoczną, póki tego obowiązku nie spełnię.

Na twarzy księdza odmalowało się głębokie wzru-szenie. W oczach mu łzy zaświeciły. Nic na ostatnie słowa Twardowskiego nie odpowiedział, tylko gdy się żegnali, rzucił mu się na szyję.

XI.

Po rozmowie z Twardowskim Culmer wrócił do domu mocno zdenerwowany. Był wściekły na Twar-dowskiego, nienawidził go w tej chwili potężnie. Nie było w tem nic niezwykłego: gniew i nienawiść były to trwałe i mocne sprężyny jego duszy. Odczuwał pewien strach: bał się, żeby ten młody, dotychczas lekceważony filozof nie przyczynił mu wielkiego kłó-potu. I to nie było niczem nowem w jego życiu: nie-raz już bywał w wielkim strachu. Najprzykrzejsze było to, że nie czuł się z siebie zadowolonym.

Nie przewidział oporu ze strony Twardowskiego i wbrew przyjętym zasadom postępowania powiedział za wiele. Zanadto mu się śpieszyło z dobraniem się do papierów Alfreda Twardowskiego. Niemożliwa rzecz, żeby ten naiwny filozof oszukiwał go, grał przed nim komedję. Jedno tylko jest tłumaczenie: on nie musi być całkiem normalny; to pewnie narwa-

niec, taki, jak jego stryj. Najgorsza rzecz mieć do czynienia z warjatami...

Gdyby ten młody Twardowski nie był taką białą kartą; gdyby miał w życiu jakąś historję, jakiś skandal, jakąś rzecz, któraby go mogła wprowadzić w konflikt z prawem lub zabić w opinji i którą musiałby ukrywać — można byłoby go za to trzymać, jak się przeważnie trzyma ludzi. Ale to, zdaje się, niewiniątko. Przy najstaranniejszych dochodzeniach pewnieby się na niego nic nie znalazło. W każdym razie trzeba napisać do Paryża — może tam co o nim wiedzą...

A możeby się dało coś mu podsunąć, w coś go zaangażować, czemś związać?... Zdaje się, że jest mocno wrażliwy na kobiety. Na owym obiedzie u Czarnkowskich poprostu pożerał oczyma pannę. On, Culmer, bacznie go obserwował...

Zamyslił się, widocznie kombinował.

Naraz chwycił słuchawkę stojącego na biurku telefonu i podał numer. Był to numer jego zamężnej córki.

— Czy mieszkanie państwa Brzozowskich?

— Proszę panią do telefonu.

— Czy to ty, Helu?

— Słuchaj, Helu, przyjdź do mnie zaraz. Mam do ciebie pilny interes.

— Nie możesz?... Oczekujesz kogoś?... A twój mąż gdzie jest?

— Głupie żarty. Tu nie chodzi o kontrolę cnoty. Wiesz, że ja się tem nie zajmuję. Ale ty mi jesteś bardzo potrzebna.

— Nie na dzisiejszą noc, ale sprawa jest bardzo pilna.

— No, to trudno, przyjdź jutro rano.

— Dopiero popołudniu? Przyjdź zaraz po śniadaniu. Dobranoc.

Niezadowolony odłożył słuchawkę i przesunął telefon na pokój służącego.

Zaczął chodzić niespokojnie po swoim gabinecie. Za chwilę wszedł Jakób.

— Pan Czarnkowski przy telefonie.

Culmer wziął słuchawkę.

— Dobry wieczór. Czem mogę panu służyć?

— Niestety, jutro jestem cały dzień bardzo zajęty.

— A co pan teraz robi?

— Mam godzinkę czasu. Niech pan wpadnie, to pomówimy.

W dziesięć minut Jakób wprowadził do gabinetu pana Czarnkowskiego. Był bardzo zaaferowany.

Culmer usadził go w fotelu. Wyciągnął cygara, obaj zapalili, wreszcie zapytał:

— No, cóż tam, drogi panie, takiego pilnego?

— Czy nie znalazł pan kupca na Zbychów?

— Niestety, nie. Dziś tak każdemu trudno o pieniądze.

— Do mnie zgłosił się pośrednik, ale oferta jest niemożliwa. Dają niewiele więcej jak połowę istotnej wartości majątku.

— Kto to taki?

— Pośrednik nie chce powiedzieć, dopóki się nie zgodzę na tej podstawie traktować.

Culmer roześmiał się w duchu — wiedział, od kogo pośrednik przychodził.

— Poco pan się śpieszy z tą sprzedażą? Dziś nie ma mowy o dostaniu dobrej ceny.

— Panie mecenasie, jeżeli w ciągu dwóch tygodni nie zdobędę gotówki, to mi się wymknie tamten interes, i stracę jeszcze zadatek.

— Niech pan się jeszcze zastanowi. Kopalnie złota bywają wielkim interesem, ale czasem zawodzą. Nie chciałbym, żeby pan poniósł straty. Nic nie wiem o solidności tej kompanji, więc nie mam prawa nic

złego, ani dobrego o niej mówić. Ale trzeba zawsze być ostrożnym.

— Pan jest bardzo zacnym człowiekiem i rozumiem pana. Ale niech pan nie zapomina, że ten interes mi zalecił sir Joseph Turner, który sam się weń zaangażował.

— Sir Joseph jest wielkim gentlemanem i wielkim znawcą interesów. Ale i on się może raz omylić.

— Jestem pewien, że nie tym razem — rzekł, śmiejąc się, Czarnkowski. — No, nie mówmy więcej o tem. Jestem całkowicie zdecydowany i nic pan na to nie poradzi.

Ha, trudno. *Volenti non fit iniuria*. To ja panu nie pozwolę majątku zmarnować. Sprzedanie za połowę wartości jest samobójstwem.

— Prawda. Ale cóż ja zrobię? Gotówkę mieć muszę. Gdyby chcieli postąpić choć o dwa miliony...

Culmer się zamyślił. Milczenie trwało kilka minut.

— Wie pan — przerwał je mecenas — gdybym był człowiekiem bogatym, sambym kupił Zbychów i zapłacił pełną cenę. To piękny majątek i każdy, kto go kupi, zrobi dobry interes.

Czarnkowski otworzył szeroko oczy. W oczach tych zabłysła nadzieja.

— Panby kupił?

— Chętnie. Tylko nie mam na to i muszę sobie odmówić. I panubym wyświadczył usługę, i sam może załatwiłbym jedną sprawę, która mię w ostatnich czasach gryzie.

Czarnkowski czekał i pytał spojrzeniem.

— Widzi pan — ciągnął Culmer — w moim synu odezwała się krew angielska. Od paru lat zagląda do Polski tylko na krótko: siedzi w Anglii, tam mu się powodzi, i boję się, że zostanie Anglikiem. Gdybym mu kupił taki majątek, przywiązałbym go do Polski.

— Niech pan kupi! — zawołał Czarnkowski. — Będę wiedział przynajmniej, że Zbychów przeszedł w dobre ręce i że służy dobremu celowi.

— Nie, to niepodobna. Gdybym nawet kupił bardzo korzystnie, wątpię, czybym się przy nim mógł utrzymać. Niestety, czasy dla rolnictwa są złe i zapowiadają się jeszcze gorsze.

— Panie mecenasie, ja panu sprzedam tanio. Wolę przecie, żeby pan kupił, niż ktokolwiek inny.

Culmer myślał znów kilka minut. Wreszcie rzekł z decyzją:

— Ja panu powiem. Będziemy starali się sprzedać dobrze. Jeżeli się nie uda, to ja się obliczę i postąpię ponad ofiarowaną cenę tyle, ile będę mógł. Nie mogę przecie pozwolić, żeby pana obdarto.

Czarnkowski wzruszony dłoń mecenasa mocno uściskał.

— Mam nadzieję — rzekł — że niedługo będziemy szukali i że interes między sobą załatwimy.

Wyszedł uszczęśliwiony.

Tym razem mecenas Henryk Culmer był z siebie zadowolony. Jeden z jego genialnych planów zbliżał się do ostatecznej realizacji. Myślał o swoim synu. Karol będzie miał sytuację, która mu pozwoli odegrać pierwszorzędą rolę. Tylko czy on tego nie zmarnuje? To chłopak bardzo zdolny; ale on sobie za nadto kpi z wszystkiego, zbyt się manifestuje ze swym cynizmem. Culmer sam podsłuchał raz przypadkiem, jak Karol w rozmowie z siostrą ojca nazwał „uroczystą małpą”.

Myśl jego wróciła do rozmowy z Twardowskim i pan mecenas się zasępił. Z nadto się pośpieszył — trzeba było działać powolniej. Przecież już miał doświadczenie z jego stryjem. Ci Twardowscy to jakiś osobny gatunek ludzi...

Tę noc mecenas Culmer spędził niespokojnie.

Następnego dnia siedział po śniadaniu przy czarnej kawie i cygarze, gdy wpadła Hela.

Pani Brzozowska była wybitną piękną orjentalną. Miała ładną, trochę zbyt pełną figurę, śliczną śniadawą cerę i duże, w syryjskiej oprawie, czarne, płonące oczy. Z tym typem urody harmonizowały jej ociężałe, leniwe ruchy. Wyglądała na lat mniej więcej trzydzieści, ale każdy, kto znał się na jej typie, mógł wiedzieć, że nie ma nawet dwudziestu pięciu.

Siadła w fotelu naprzeciw ojca, wzięła papierosa z pudełka, zapaliła, nalała sobie kawy w przygotowaną dla niej filiżankę i zapytała:

— Co się pali?

— Helu — rzekł Culmer — jesteś mi bardzo potrzebna.

— Kogo mam uwieść?

— Nie żartuj. To poważna sprawa.

— Słucham.

— Znasz Twardowskiego, który niedawno przyjechał z Paryża?

— Widziałam go raz u Czarnkowskich.

— Co o nim myślisz?

— To ciekawy facet. Oryginał, wygląda trochę na warjata; ale mnie się zdaje, że on mądrzejszy, niż wy myślicie. Co on ci zrobił?

— Tymczasem nic. Ja go muszę wziąć. Już go miałem w rękach i wymknął się. Jeżeli go nie dostanę, może być duży kłopot.

— Rozumiem. Więc chcesz, żebym ja go do ciebie przyprowadziła?

— Tak.

— Kosztem mojej cnoty?

— Ty ciągle sobie żartujesz.

— No, to mówmy poważnie. Tym razem rzecz będzie nie taka prosta. W tym Twardowskim jest coś, czego ja nie znam. Do niego nie można się brać tak, jak do każdego innego. No, ale ja sobie poradzę.

W gruncie rzeczy oni wszyscy jednakowi. A co ja za to dostanę?

— Już się targujesz?

— Muszę. Ty tylko dbasz o swojego karalucha, a o mnie nie myślisz?

— Jaki karaluch?

— Karol. Ty nie wiesz, że on się nazywa „namiętny karaluch”? Słuchaj, tu jest jedna Rosjanka, co ma do sprzedania butony brylantowe: ta sama, cośmy od niej w zaprzeszłym roku kupili perły. Te butony bardzo mi się podobają. I to dobry interes. Ty mi je kupisz.

Culmer pomyślał chwilę.

— Dobrze, jeżeli Twardowskiego do mnie doprowadzisz.

— Do ciebie, to znaczy do twojej klatki z tresowanymi małpami.

— Helu, mówiłem ci, żebyś się tak nie wyrażała.

— Przecie nikt nie słyszy. Więc będę miała butony?

— Tak, jeżeli...

Powstała, zabierając się do wyjścia.

— Oj, Henryczku, Henryczku, jak ty mnie eksploatujesz!

— Czy to taka wielka ofiara z twojej strony?

— Tym razem może nie. On mnie zaciekawia. Ale czasami to była prawdziwa ofiara.

Culmer wstał z miejsca, żegnając się z córką.

— Tylko się pośpiesz — rzekł — bo to pilna sprawa. Co porabia twój mąż?

— Nie przypominaj mi tego bałwana.

— Czy taki nie lepszy od innych?

— Nie masz pojęcia, jaki on monotonny, jaki nudny. On wszystko robi nudnie.

— Wszystko?

— I to, i tamto.

Podążyła mu twarz do pocałowania i wyszła.

— Dobra dziewczyna — pomyślał Culmer — duża z niej jest pomoc. Karol w porównaniu z nią to nieużyteczny łobuz.

A jednak do Karola miał większą słabość.

Pośpiech, zalecony córce przez Culmera, okazał się niemożliwy. W czwartek wieczorem pani Brzozowska zatelefonowała ojcu, że na popołudniowym przyjęciu u Czarnkowskich Twardowskiego nie było. Wyjechał na wieś.

Culmera trawił coraz większy niepokój. Jak ten filozof będzie miał za wiele czasu do namysłu, wszystko może być zepsute.

Dowiadywał się przez telefon u Michała, kiedy pan wróci, ale Michał nic nie wiedział.

Przyszła mu myśl pojechania do Turowa. Myśl tę wszakże rychło odrzucił. On nie ma już szans wpłynięcia na tego warjata, tylko Hela coś zrobić może. Zresztą, może tam jeszcze jest to straszne, dzikie bydlę, które go jak tłumok wrzucało do automobilu... Zastanawiał się, czy niema sposobu na przyśpieszenie powrotu Twardowskiego do Warszawy.

Siedział przy biurku, mając przed sobą bilans jednego z towarzystw akcyjnych, którego był radcą prawnym; ale zamiast go przeglądać, myślał o Twardowskim.

Wszedł Jakób i zaanonsował profesora Topolińskiego.

— Dobrze, że profesor przychodzisz — rzekł Culmer do Topolińskiego, który zajął miejsce przed biurkiem — chcę ci dać pewną instrukcję. Chodzi o tego młodego Twardowskiego.

— Słucham.

— Poleciałem ostrożnie robienie mu reputacji, żeby przygotować grunt do wysunięcia go trochę na front. Polecenie to jest wykonywane, nieprawda?

— Naturalnie.

— Otóż teraz trzeba to wstrzymać.

— Cieszę się, bo on mi się nie podobał.

— Wszystko jedno, czy on się profesorowi podoba, czy nie podoba, trzeba wstrzymać.

Topoliński musiał zauważyć, że Culmer jest dobrze zdenerwowany. Ten ciągnął dalej:

— Do czasu, ma się rozumieć. Wkrótce się zdecyduje, czy robimy dalej w tym samym kierunku, czy też pójdziemy w przeciwnym.

— Rozumiem.

— Tyle miałem do powiedzenia.

— Ja tu przyszedłem w jednej sprawie.

— Słucham.

— Niedawno wydałem książkę.

— Wiem.

— Jest to praca lat kilku, do której przywiązuję wielką wagę. Tymczasem nasza prasa traktuje ją zbyt obojętnie. Ja zaś chciałbym, żeby zdobyła w Polsce rozgłos i wyszła w tłumaczeniu zagranicą.

— Nie czytałem tej książki, bo nie mam na to czasu. Ale miałem o niej sprawozdanie. To rzecz słaba. Trudno jej bronić przed napaściami przeciwników. Niejasne myśli autora wyłożone są niejasnym językiem. Przytem autor, niezupełnie widać umocniony w naszej ideologii, zagalopował się i zanadto od niej odbiegł. Możemy dawać pewną swobodę, ale tu profesor zbyt z niej skorzystał. Jabym radził przestać pisać, skoro się nie umie panować nad swem piórem.

Tu Topoliński zauważył, że zdenerwowanie mecenasa jest większe, niż myślał.

— A jednak — wyjąknął — moje rzeczy były tłumaczone na inne języki.

— To było dawno. I to były rzeczy małe, gdy ta książka jest gruba. Zresztą, o nich także powiedziano, że są słabe i mętne.

Topoliński zauważył, że dalsza rozmowa byłaby nieużyteczna. Zabrał się i wyszedł.

— Durnie — mówił do siebie Culmer po jego wyjściu — chcą, żeby ich ciągle kupować, tak jak to się robi spoczątku. A służyć porządnie nie umieją. Jakże mało jest ludzi naprawdę zdolnych!

Mecenas wszedł w fazę pesymizmu.

Miał wszakże i powody do zadowolenia.

Interes z Czarnkowskim poszedł prędzej, niż można było się spodziewać. Dobry kupiec na Zbychów nie znalazł się i szlachcic kilkakrotnie napraszał się, żeby Culmer majątek kupił. Wreszcie mecenas dał się ubłagać i umowa została spisana.

— Może panu niewygodnie — zapytał Culmer — żeby teraz o sprzedaży ogłaszać? Możemy z tem poczekać.

— Ach, jaki pan delikatny i wszystko przewidujący — odrzekł Czarnkowski. — Tymczasem tak będzie lepiej. Myślałem nawet, czy pana o to nie prosić.

Czarnkowski dostał trochę gotówką, resztę zaś przekazem na Paryż i natychmiast wyjechał zagranicę.

Culmer zawiadomił listownie swego syna, że transakcja doszła do skutku. Karol odpisał, że wkrótce przyjedzie obejrzeć swą posiadłość, tylko musi jeszcze przypilnować „tego łobuza Stuarta”, żeby go nie oszukał.

Wreszcie, doniesiono mu, że Twardowski wrócił do Warszawy.

XII.

Jak na polski klimat koniec zimy nie był najgorszy. Przeważnie panowały lekkie przymrozki i dość często pokazywało się słońce. Bywało wietrzno, ale chlapaniny było niewiele.

Z tej pogody korzystał Twardowski, włócząc się z dubeltówką po polu i lesie. Strzelał niewiele, a wiele myślał.

Myślał przede wszystkim o Culmerze. Nie miał żadnej wątpliwości co do ostatecznej odpowiedzi, jaką mu da po powrocie do Warszawy: ta mogła być tylko jedna. Tak, ale co dalej?... Jak wykryć tajemnicę jego stosunków ze stryjem? Po otrzymaniu odpowiedzi ten łotr z nim zerwie, i wtedy już nic się z niego nie wyciągnie. Trudno, trzeba będzie szukać dróg innych.

Żałował, że żądał zwłoki, która przecie na nic przydać się nie mogła. Opanowany myślą wydobyć z Culmera prawdy, potraktował go nie tak, jak był powinien.

Twardowski był skrajnym indywidualistą. Korzystając z niezależności materialnej, mając swobodę rozbicia, co mu się podobało, niezmuszony nigdy służyć, wybujał moralnie aż do granic, w których to staje się niebezpiecznym: wyrosła w nim wielka duma, która tylko dzięki niepospolitej jego inteligencji nie wyrodziła się ani w pychę, ani w próżność.

Tę dumę Culmer uraził i musi być za to ukarany.

Twardowski miał świadomość, że coraz bardziej zatracą zimny obiektywizm, że zaczynają nim rządzić nieznane mu przedtem namiętności. Czuł niezaspokojone pragnienie walki, nie tylko z łotrami, którzy krzywdzili stryja, nie tylko z zuchwałym Żydem, który mu w jego przekonaniu ubliżył, ale z kimkolwiek i z czemkolwiek... choćby z żywiołem. Ludzie turowscy dziwowali się, widząc go pewnego dnia brnącego w długich butach i nieprzemakalnym płaszczu pod silny wiatr z deszczem: nie rozumieli, jak ktoś może bez potrzeby włóczyć się w taką pogodę po świecie. Nie wiedzieli, że ta właśnie pogoda była w owej chwili najlepszą kąpielą dla miotanej niepokojem jego duszy.

Nie tylko Culmer był sprawcą tego niepokoju. Myśl Twardowskiego nawracała często do panny Czarnkowskiej. Po raz pierwszy jakaś kobieta zajęła tyle

miejsca w jego wewnętrznym życiu. Nie unikał nigdy towarzystwa kobiet, mniej lub więcej podobały mu się, nawet pociągały go, ale nigdy tak dalece, żeby sobie powiedział: koniecznie ta, a nie inna. Filozoficznie stwierdzał, że w gruncie rzeczy niewielka jest między nimi różnica. Wobec Wandy zaczynał zatracać tę filozofję, coraz mniej był zdolny myśleć o niej obiektywnie. Jakieś niewytłumaczone powinowactwo ciągnęło go do niej i wytwarzało poczucie, że dziewczyna jest ciągle od niego za daleko. Próbował to sobie tłumaczyć zaletami, których coraz więcej w niej odkrywał, ale temu tłumaczeniu sam niebardzo ufał. Zadawał sobie pytanie, czy bardzoby go do niej zraziło, gdyby odkrył w niej jaką wielką wadę, i odpowiadał sobie, że nie. Może dlatego, że uważał to za nieprawdopodobne... Doszedł do przekonania, że o tej dziewczynie nie umie myśleć logicznie, i przestał tego próbować.

Za nielogiczny też uważał swój stosunek do Kozienieckiego. Choć wiedział, że panna Czarneckowska eleganckiego profesora lekceważy, irytowała go jego ciągła obecność u boku dziewczyny.

— Chodzi za nią jak pudel — mrucał z gniewem.

Wyjechał do Warszawy w czwartek i nie ukrywał tego przed sobą, że wybrał ten dzień poto, by pójść do Czarneckich. Jednakże robił to nietylko dlatego, że chciał zobaczyć pannę Wandę. Miał nadzieję dowiedzieć się czegoś od pani Czarneckiej o stosunkach między stryjem a Culmerem: zerwanie z ostatnim było nieuniknione, więc trzeba będzie indziej szukać klucza do dręczącej go zagadki. Obmyślał sobie rozmowę na ten temat z przybraną matką Wandy...

Pana Czarneckiego na czwartkowym przyjęciu nie było. Po przywitaniu Twardowski przysiadł się do pani domu. Zapytała go, jak spędził te parę tygodni u siebie na wsi.

— Mam wrażenie, że jestem nie u siebie, że stryj ciągle w tym domu mieszka i panuje. Myśl moja co chwila ku niemu nawraca, usiłuje bezskutecznie rozwiązać zagadkę jego życia. Naprzykład, ta wiadomość, którą słyszałem od pani, o jego chorobie...

— To było wielkie nieszczęście — rzekła matowym głosem.

— Proszę pani, to nie była prawda: panią w błąd wprowadzono.

Z panicznym strachem w oczach, jakby kto w nią śmiertelną broń wymierzył, odrzuciła się od niego.

— To nie może być — wyszeptala.

— Oto jest list jego stałego lekarza.

Podał jej list Zemły. Wzięła go drżącą ręką i zaczęła czytać. Twarz jej pokryła trupia bladość. Twardowski zaczął żałować, że dokonał tej operacji w salonie, na czwartkowym przyjęciu. Należało to zrobić w cztery oczy.

Pani Czarnkowska opanowała się. List powoli, pedantycznie złożyła, zwróciła Twardowskiemu i przez chwilę milczała, patrząc w przestrzeń suchemi, twarde oczyma, jakich u niej nigdy nie widział. Wreszcie z jakąś dziwną energją rzuciła pytanie:

— Jakiż był cel zmyślenia podobnej rzeczy?

— Zgubić go w oczach pani.

— Komuż na tem mogło zależeć i dlaczego?

— Właśnie staram się to wyjaśnić.

Postanowił zaryzykować.

— Pozwoli pani zgadnąć, kto panią okłamał?

— Ten, kto to powiedział, mógł być sam w błąd wprowadzony. Zresztą potwierdzili to inni.

— Nie, on kłamał z całą świadomością, a ci inni byli przez niego nasłani. Był to Culmer.

Nie zaprzeczyła. Twardowski wolniej odetchnął: widział, że zgadł. Teraz nie wątpił, że zdobył sojuszniczkę.

Pani Czarnkowska tylko zapytała:

— POCO to robił?

— Był zajadłym wrogiem stryja Alfreda i postanowił go zniszczyć. Udało mu się o tyle, że złamał mu życie.

— Przecież to byli przyjaciele...

— Tak twierdzi po dziś dzień Culmer. I mnie się oświadcza z przyjaźnią. Wkrótce dowie się pani, co to warte.

Chwilowa energja naraz biedną kobietę opuściła. Bezwładnie zatonała w fotelu.

— Panie — szepnęła, — tyle mi pan powiedział, że mi się w głowie miesza. Muszę zebrać myśli. Wrócimy do tej rozmowy innym razem.

Wyciągnęła do niego bezwładną rękę, którą Twardowski pocałował.

Zbliżył się do panny Wandy. Wstała z krzeselka i zrobiła parę kroków ku niemu.

— Co pan za straszną rozmowę z mamusią prowadził? — zapytała pocichu. — Obserwowałam was przez cały czas. Dał jej pan do przeczytania jakiś list, który musiał być okropny.

— Przeciwnie, list ten sprostował okropne kłamstwo. Ale, droga pani, proszę mi dać słowo, iż pani mamie nie powie, że obserwowała naszą rozmowę. Zrobiłaby jej pani wielką przykrość.

Spojrzał ku pani Czarnkowskiej, ale jej nie spostrzegł. Opuściła salon.

— Kiedy pan tak mówi, to damę słowo — rzekła Wanda. — A sama dowiem się, co to było?

— Nie.

— Dziwny człowiek! Powiada krótko: nie — i odrazu mię przekonywa, że nie powinnam wiedzieć.

— Dziękuję pani za zaufanie.

Zbliżył się do nich trzydziestokilkoletni, przystojny blondyn, wysoki, pięknie zbudowany, z rozlanym na twarzy wyrazem nieświadomej sobie głupoty. Przywitał się dość poufale z panną Czarnkowską i popro-

sił ją o przedstawienie go Twardowskiemu. Dziewczyna dokonała ceremonji i oddaliła się do swego towarzystwa.

Nowy znajomy, pan Brzozowski, zaczął od wychwalania domu, w którym się znajdowali, i towarzystwa, które się w nim zbierało. Mówił, że nigdzie się nie spotyka tylu osób inteligentnych, i sam siebie widocznie do nich zaliczał.

— Ludzie inteligentni — mówił — powinni się więcej spotykać i wymieniać myśli. Wtedy wytwarza się atmosfera, w której żyć można.

Twardowskiego uważał za cenny nabytek dla tej atmosfery — słyszał o nim wiele. Wreszcie zaczął mówić o sobie. Jest adwokatem, ale go to nudzi: wolałby poświęcać cały swój czas pracy naukowej, którą obecnie tylko dorywczo może się zajmować. Pracuje nad historją cytadeli warszawskiej jako więzienia politycznego.

Twardowskiego porządnie nudził ten szczególnie uczony i jego „naukowa” praca. Brzozowski wszakże trzymał go za guzik.

— Muszę wyrazić wielkie uznanie byłym więźniom, dziś żyjącym. Prawie wszyscy chętnie nadysłają mi obszernie o sobie wiadomości.

Twardowski się nie dziwił. Najłatwiej o takich, co chętnie z bogacają historję swemi biografjami.

Naraz Brzozowski przerwał:

— Moja żona daje mi znaki, żebym pana do niej przyprowadził. Pan pozwoli jej siebie przedstawić, nieprawdaż?

Nie czekając odpowiedzi, zaczął prowadzić pod rękę Twardowskiego, który był rad z przerwania rozmowy z nudnym głupcem.

W rogu kanapki siedziała piękna, żydowskiego typu brunetka: mierzyła Twardowskiego od stóp do głów przymrużonemi oczyma. Podała mu leniwie rękę

i z zachęcającym uśmiechem wskazała miejsce koło siebie. Męża oddaliła spojrzeniem.

— Chciałam pana poznać, bo przepadam za inteligentnymi mężczyznami.

Twardowski głośno się roześmiał.

— Śmieje się pan, bo przed chwilą rozmawiał pan z moim mężem. Niech się pan nie boi, ja go nie przeceniam. To jeden z najgłupszych i najnudniejszych ludzi w świecie.

Patrzył zdziwiony na kobietę, która zaczyna od takich zwierzeń.

— Dlatego właśnie — dodała — szukam prawdziwej inteligencji.

Patrzyła nań wyzywająco ciągle zmrużonemi czarnemi oczyma.

— Pan nie wierzy w inteligencję kobiet?

— Przeciwnie. Tylko to inteligencja różna od naszej. I dlatego tak nas zaciekawia.

— Naprawdę?... I pana ona interesuje?

— Bardzo.

— Ale choć mężczyźni są inteligentniejsi od nas, my ich lepiej rozumiemy, niż oni nas.

— Bo panie więcej się nami zajmują, niż my paniami.

— Widziałam pana raz tylko — pan mnie nie zauważył — ale już zdążyłam spostrzec, że pan jest bardzo pewny siebie i bardzo zuchwały.

Twardowski widział, że pani chce koniecznie zrobić konkiętę, ale nie mógł się przytem opędnąć myśli, że ma do niego jakiś interes. Chciał się dowiedzieć, co to może być, więc podtrzymywał rozmowę, wpadając w styl pani. Wreszcie, po upływie pół godziny pani zrobiła ruch, zapowiadający powstanie z kanapy.

— Już czas na mnie — rzekła. — Czyż panby nie był taki miły i nie przyszedł którego dnia zjeść z nami obiadu?

Twardowski, ciągle zaciekawiony, zapewnił ją, że będzie to dla niego szczególna przyjemność.

— A może jutro ma pan wieczór wolny? Widzę, że tak. Przyjdzie pan, o ósmej?

— Owszem.

Powiedziała mu adres i odeszła.

Goście zaczynali się rozchodzić. Twardowski poszedł do panny Wandy.

— Nie widziałam pana nigdy tak ożywionym — rzekła z lekkim odcieniem ironji.

— Jak kiedy?

— Jak podczas flirtu z panią Brzozowską. Ona jest inteligentna, prawda?

— Nie wiem. Tym razem mówiła o rzeczach, które rozumie.

— A ja mądrzę się o tem, na czem się nie znam, tak?... Ach, jaki pan zły!

Twardowski wziął ton serdeczny:

— Nie, panno Wando, pani mnie przecie nie pośadza o złośliwość względem siebie. Jak pani może siebie porównywać z taką panią Brzozowską! Gdyby kto inny to robił, obraziłbym się za panią.

Dziewczyna spojrzała nań wdzięcznie, zaczerwieniona z radości.

— A swoją drogą za dużo pan z nią flirtował — rzekła z udaną powagą.

— To jeszcze nie skończone: jutro będę u nich na obiedzie.

Popatrzyła nań badawczo i posmutniała.

Ujrzał wchodzącą do salonu panią domu i poszedł się z nią pożegnać. Pani Czarnkowska była już spokojna i pozornie swobodna, ale Twardowskiemu się wydało, że ma zaczerwienione oczy. Przy pożegnaniu spojrzała nań jakoś po macierzyńsku.

Profesor Kozieniecki tym razem Twardowskiemu przy wyjściu nie towarzyszył. Nie zwracał nań uwagi,

siedział przy panie Wandzie i coś szeroko jej opowiadał.

Ta wizyta w domu Czarnkowskich dostarczyła Twardowskiemu dużo materiału do myślenia.

Przedewszystkiem jedna z zagadek, dotyczących stryja, została rozstrzygnięta. Pani Czarnkowska niewątpliwie przed wyjściem za obecnego swego męża była narzeczoną stryja Alfreda i niewątpliwie go kochała. Małżeństwo ich rozbił Culmer przy pomocy zręcznie słabrykowanego oszczerstwa. Widocznie prześladował i niszczył nieprzyjaciela na wszystkich polach, nie przebierając w sposobach. Kto wie, czy pani Czarnkowska nie rzuci więcej światła na wzajemny stosunek tych dwóch ludzi...

Szkoda, że tę rozmowę prowadzili w salonie i że panna Wanda ich obserwowała. Nie powinna nic o tem wiedzieć. Uważał ją wszakże za przyjaciółkę i wierzył w jej lojalność. Co więcej, zaczynał wierzyć, że budzi się w dziewczynie dla niego coś więcej, niż przyjaźń. Była widocznie trochę o niego zazdrosna. Niby żartowała, ale nie mogła ukryć podrażnienia...

Twardowski nie uważał siebie za zdobywcę serc kobiecych, nigdy to w jego ambicjach nie leżało, ale tym razem postanowił dziewczynę podbić. Zdaje się, że i ona czuje w stosunku do niego takie powinowactwo, jak on do niej. Postawił tę hipotezę, jak wiele innych w swoim życiu, taksamo z zapałem, jak tamte, tylko był to jakiś inny zapał, jakaś inna radość: nie lokowała się wyłącznie w mózgu, ale wstrząsała całą jego istotą. Ogarnął go niepokój, ale w tym niepokoju po raz pierwszy w życiu czuł się naprawdę szczęśliwym.

A ta pani Brzozowska... Czego ona może chcieć?... To nie jest zwykła chęć posflirtowania, czy też poszukiwanie awantury. Ona ma na niego jeszcze jakieś zamiary. Trzeba było dowiedzieć się czegoś o niej.

Nie przyszło mu to do głowy, bo zanadto był zajęty panią Czarnkowską i Wandą.

Następnego dnia, wcześniej rano, służący od państwa Czarnkowskich przyniósł mu list, adresowany kobiecą ręką. Czyżby Wanda do niego napisała? Nie, to tylko pani Czarnkowska.

Prosiła go na wszystko, żeby wpadł do niej o którejkolwiek godzinie, rano czy popołudniu. Jest cały dzień w domu.

Poszedł koło dziesiątej.

Służący zaprowadził go do buduaru pani, która — jak oświadczył — była trochę niedomagająca.

Twardowski na wstępie spostrzegł straszną zmianę. Twarz wymęczona więcej niż zwykle, oczy podkrążone, wydawała się jakaś mniejsza, zredukowana; miejsce pańskiej dumy i pewności siebie, której miała wiele w swej postawie, zajęła jakaś dziwna pokora i prawie nieśmiałość. Patrzyła na Twardowskiego oczyma, w których nawet strach można było wyczytać.

Zaczęła mówić słabym głosem, ale równo i spokojnie, jak osoba, która dobrze wie, co i jak chce powiedzieć:

— Niech mi pan wybaczy, że panu czas zabieram, ale widzieć pana dziś musiałam. Spędziłam noc bezsenność, myślałam wiele, także i o panu, i wiele zrozumiałam. Pańskie zjawienie się w moim życiu, pod jego koniec, nie jest zwykłym przypadkiem. Pana przysłał Alfred...

Widocznie spostrzegła na twarzy Twardowskiego obawę o jej równowagę duchową, bo zaprotestowała:

— Niech się pan nie boi — nie oszalałam. Mogło to się zdarzyć, gdybym była młodsza. Nie jestem również przesadną — jestem tylko religijną. Moja religijność nie zabrania mi wierzyć, że umarli myślą o nas i czasami zza świata nami rządzą.

Twardowski milczał. Myślał, że sam tak postępuje, jakby był pod rozkazami zmarłego stryja. Tylko on, zbrojny w aparat swojej wiedzy, inaczej to sobie tłumaczył.

— Gdym się dowiedziała od profesora Kozienieckiego o pobycie pańskim w Warszawie i o śmierci Alfreda, usłyszałam w duszy jakby rozkaz, żeby pana natychmiast poznać. Gdym rozmawiała z panem, chwilami miałam wrażenie, że to Alfred siedzi przede mną. Jakaś nieprzeparta siła ciągnęła mnie do pana, a jednocześnie jakiś lęk mnie zdejmował. Miałam przeczucie, że kończy się moje spokojne dogasanie, że pan pod koniec mego życia wnosi w nie katastrofę. Przeczucie mnie nie omyliło: od wczorajszej rozmowy z panem spokój, choćby taki, jakiego zażywałam, już dla mnie nie istnieje. Alfred chciał, żebym po jego śmierci dowiedziała się prawdy. To nie zemsta, on na to zbyt szlachetny: on czegoś ode mnie wymaga...

Zamilkła na chwilę, jakby sił jej zabrakło. Potem zaczęła mówić z wysiłkiem:

— Byłam narzeczoną Alfreda.

— Wiem.

— On panu to powiedział?

— Nie. Wszystkie swoje sprawy zachował przede mną w tajemnicy i ze swą tajemnicą umarł. Chciał być tylko moim dobrodziejem: dać mi wykształcenie, zostawić mi majątek, a nie obarczać mnie swymi troskami. Niech jeden Twardowski, mówił, nie zmarnuje życia.

Po twarzy pani Czarnkowskiej płynęły łzy.

— A więc skąd pan tyle wie?

— Bo postanowiłem prawdy dociec i ukarać tych, co mu zniszczyli życie.

— A więc i mnie! — zawołała. — Ja go odstąpiłam, uciekłam od niego w chwili, kiedy najwięcej mnie potrzebował. Zdradziłam go, a on mi tak wierzył! Złamałam sobie życie, bo go kochałam i tylko jego

kochać mogłam. Przez dwadzieścia długich, dla mnie strasznie długich lat myślałam, że jestem ofiarą nie-szczęścia — dziś wiem, że popełniła zbrodnię.

— Nie, pani jest tylko ofiarą cudzej zbrodni. Pozwoli pani, że o jedną rzecz zapytam. Według słów pani stryj Alfred wówczas najwięcej pani potrzebował. Dlaczego?

— Bo wtedy ludzie zaczęli się odwracać od niego: krążyły o nim rozmaite potworne wieści i, niestety, zaczęto dawać im wiarę. Tylko ja niczemu nie wierzyłam, bo Alfred nie mógł zrobić nic nieszlachetnego. W chorobę jego po długim oporze uwierzyłam, bo dwaj wybitni lekarze mi to potwierdzili. Boże! gotowa byłam wtedy życie sobie odebrać... Popełniłam gorsze samobójstwo...

— A więc niszczyli go oszczerstwami. Broń tchórzów. Czuję w tem rękę mistrza Culmera.

— Któż jest ten człowiek? Zawsze coś mię od niego odpychało. Ale wszyscy o nim mówią tak dobrze.

— W tem tkwi największe łotrostwo. Na pytanie pani jeszcze dziś nie odpowiem. Muszę swoje śledztwo doprowadzić do końca. Ośmielam się mieć nadzieję, że znajdę pomoc i u pani.

— Zrobię wszystko, całą resztkę swych sił oddam, bo to będzie dla Alfreda.

— Gdyby on to mógł słyszeć!

— On słyszy na pewno.

Wyrzuciła te słowa z przekonaniem iluminatki.

Błagała go, żeby jej opowiedział wszystko, co wie o życiu stryja od owej strasznej chwili, o jego myślach, wreszcie o śmierci.

Opowiadał jej długo o owym dziwnym, przygnębiającym pogrzebie, o domu, czujnie strzeżonym, o tem, co wiedział od księdza, od doktora, wreszcie od Grzegorza. Zamilczał tylko o wysokości swego spadku, o rozmowie z Culmerem, wreszcie nic nie po-

wiedział o owych niesamowitych krokach w bibliotece. Bał się wrażenia, jakie to może sprawić na niešťśliwej kobiecie przy jej sposobie myślenia i przy obecnym stanie jej nerwów.

— Pan mi pozwoli kiedy przyjechać do Turowa, być w tym domu i na tym cmentarzu?...

Pytanie to rzuciła nieśmiało, jakby niepewna przychyłnej odpowiedzi.

Zapewnił ją, iż pragnie, by to się stało jaknaj-rychlej.

Choć myśl jego absorbowwała w tej chwili biedna pani Czarnkowska, nie zapomniał sobie zadać pytania, jakby to zrobić, żeby przyjechała w towarzystwie Wandy.

XIII.

Jako psycholog i nałogowy obserwator, nietylko szukał prawdy, ale i bawił się. Była to zabawa trochę niemoralna. Interesowały go ciekawe momenty psychiczne, niezależnie od moralnej wartości ludzi i ich zachowania się, bez względu na skutki ich czynów. Można powiedzieć, że uprawiał rodzaj rozpusty umysłowej.

Między innemi przepadał za skrajnemi kontrastami.

Toteż, gdy po rannej rozmowie z panią Czarnkowską, rozmowie pełnej tragizmu, szedł na obiad do państwa Brzozowskich, na którym sobie obiecywał lekką komedję, gniewał się wprowadzie na siebie, ale zarazem odczuwał przyjemność smakosza, poszukującego wrażeń.

Panią Brzozowską zastał samą.

— Nie byłam tak okrutną — rzekła na wstępie z całą swobodą — żeby skazywać pana na konwersację z moim mężem, który, jak pan napewno zauważył, nie jest ekscytujący. Wyprawiłam go do równie

nudnych jak on jego przyjaciół. Oni się tam znakomicie ze sobą bawią, wmawiając nawzajem w siebie, że są elitą inteligencji. To ich tak zajmuje, że nie rozejdą się przed drugą. Mam nadzieję, że pan nie jest przerażony...

To wszystko mówiła, mierząc go przymrużeniami oczyma, jakby chciała mu dać poznać, że przyszedł na egzamin, który niełatwo będzie zdać dobrze. Widocznie chciała od pierwszej chwili podrażnić jego miłość własną.

Ubrała się dla niego bardzo wieczorowo, odsłaniając szczerze swój niebrzydki, choć trochę zbyt pełny dekolt.

Tête-à-tête przy stole było spoczątku dalszym ciągiem rozmowy w salonie państwa Czarnkowskich. Pani mówiła o znaczeniu inteligencji w stosunku między mężczyzną a kobietą. Tylko gdy obie strony są dość inteligentne, możliwa jest prawdziwa rozkosz: uświadamiają sobie wzajemnie wrażenia, dzielą je między sobą, a przez to rozkosz się pogłębia. To taka wielka różnica, jak między obiadem smakosza a żarłoka...

Twardowskiego bawiła ta szczególna dojrzałość sądu młodej jego towarzyszki, wpadał też w jej ton, uzupełniał jej poglądy, chcąc, żeby się coraz więcej awansowała. Stawała się też coraz swobodniejszą w mowie, wygłaszała bez zająknięcia rzeczy, które nawet mężczyźni między sobą ubierają w jakąś formę mniej brutalną. Twardowski nigdy nic podobnego z ust kobiety w żadnym kraju nie słyszał. Gdyby ta rozmowa, myślał, była nieco mniej inteligentną a zato znacznie mniej cyniczną i przyzwoitszą, możnaby mieć wrażenie kolacyjki w gabinecie restauracyjnym w towarzystwie paryskiej kokoty.

Widocznie państwo Brzozowscy mieli umiejętnego kucharza. Obiad był lekki, dyskretnie *piquant*, trochę w stylu półświatka.

Pod koniec obiadu pani spoważniała. Nie mówiła prawie nic, ruchy jej były coraz leniwsze... Tylko świecące przez szparki spod opuszczonych powiek czarne jej oczy ślizgały się wyzywająco po gościu.

— Chodźmy na kawę — rzekła, ciężko dźwigając się z krzesła.

Wzięła Twardowskiego pod ramię i poprowadziła go przez salon do leżącego za nim, na czerwono oświetlonego pokoju.

Twardowski stanął na progu i patrzył. Dywany wschodnie wszelkiego możliwego pochodzenia, kake-mona japońskie, stoliki i szafki z laki, parawaniki, inkrustowane perłową masą stołki maurytańskie, mosiężne tace i dzbany arabskie, brązowe Buddy indyjskie, niebieskie wazy porcelanowe i hafty chińskie... W rogu mieściła się niska, ale zato niezwykle obszerna, kwadratowa otomana turecka, zarzucona poduszkami wszystkich krajów wschodnich; poduszki też były porozrzucane po całym pokoju, zastępując krzeselka. Beładna, barbarzyńska mieszanina kłócących się ze sobą stylów, jak w bazarze wschodnim jakiegoś Port-Saidu.

— Ależ tu cały Wschód!... — zauważył Twardowski, nie dodając nic więcej, żeby nie urazić pani domu.

— Nieprawda? — odrzekła z odcieniem dumy w głosie. — A wie pan, co to jest Wschód? To najwyższa cywilizacja i najwyższa mądrość. Wszystko inne to barbarzyństwo i głupota.

— Dziękuję w imieniu Zachodu,
Roześmiała się.

— Pan tak jest przywiązany do Zachodu? To nie warto.

— Mówi pani tak, jakby sama pani do Wschodu należała.

— Należała!... Co to znaczy „należeć”? Mówi się nieraz „należeć”, a myśli się „posiadam”, — tak

mówi zwykle mężczyzna o kobiecie, albo kobieta o mężczyźnie. Trzeba trochę należeć, żeby całkiem posiadać. No, niech się pan uplasuje.

Posadziła go na otomanie, podsuwając mu kupe poduszek, żeby się wygodnie usadowił.

— Zaraz podadzą kawę: będzie dobra. A ja, nie chcąc zanadto odbijać od tego Wschodu, pójdę tymczasem i zmienię tę niedorzeczną suknię europejską na coś, co będzie z tem tłem bardziej harmonizowało.

Znikła, a Twardowski zapytywał siebie, jak może coś harmonizować z taką kakofonją.

Służący wniósł kawę i likiery na okrągłej, mosiężnej tacy, i ustawił ją przed Twardowskim na niskim maurytańskim stołku.

Za chwilę weszła pani domu. Miała na sobie lekkie z *crêpe de Chine* kimono. Twardowski widział wyraźnie, że pod tą powiewną szatą była tylko pani Brzozowska, nic więcej. Cekał spokojnie, co dalej będzie...

Przysunęła sobie leżące na dywanie dwie duże poduszki tureckie i usiadła na nich przy stoliku u nóg gościa. Nalała kawę.

— Cóż ten wasz dumny Zachód? — mówiła — czem on jest wobec starego, mądrego Wschodu?...

— Jest światem człowieka niezależnego, mającego swoją samoistną duszę, swój świat wewnętrzny.

— Ha, ha, ha! — zaśmiała się szyderczo. — Ten wasz niezależny człowiek ze swoim światem wewnętrznym to tylko rozkapryszony dzieciak!

Twardowski zastanawiał się, od kogo ona to usłyszała, bo to chyba nie był jej wynalazek.

— Do tego dzieciaka — odrzekł — świat dziś należy.

Spojrzała nań wyzywająco.

— A on sam do kogo należy?...

Zrazu nie zrozumiał tego pytania. Przypomniat sobie, że rozmawia z Żydówką, i... zrozumiał. Ta

chełpliwa rasa zawsze się wkońcu zdradza ze swemi
zuchwałemi myślami.

Pani widocznie wyczytała coś w jego twarzy, bo
zmieniła przedmiot: od Wschodu przeszła do miłości.

— Wyższość Wschodu — rzekła — najlepiej się
wyraża w tem, że tam mądrzej rozumieją miłość. Tu-
taj tak ją ozdobiono, że często spoza ozdób rzeczy
samej nie widać. Teraz otrząsają się z tego, ale ciągle
pozostaje dużo głupstw i blagi.

Mówiła dalej, wykładając swoje poglądy na mi-
łość, poglądy bardzo zachęcające.

Oparła się, prawie położyła na jego kolanie. Czuł
buchający od niej zapach mocnych jakichś perfum.
Ale przez tę falę przedzierała się ostra, drażniąca,
przykra woń jej bujnych, czarnych włosów. Paraliżo-
wała siłę jej wdzięków, co ułatwiało Twardowskiemu
zachowanie przytomności.

Głos jej omdlewał. Zaczęła mówić pojedynczemi,
niepowiązanemi zdaniami, prawie rytmicznie, jakby
odmawiała jakieś inkantacje. Wreszcie grube jej po-
wieki się podniosły i wbiła w gościa duże, płonące
oczy...

Twardowski osłupiał. Toż to oczy Culmera...
Czyżby?... nie słyszał, żeby miał córkę. I znów, jak
wczoraj popołudniu, postanowił zaryzykować.

— Jakież pani ma oczy podobne do ojca! — za-
wołał.

Odskoczyła od niego, niezdolna ukryć gniewu.
Opanowała się wszakże.

— To pan zna mego ojca? — zapytała z udanem
zdziwieniem.

— O tak! To bardzo wybitny człowiek.

— A skąd pan wiedział, że jestem jego córką?

— Pan mecenas Culmer ma zbyt duże stanowisko,
żeby można było nie znać jego stosunków rodzin-
nych. Zresztą to widać odrazu.

— Czyż naprawdę jestem tak do niego podobna?

— Nie... on nie jest brzydki, ale pani przecie jest piękną. Tylko oczy...

Udobruchał ją komplement.

— Przekłête oczy! — rzekła ze śmiechem. — Przykro jest pomyśleć, że nie są oryginalne.

Widziała, że te oczy zepsuły całą sytuację. Trzeba zaczynać na nowo...

Bawiła go dalej rozmową o Wschodzie.

Naraz powstała z poduszek, zadzwoniła na służącego i kazała mu zabrać stołek z kawą.

Sama podeszła do stolika z laki, na którym stała brązowa kadzielnica chińska, wyjęła z japońskiej szafki porcelanową bombonierkę, widocznie Satsumę, i włożyła z niej coś do kadzielnicy. Potem zapaliła to przy pomocy wulgarnej szwedzkiej zapalniczki. Z kadzielnicy zaczął się unosić gęsty dym i, rozszerzając się po pokoju, napełniał go silnym, odurzającym zapachem.

Stała przez jakiś czas jak kapłanka przed ołtarzem. Twardowski, napół leżąc na poduszkach, przyglądał się jej i przypominał sobie jakieś malowidło.

Nagle wyjęła ramiona z szerokich rękawów, wyciągnęła je w obie strony, rozpięła poza sobą wzorzyste kimono i na jego tle wyprostowała się...

Zaczęła się wolnym krokiem posuwać ku otomannie. Oczy skromnie spuściła ku ziemi.

Stanęła u kolan Twardowskiego, z piersią podaną naprzód, z oczyma prawie zamkniętymi.

Tego było za wiele. Intelpekt wyciągniętego na otomanie mężczyzny na chwilę przestał działać. Napół zerwał się, wyciągnął ramiona, by ją schwycić. Odskoczyła, drażniąc jego zmysły. Stanęła o kilka kroków.

Twardowski nieco oprzytomniał.

Nieostrożnie odwróciła się do niego bokiem.

W profilu linje jej ciała były znacznie mniej zabójcze. Uwydatniało się w nich wczesne przekwitanie

kobiet jej rasy. A przytem ta charakterystyczna dla żydówek załamana linja karczka.

Czar prysnął.

— Zdaje mi się — rzekł Twardowski tonem zimnej refleksji — że jestem na jakiejś *féerie* w teatrze.

Pani Brzozowska szybkim ruchem włożyła spowrotem kimono na rękawy, zawiązała pasek i z ironją syknęła:

— Intelktualista!

Opanowała się i usiadła koło niego na otomanie.

— Tylko tyle? — rzekła z wyrzutem. — Jaki z pana dziwny człowiek! Na każdym kroku refleksje. To skutek studjowania psychologii...

Widocznie nie dała jeszcze za wygraną. Zamilkła, obmyślając nowy atak, gdy Twardowski powstał.

— Co, już pan chce iść?...

Stojąc we fraku przed tą żydowską pięknnością, na której obfitem ciele kimono wydawało mu się śmiesznem, wśród tego turecko - persko - arabsko - indyjsko - chińsko - japońskiego magazynu, Twardowski tworzył doskonały kontrast Zachodu ze Wschodem, nie z prawdziwym Wschodem, ale z takim, jakim go Zachód widzi.

— Mam jutro wstać wcześniej — rzekł. — Zresztą pani nie lubi mężczyzn nudnych; na mnie zaś mocne zapachy działają przytępiająco. Tylkobym się coraz więcej w oczach pani kompromitował.

Widocznie namyślała się, czy go zatrzymywać... Wreszcie wyciągnęła leniwie rękę do dzwonka.

Nie wstając z otomany, pożegnała się z Twardowskim. Wszedł służący i wyprowadził go do przedpokoju.

Pani Brzozowska została sama.

Oczy jej patrzyły przed siebie, w przestrzeń, nie zatrzymując się na żadnym przedmiocie. Z płonących zrobiły się szkliste, twarde, bezlitosne.

Usta jej brzydko wykrzywiły się, rzuciły głośno jeden wyraz:

— Bydlę!

Ciężko dźwignęła się z otomany i przeszła do gabinetu męża. Usiadła przy biurku, na którym panował wzorowy, pedantyczny porządek. Wzięła do ręki słuchawkę telefonu i podała numer.

— Czy mieszkanie państwa Taubenherzów?... Proszę panią do telefonu... Czy to ty, Mona? Dobry wieczór... Czy jeszcze są u ciebie poeci?... Jeden tylko? Czy może Szuwar... Nie. To już nie pytam. Domyślam się. Przyjemnej zabawy i dobranoc.

Po chwili wzięła znów słuchawkę i podała inny numer.

— Czy restauracja „Eden“?... Czy tam jest na kolacji pułkownik Kosa Faworski?... Proszę zobaczyć i poprosić do telefonu... Nie potrzeba, on wie, kto mówi... Czy to ty, Stefek?... Zjadłeś już kolację?... Przyjdź do mnie zaraz... Czekam.

I znów wzięła słuchawkę.

— Czy mieszkanie mecenasa Culmera? Mówi Hela... Już poszedł... Nie, nie można: tu zaraz ktoś przyjdzie... Kłapa... Jestem pewna, że już tu nie wróci. To nie jest męczyzna, to coś gorszego. Ja ci powiadam, że ty go nie doceniasz: to niebezpieczny frant. Wystrzegajcie się go... Nie warto więcej próbować. Ja się na tem znam... Jutro przyjdę do ciebie po śniadaniu. Słyszę dzwonek przy drzwiach. Dobranoc.

W przedpokoju słyhać było brzęk odpasywanej szabli. Pani Brzozowska wróciła do swego wschodniego buduaru, padła na otomanę i pozostała w półleżącej pozycji.

Nazajutrz po śniadaniu mecenas Culmer siedział z córką przy czarnej kawie.

— Ja ci powiadam — mówiła Hela — że to jest komedjant. On cię oszukuje, tak jak mnie oszukiwał

w rozmowie u Czarnkowskich i u mnie podczas obiadu. Dopiero potem zorjentowałam się. Nie licz na niego — lepiej na tem wyjdiesz.

— Czy ty się nie mylisz, Helu? Możesz jaki błąd popełniła? Możesz się czem zdradziła?...

— Cóż to ja jestem naiwne dziewczę! Czy mnie się kiedy coś podobnego zdarzyło? Wiesz dobrze, że mi się zawsze udaje. Powiadam ci, że to „cwaniak”, na którym się nie poznałeś. Sprawileś mi tylko upokorzenie i nic więcej... Wiesz, że byłabym zdolna go zamordować... Mimowoli patrzyłam ciągle na ten krzywy nóż, malajski, czy jaki tam, któryś mi podarował i który wisi u mnie na ścianie.

Mecenasowi przemknął błysk w oczach.

— Tak, gdyby to było możliwe... — rzekł cicho. Oboje zamilkli.

— Ale butony będę miała? — rzekła Hela. — Doprawdy, zasłużyłam więcej, niż gdyby mi się udało. Takie upokorzenie! i to z twojej winy... Musisz mi je kupić, jeżeli chcesz, żebym ci kiedykolwiek jeszcze pomagała.

Mecenas widział, że mu się cały interes bardzo źle kalkuluje, ale czuł, że brylanty będzie musiał kupić.

— O butonach — rzekł — pomówimy potem. Ważniejsza rzecz, co z tym Twardowskim zrobić. Ja dotychczas nie rozgryzłem tego franta... Więc ty nie chcesz dalej próbować?

— Nie, bo nic z tego nie będzie. Każ mi go zabić, skandal mu zrobić, czy coś podobnego: prędzej się zdecyduję.

— Ha, trudno, może być, że masz słuszość. Zrobię jeszcze próbę: jeżeli się nie uda, sam sobie będzie winien. Ty, Helu, zachowuj się tymczasem tak, jakby nic nie zaszło.

Tegoż dnia Twardowski miał telefon od Culmera, który prosił o przyjęcie. Odpowiedział, że jest za-

jęty i że może przyjąć pana mecenasa nazajutrz popołudniu.

Culmer przyszedł o umówionej godzinie, jak zawsze, godny, spokojny i uprzejmy.

Na wstępie zapytał Twardowskiego, jak spędził czas na wsi.

— Znam Turów — rzekł — bywałem tam: to bardzo sympatyczna siedziba. Szkoda tylko, że tak mało ziemi. Przy dzisiejszych cenach zboża niepodobna się na tem utrzymać. Szkoda, że Alfred nie włożył więcej pieniędzy w ziemię — nie byłby ich stracił podczas wojny.

Twardowski śmiał się w duchu z pocziwej trokliwości mecenasa o jego dochody.

— Coprawda — ciągnął mecenas — mówił pan, że pozostało po stryju trochę gotówki. Trzebaby ją tak ulokować, żeby nie przepadła, a dobrze się oprocentowała.

— Jest jej tak mało, że nie warto o tem mówić — odrzekł Twardowski.

— Szkoda... Tem bardziej musi pan pomyśleć o zdobyciu jakiegoś stanowiska, któreby zapewniło panu przyzwoity dochód. Nie może pan przecie obniżyć stopy życia, do której się pan przyzwyczaił. I to byłoby nienormalne, gdy mowa o tak zdolnym, jak pan, człowieku. Jednakże to nie powinno być rzeczą trudną, gdy się zważy pańskie osobiste dane i... moje stosunki. Przy mojem poparciu może pan czuć się w Warszawie, jak u siebie. Wszystkie drogi są dla pana otwarte.

Twardowski go zapewnił, że niezmiernie ceni sobie życzliwość tak potężnego, jak pan mecenas, człowieka. Niezawodnie jednak upłynie jeszcze trochę czasu, zanim wybierze drogę, na której będzie chciał sobie przyszłość zapewnić. Wszystko nawykł robić z namysłem.

— To już uważałem — rzekł mecenas, kiwając głową z patronującą aprobatą — i, powiem panu szczerze, bardzo mi się podobało, gdy za poprzedniej naszej rozmowy nie dał mi pan odrazu odpowiedzi na moją propozycję. A propos, w ciszy wiejskiej pewnie pan już się zastanowił i powziął decyzję?

— O, tak — odrzekł swobodnie Twardowski.

— Cóż pan zdecydował?

— Zmuszony jestem stanowczo odmówić.

Mecenas zeszytniał.

— Dlaczego?

— Niczego tak nie cenię w życiu, jak niezawisłości. Nie uwierzy pan mecenas, co to za rozkosz wiedzieć, że każdy mój krok zależy od mojej, a nie cudzej woli, że jestem panem siebie i swego życia.

— Ależ tak żyć nie można. Z taką zasadą zginie pan, a przynajmniej zawsze pozostanie pan w cieniu, zmuszony żyć w biedzie.

— Czy tak? Czyż człowiek musi koniecznie się sprzedawać, żeby mu było dobrze? Wie pan, że mnieby nigdy nie było dobrze na świecie bez poczucia, że należę całkowicie do siebie i że to, co zrobiłem, to moja praca, to moje własne dzieło.

— Ależ nikt rozumny tak życia nie pojmuje.

Twardowski się uśmiechnął.

— Dziękuję za komplement. Postaram się jednak przekonać pana, że tak nie jest. Stryj mój, Alfred, był niewątpliwie człowiekiem bardzo rozumnym. Choć całe wykształcenie na jego koszt zdobyłem, nie starał się on wpływać na mą wolę, kierować memi krokami, pozostawił mi całkowitą samodzielność. Raz tylko dał mi radę i silny nacisk na nią położył, tak że zrozumiałem ją jako nakaz. Było to w chwili, gdym zdał ostateczne egzamina uniwersyteckie. Powiedział mi: „Prócz przysięgi własnej ojczyźnie i przysięgi żonie, nie składaj nikomu żadnych zobowiązań, żadnych przysiąg, któreby cię wiązały na całe życie. Zatrujesz

swą duszę, złamiesz swój charakter, zatracisz sumienie, znikczemniejesz, z wolnego człowieka staniesz się nędznym niewolnikiem. Jeżeli zaś będziesz usiłował zrzucić z siebie jarzmo, złamię cię, zniszczą twe życie." O tych słowach stryja myślałem teraz w wiejskiej ciszy Turowa.

Twardowski mówił prawdę, słowa stryja pamiętał dobrze i miał kilka już momentów w życiu, kiedy musiał je sobie przypomnieć.

Culmer przymrużył oczy i patrzył na Twardowskiego, sumując w myśli wszystko, co dotyczyło tego człowieka. Hela ma słuszość. Tak, to komedjant: od początku go oszukiwał i ciągnął za język... Drogo za to zapłaci.

Powstał z fotela.

— Więc ostatnie słowo pańskie jest...

— Nie.

— Dobrze. Pozostaje mi tylko ostrzec, że gdyby kto się od pana dowiedział o naszej rozmowie poprzedniej i dzisiejszej, miałby pan wielkie przykrości. Sam pan to chyba rozumie.

— Postąpię tak, jak będę uważał za potrzebne.

Złożył Culmerowi suchy ukłon, wskazując mu, że uważa rozmowę za skończoną.

XIV.

Wieczór tego dnia mecenas Culmer spędził sam w swoim gabinecie. Siedział bez ruchu i myślał.

Czuł się bardzo nieszczęśliwy. Wszystko poszło całkiem przeciwnie, niż sobie obiecywał.

Kiedy się dowiedział o śmierci Alfreda Twardowskiego i przyjeździe do Warszawy jego synowca, doznał ulgi, że od tamtego nic mu już nie grozi, i zrodziła się w nim nadzieja, że młodego użyje do swych celów. Te nadzieje Zbigniew Twardowski spoczątku

w nim podsycił, zachęcił do wygadania się i raptem front zmienił. Widocznie działał z planem. Jakież to może być plan? O co mu chodzi?...

Ta myśl przygniatała go, dusiła jak zmora.

Pod jej uciskiem patrzył teraz czarno na całe swoje życie. Przecie nie od dziś psuć się ono zaczęło...

Wszystkiemu winna wielka wojna.

Zapowiadało się świetnie. Nie było wątpliwości, że Niemcy odniosą wielkie zwycięstwo. Wówczas on, stojący na czele organizacji, która na swoim terenie przygotowywała to zwycięstwo, mający pierwszorzędną stosunki w Berlinie, wyrósłby na pierwszego człowieka w tym kraju. Najkorzystniejsze interesy znalazłyby się w jego rękach, a losy ludzi zależałyby od skinięcia jego palca...

Tymczasem... Wszystko poszło inaczej. Do tego jego władze zagranicą przeznaczyły mu w owym czasie bardzo trudną rolę. Gdy w połowie wojny postanowiły zmienić front i przejść na stronę przyszłych zwycięzców, jemu kazały trwać na poprzednim stanowisku. To było bardzo mądre, ale dla niego połączone z wielkimi trudnościami, nawet z osobistymi ofiarami.

A po wojnie?... Tyle się w tym kraju wywróciło do góry nogami. Powyrastały nowe ugrupowania organizacyjne, nowi ludzie, czerpiący wpływy z polityki, w której on się nie orjentował. Już był za stary, żeby się do tych nowych warunków należycie przystosować, wielu nowych rzeczy nauczyć. Wpływy jego i jego grupy bardzo się skurczyły. Wprawdzie w tych nowych ugrupowaniach wiele było nieporządku i niezdarności, za mało wiedzy o tradycyjnych podstawach organizacji, za mało kultury i taktu: jego grupa była najpoprawniejsza, miała najbardziej wyrobionych ludzi — nie groziły jej żadne skandale organizacyjne. Miała ona wpływy duże, ale przeważnie w starszym tylko pokoleniu, i to w sferach, wpraw-

dzie zamożniejszych, ale pozbawionych politycznej siły. Dla ratowania swoich interesów były one zmuszone do czepiania się przy innych żywiołach. Tamte wyzyskiwały swą przewagę i lekceważąco traktowały swych przymusowych sojuszników. Lekceważenie to nieraz odczuwał on sam na sobie. Jakże inne były przedwojenne czasy, kiedy czuł się wielką potęgą i jednym z największych w kraju autorytetów!...

Wówczas polityka była inna. Wówczas nie robiło jej się na hałaśliwych wiecach, nie wdzierano się tak ordynarnie w osobiste sprawy przeciwnika. To, co on uważał za politykę, robiło się na poufnych naradach, w których brali udział ludzie kulturalni, dyskretni. On wprawdzie był bezpartyjny, z żadnym obozem się ściśle nie wiązał, ale sfery najumiarkowańsze miały do niego zaufanie i zawsze go zapraszały, ilekroć chodziło o jakiś krok ważniejszy w stosunku do rządu czy do społeczeństwa. Miał wielki wpływ na ich postępowanie, nie biorąc za nie odpowiedzialności i nie kompromitując się w razie, gdy dany krok był niepopularny. Ten system postępowania stosował i dziś: nie będąc konserwatystą, stał się duszą powojennego konserwatyzmu polskiego. Całe nieszczęście, że ten konserwatyzm miał za mało znaczenia.

Tę swoją, choć zredukowaną, ale jednak wpływową pozycję zawdzięcza przede wszystkim swemu takto i temu, że jego grupa posiada najwyższe ze wszystkich zalety organizacyjne...

Miał w niej wprawdzie jeden skandal, także w związku z tą nieszczęśliwą wojną. Już w czasie przygotowań do niej wybuchła sprawa Alfreda Twardowskiego. Ale tego udało się złamać, wyrzucić poza ramy życia. Ciągłe przedstawiał on pewne niebezpieczeństwo, ze względu na to, co wiedział, i na dokumenty, które posiadał. Jednakże, steroryzowany, ani z jednego, ani z drugiego nie zrobił użytku...

Teraz po jego śmierci zjawia się drugi Twardowski. Niewiadomo, co nosi w zanadrzu, co zamierza, ale na pewno coś złego...

Twardowski jest niebezpieczeństwem i dla niego osobiście, i dla organizacji, i dla celu, któremu musi ona służyć...

Mecenas Culmer, pomimo wszystko, miał cele, dla których umiał się poświęcać. Choć Twardowski uważał go za łotra bez zasad, miał on swoje zasady: nie te wprawdzie, które wygłaszał i które mu przypisywano w szerokich kołach, ale zasady miał...

Pod względem tych zasad niżej stał od swego ojca, któremu pozycję w głównej mierze zawdzięczał, ale nie był z nich wyzuty.

Ojciec jego, Józef Culmer, jako umysł i jako charakter, był bez porównania wybitniejszym od niego człowiekiem. Cieszył się on powszechnem uznaniem, ale ci, co mu je okazywali, nie mieli nawet słabego pojęcia, z jak wielkim człowiekiem mają do czynienia.

On zaś był skromny i chował właściwą swoją wielkość pod korcem.

Wiedzano o nim, że był uczestnikiem powstania 63-go roku. Nie poszedł wprawdzie ze strzelbą do lasu, ale odznaczył się w Warszawie, w rozmaitych naradach i komitetach obywatelskich. Mówiono po cichu o jego stosunkach z Rządem Narodowym, a bardziej wtajemniczeni wiedzieli, że wystawił się na ogromne niebezpieczeństwo, wzięwszy na siebie zakup wielkiego transportu broni w Anglii. Tylko skutkiem jakiegoś nieszczęsnego zbiegu okoliczności ta broń do kraju nigdy nie doszła. Zato szczęście mu sprzyjało w tem, że Moskale nigdy nie wykryli jego tak czynnego udziału w powstaniu, skutkiem czego uniknął zesłania, katorgi, a może nawet powieszenia. Po powstaniu pozostał w Warszawie, gdzie był w tej ciężkiej dobie jednym z gorętszych patriotów, niestety, zmuszonych do wielkiej ostrożności. Toteż

nazwisko jego wymawiano z ogromną czcią; byli tacy, co pochylali przy tem głowę.

Sam fakt, że Henryk Culmer był synem takiego człowieka, już mu zapewniał zaufanie w sferach bardziej świadomych rzeczy. Za zaufaniem poszedł wpływ i powodzenie.

Jeszcze więcej zawdzięczał naukom ojca, których ten mu nie szczędził, zwłaszcza w czasie, gdy chłopak dorastał. Niektóre były bardzo interesujące.

— Moją rolą — mówił stary — było pozyskać stanowisko wśród Polaków i kierować jaknajskuteczniej ich postępowaniem. Dlatego musiałem się ochrzcić i schować swe żydostwo. To mi się udało: uchodzimy za Polaków pochodzenia angielskiego. Ale w tem jest jedno nieszczęście: nie mogłem ci dać gruntownego wykształcenia żydowskiego. Ja więcej umiem, niż niejeden rabin; ty nie znasz nawet języka hebrajskiego i najmądrzejsze pisma są dla ciebie niedostępne. Toteż możesz w życiu zająć i pewnie zajmiesz duże, znacznie większe ode mnie stanowisko, ale wśród naszych, w ich władzach wewnętrznych, wysoko zejść nie możesz...

Coprawda Henrykowi więcej chodziło o stanowisko w życiu i o używanie życia. Stary to widział i mówił o tem z niepokojem:

— Ja także lubiłem używać życia i nie odmawiałem sobie niczego, gdy mnie stać na to było. Jadłem zawsze i piłem dobrze. Od kobiet też nie uciekałem. To już leży w naszej naturze — dodawał z cynicznym uśmiechem. — Ale ja na każdym kroku pamiętałem o naszej sprawie. I dlatego zrobiłem w życiu wielkie rzeczy. Gdyby nie ja, możeby powstania nie było. Berlin beze mnie nie zrobiłby tego, o co mu chodziło. A powstanie nas posunęło dużo naprzód. Patrz, czem byliśmy w tym kraju przed powstaniem, a czem dziś jesteśmy...

Poruszając ten temat, zawsze się zapalał:

— Ta ziemia musi być nasza: to już oddawna nasi mędrcy nam mówili. I Niemcy i Moskale i sami Polacy do tego nam pomagają. I trzeba ich popychać, żeby nam coraz więcej pomagali. Ty musisz po mnie przejąć tę robotę, a do tego trzeba wiele rozumu, wiele czujności i ciągłego pamiętania o sprawie. Ja ci nie mówię, żebyś sobie czegokolwiek odmawiał: tylko trzeba panować nad sobą i nic nie popsuć dla przyjemności. Przedewszystkiem sprawa — przyjemność nie ucieknie. A jedno zaniedbanie, jeden błąd mści się często okrutnie.

Henryk zapalał się do roli, którą mu ojciec przeznaczał. Wpojone przez ojca zasady i jakiś głos wewnętrzny mówił mu, że tej sprawie trzeba służyć. Przewyższał starego ambicją i obiecywał sobie większą jeszcze, a przynajmniej świetniejszą rolę od niego odegrać.

— Z Polakami łatwo — ciągnął stary — tylko trzeba być mądrym i trzeba ich znać. To są straszni patrioci. Aj, aj, aj, jak oni kochają tę swoją Polskę. Co oni się nad nią wypłaczą! Co oni jej komplementów nagadają! Trzeba to samo robić. Widzisz, tu w rogu stoi Mickiewicz z gipsu, a przed nim lampka się pali. Oni to widzą i nie masz pojęcia, jak oni mnie za to kochają. Ale za ile groszy dziennie tej oliwy się wypali?... To mnie nie zrukuje. Gdyby oni dostali spowrotem swoje państwo i na nowoby im było wszystko wolno, to ci ręczę, że bez przerwy urządzałyby jubileusze, rocznice, zjazdy, obchody, pochody: staraliby się, żeby ta biedna Polska, co się tyle wycierpiała, miała codzień jakąś przyjemność. Nie masz pojęcia, jak ich to boli, że Moskale na to nie pozwalają. Jak nie mogą inaczej, to urządzą jubileusz jakiego radcy, a pocichu sobie powiadają, że to dla Polski. Trzeba ich do tego zachęcać i brać w tem udział: to ich cieszy, a nam nic nie szkodzi. Lepiej, żeby się bawili dla Polski, niż pracowali dla niej.

A gdy przyjdzie odpowiednia chwila, pchnąć ich dalej, do krwawych manifestacyj, żeby się dali zarzynać i zarzynali Polskę. Tak zrobiliśmy w 63-im roku. I w tym jednym roku uszliśmy naprzód więcej, niż przez trzydzieści lat poprzednich. A im przybywa jeszcze jedna rocznica do obchodzenia...

— Oni mogliby być niebezpieczni — bo to zdolny naród — całe szczęście, że nie lubią myśleć i nie lubią się często fatygować. Jak się raz wysilą od wielkiego święta, to potem przez całe lata odpoczywają. Łatwo im zaprzętać głowy głupstwami i przeszkadzać w myśleniu, i to trzeba stale robić. Czasem znajdzie się wśród nich łądak mądrzejszy i energiczniejszy — może nam dużo szkody zrobić, szczególnie, jeżeli umie zdobyć sobie wpływ na swoich. Takiego trzeba podpatrywać, czy nie robi jakiego głupstwa, czy mu się w czym noga nie powinie: wtedy go pchnąć gwałtownie, żeby się przewalił i więcej nie podniósł. To nie jest tak trudno, bo oni umieją jeden błąd więcej człowiekowi pamiętać, niż całe życie zasług. A tych, co nam dobrze służą, trzeba popierać, wywyższać, wmawiać w nich wielkość...

Henryk pił chciwie z ust ojca te nauki; zapadały one głęboko w jego młodocianą duszę.

— A co będzie — zapytał raz — gdy oni zmadrzeją? Oni teraz się uczą robić interesy...

Stary się roześmiał.

— Długo muszą się uczyć: niewiadomo, czy będą mieli czas. To nie tak łatwo umieć chodzić koło pieńędzy. Ja ci ręczę, że oni pierwszej nauczą się ordynarnie kraść, niż powiększać polski majątek, i zanim Polskę zbogacą, już ją rozkradną. I do tego także trzeba ich zachęcać. Ta nauka łatwo przychodzi. Gdy ułatwisz człowiekowi kradzież w jakiejkolwiek formie, już go masz w rękę, już ci musi służyć wiernie i na twoje bogactwo się składać.

— Oni muszą na nas pracować! — zawołał z entuzjazmem Henryk.

— Oni lepiej pracują na kogoś, niż na siebie. Bo gdy pracują na siebie, nie ma ich kto popędzać, a oni, jak bydlaki, bez popędzania niewiele robią.

Stary Józef Culmer, przy całej swej reputacji wielkiego patrioty polskiego, miał o Polakach bardzo ujemną opinię. Patriotyzm wszakże nakazywał mu tę opinię chować dla siebie i dla najbliższych: w szerszych gronach zawsze unosił się nad cnotami narodu polskiego i oburzał się na podłość jego wrogów, którzy gnębią ten najnieszczęśliwszy z narodów właśnie za jego cnoty.

Nie było przedmiotu, o którymby mówił z takim zapalem, z takim błyskiem oka, jak o pieniądzach.

— Pieniądze przechodzą w nasze ręce i przyjdzie niezadługo czas, że tylko my je będziemy mieli. Wtedy wszyscy oni będą w naszej niewoli, będą służyli nam za część tego grosza, któryśmy im zabrali. Ty, Henryku, będziesz bogatym, a twoje dzieci jeszcze bogatsze...

Tu wszakże dodawał:

— Tylko nie trzeba być skąpym. Trzeba część swego grosza oddawać. Składaj głośno ofiary na ich cele: to się opłaci, to się stokrotnie wraca. I składaj pocichu dziesięć razy tyle na nasze cele. Sprawa nasza nie tylko wymaga, żebyśmy my sami byli bogaci, ale żeby nasz naród miał swoje fundusze na popieranie swoich celów. Każdy z nas musi się na te fundusze składać; i dlatego, że to umiemy, idziemy do zwycięstwa. Oni dużo o swej Polsce krzyczą, ale nic dla niej nie robią i nic jej nie dają, i dlatego my nad nimi zapanujemy.

Nauki te wpajały mocną wiarę w Henryka, wiarę we własną przyszłość i w zwycięstwo jego rasy.

Gdy po studjach prawnych w kraju i zagranicą został w Warszawie adwokatem, dzięki ojcu odrazu

stał mocno. Bardzo wczesnie ojciec go wprowadził do potężnej organizacji światowej, co umocniło go niemało w przekonaniu, że jest przeznaczony do wielkich rzeczy. I w organizacji droga jego do wyższych przeznaczeń była skrócona. Przez ojca wszedł od razu w stosunki z wyższymi osobistościami zagranicą; ojciec też przed inicjacją przygotował go należycie, pouczył o charakterze organizacji, o sposobach działania i o istotnych jej celach. Dzięki ojcu od początku dowiedział się o rzeczach, o których inni członkowie organizacji, nawet zajmujący wysokie stopnie, nie dowiadywali się przez całe życie.

Wreszcie ojciec mu zostawił tyle pieniędzy, że to w rękach człowieka zdolnego mogło stać się podstawą dużego majątku.

Szedł przez życie pewnym krokiem zwycięzcy i życie mu dawało wiele. Żył za kilku ludzi i kilku rodzajami życia: dla ogółu był znanym, zacnym i mądrym mecenasem Culmerem; dla wtajemniczonych był władzą, z ukrycia kierującą ich postępowaniem i decydującą o wielkich sprawach; dla więcej wtajemniczonych był mężem zaufania i głównym wykonawcą planów, prowadzących do oddania tego kraju w ręce jego rasy; dla siebie wreszcie i paru bliskich towarzyszy uciech życia był śmiałym organizatorem tych uciech, nie bojącym się rodzajów użycia, które mogłyby mu bardzo popsuć reputację, a nawet zaprowadzić do kryminału. Na szczęście był zręczny i ostrożny.

I oto ten silny człowiek siedział teraz pogrążony w ponurej zadumie.

Nawet do dawno już nieżyjącego ojca miał żal w tej chwili, że zbyt pomyślnie przedstawiał przyszłość. Stało się wiele rzeczy przez ojca nieprzewidzianych i wśród Żydów, i wśród Polaków, i na całym świecie. Prawda, że Żydzi nigdy nie byli tacy potężni, jak obecnie, ale ileż jest rys w tej po-

tędże, ile im grozi niebezpieczeństw i to takich, na które zdaje się niema sposobu. Organizacja, w którą wierzył niezachwianie, nigdy nie była tak rozrośnięta, jak obecnie, ale bodaj nigdy nie była tak rozluźniona, tak słabo nie trzymała w rękę swoich ludzi, nigdy nie było tylu powodów do obawy, że się może rozwalić. On sam, Henryk Culmer, jest bogaty, choć nie tyle, ile się spodziewał, i ma duże stanowisko, dziś zresztą wielce zredukowane. Ale co będzie z jego synem?... Karol dotychczas nie wygląda na człowieka, który będzie robił majątek: on go raczej puści. Jest lekkomyślnym próżniakiem. Bawi się w interesy, z których nic nie ma, i ciągle potrzebuje od ojca pieniędzy. Brak rozumu zastępuje cynizmem, kpi sobie ze wszystkiego i wyrabia sobie reputację zwyczajnego łobuza. Gdzie taki człowiek może sobie wyrobić wpływ na ludzi i poważne stanowisko? Czy on się z wiekiem zmieni?...

Jedyny syn był ciężką troską czcigodnego mecenasa: stale mu dostarczał najczarniejszych myśli.

W tej wszakże chwili najwięcej go trapił Twardowski.

Już z jego stryjem nie mógł sobie poradzić tak, jak chciał. Ale z tamtym uniknęło się skandalu i nie dopuściło do wielkiej szkody. Z tym może być gorzej...

Teraz już niema wątpliwości, że to wyraźny wróg, przebiegły, działający z zimną krwią, idący do jakiegoś celu, którego nie odsłania. Z takim Polakiem jeszcze się nie spotkał. Bo też bardzo mało w nim jest Polaka. I dlatego jest niebezpieczny... Trzebaby go prosto uprzątnąć; ale to łatwiej powiedzieć, niż wykonać. Prawda, można wszystko zrobić za pieniądze; ale ludzie, którzy robią za pieniądze, łatwo zradzają...

Wzdrygnął się na myśl, że mógłby być zdraźconym.

Mecenas Culmer na niejednego człowieka patrzył tak, że gdyby spojrzenie mogło zamordować, tamten

padłby trupem. Na szczęście zapas odwagi, który posiadał, pozwalał mu jedynie na rzucanie spojrzeń morderczych. Wieleby nieraz dał za to, żeby miał wykonawców, którychby mógł posłać na załatwienie morderstwa, ale tak, żeby nie wiedzieli, kto ich posłał.

Jeżeli kiedy mu potrzeba było takich wykonawców, to właśnie teraz. Twardowski stanowczo nie powinien chodzić po powierzchni ziemi... Tymczasem jednak nie mógł nic wymyślić i nie widział nikogo, ktoby mógł do tego dopomóc.

Co robić?...

Trzeba zacząć wroga osaczać... Całe szczęście, że nie jest bogaty i że jest mało znany: nie posiada związków w miejscowym społeczeństwie, nie ma wśród niego żadnej pozycji. Można pozamykać przed nim wszystkie drogi, któreby mógłby się wydostać na widownię, uniemożliwić mu egzystencję, zmusić do ucieczki. Niech sobie wraca za granicę i tam biedę klepie. Jest zdolny i wykształcony, ale iluż ludzi ze zdolnościami i nawet wykształceniem pokręciło karki, gdy im się zachciało być zanadto niezależnymi. Ceni swoją niezależność. Zobaczymy, co on z nią zrobi!...

— Trzeba działać bez zwłoki — zdecydował.

Mecenas Culmer miał jedną wielką zaletę. Upadek na duchu wobec niebezpieczeństwa trwał u niego tylko dopóty, dopóki nie widział drogi wyjścia. Kiedy wszakże znalazł drogę, choćby nienajlepszą, choćby wątpliwą, bezwładny pesymizm mijał, jego miejsce zajmowała energia czynu.

Zaczynał działać i jak każdy wielki wódz działał szybko.

XV.

Na czwartku u Czarnkowskich elegancki profesor Kozieniecki przywitał się z Twardowskim tak zimno, że to było aż niezgrabne.

— Cóż u licha! — rzekł do siebie Twardowski — czyż on już zaczął mię uważać za swego rywala?...

Niebawem spostrzegł, że to nietylko Kozieniecki się zmienił. Wiele innych osób, mężczyźni i kobiety, które mu się wczoraj narzucały, dziś udawały, że go nie widzą, lub traktowały go obojętnie, prawie z lekceważeniem.

Wiele sobie z tego nie robił: nawykły do obiektywnego traktowania ludzi, niewiele dbał o to, co o nim myślą. Niemniej instynktownie przybrał postawę lekceważącą i pogardliwą człowieka, urażonego w swej dumie. Jako wprawny psycholog od pierwszej chwili zrozumiał, że tu idzie przeciw niemu jakaś robota.

Gdy się witał z panią Czarnkowską, ta go zapylała:

— Czy panu bardzo się dziś śpieszy?

— Nie.

— Czy może pan wyjść ostatni? Chciałabym z panem pomówić.

Przyszedł tym razem późno, więc bez wielkiego poświęcenia mógł się doczekać opróżnienia salonu.

Panna Wanda przywitała się z nim po przyjacielsku, ale z jakąś niezwykłą powagą. Robiła wrażenie, jakby miała mu coś do powiedzenia, ale się bała.

Gdy ostatni goście opuszczali salon, pani Czarnkowska nań skinęła, jednocześnie zaś dała znak Wandzie, żeby znikła.

Twardowski usiadł przy niej. Byli sami w salonie.

— Pan mi zapowiedział — rzekła nieśmiało — że mię użyje do pomocy. Obiecał mi pan to. Czy już teraz nie mogę się panu na co przydać?...

— Teraz jeszcze nie, ale może bardzo rychło.

Wpatrywała się weń, jakby chciała ukryte jego myśli wyczytać.

— Panie Zbigniewie — rzekła bojaźliwie — nie obrazi się pan na mnie, jeżeli o jedną rzecz zapytam?...

— Jakże mógłbym się na panią obrazić! Tak wierzę w pani przyjaźń.

Wahała się przez chwilę.

— Dla celu, który pan sobie postawił, musi pan potrzebować także i pieniędzy?...

Roześmiał się wesoło.

— Tego to mam więcej, niż mi potrzeba.

Otworzyła szeroko oczy.

— Więcej... niż... potrzeba...

— Dlaczego pani się tak dziwi?

— Mówią...

— że nie mam nic, że stryj stracił cały majątek.

Nie zaprzeczyła.

— Miło słyszeć — rzekł ze śmiechem — że poczciwy mecenas Culmer tak się o mój los troszczy.

— Ja to nie od niego słyszałam.

— Ale od niego to wyszło. Otóż zapewniam panią, iż stryj zostawił mi tyle, że mam zapewnioną całkiem swobodę ruchów i niezależność. Jaka pani dobra, że się tem zainteresowała.

— Bo to sprawa i pana i Alfreda.

— A gdybym był bankrutem i istotnie pieniędzy potrzebował?

Oczy jej zabłysły.

— Wyciągnęłabym od męża wszystkie swoje pieniądze iłożyłabym je w ręce pańskie. Alfredby to pochwalił. Niech pan pamięta, że zrobię to na każde pańskie skinienie.

Twardowski, wzruszony, ucałował rękę biednej kobiety.

— Dziękuję z całego serca — rzekł. — Na szczęście jestem zamożniejszy, niż ludzie myślą.

— Skąd więc te pogłoski?

— Sam jestem w części ich autorem. Wygodniej mi narazie uchodzić za uboższego, niż jestem. Ale

widzę, że mój w tym wypadku współpracownik, pan Culmer, poszedł znacznie dalej ode mnie.

Pani Czarnkowska zamyśliła się.

Zaczęła mówić cicho, jakby do siebie:

— Wtedy taksamo się zaczęło. Zjawiły się pogłoski, że Alfred jest zrujnowany. Po nich przyszły inne, coraz gorsze, coraz potworniejsze...

— Prawdopodobnie i teraz tak będzie — rzekł spokojnie Twardowski.

— To straszne. Już dziś uderzyła mnie u niektórych osób jakaś niechęć do pana.

— Zauważyłem ją. Na to wszakże wystarcza wiadomość, że jestem bez grosza. To brzydka wada. Ale wierzę w mego przyjaciela Culmera, że na tem się nie zatrzyma i wymyśli na mnie wiele ciekawszych rzeczy.

— Boże, Boże! — biadała pani Czarnkowska — jakież ten świat okropny! Jak ja się tego boję!...

Naraz w głosie jej zjawiła się dziwna namiętność:

— Jestem słaba kobieta, ale będę walczyła do ostatnich sił... za pana. Alfred to będzie widział!...

Wyczerpana tym wybuchem padła bezwładna w głąb fotela.

Twardowski serdecznie się ze swą sojuszniczką pożegnał.

Wracając do domu piechotą, myślał o czekającej go kampanji, której pierwsze strzały już padły. Nie bał się walki, ale nie widział jeszcze, jak i czem sam będzie walczył... Cieszyło go, że ma sojuszniczkę w pani Czarnkowskiej. Słaba, dogasająca kobieta... Tak, ale ona nie dopuści do tego, żeby jakiegokolwiek oszczerstwo znalazło wiarę u Wandy.

Zbliżał się do swojego domu, gdy uwagę jego zwrócił stary, brodaty Żyd, zamożnie, acz nie po europejsku ubrany, w długim paltocie i w małej okrągłej czapeczce na głowie. Dotychczas obserwował

podobne typy zdaleka: nigdy nie miał z niemi do czynienia.

Żyd szedł prosto na niego.

— Przepraszam — rzekł, zdejmując czapeczkę — czy pan hrabia Twardowski?

— Twardowski, ale nie hrabia.

— Ja bardzo przepraszam pana hrabiego, ale ja chciałem pomówić o jednym interesie. Czy mógłbym wejść na chwilę?

— A co ta za interes? Kto pan jest?

— Ja jestem Cukierman.

— O co panu chodzi? Może pan zaraz powiedzieć.

— Tak na ulicy?...

— Można na ulicy.

— Ja słyszałem, że pan hrabia ma zamiar zaciągnąć pożyczkę. Jabyłem mógł służyć na bardzo dogodnych warunkach.

Oho — pomyślał Twardowski — widzę, że moja finansowa reputacja szeroko już się rozeszła.

— Kto panu powiedział, że ja mam zamiar zaciągnąć pożyczkę?

— To mój fach, proszę pana hrabiego, wiedzieć takie rzeczy. Ale każdy fach ma swoje sekrety.

— To powiedz pan swemu tajemniczemu informatorowi, że niepotrzebnie zajmuje się mojami interesami. Źle pana poinformował: pożyczki nie potrzebuje.

— Na wszelki wypadek, może pan hrabia weźmie mój adres. Ja mam telefon i zawsze się stawię.

Wsunął bilet w rękę Twardowskiemu i oddalił się z uniżonym ukłonem.

— Widocznie, jeden z przyjaciół i agentów Culmera — mówił do siebie Twardowski. — Tamten wierzy niezłomnie w moją biedę i przez nią postanowił dojść do mnie. Nie udało mu się zrobić mnie grabieżem, ani kochankiem pani Brzozowskiej — liczy te-

raz, że mogą być wzięty na łańcuch, jako dłużnik pana Cukiermana. Przyjaciół Culmer jest nielada Metternichem...

Gniewało go jednak, że przeciwnik ciągle się rusza, ciągle coś przedsięwzię, on zaś stoi w miejscu i biernie czeka, co dalej nastąpi. Tamten zna wybornie stosunki miejscowe, posiada licznych agentów i współpracowników, on zaś jest tu obcym, stoi sam: cała jego armja składa się z biednej, złamanej kobiety... Teraz zaś już czekać nie można, bo walka bodaj rozpoczyna się na dobre.

Zaczął wyrzucać sobie, że zbyt zadowolniał się dotychczas znajomościami salonowymi, z których nie ma żadnego pożytku, że nie nawiązał dotychczas stosunków z ludźmi, w których mógłby znaleźć sojuszników. Przecież tacy ludzie są na pewno: w polityce, w prasie, w instytucjach i organizacjach, w których się pracuje i walczy. Najgorsza, że on o właściwem życiu polskiem nie ma pojęcia. Widzi rozmaite jego przejawy zewnętrzne; jedno przeczuwa, drugie podejrzewa, ale ciągle jest jak w lesie.

Teraz, choćby nie chciał, będzie musiał karierę salonową skończyć. Pomoże mu do tego Culmer, który zaczął od wyrabiania mu reputacji bankruta, a niezawodnie na tem się nie zatrzyma. Nawet na czwartkach u Czarnkowskich nie można będzie się pokazywać. Panią Czarnkowską i, ma się rozumieć, pannę Wandę musi widywać, ale nie w dniach przyjąć. Tem bardziej jest zmuszony szukać innych ludzi...

Nigdy nie czuł takiej potrzeby posiadania przyjaciół, jak w tej chwili.

Przypomniał sobie księdza Rybarzewskiego. To niewątpliwy przyjaciel. Trzeba go odwiedzić. Kazał zatelefonować po samochód i wyjechał na parę dni do Turowa.

Pierwszego zaraz dnia odwiedził proboszcza. Powiedział mu o swoim zamiarze wycofania się z życia

salonowego i poszukania sobie towarzystwa ludzi, którzy tworzą istotne życie tego kraju.

— Tacy ludzie — rzekł ksiądz — są dla pana właściwym towarzystwem. Ale przecie można pogodzić jedno z drugim. Jest pan człowiekiem młodym — nie można żyć samymi poważnemi rzeczami.

Twardowski się uśmiechnął.

— Zdaje się, że przez pewien czas salony będą dla mnie niedostępne.

Ksiądz spojrzał zdziwiony.

— Pan Culmer — ciągnął dalej Twardowski — rozpoczął ze mną walkę i zabrał się do psucia mi reputacji.

Ksiądz nagle sposepniał. Zadał parę pytań gościowi w sprawie doświadczeń, które miał ostatnimi dniami na warszawskim gruncie, potem zamilkł. Widać było, że wiadomości Twardowskiego poruszyły go głęboko. Stracił zwykłą werwę; siedział chmurny, zamysłony. Chwilami nie słyszał, co gość do niego mówił.

Twardowski opuścił proboszcza pod wrażeniem, że ten więcej się przejął od niego samego jego walką z Culmerem.

Wróciwszy do swego mieszkania w Warszawie, zastał bilet profesora Franciszka Piętki. Pamiętał go dobrze z przyjęcia u Osieckiego, na którem się poznał z Topolińskim i Kozienieckim. To był bodaj najsympatyczniejszy ze współbiesiadników. Trzeba go będzie bliżej poznać.

Tegoż popołudnia poszedł do profesora z rewizytą i szczęśliwie zastał go w domu.

Młody oryginał przyjął gościa w gabinecie, którego wygląd świadczył o słabem zamiłowaniu gospodarza do systematyczności i porządku, ale jednocześnie o wytężonej pracy.

Był widocznie rad z gościem, ale i zakłopotany.

— Przepraszam — zaczął — za ten nieład...

— Niech mnie pan nie przeprasza — zaśmiał się Twardowski — ja do tego jestem u siebie przyzwyczajony. Uważam nawet, że przy dużej pracy porządek jest niemożliwy.

Piętka się rozjaśnił, widząc człowieka, który go rozumie. Usadowiwszy gościa w fotelu, siadł naprzeciw niego i zaczął odrazu mówić tonem przekonującej szczerości:

— Byłbym przyszedł do pana wkrótce po naszym spotkaniu u Osieckiego. Pan zrobił na mnie wrażenie ogromnie mądrego człowieka: ma pan w pięcie więcej rozumu, niż taki np. Topoliński w głowie. Jedna rzecz atoli mię zatrzymała...

Twardowski czekał, co dalej usłyszy. Nagle gospodarz bez żadnych przygotowań rzucił pytanie:

— Czy pan wie co o „grabarzach”?

— O Związku uczynnych grabarzy?

— Tak.

— Wiem sporo.

— Otóż zaraz po naszym spotkaniu „grabarze” u nas na uniwersytecie zaczęli robić panu ogromną reklamę. Wyciągnąłem stąd wniosek, że pan do nich należy, i dlatego do pana nie poszedłem.

— Nic o tej reklamie nie wiedziałem — rzekł śmiejąc się Twardowski. — Ale widzę, że pan zmienił zdanie, skoro pan był łaskaw mnie odwiedzić? Czyżby przestali mię reklamować?

— To rzecz niesłychanie dziwna. Spoczątku opowiadali, że przyjechał z zagranicy człowiek pierwszorzędnny, inteligencja niepospolita, wiedza ogromna, kultura wysoka — niezwykła zdobycz dla naszego kraju... Oni tak reklamują tylko swoich. Potem się to nagle ucięło. Nic o panu nie mówili i niechętnie odpowiadali, gdy ich pytano. Teraz znów, w ostatnim tygodniu, nagle zaczęli wygadywać na pana niestworzone rzeczy. To było dla mnie dowodem, że pan do

bractwa nie należy. I natychmiast do pana przyszedłem.

Twardowskiego ujęła ta prostota i szczerść gospodarza. Chciał go zapytać, co o nim opowiadają, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

— Jeżeli pan pozwoli — rzekł gospodarz, wstając z miejsca — to dokonamy potem rozmowy. Teraz żona prosi nas na herbatę.

W malutkim, skromnie umeblowanym saloniku czekała na nich pani profesorowa, osoba wybitnie brzydka, prawdopodobnie w wieku męża, ale wyglądająca znacznie starzej od niego, nosząca na twarzy ślady wysiłku i wyczerpania, charakterystyczne dla kobiet intelektualnych.

Przedstawiwszy jej Twardowskiego, Piętka dodał:

— Moja żona doktoryzowała się z psychologii.

— Tośmy koledzy — rzekł z uśmiechem Twardowski. — Tylko ja się nie doktoryzowałem.

Z grzeczności zagadnął panią domu o wspólnym przedmiocie i przekonał się, że przestudjowała sumienie conajmniej jeden podręcznik i wyznaje go prawowiernie.

Pani widocznie rada była ze spotkania człowieka, z którym mogła prowadzić „fachową” rozmowę, ale Twardowski się nudził i niecierpliwie czekał na dalszy ciąg wynurzeń profesora o grabarzach.

Słuchając pani, zdającej egzamin ze swojej wiedzy, zastanawiał się nad jednym zagadnieniem psychologicznym: co mogło skłonić takiego żywego i interesującego człowieka, jak Piętka, do ożenienia się z taką suchą, papierową kobietą, umiejącą powtarzać tylko to, czego się nauczyła napamięć? Jedyne wyjaśnienie znalazł w tem, że pani profesorowa niewątpliwie pochodziła ze sfery kulturalniejszej, niż mąż, co musiało mu imponować. Zauważył sobie w duchu, że takie małżeństwo ma dobrą stronę: Piętka jest człowiekiem pełnym zapału do innych rzeczy może właśnie dlatego, że

nie ma u siebie w domu nic, coby go od nich odciągało. Jakimż przeciwnym biegunem jest Wanda, która doszła do przekonania, że jest głupia, a która jest najbardziej interesującą z kobiet!

Poważna herbata wreszcie się skończyła, i wrócili z Piętką do jego zaśmieconego gabinetu.

— Ma pan zupełną słuszność — rzekł, nawiązując przerwana rozmowę, Twardowski — nie tylko nie jestem grabarzem, ale mam zaszczyt być trochę w wojnie z tem bractwem.

— To chyba odniedawna?

— Tak. Dopóki mnie nie poznali, liczyli, że do nich przystąpię.

— Teraz rozumiem! — zawołał rozjaśniony Piętka. — Mam nadzieję, że pan pójdzie z nami przeciw tym łajdakom.

— Może się sobie nawzajem przydamy — odrzekł Twardowski. — Niech mi pan przedewszystkiem powie, co oni o mnie opowiadają.

— Paskudztwa, które trudno powtarzać.

— Tem bardziej mnie to interesuje.

— Więc mam powtórzyć wszystko bez oszczędzania pana?

— Ma się rozumieć — ja wszystko wytrzymam.

— Więc przedewszystkiem jest pan powierzchownym blagierem, udającym uczonego, choć nic nie napisał. Dają nawet do zrozumienia, że ma pan trochę bzika. Półśłówkami bąkają, że coś było brzydkiego między panem a pańskim stryjem, że przyśpieszył pan jego śmierć niewiadomo jakim sposobem, że coś niewyraźnego stało się z testamentem.

— Ho, ho! — zawołał Twardowski — to grubo. I cóż więcej?

— Ci, co bywają w salonach, opowiadają, że pan był niedawno u niejakich państwa Brzozowskich. Panni podobno jest pięknoscią. Skorzystał pan z nieobecności pana domu i tak się obcesowo zachował wzglę-

dem pani domu, że zadzwoniła na służbę i kazała pana za drzwi wyrzucić.

Twardowski słuchał wszystkiego z zimnym, sztywnym uśmiechem. Dowiedziawszy się atoli o swej klęsce w roli Don Juana, zerwał się z fotela, wykrzykując:

— A to beczelna kanalia!

Piętka się przestraszył. Zaczął się tłumaczyć:

— Przepraszam, że to powtórzyłem...

— Ależ dziękuję panu: oddał mi pan prawdziwą usługę. To ja przepraszam pana za swój wybuch. Wiądzi pan, łatwiej wytrzymać oskarżenie o najpotworniejszą zbrodnię, niż ośmieszenie.

— Nasi ludzie — rzekł Piętka — niczemu nie wierzą, bo tę kanalię dobrze znają.

Twardowski się zastanowił. Po chwili milczenia zapytał:

— Czy Kozieniecki należy do tych opowiadaczy?

— On także jest grabarzem, zdaje się, że od niedawna. Jak pan musiał zauważyć, to wielki elegant: on jest głównym źródłem plotek salonowych.

— A więc historia o pani Brzozowskiej od niego pochodzi?

Piętka milcząco potwierdził.

— Ja się z nim rozmówię — zawołał Twardowski.

— Myśli go pan wyzwać?

— Zobaczę. W każdym razie nie będzie więcej opowiadał.

Powstał, zabierając się do wyjścia.

— Proszę pana — rzekł Piętka — w swojej walce z grabarzami może pan liczyć na mnie i na moich przyjaciół. Pan mało zna nasze stosunki; chciałbym pana trochę o nich poinformować.

— Bardzo pana o to proszę. Niech pan sobie wybierze który z najbliższych wieczorów, kiedy pan jest wolny, to sobie dłużej pogadamy.

— Mogę pojutrze, od ósmej jestem wolny.

— Znakomicie. Niech pan zrobi mi tę przyjemność i przyjdzie zjeść ze mną kolację.

Przed pożegnaniem zapytał jeszcze gospodarza:

— Nie wie pan, czy profesor Kozieniecki ma jutro wykład na uniwersytecie?

— Mogę zobaczyć.

Widocznie dobrze się orjentował w chaosie książek i papierów, zalegających długi stół pod ścianą, bo rychło znalazł, czego szukał.

— Ma, od dziesiątej do jedenastej.

— Dziękuję panu.

Pożegnał się i zostawił gospodarza, zastanawiającego się nad tem, do czego ta wiadomość Twardowskiemu mogła być potrzebna.

Twardowski zaś na ulicy myślał o tem, że Kozieniecki musiał opowiedzieć historję o nim i pani Brzozowskiej pannie Wandzie, i to wprawiało go w coraz większą wściekłość na eleganckiego profesora.

Co dziewczyna mogła sobie pomyśleć!...

XVI.

Nazajutrz przed południem, kilka minut po jedenastej, Twardowski szedł Krakowskim Przedmieściem naprzeciw uniwersytetu, gdy na chodniku ukazał się profesor Kozieniecki, wracający do domu po skończonym wykładzie. Ujrawszy Twardowskiego, ukłonił mu się obojętnie i próbował szybko go wyminąć, ale ten nagle podszedł do niego i, nie podając mu ręki, rzekł spokojnie:

— Panie profesorze, doszła do mnie pewna historia, którą pan miał o mnie opowiadać, a która mi ubliża i mnie ośmiesza. Utartym zwyczajem powinienem postąpić tak wobec pana, żeby mię pan musiał wyzwać. Ponieważ lubię używać niezupełnie utartych sposobów, więc przedewszystkiem chcę z ust pańskich

usłyszeć, skąd pan tę historję wziął i co pana spowodo-
wało do jej opowiadania.

Kozieniecki zbladł i zaczął jąkać:

— Ależ...

— Nie możemy — przerwał mu Twardowski —
prowadzić tej rozmowy na ulicy. Żądam od pana, że-
by pan wsiadł ze mną do samochodu; pojedziemy do
mnie i tam się rozmówimy. Nie wątpi pan, sędzę, że
panu w moim domu nie grozi żaden zamach ani na ży-
cie, ani na cześć pańską.

Nie czekając odpowiedzi, zatrzymał przejeżdżającą
taksówkę. Kozieniecki, oszołomiony, wsiadł bez pro-
testu.

Przez drogę nie wymienili ani słowa.

— Niech pan siada — rzekł Twardowski, gdy się
znaleźli w jego gabinecie. — Siedząc, rozmawia się
spokojniej.

Powtórzył Kozienieckiemu to, co mu Piętka opo-
wiedziało o nim i o pani Brzozowskiej.

— Tę historję słyszałem od kogoś, komu ją pan
opowiadał. Czy miał pan jakie osobiste powody do
tego, żeby mię kompromitować i ośmieszać?

Kozieniecki wiał się pod przeszywającym go spoj-
rzeniem Twardowskiego. Nie był wszakże tchórzem
i nie był pozbawiony poczucia godności osobistej. Na
chwilę wyprostował się duchowo.

— Przyznaję — rzekł — że ją opowiadałem, bo ją
uważałem za prawdziwą. Nie czyniłem tego z żad-
nych osobistych pobudek. Gotów jestem panu dać sa-
tisfakcję.

— Dobrze. Na jakiej podstawie uważał pan to za
prawdę?

— Słyszałem tę rzecz od bardzo poważnego i sza-
nownego człowieka, którego nazwiska, pozwoli pan,
nie wymienię. Sam biorę na siebie wszelkie konsekwencje.

— Nie pytam pana o nazwisko owej osobistości, bo je znam. Opowiadał panu tę historję mecenas Culmer.

Kozieniecki podskoczył na fotelu z wyrazem przestachu na twarzy.

— Reakcja pańska na to nazwisko — mówił Twardowski tonem eksperymentującego psychologa — potwierdza, że się nie mylę. Powiem panu więcej: Culmer zalecił panu powtarzanie tej historii, a zalecenie to było dla pana rozkazem.

Kozieniecki zaczął bełkotać napół przytomnie:

— Nie rozumiem pana... Zalecenie... rozkaz... Skąd pan to bierze?...

Twardowski wytrzymał go tak przez dłuższą chwilę. Wreszcie z całym spokojem, wybijając mocno wyraz po wyrazie, rzekł:

— Historia ta jest zmyślona z celem szkodzenia mi, a zmyślił ją Culmer, który jest jednym z najnikczemniejszych, chodzących po ziemi łotrów.

Kozieniecki się zerwał.

— Panie, to człowiek otoczony powszechnym szacunkiem.

Twardowski uspokoił go gestem ręki.

— Niech pan siada. Proszę nie zapominać, że jest pan względem mnie winowajcą i żeśmy jeszcze nie załatwili rachunku między sobą.

Kozieniecki usiadł z miną człowieka, który dałby wszystko, żeby się znaleźć w tej chwili na innym miejscu.

— Otoczony powszechnym szacunkiem — cedził Twardowski. — Tem gorzej dla tych, którzy go szanują. Panu nie wolno inaczej mówić, bo to pański zwierzchnik.

Kozieniecki, blady, patrzył, jakby się nagle przed jego oczyma coś zawało.

— Jaki zwierzchnik?... — wyszeptał.

— Pomówimy o tem za chwilę. Tymczasem za-trzymamy się jeszcze przy panu Culmerze. Całe ży-

cie tego nikczemnika jest jednym kłamstwem. Kłamię zasady, kłamię swe uczucia dla ludzi, kłamię swe pochodzenie...

— Pochodzenie?...

— Skąd się według pana wziął pan Culmer?

— Culmerowie są rodziną polską pochodzenia angielskiego.

— Nie, panie, to są Żydzi polscy. Nazwisko ich brzmi Kulmer i pochodzi od Chełmna na Pomorzu. Jego ojciec ochrzcił się na kalwinizm i był niezawodnie takim samym łotrem, jak on.

Kozieniecki szeroko otworzył usta.

— Ja się teraz zajmuję — ciągnął dalej Twardowski — studjami nad życiem pana Culmera. Mam do tego powody rodzinne. I nie spocznę, dopóki tej jadłowitej gadziny nie zgniotę. On walczy ze mną oszczerstwem, bronią nikczemnego tchórza, i pana między innymi w tej walce użył za narzędzie. Interesuje mnie tylko to, czy pan był narzędziem świadomem.

— Zapewniam pana, że gdybym był nie wierzył w tę historję, nikomubym jej nie powtórzył.

— Nie jest mi miło, że pan w nią uwierzył, ale tak pan lepiej wygląda. Pomówimy teraz o panu.

Kozieniecki milczał. Zdenerwowanie jego rosło. Twardowski mówił spokojnie:

— Słyszałem, że pan pochodzi z uczciwej i kulturalnej rodziny polskiej. Jest pan człowiekiem inteligentnym, zdolnym, niezawodnie pracowitym, o czym świadczy suma pańskiej wiedzy: pomimo młodego wieku już się pan zdążył wybić naukowo. To, że wybrał pan karierę naukową, świadczyło, że miał pan wyższe aspiracje duchowe i skromne wymagania od życia. Odkąd wszakże zjawił się pan na widnokręgu uniwersyteckim, znalazł się ktoś, kto podpatrzył w panu pewien pociąg do komfortu, do wykwintnego otoczenia, no i... pewien snobizm. Zauważył, że można rozbudzić w panu daleko idące w tym kierunku

ambicje, ażeby z tych ambicyj zrobić pasek, na którym można będzie pana poprowadzić. Tym kimś był, zdaje się, starszy pański kolega, Topoliński. Wykazał panu, że z pańskimi zdolnościami można być czemś więcej, niż profesorem, żyć na wyższym o wiele poziomie, niż żyje uczony, a później ofiarował się panu otworzyć drogę do tego lepszego życia. Drogą tą było wejście do potężnej organizacji, istniejącej, jak mówił, na całym świecie, rządzącej wszędzie, kierującej wszystkim. Z tą organizacją dochodzi się do wszystkiego, bez niej do niczego. Prawda, powiedział to panu niemal temi samemi słowy?...

Kozieniecki milczał.

— Pan przez długi czas nie mógł się zdecydować, jakiś instynkt pana powstrzymywał: bał się pan utracić swą niezależność, chciał pan pozostać panem samego siebie, zadawał pan sobie pytanie, czy nie stanie pan w sprzeczności ze swym kodeksem moralnym — który pan miał, może niezbyt głęboki, ale bardzo wyraźny — czy wolno to panu zrobić jako Polakowi. Wreszcie uspokojono pańskie skrupuły, powiedziano panu o szlachetnych celach organizacji. Pokusy zaś były wielkie. Niedawno się pan zdecydował i zaszedł wielki przewrót w pańskim życiu.

Kozieniecki ciągle milczał.

— Przeszedł pan wstępną operację, w której było coś upokarzającego, poniżającego, ale wmówiono panu, że przez poniżenie idzie się do wywyższenia. Raziły pana formy, ceremonje, śmieszyły spoczątku zabawne stroje rytualne, ale nauczono pana wiary w symbole i wmówiono, że to wszystko ma głębokie znaczenie, że jest drogą do wyższej mądrości, niedostępnej dla zwykłych ludzi. Zaczął się pan czuć innym, wątpię, czy lepszym człowiekiem, niż pan był, i z tem się pan pogodził. Przez pewien czas czuł pan coś jakby żal za utraconą wolnością, jakby wyrzuty sumienia, że się pan czemuś sprzeniewierzył, kogoś zdradził... To wszystko

udało się zgłuszyć przez powtarzanie sobie, że jest was tylu i tak wybitnych ludzi, przez stwierdzanie, że się panu powodzi i że idzie pan naprzód w życiu, przez wmawianie w siebie, że służy pan wielkim celom... Ale pan to tylko wmawia w siebie, bo jako człowiek inteligentny rozumie pan, że te cele, które panu ukazano, to tylko środki do czegoś innego lub dekoracja, zasłaniająca cele właściwe.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Po chwili wziął Kozienieckiego za ramię, podprowadził go do okna i wskazał na ulicę.

— Widzi pan ten wóz parokonny, naładowany pakami towarów? Wy, członkowie tej organizacji, nawet zajmujący w niej dość wysokie stopnie, wiecie tyle o właściwych jej celach i o tem, kto nią kieruje, ile te konie wiedzą o zawartości pak, leżących na wozie, oraz o nazwisku i pochodzeniu ich właściciela.

Usiedli obaj spowrotem. Kozieniecki przestał się denerwować: dał się biernie prowadzić, siedział nieruchomo, z oczyma w słupek, zdrętwiały.

— Conajgorza — ciągnął Twardowski — że zdajecie sobie z tego sprawę, przynajmniej ci, którzy umieją trochę myśleć. Ale nie zadajecie samym sobie pytania, czemu i komu służycie, bo się boicie odpowiedzi. Ja panu tej odpowiedzi jeszcze dziś nie dam, bo jestem dopiero na drodze do pełnego jej sformułowania. Tylko postawię przed panem jedno pytanie. Macie swobodę poglądów na wiele rzeczy; macie prawo wolnej krytyki w wielu sprawach. Jest atoli jeden przedmiot, do którego z krytyką przystępować nie wolno, jedna dziedzina, w której nie wolno stwierdzać najoczywistszych faktów. Pan dobrze wie, że mówię o Żydach. To najlepszy dowód, że oni was prowadzą i wami rządzą. Jesteście ich zwierzętami domowymi, wykonywającymi ich wolę, pracującymi dla nich, strzegącymi, ażeby ich bezceństwa nietylko pozostawały bezkarnymi, ale były pokrywane mil-

zeniem. O dalszych zaś jej celach wiecie tyle, co zwierzęta domowe o celach swego pana. I jak one, jesteście przez swych panów hipnotyzowani.

Kozieniecki ciągle milczał, ciągle pozostawał w odrętwieniu. W tej chwili wyglądał tak, jakby był zahipnotyzowany przez Twardowskiego.

— Organizacja wasza pociąga was do siebie rozmaitemi sposobami. Jednym ukazuje miraż wielkiej kariery, korzyści materialnych, zaspokojenia fałszywych najczęściej ambicyj; innych szantażuje tem, że wie o ich grzechach, trwożliwie przez nich ukrywanych — ci są najpowolniejszymi, najbardziej poszukiwanymi przez nią narzędziami; innych, najgłupszych, bierze na swoje idee, na swoje, rzekomo szlachetne cele, pod któremi powierzchowne umysły nie widzą istoty rzeczy; innym — a tych jest niemało — zapewnia pomoc w zmiążdżeniu znienawidzonych przeciwników. Najcenniejszymi, przeznaczonymi do głównych ról jej członkami, są ci, którzy z urodzenia i pochodzenia są dla niej stworzeni, ludzie niezwiązani węzłami moralnemi z narodem, wśród którego żyją i do którego się przyznają. Ci właśnie stanowią jej duszę — oni jedni mają pełne zaufanie władzy.

— Wstępując do niej dla pozyskania jej poparcia, nie przewidujecie, czem wam każą za to poparcie płacić, jaką służbę będziecie musieli pełnić. Wciągają was w nią powoli, stopniowo, w miarę jak tępieje wasz zmysł moralny, jak zatracacie szacunek dla samych siebie. Ot, przykład pański. Zaczęto od tego, że zalecono panu opowiadanie zabawnej historyjki o panu Twardowskim i pani Brzozowskiej. Pan z zamiłowania nie jest plotkarzem, ale ją pan zaczął opowiadać, żeby zrobić przyjemność panu Culmerowi. Przecie to musi być prawdą, skoro pochodzi od pana Culmera. Jutro zażądata od pana rzeczy gorszej; pojutrze będzie pan zniesławiał najuczciwszego człowieka, wiedząc, że pan szerzy fałsz o nim: uspra-

wiedliwiać się pan będzie przed sobą tem, że to się robi dla wyższych celów. Ten człowiek sam sobie winien, że stanął na drodze pańskiej organizacji. Później sumienie w panu tak zamilknie, że już usprawiedliwienia nie będą potrzebne. Wreszcie, z łatwością będzie się pan dawał używać do służby przeciw własnej ojczyźnie, ze zgubą wszystkiego, co pan przedtem czcił i kochał.

Na twarzy Kozienieckiego zaczął wypęłzać wyraz ostrego bólu. Twardowski to widział, ale jak zimny chirurg, bez wahania prowadził swą operację do końca.

— Przyglądałem się panu od pierwszej chwili — mówił dalej. — Pan nie jest człowiekiem bardzo uczuciowym, nie jest pan idealistą, myśli pan przede wszystkim o sobie, ale jest pan typem uczciwego człowieka w stylu zachodnim, człowieka, który nie robi rzeczy niskich, bo siebie szanuje. I dzięki tradycjom rodzinnym jest pan dobrym Polakiem. Chwila obecna jest w życiu i w duszy pańskiej przełomową. Człowiek pańskiego typu ma potrzebę pozostawiania w zgodzie z sobą samym, chce patrzeć śmiało sobie samemu w oczy. Dziś ta potrzeba zaczyna w panu słabnąć i będzie zanikała coraz bardziej, coraz rzadziej będzie pan pytał własnego sumienia o sąd o pańskich postępkach. Wkońcu sumienie zamilknie, zatraci pan szacunek dla samego siebie — wystarczy, że ludzie będą pana szanowali... jak Culmera.

Zamilkł. Kozieniecki siedział blady, z bolesnym skurczem w twarzy, oczy jego przygaste patrzyły w przestrzeń, jakby w przyszłość, którą mu Twardowski bezlitośnie malował. Nareszcie wyszeptał:

— Dlaczego pan to wszystko mówi?

— Bo chcę pana uratować. Nie dla pana to robię, ale dla społeczeństwa, które może mieć z pana duży pożytek.

— Już za późno.

— Głupstwo. Zasugerowano pana, że niema drogi powrotnej, że na tych, co jej próbują, wszechpotężna organizacja ma straszne kary. Może to kiedy i było. Dziś brak zębów do gryzienia — walczą językiem. Walczą przede wszystkim oszczerstwami, orężem tchórzów. Nie mówię, że pana nic przykrego nie spotka, ale stawka jest zbyt wielka, żeby się cofać przed przykrościami. Ja pana, zresztą, nie skłaniam do walki przeciw nim; pan nie ma do tego temperamentu. Wystarczy, żeby się pan wyzwolił. Trzeba ich zawiadomić, że nie ma pan zamiaru iść przeciw nim, ale usuwa się pan od czynnego udziału w organizacji. Uznają pana za śpiącego brata. Niejeden to zrobił i pozostawili go w spokoju.

— Nie wiedziałem o tem.

Kozieniecki milczał przez chwilę, wreszcie rzekł głosem mocnym, który aż zdziwił Twardowskiego:

— Ja to zrobię!

— Czy to pańskie nieodwołalne postanowienie?

— Tak. Daję na to słowo honoru.

Twardowski podał mu rękę.

— Panie profesorze — rzekł — niech mi pan wie-
rzy, iż wobec tego wyniku naszej rozmowy moja sprawa osobista jest w oczach moich drobiazgiem. Jednakże wymaga ona załatwienia. Culmer panu nakłamał. Było coś, ale coś całkiem przeciwnego, co nie mnie kompromituje i ośmiesza, ale Culmera i jego córkę. Miałbym prawo to panu opowiedzieć, ale mam jakiś nałogowy wstręt do plotek o kobietach, nawet gdy są żydówkami. Żądam od pana tylko jednej satysfakcji, mianowicie, żeby pan ludziom, do których to kłamstwo Culmera przez usta pańskie doszło, powiedział, że niema w niem ani słowa prawdy, że został pan okłamany.

— Zrobię to niezwłocznie.

— Nie wątpię: wiem, że mam do czynienia z człowiekiem honoru.

Obaj powstałi z miejsc.

— Jeszcze jedno — rzekł Twardowski. — Zrozumie mnie pan, gdy powiem, że przedewszystkiem mi chodzi o kobiety. Niestety, wszyscy na ich opinię jesteśmy wrażliwi. Nie pytam pana, czy pan opowiedział to jakiej kobiecie. Ale jeżeli tak było, niech pan prostowanie od niej zacznie.

Kozieniecki zmieszał się, przestał patrzeć Twardowskiemu w oczy. Ale nastrój szczerości, który między nimi zapanował, wziął górę.

— Zaraz stąd — rzekł zakłopotany — idę do państwa Czarnkowskich, bo panna Wanda jest jedyną kobietą, która to słyszała.

Twardowski miał w tej chwili ochotę zmasakrować eleganckiego profesora. Opanował się jednak i przyjaźnie się pożegnali.

XVII.

Wkrótce po wyjściu Kozienieckiego, podczas śniadania, służący wręczył Twardowskiemu liścik od pani Czarnkowskiej. Prosiła, żeby zechciał wpaść do niej — będzie w domu całe popołudnie.

Poszedł koło czwartej. Przyjęła go w swoim buduarku, ubrana w ciepły szlafroczek. Miała minę bardziej zmartwioną, niż zwykle.

— Przepraszam pana — rzekła na wstępie — że tak go przyjmuję, ale nie czuję się dziś dobrze. Nie jestem chora, ale jakoś mi zimno, pomimo że przecie mieszkanie jest dobrze ogrzane.

— Panie! — zawołała. — Przecież z panem zaczyna się dziać to samo, co z biednym Alfredem. Codzień ludzie mi znoszą obrzydliwe, nikczemne plotki. Czy i do pana one dochodzą?...

— O tak! — odparł wesoło Twardowski. — Do-
wiedziałem się, że m blagier, nieuk, trochę warjat,
że m sfałszował testament stryja, że m go zamordował.

— Widzę, że pan sam jeszcze z przyjemnością coś
do nich dodaje.

— Niewiele. Najgorsza, że oskarżają mnie o za-
mach na granitową cnotę pani Brzozowskiej.

Uśmiechnęła się boleśnie.

— Wczoraj mi próbowano wmówić, że pan jest
agentem jakiegoś obcego mocarstwa.

— A, i to jeszcze? Tego dotychczas nie sły-
szałem.

— Panie Zbigniewie, jak ja się tego wszystkiego
boję. Kłócę się z ludźmi o pana, ale cóż ja jedna ko-
bieta znaczę!...

— Niech się pani nie boi. Ja się nie dam tak
zniszczyć, jak mój stryj nieszczęśliwy. To, że pani
staje w mojej obronie, wielką ma dla mnie wartość.
Myślę wszakże nie o obronie, ale o ataku. Ja muszę
zmiażdżyć tego łotra Culmera.

— Jakiż on ma powód do prześladowania pana?

— Tego jeszcze pani nie mogę powiedzieć. Muszę
przedtem sobie niektóre rzeczy wyjaśnić.

Zatrzymała go przeszło godzinę, wypytując o jego
sprawy i zamiary.

Żegnając się z nią, Twardowski rzekł:

— Muszę zredukować swe życie towarzyskie; raz
dlatego, że przestaje ono być przyjemnością, gdy
wiem, że za memi plecami ludzie sobie plotki o mnie
opowiadają, i gdy w twarzach ich się czyta, że tym
plotkom wierzą; powtórę, muszę rozwinąć stosunki
w sferach, w których znajdę sojuszników do czeka-
jącej mię walki. Wybacz mi też pani, że przestanę
bywać na czwartkach u państwa. Pozwoli mi pani
wszakże zaglądać, gdy panie są same...

— Jabym nie mogła już żyć bez częstego widywa-
nia pana. Pan mię łączy z tem, co mi jest najdroż-

sze — z pamięcią Alfreda. Zresztą, będziemy razem walczyli i musimy się często komunikować. Wandeczka także gniewa się, gdy pan długo się nie pokazuje.

Twardowski opuścił ją, zadowolony nadewszystko z gniewu Wandeczki.

Gdy przechodził przez salon, zastał w nim pannę Czarnkowską.

Wpadła nań jakaś rozbawiona, roześmiana, ale spod tego niezwykłego humoru przeglądało pewne zdenerwowanie.

— Może pan chwilę pozostać? — zapytała.

— Z przyjemnością.

Usiadła w fotelu i wskazała mu miejsce naprzeciw siebie. Popatrzyła nań badawczo i nagle rzuciła nieoczekiwane pytanie:

— Panie, kto pan jest?

Roześmiał się wesoło.

— Jestem Zbigniew Twardowski.

— To, to ja wiem.

— Chodzi pani o zawód, o stanowisko w życiu? Jestem dość zamożnym, żeby nie pracować. Wobec tego bawię się na swój sposób: uprawiam po amatorsku psychologję, obserwuję ludzi i wysnuwam wnioski, które bywają interesujące.

— I to mniejwięcej wiem. Wprawdzie mówiono o panu, że pan jest bankrutem, ale ja temu nie uwierzyłam. Nie byłby pan taki pewny siebie.

— Więc coś więcej chce pani wiedzieć?

— Dużo, bardzo dużo...

— Słucham panią.

— Kiedy pan się zjawił w Warszawie, zaczęto mówić o panu, jak o jakim magu, rozwodzono się nad pańską wiedzą, nad pańską mądrością... Teraz znów mówią coś całkiem przeciwnego. Wygadują na pana niestworzone rzeczy. Trudno uwierzyć, żeby

tyłe przewrotności mogło się zmieścić w jednym człowieku.

— Aż tak! — zawołał Twardowski z komicznym przerażeniem.

— Wie pan, myślałam sobie, że gdyby jakaś kobieta była w panu zakochana, mogłaby biedaczka zwarjować.

— Całe szczęście, że takiej niema.

— Bo, proszę pana, spoczątku był pan strasznie na serjo i strasznie surowy. Nikt nigdy z takim spokojem mi nie dowiódł, że jestem głupia i zarozumiała. Nie spotkałam człowieka, któryby tak sobie ze mnie nic nie robił. Nagle widzę pana flirtującego nazabój z panią Brzozowską, która jest bardzo niebezpieczną kobietą.

— Naprawdę?... Nie domyślałem się tego.

— Potem ktoś mi opowiada skandaliczną historję o tem, jak pani Brzozowska pana upokorzyła. Pan upokorzony... To bardzo zabawne! Potem ten ktoś przybiega zdyszany i błaga, żeby tej historii nie wierzyć, że niema w niej ani żdźbła prawdy. No, niech pan powie, czy to nie można zwarjować?...

— Gdyby pani była we mnie zakochana.

— E..., z panem nie można poważnie rozmawiać.

— Można. Niech pani powie, co panią w tem wszystkim uderza.

— Pytam, kto pan jest, kto jest ten człowiek, którym się tak wszyscy interesują, o którym te same osoby mówią takie sprzeczne rzeczy. Musi pan mieć szczególny dar budzenia w ludziach raz szacunku i uznania, innym razem ślepej nienawiści.

— To nie dar, to sytuacja.

— Ja sama na sobie się przekonałam, że pan ma dar doprowadzania ludzi do wściekłości. I wtedy, kiedy mi pan publicznie mówił, że jestem głupia...

Twardowski chciał protestować. Nie dopuściła go do słowa.

— Niech się pan nie zapiera, mówił pan. Wtedy właśnie, powiadam, jak na złość, ludzie zaczęli wysławiać pańską mądrość. No, i niech pan powie, jak ja wyglądałam?... Czy pana dziwi, że się wściekała ze złości?

Mówiła z udaną powagą i zakończyła wybuchem śmiechu.

— Ale ja jestem święta dziewczyna. Wszystko to panu zapomniałam i teraz kłócę się z głupcami, którzy na pana wygadują różne obrzydliwości.

Twardowski był uszczęśliwiony, że ma takiego obrońcę.

— A jak pani przyjęła historję o mnie i o pani Brzozowskiej?

— Byłam wściekła. Kozienieckiemu powiedziałam, że jest głupiec. Ach!...

Ugryzła się w język.

— Nie popełniła pani żadnej niedyskrecji. On sam mi się przyznał, że pani to opowiadał.

Spojrzała nań zdziwiona.

— On nie jest taki zły — rzekł Twardowski. — Okłamał go ktoś, komu wierzył. I gdy się dowiedział, że to kłamstwo, zaraz przyszedł sprostować. Ale pani temu od początku nie wierzyła?...

— Powiedziała mu, że pani Brzozowska mogłaby się na pana obrazić tylko wtedy, gdyby pan był za mało agresywny.

Tę niemoralną opinię panna Wanda wygłosiła z całym spokojem. Natychmiast wszakże dodała z wyrazem surowej powagi:

— Ale o to nie posądziłby pana nikt, kto widział, jak pan z nią flirtował u nas na czwartku.

Zamilkła na chwilę, poczem rzuciła:

— Poco pan chodził do niej na obiad?

Gdyby kto inny zadał mu to niedyskretne pytanie, czułby się dotknięty. W tym wypadku ucieszyło go,

że dziewczyna przywłaszcza sobie prawo wdawania się w jego stosunek do innych kobiet.

Popatrzył na nią uśmiechnięty i rzekł:

— Z ciekawości.

— Piękna ciekawość!

— Nikomubym nie powiedział, o co mi chodziło. Ale pani powiem, bo jestem pani wdzięczny, że to panią interesuje.

Dziewczyna się zarumieniała.

— Rozmawiając z panią Brzozowską u państwa w salonie, instynktownie odczułem, że szukała ona znajomości ze mną z jakimś ukrytym zamiarem, poważniejszym, niż to zwykle bywa u kobiet tego rodzaju. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że jest ona córką Culmera, największego mojego wroga, autora tych wszystkich oszczerstw, które o mnie krążą. Miałem jednak poczucie, że w jej zamiarach kryje się coś niebezpiecznego dla mnie...

Panna Wanda nagle spoważniała.

— Culmer... pański największy wróg... autor plotek... Gdyby to nie pan mówił, trudno byłoby uwierzyć. Choć ja go niecierpię.

— Ma pani dobry instynkt. To nikczemny Żyd.

— Zawsze czułam w nim Żyda. Dość spojrzeć mu w oczy. Pani Brzozowska ma takie same... Ale dlaczego on jest pańskim wrogiem?

— To długa historia. Teraz jeszcze nie można o tem mówić. I tak może za dużo powiedziałem. Ale pani z nikim o tem nie będzie mówiła, dobrze?

— Z nikim. Będziemy mieli wspólną tajemnicę. Jak to dobrze!...

Była uradowana i dumna z zaufania, którem ją Twardowski obdarzał. Słuchała z napięciem.

— Culmer — mówił Twardowski — używa do swych celów rozmaitych narzędzi, także i swojej córki.

— To wstrętne!

— Nieraz mi mówiono, że jestem urodzony na de-
tektywa. Mój węch mnie nie omylił. Pani Brzozowska
miała mię ujarzmić z polecenia swego papy i dla jego
celów. Dowiedziałem się o tem dzięki temu, że po-
szedł do niej na obiad.

Twardowski sam sobie się dziwił, że opowiada tyle
młodej dziewczynie. Pomyślał nawet, że to trochę
śmieszne.

Dziewczyna patrzyła weń jak w obraz.

— Więc pan naprawdę nie uważa mię za głupiego
dzieciaka, kiedy mi pan to wszystko mówi! Ach,
jaka ja jestem szczęśliwa! Ale nie będzie pan tego
żałował. Całą swoją istotą będę walczyła za pana
przeciw tym wszystkim głupcom, których jeden nik-
czemnik szczuje. Zobacz pan, że ja jestem silna
kobieta!

Oczy jej paliły się. Twardowski z zachwytem pa-
rzył na nią. Wyciągnął do niej obie ręce.

— I pani chce być moją towarzyszką w walce?...

— Najwierniejszą. Nie pytam, o co pan walczy —
wszystko mi jedno. Nie wiem, dlaczego, ale wierzę
w pana, wierzę, że wszystko, co pan robi, jest dobre.

Trzymając się za ręce, patrzyli sobie w oczy. Ta
niema rozmowa trwała długo...

Dziewczyna spuściła oczy i bezwładnie zaczęła
opadać w fotel, na którym siedziała. Z wysiłkiem cof-
nęła swe ręce...

Twardowski powstał. Głosem stłumionym rzekł:

— Teraz wiem, czym pani jest dla mnie.

Nie podnosząc oczu, wyszeptała:

— Chciałam, żeby pan wiedział.

Podniósł do ust jej bezwładną rękę i pocałował.

Wyszedł, zostawiając ją w fotelu, z którego nie
miała siły się podnieść.

Nie wiedział, dlaczego w tej chwili opuścił salon
państwa Czarnkowskich i zostawił w nim dziewczynę,

siedzącą bez ruchu. Dopiero na ulicy oprzytomniał i zaczął się zastanawiać.

Gdy trzymali się za ręce i patrzyli sobie w oczy, poczuł, że ma ją w swej władzy, że może z nią zrobić wszystko, co zechce. Ona to poczuła także i lęk ją ogarnął. Wtedy odezwało się w nim poczucie odpowiedzialności. Przecie wobec niego ona jest dzieckiem. Bezpośrednio po rozmowie z panią Czarnkowską, która mu okazała tyle przyjaźni, tyle zaufania, nie mógł przestać panować nad sobą wobec Wandy. A jednak ta dziewczyna musi do niego należeć. Bez niej niema życia...

Panna Czarnkowska została długo bez ruchu w pustym salonie. Myślała o tem, co zaszło przed chwilą. Była wdzięczna Twardowskiemu, że poszedł: pierwszy raz w swem życiu w rozmowie z mężczyzną przełękła się. Czego?... Tego, że była wobec niego bezsilną. On to zrozumiał i odszedł. Powtarzała sobie uszczęśliwiona to, co na końcu powiedział. Słyszała to z jego ust, a w jego ustach te słowa znaczą więcej, niż najgorętsze wyznanie. Są już ze sobą związani — nikt ich nie rozdzieli...

Jak do tego doszło?... Przypomniała sobie całą rozmowę od początku. Mówili o nim, potem o pani Brzozowskiej. W tej chwili już nie była zazdrosna o panią Brzozowską. Mówił o niej z pogardą. Co to są te intrygi, które go otaczają? Dlaczego Culmer tak walczy z nim? Może mu istotnie grozi niebezpieczeństwo?...

Strach ją ogarnął.

Ale nie — on jest za silny, za mądry, żeby mu Culmer mógł dać radę... Czem taki Culmer go przewyższa? Prawda, jest bogaty, a on, zdaje się, niebardzo. Ale jak ona wyjdzie za niego i da mu swój majątek, to będzie bogatszy od Culmera.

W tej chwili panna Czarnkowska postanowiła, że musi zostać żoną Twardowskiego.

Przecie nie mogłaby być niczyją inną żoną. Nie wyobraża sobie tego nawet. To jedyny mężczyzna, któremu by się mogła oddać całkowicie. Czemże jest w porównaniu z nim taki Kozieniecki, czy jakikolwiek inny!...

Panna Wanda Czarnkowska pochodziła z rasy kobiet, które górowały nad swemi mężami temperamentem, energją i nawet bystrością umysłu. Były, zdaje się, z tego powodu naogół nieszczęśliwe. Nie pamiętała swej przedwcześnie zmarłej matki, do której, jak wszyscy mówili, była ogromnie podobna i fizycznie, i moralnie. Ojciec jej ożenił się po raz drugi z siostrą jej matki; do niej Wanda bardzo się przywiązała. Była to kobieta naogół zgaszona, a jednak Wanda na każdym kroku odczuwała jej wyższość nad ojcem. Kochała ojca, ale przybraną matkę brała o wiele poważniej. Od dziecka uczyła się patrzeć na małżeństwo jako na instytucję, w której kobieta ma górę. Uważała to za całkiem naturalne. Dorastając, zaczęła myśleć o tem, że i ją czeka małżeństwo. Zaczęła się przyglądać chłopakom ze swej sfery, z bogatej szlachty, ciężącej ku arystokracji. Lubiła ich, ale patrzyła na nich zgóry. Wydawali jej się niemądry i jacyś jakby potrzebujący opieki. Podlotkiem będąc, zaczęła się w jednym z nich podkochiwać. Dużo ze sobą przestawiali, rozmawiali wiele. Była przekonana, że to jej przyszły mąż. Był ładny chłopak, zgrabny, dobrze jeździł konno, świetnie strzelał, w tenisie był pierwszy. Wiedziała, że jest głupszy od niej, ale to jej nie martwiło. Przecie i mamusia jest chyba mądrzejsza od papy. Nie zniżała się wszakże do niego, ale przeciwnie, coraz więcej okazywała pociągu do kształcenia się. Ukończywszy gimnazjum i zdawszy maturę, zaawiadomiła ojca, że chce pobierać lekcje historii, literatury i filozofji. Wziął jej profesorów, którzy ją uczyli i zalecali jej lekturę. Nie martwiło jej zgoła, że te rzeczy wcale nie interesują chłopaka, którego

uważała za swego przyszedłego męża. Ten także spoważniał, studjował prawo, coprawda niezbyt pilnie, i interesował się gospodarstwem, o którym lubił rozmawiać. Mówiła sobie, że mężczyźni są od prowadzenia interesów i nie mogą się zajmować filozofją.

Tymczasem ukazał się na jej widnokręgu Kozieniecki. Wprowadził go do ich domu mecenas Culmer. Młody profesor, ze znanem już nazwiskiem, przystojny, trochę sportowiec, elegancki, bardziej europejski od innych młodych ludzi, których dotychczas znała, olśnił ją swoją wiedzą i inteligencją, ujął tem, że odkrył w niej inteligencję, zachwycił się nią i interesował się tem, co ona myśli o rozmaitych rzeczach. Zaczęła przepadać za rozmowami z eleganckim profesorem. Jednocześnie towarzystwo jej przyszedłego, jak sobie wyobrażała, męża zaczęło ją coraz bardziej nudzić. Miała też pretensję do niego za lekceważenie profesora i nieprzyjaźń dla niego. Wkońcu przemówili się o Kozienieckiego i przestali się widywać. Bez żalu wykreśliła go ze swego życia.

Kozieniecki także wyglądał jej na mężczyznę, potrzebującego opieki. I to uznała za naturalne. Najpierw, każdy mężczyzna potrzebuje opieki, a następnie taki uczony musi jej potrzebować więcej od innych. Zaczęła wyobrażać siebie jako żonę Kozienieckiego. Taki inteligentny, taki interesujący mąż, a przytem człowiek taki wykwinny. Nie jest zamożny jak tamci, ale ona przecie ma majątek. Profesor widocznie ubiegał się o jej względy, co jej pochlebiało. Oswajała się coraz bardziej z myślą, że będzie panią Kozieniecką...

Gdy profesor przyprowadził do ich domu Twardowskiego, o którym zdążyła już poprzednio usłyszeć, nie przyszło jej nawet do głowy spojrzeć na nową znajomość jako na młodego mężczyznę. Od pierwszego wejrzenia oceniła go jako suchego pedanta. Pedantów zaś niecierpiała. Niebawem zdziwił

ją i zgniewał swoim prowokującym sposobem prowadzenia rozmowy. Po raz pierwszy spotkała mężczyznę, który nie mówił jej komplementów, a natomiast mówił impertynencje; który najwidoczniej sobie z niej nic nie robił. Postanowiła go ukarać, upokorzyć. To jej się wszakże nie udało. Spostrzegła, że za wiele o nim myśli, i zła była na siebie. Nie rozumiała, dlaczego zależy jej na tem, żeby tego wstrętnego zarozumialca przekonać, że nie jest taka głupia, jak on myśli. Jeszcze bardziej była niezadowolona z siebie, że zawsze, gdy sobie postanowiła potraktować go zgóry, nie wytrwała w postanowieniu i była wobec niego zbyt pokorną. Co on ma w sobie, co do tej pokory zmusza?... Gdy po raz pierwszy w rozmowie z nim odczuła jakąś miękkość, jakieś dobre uczucie dla niej w jego głosie, ogarnęła ją niezrozumiała radość. Wybaczyła mu odrazu wszystkie impertynencje. Dużo potem zastanawiała się, dlaczego ją to tak ucieszyło. Tyle jej mężczyźni mówią rzeczy przyjemnych, a ona niewiele sobie z tego robi. Tymczasem jedno dobre słowo Twardowskiego... Bo w jego głosie było coś, co przenikało głęboko w duszę.

Zaczęła go porównywać z innymi mężczyznami. Powiedziała sobie, że porównywać nie można. On jest zupełnie czemś innem, co zaprzecza wszystkim jej dotychczasowym pojęciom o mężczyznach. Jego można nienawidzić, ale lekceważyć go nie można. Czy ona go nienawidzi?... Spoczątku zdawało jej się, że tak, ale teraz?... Stwierdziła, że go się boi, i zdziwiła się, że to jej nie sprawia przykrości. Odezwał się w niej jakiś prainstynkt, który sprawiał, że lęk wobec mężczyzny łączył się z jakimś prawie rozkosznym uczuciem. W jej myślach odbywał się szybko wielki przewrót. Przestało jej robić przyjemność stwierdzanie własnej wyższości nad mężczyznami, panowanie nad nimi, odbieranie od nich hołdów. Takich mężczyzn naprawdę kochać nie można. Ten, któ-

rego się kocha, musi być silny, mądry, musi umieć panować — wtedy można się mu oddać całkowicie i znaleźć w tem najwyższe szczęście. Powiedziała sobie, że mogłaby kochać tylko takiego mężczyznę jak Twardowski, a wkońcu przyznała się przed sobą, iż dałaby wszystko za to, żeby on ją kochał, żeby chciał ją zdobyć, i w częstych marzeniach widziała siebie w jego objęciach.

Teraz już wie, że do niego należy i że on chce tego. To jest jej przeznaczenie i to się stanie.

Siedziała długo w ciemnym salonie, bo służący, zajmawszy po wyjściu Twardowskiego i nie dostrzegłszy jej, zagłębił się w fotelu, światło przykręcił.

Obudziła się ze swych myśli, gdy drzwi się otworzyły i lampy zaświeciły. Weszła pani Czarnkowska.

— Wandeczko, szukam cię po całym domu. Co ty tu robisz pociemku?

Panna Wanda zmieszła się, jak przestępca złapany na gorącym uczynku.

— Tak się zamyśliłam...

— Że aż zdrzemnęłaś się, co?... Przecie ty tu pewnie siedzisz od wyjścia pana Twardowskiego. Służba mi mówiła, żeś długo z nim rozmawiała.

— Chciałam mu powiedzieć, że my nie wierzymy tym wszystkim obrzydliwościom, które na niego wydają.

— Dobrześ, dziecko, zrobiła. Dzieje mu się straszna krzywda. A to człowiek taki prawy, taki dzielny i taki kochany! Będziemy walczyły w jego obronie, prawda?

— Tak, mamusiu. Powiedziałam mu to.

Pani Czarnkowska wzięła w obie dłonie głowę przybranej córki i ucałowała ją gorąco w czoło. W oczach jej zaświeciły łzy, które Wandę ucieszyły.

Obie były sobie nawzajem wdzięczne, jedna nie wiedząc o powodach drugiej.

Na każdym kroku Twardowski się przekonywał, że Culmer pracuje ze skutkiem.

Nazajutrz po rozmowie z Wandą wstąpił rano do banku, w którym miał do odebrania pieniądze, przekazane z Paryża. Urzędnik, który go załatwiał, rozmawiał z nim z suchą, aż prawie obrażającą grzecznością, gdy inni, szepcząc coś, ostrożnie nań wskazywali. Pewnie mówili sobie, że odbiera pieniądze od obcego mocarstwa, którego jest agentem.

Spotkał na ulicy młodzieńca, którego poznał u Czarnkowskich. Ten uparcie patrzył w inną stronę, żeby mu się nie ukłonić.

Z tego wszystkiego niewieleby sobie robił, gdyby sam jednocześnie prowadził walkę z Culmerem i jego bandą. On jednak nie tylko nic dotychczas nie przedsięwziął, ale nie wie jeszcze wszystkiego, co mu do tej walki jest potrzebne.

Wracał do domu zły, przedewszystkiem na siebie...

W domu zastał niespodziewanego gościa. Cekał nań ksiądz Rybarzewski.

— Jakżem rad! — zawołał Twardowski, ściskając rękę proboszcza. — Co księdza sprowadziło do Warszawy?

— Przyjechałem do pana — odrzekł ksiądz z jakąś dziwną powagą. — Czy ma pan czas dla mnie?

— Ile ksiądz zechce.

Z tonu księdza Twardowski odczuł, że przywiózł coś ważnego. Zadzwoił na Michała: niema go dla nikogo w domu.

— Przyszedłem panu powiedzieć wszystko, co wiem o ś. p. Alfredzie Twardowskim — zaczął ksiądz odrazu. — Robię to, bo mam do tego prawo i dziś uważam to za swój obowiązek.

Twardowski szeroko otworzył oczy. Słuchał z napięciem, co ksiądz powie dalej.

— Dlaczego nie powiedziałem odrazu? — ciągnął ksiądz. — Nieboszczyk stryj pański nie chciał pana obarczać tym spadkiem. Pozwolił mi opowiedzieć panu jego historję tylko wtedy, gdy dojdę do przekonania, że to panu jest potrzebne, że bez tych wiadomości mogłaby się panu stać krzywda. Włożył tym sposobem na mnie wielką odpowiedzialność. Spoczątku miałem zamiar nic nie mówić; potem, poznawszy pana i widząc, czem dla pana jest pamięć stryja, zacząłem się wahać; wreszcie, po ostatniej rozmowie z panem dowiedziawszy się, że jego wrogowie zaczęli i pana prześladować, po długiej walce ze sobą postanowiłem powiedzieć wszystko.

— Bogu dzięki — odetchnął z ulgą Twardowski.

— Jestem tedy tutaj i będę mówił.

Twardowski wziął blok papieru i ołówek.

— Można zapisywać?

— Trzeba.

— Jak panu wiadomo — zaczął ksiądz — nieboszczyk stryj pański ukończył studja handlowe zagranicą, poczem w paru krajach praktykował. Był zdolny, pracował dobrze, z pracy jego byli zadowoleni, ale czuł, że traktują go zawsze jak obcego, co mu trochę dokuczało. Raz — a było to w Belgji — powiedział mu jego zwierzchnik, że bardzo go ceni za jego zdolności i że do pójścia wyżej brak mu tylko jednego: należenia do związku, popierającego ludzi swoich, zasługujących na zaufanie. Przedstawił mu tę organizację w tak korzystnem świetle, że pan Alfred długo się nie wahał. Wstąpił do grupy „Związku uczynnych grabarzy”. To go zbliżyło z osobistościami, wyżej stojącemi od niego, i w Belgji, i w Anglji, do której potem się przeniósł, i w Niemczech, gdzie wkońcu dostał wcale odpowiedzialne stanowisko. Gdy wracał do kraju, otrzymał przedstawicielstwo paru poważnych przedsiębiorstw zagranicznych i list polecający do znanej osobistości w Warszawie, na skutek

którego został wprowadzony do tutejszej grupy Związku.

— Pan Twardowski był człowiekiem energicznym, inteligentnym, biegłym w interesach, miał szczęście do ludzi. Powodziło mu się świetnie, zaczął robić pieniądze i majątek jego powiększał się coraz szybciej. Nie potrzebował już niczyjego poparcia, raczej jego poparcia ludzie szukali. Stosunki jego w kraju i zagranicą rozrosły się, zdobył sobie pozycję, uważano go za powagę w rzeczach przemysłowych i handlowych. W grupie Związku, której sprawami w braku czasu zajmował się niewiele, chodzono koło niego; awansowano go na coraz wyższy stopień. Na czoło tej grupy wysunął się niejaki Culmer, jakoby pochodzenia angielskiego, zdolny adwokat, któremu pan Alfred powierzył prowadzenie swoich spraw, choć wietrzył w nim Żyda.

— Stopniowo zaczęły mu się rozmaite rzeczy w grupie nie podobać. Uderzył go wrogi stosunek „braci” do ludzi, których on bardzo cenił i uważał za dobrych obywateli kraju, i popieranie żywołów, które jego zdaniem szerzyły w kraju anarchję. Zaczął się bacznie przyglądać robocie Culmera i jego podwładnych. Wreszcie zatrwożył się, gdy na kilka już lat przed wybuchem wielkiej wojny spostrzegł, że grupa zaczęła energicznie szerzyć sympatje dla Niemców i z zawziętością zwalczać tych, którzy byli ich wrogami. Znał on potęgę Niemiec dobrze i zamiary ich względem Polski rozumiał. Widział, że ci, z którymi on jest związany, dążą do wydania Polski w ręce najstraszniejszych wrogów. Na jednym więc z posiedzeń grupy zabrał głos i usiłował przekonać ich, że są na złej drodze. Ale oni słuchali go z niechęcią — nie próbowali nawet zbijać jego wywodów. Widział, że idą za jakimś nakazem, któremu nie są zdolni, czy nie chcą się opierać, i że on będzie musiał iść za nimi. Wtedy sumienie się w nim zbudziło...

— „Powiedz mu nietylko — to są słowa stryja pańskiego — co się działo koło mnie, ale i co się we mnie działo; to ważniejsza”. Dlatego muszę na krótko przerwać swoje opowiadanie. Pan Alfred wtedy, kiedym go poznał, był człowiekiem głębokiego sumienia. Widziało się, że przemyślał wiele, przetrwał w duszy wszelkie wątpliwości moralne swego położenia, wiedział mocno, co jest złe, a co dobre. Ale niezawsze był takim... Nie chcę powiedzieć, żeby był kiedykolwiek złym — był tylko powierzchownym moralnie, żył, nie zaglądając do głębi swego sumienia. Iluż to ludzi, panie, którzy wcale nie są złymi, żyje bez sumienia, bez ścisłego zważenia tego, co jest złe i dobre, bez zastanowienia się nad skutkami swych czynów, bez poczucia odpowiedzialności. Postępują poprawnie, bo dbają o opinię, w lepszym zaś razie, bo sami siebie szanują. Ale nigdy nie próbują sądzić siebie samych, pociągać siebie do odpowiedzialności za to, co zrobili, odpowiedzieć przed sumieniem, czy postąpili dobrze, czy to, co zrobili, nie jest wielkim, śmiertelnym grzechem. Ta płytkość moralna jest najczęściej udziałem ludzi, którym się powodzi, którym życie płynie gładko, bez wielkich przeszkód, bez katastrof...

Twardowski słuchając zastanawiał się, skąd ten prosty proboszcz wiejski doszedł do takich rozważań i do takich głębokich poglądów na duszę, na sumienia ludzkie?...

— Takim był do owego czasu pan Alfred — ciągnął proboszcz. — Był człowiekiem, jak się mówi, porządnym. Nikt mu nie mógł zarzucić, żeby zrobił co brzydkiego. Wśród ludzi, prowadzących interesy, był gwiazdą; honorowy, słowny, otwarty, nie używał nigdy podstępów, współzawodniczył lojalnie, pieniądze robił uczciwie. Sam się szanował i ludzie go szanowali. Pozatem mało rzeczy go obchodziło; nie miał czasu ani na zajmowanie się innemi sprawami,

ani na głębsze zastanawianie się nad sobą. Należał do „grabarzy” i nigdy nie zadawał sobie pytania, czy to jest moralne, w jakim położeniu go to stawia wobec innych ludzi i wobec społeczeństwa. Nie przeszkadzały mu skrupuły religijne, bo religijnie był obojętny. Był z pochodzenia katolikiem, nigdy nic przeciw religji nie robił, ale ona go nie obchodziła. Ot, taki, jak i wielu innych... Był Polakiem nie tylko z pochodzenia, ale i z przekonania. Poczytałby za obelgę, gdyby mu kto powiedział, że jest złym Polakiem. Przeciwnie, uważał, iż ma zasługi dla Polski przez to, że pracuje uczciwie i pożytecznie, przyczynia się do zubożenia kraju, daje pracę i chleb wielu rodakom, a i przez to, że będąc Polakiem, posiada poważną pozycję wśród obcych. Na to, żeby robić cokolwiek więcej dla Polski, nie miał czasu. Nie uważał też, żeby z jego polskością kłóciło się należenie do międzynarodowej organizacji, która mu ułatwia stosunki w świecie. Dopiero w ostatnich latach zaczął mieć w tym względzie pewne wątpliwości...

— I oto naraz stanął wobec wielkiego zagadnienia. Mając duże stosunki w świecie finansowym zagranicą, słyszał nieraz poufne rozmowy, które finansisi tylko między sobą prowadzą, i otrzymywał wiadomości, które oni między sobą zachowują, żeby nie wywołać popłochu na giełdzie. Mówiono o niebezpieczeństwie wielkiej wojny w krótkim czasie. Rozumiał, że w tej wojnie mogą się rozegrać losy jego ojczyzny. I oto w tej chwili ludzie, z którymi on sam mocnymi węzły jest związany, przygotowują wydanie Polski w ręce najzjadlejszego, najgroźniejszego jej wroga. Całą jego istotą wstrząsnął wydobywający się z głębi jego duszy głos wielki, głos polskiego sumienia...

— Coś się w nim nagle zmieniło. Stał się innym człowiekiem. To wszystko, czem się w życiu zajmował, do czego największą wagę przywiązywał, stało

się w jego oczach drobnem, małym... On sam, idący dotychczas śmiało przed siebie, mocny, dumny, wydawał się sobie marnym, nikczemnym niewolnikiem, narzędziem w rękach wroga... Ten stan prostracji trwał krótko. Przyszedł bunt. Odezwała się jego duma, która nie pozwalała ustąpić bez walki do ostatniego, ta szlachetna, uczciwa duma, która każe wyrządzoną krzywdę naprawić, żeby być w porządku z sobą, żeby móc sobie nadal śmiało patrzeć w oczy. A tu było skrzywdzone całe społeczeństwo: jego własny naród. Napowrót moc w niego wstąpiła. Postanowił walczyć...

— Był człowiekiem zbyt wytrawnym, zbyt znającym życie i ludzi, zbyt nawykłym do planu w działaniu, ażeby się szamotać w bezcelowych i bezskutecznych wysiłkach. Miał tyle mocy, że zimnej krwi nie stracił. Nie odrazu zerwał z grabarzami. Postanowił przedtem wykryć tajne sprężyny ich polityki, poznać źródła nakazów i sposoby używania Polaków do służby przeciw ich własnej ojczyźnie. W tym celu uciekł się po raz pierwszy w życiu do podstępu. Zaprzestał sporów ze swą grupą, Culmera uspokoił powiedzeniem, iż nie wiedział, że tu istnieje wyraźny nakaz, któremu się nie wolno sprzeciwiać. Nawykli do posłuszeństwa, uznali to za poddanie się i byli zadowoleni. Zaczął częściej niż przedtem jeździć do Berlina. Tam go znano i mówiono z nim dość otwarcie. Wiedząc, że ma dużą pozycję w Polsce, i obiecując sobie ją wyzyskać, kształcono go politycznie. Z Berlina kierowano go do Budapesztu, z którego szło wiele rozkazów do Polski. Bywał też w Wiedniu, gdzie mieściła się kuźnica rozmaitych na Polskę planów. W ciągu krótkiego czasu poznał prawie wszystko. Korzystano nawet z jego usług do przesyłania ważnej korespondencji.

— Gdy uznał, że już mu wystarcza to, czego się dowiedział, poszedł do Culmera i oświadczył, że nie

może się pogodzić z polityką grupy i że z nią zrywa. Nie wręczył mu przytem ostatniego listu, który przywiozł dla niego, a który się okazał dokumentem niesłychanej wagi. Culmer się przeraził: spróbował go przekonywać — gdy to nie skutkowało, zaczął grozić. Stryj pański na groźby odpowiedział drwinami. Gdy Culmer zażądał od niego wydania wszystkich dokumentów grabarskich, oraz ksiązek, dostępnych tylko dla wtajemniczonych, pan Alfred odpowiedział, że rozumny człowiek nie pozbywa się broni, którą ma w rękę, i dodał, że zdobył świeżo najważniejszy dokument, który był przeznaczony dla Culmera. Ten szalał poprostu. Rozstali się śmiertelnymi wrogami. Pan Twardowski nie omieszkał natychmiast odebrać osobistych spraw swoich Culmerowi i powierzył je adwokatowi Osieckiemu...

— Nie przyszło mu na myśl, że jego nowi wrogowie posiadają jedno straszne narzędzie walki — oszczerstwo. Rychło się o tem przekonał. Po mieście zaczęły krążyć najpotworniejsze wieści o sposobach, jakimi doszedł do majątku: głównem tego majątku źródłem miały być pieniądze, otrzymywane od rządu rosyjskiego, którego był rzekomo agentem politycznym i szpiegiem. W innych sferach szerzono podrywające mu kredyt pogłoski o bliskiem jego bankructwie. Śmiał się z tego, to znów gniewał się, ale to go nie zniechęcało do walki. Wypowiadał wszędzie głośno swoje poglądy polityczne, w poważnych kołach wygłaszał referaty o grożącym Polsce niebezpieczeństwie, o intrygach niemieckich w naszym kraju, o roli żydów i tajnych organizacji. Założył nawet pismo, które otwarcie wskazywało grabarzy jako organizację pracującą dla interesów niemieckich. Niebawem spostrzegł, że interesy jego zaczynają cierpieć, że skryta robota przeciw niemu może go szcasiem do dużych strat doprowadzić. Wtedy powiedział sobie,

że ma dosyć pieniędzy, i zaczął likwidować swe interesy.

— Zaczęli mu przysyłać listy z pogrózkami. Dostał nawet wyrok śmierci z podpisem jakiejś rewolucyjnej organizacji, o której nigdy nie słyszał. Dokonano nań napadu w nocy, gdy wysiadał przed swym domem z automobilu. Uratowała go zimna krew i pomoc szofera.

— Ale mu zadali jeden cios potężny. Pan Alfred w owym czasie miał się żenić. Kochał kobietę głęboką miłością, jaką może kochać tylko dojrzały, silny mężczyzna czterdziestoletni, który z całą świadomością dokonał wyboru. Miał jej wzajemność i obiecywał sobie wielkie szczęście. Przyszli do jej rodziców i powiedzieli im, że jest on nieuleczalnie chory, zagrożony obłąkaniem. Ona temu nie chciała wierzyć. Przeprowadzili wszakże tak poważnych świadków, dostarczyli tak niezbitych dowodów, że rodziców przekonali, a wkońcu uwierzyła i ona. Uciekła z Warszawy, zostawiając mu list z pożegnaniem na zawsze. Wkrótce wyszła za innego, za wdowca po swej siostrze, szukając ocalenia przed warjatem...

— Pani Czarnkowska — szepnął Zbigniew.

Ksiądz spojrzał nań zdziwiony i przytaknął głową.

— Nieszczęśliwa ofiara ludzkiej podłości... To był cios potężny, który go złamał. Odtąd już nie miał tej siły, tej pewności siebie w prowadzonej walce, czuł, że nieprzyjaciół umie uderzać skutecznie. Walczyć nie przestał... Coraz mniej wszakże wierzył w skuteczność swych wysiłków, coraz więcej się gryzł... Wszedł w siebie, rozmyślał nad swoim życiem, zaczął na nie patrzeć jako na jeden wielki błąd, oskarżał siebie przed sobą samym, sądził siebie niemal jak zbrodniarza. „Jestem drugim Twardowskim — mówił potem do mnie — który sprzedał duszę djabłu.” Te rozmyślenia doprowadziły go do Boga. Kiedym go poznał, był to szczerzy, głęboki, mądry katolik,

człowiek, którego bym nazwał świętym, gdyby nie ta nieubłagana nienawiść, którą zawsze żywił dla wrogów. Dla innych ludzi wszakże miał więcej miłości, niż jakikolwiek inny człowiek, któremu w życiu widział. Nie śmiał myśleć o tem, że pan jego walkę podejmie, i nie chciał jej panu narzucać...

— Ale jestem pewien, że tego pragnął — zakończył Zbigniew.

Ksiądz milczał.

Przez długą chwilę siedzieli obaj, nie mówiąc ani słowa.

— Cóż mam więcej panu powiedzieć? — rzekł ksiądz. — Resztę pan wie lepiej ode mnie.

Twardowski wyciągnął rękę do księdza.

— Dziękuję — rzekł. — Teraz już wiem wszystko, co mi potrzeba. Dowiedziałem się na czas. Właśnie w tej chwili tego mi brakowało. Wiele się domyślałem, ale teraz mam fakty, które są bronią w mem ręku. Teraz niech ksiądz posłucha...

I zaczął opowiadać swoje doświadczenia na gruncie warszawskim.

Ksiądz słuchał podniecony. Widać było, że to wszystko ma dla niego osobiste znaczenie. Gdy Twardowski skończył, rzekł:

— Gdyby mi tego jeszcze było potrzeba, dowiódł mi pan swem opowiadaniem, że postąpił ściśle z wolą zmarłego i że mam w tej sprawie sumienie czyste. Zgrzeszyłbym ciężko, gdybym był panu nie odślonił całej tajemnicy życia ś. p. stryja pańskiego... Ale teraz mam nową troskę... o pana, panie Zbigniewie. Zabrnął pan już tak daleko, że się pan nie cofnie — to dla mnie oczywiste. To ciężka i niebezpieczna walka. Czy nie mógłbym się panu w niej przydać? Ale jak? w jaki sposób? Martwi mię i gniewa, że tego nie widzę... Będę się za pana modlił; gdy mię pan zawoła, zawsze się stawię.

— O jedno pana proszę, niech pan sprowadzi do Warszawy Grzegorza. To nieoceniony człowiek; przyda się panu w niejednej rzeczy. I będę spokojniejszy, gdy on przy panu będzie. Niech pan też sprowadzi swój automobil; będzie panu wygodniej, a lepiej, żeby pan jeździł ze swoim szoferem, pewnym człowiekiem.

— Ksiądz umie o wszystkim myśleć.

— To są nauki z długich rozmów z nieboszczykiem stryjem pańskim.

— Posłucham rady. Dotychczas starałem się występować skromnie, uchodzić za biedniejszego, niż jestem; nie mieć za wiele służby i jeździć taksówkami. Ale teraz, po tem, co pan Culmer puścił między ludzi, własny automobil tylko będzie potwierdzał opinię, że jestem lekkomyślnym bankrutem.

Zaśmiał się wesoło.

Ksiądz nie chciał zostać na obiad i odjechał najbliższym pociągiem.

Twardowski po jego odejściu zatelefonował do Culmera z zapytaniem, czy może mu jutro zabrać godzinę czasu. Mecenas skwapliwie wyznaczył ranną godzinę. Może zrodziła się w nim nadzieja, że uparty filozof zląkł się i zmienił postanowienie.

XIX.

— Teraz już nic nie rozumiem — mówił profesor Piętka. — Kozieniecki przyszedł do mnie dziś popołudniu specjalnie poto, ażeby mi powiedzieć, iż cała historia o panu i pani Brzozowskiej jest zmyślona. Prosił mię na wszystko, żeby tego kłamstwa nikomu nie powtarzać. Co to może znaczyć? Czyżby się grabarze pogodzili z panem?...

Twardowski się roześmiał.

— Nie, panie, oni się ze mną nie pogodzili; tylko Kozieniecki się przestał z nimi godzić. Składa dowód, że jest naprawdę człowiekiem honorowym.

Piętka widocznie jeszcze nie rozumiał. Słuchał zdziwiony i czekał wyjaśnienia.

— Kozieniecki — mówił dalej Twardowski — grabarzem nie jest. On tylko się z nimi przyjaźnił. Dowiedziawszy się zaś o ich bezceństwach, postanowił tę przyjaźń zerwać. Oburzyło go, że przez nich stał się mimowolnym oszczercą, i jako człowiek honorowy postanowił odwołać oszczerstwo u wszystkich, którym je powtarzał.

Piętka był pod silnem wrażeniem tego, co usłyszał.

— To rzeczywiście bardzo uczciwie z jego strony. I to byłoby dowodem, że nie należy do grabarzy. A myśmy byli pewni tego...

— Dobrze panowie zrobia, jeżeli go będą traktowali życzliwie. To nie jest bohater, ale to człowiek uczciwy. Nie można oczekiwać od niego wielkich poświęceń, ale przy jego zdolnościach może być z niego duży pożytek.

— Pan się zna na ludziach.

— Chciałbym się znać lepiej. To przecie mój zawód.

Drzwi gabinetu uchyliły się, i ukazał się Michał.

— Chodźmy co zjeść — rzekł Twardowski — a potem pogadamy. Chcę dziś pomówić z panem o ważnych rzeczach.

Przy stole Piętka mu opowiadał o stosunkach uniwersyteckich. Charakteryzował profesorów, zatrzymywał się dłużej nad tymi, których nazywał „naszymi”, i wyliczał niewątpliwych grabarzy. Mówił szeroko i bardzo przyjaźnie o młodzieży:

— Z tych grabarzy nie będą mieli pociechy. Ogromna większość młodzieży idzie z nami. Porządne chłopaki! Niestety, mało się garną do pracy naukowej.

Zdaje się, panie, że idziemy do ogromnego obniżenia umysłowości.

— To się widzi nietylko w Polsce i w tem tkwi ogromne niebezpieczeństwo dla przyszłości. Wszędzie się odbywa fabrykowanie ludzi sprytnych a powierzchnowych, którzy wobec trudniejszych położań są bezradni.

— Boję się — rzekł profesor — że nasza Polska z takimi ludźmi daleko nie ujedzie. Ale co na to poradzić?...

— Trzeba walczyć, walczyć z ciemnotą, pewną siebie, błagującą, zamazującą trudności, wystawiającą okazałe fronty, poza którymi się kryje słabość i nędza. Trzeba wśród piasku szukać ziarenek szlachetnego kruszcu: lepszemu materiałowi na ludzi nie trzeba dać utonąć w zalewającej go miernocie.

Rozgadali się na ten temat. Twardowskiemu profesor coraz bardziej się podobał.

Gdy wrócili do gabinetu, odrazu przystąpił do rzeczy:

— Postanowiłem, a właściwie muszę, choćbym nie chciał, poprowadzić walkę z działalnością związku grabarzy. Taka walka niemożliwa jest w pojedynkę. Organizacji trzeba przeciwstawić organizację.

— My mamy organizację — rzekł Piętka. — Mówię to panu, bo mam do pana zaufanie i spodziewam się, że pan będzie jednym z naszych.

Twardowski oczekiwał podobnej odpowiedzi. Niemniej ucieszył się, gdy ją usłyszał.

— Dobrze — odrzekł — pójdę z wami z całą gotowością. Ale uprzedzam, że będziecie mieli ze mną kłopot.

— Dlaczego?

— Dam z siebie dużo, ale będę dużo od was wymagał. Nie rozumiem walki nierozegranej, walki, która jest niekończącą się nigdy kłótnią. Jeżeli się walczy, trzeba iść do zwycięstwa. Nie wolno szczędzić wysiłków i ofiar, ażeby walkę ostatecznie roze-

grać. Kłótnie rozkładają tylko siły narodu, rozegrane walki, choćby najokrutniejsze, robią go potężnym.

Piętka otworzył szeroko usta.

— Jak pan myśli szybko powalić takiego silnego przeciwnika? — zapytał.

— Przez to, że będziemy od niego silniejsi. Sam pan mówił, że nie jesteście słabi, a młode pokolenie idzie z wami. To najważniejsze.

— Tak, ale do ostatecznej walki potrzebni są nie tylko ludzie. Nam brak środków materialnych. Pan nie zna Polski, nie wie pan, jak tu trudno grosz na najważniejsze cele wydobyć...

Po chwili dodał z goryczą:

— Pod tym względem Polacy są wprost wstrętni.

— Nie wierzę — rzekł z mocą Twardowski. — Nie wierzę, żeby silna organizacja nie umiała zdobyć sobie środków. Jeżeli jest ich pozbawiona, to jej wina. Zresztą na początek ja środków dostarczę.

— Skąd? — spytał Piętka, widocznie zaniepokojony.

— Niech się pan nie boi: źródło czyste. Będzie niem moja własna kieszeń.

— Pańska kieszeń? Przecie pan nie jest człowiekiem bogatym?...

— Słyszał pan to z moich ust, kiedym rozmawiał z Topolińskim u Osieckiego. Później grabarze panu powiedzieli, że jestem bankrutem. Z przyjemnością panu komunikuję, że jestem naprawdę bogaty, że mój zmarły stryj nie stracił ani grosza ze swego majątku i wszystko mi zostawił. Tylko staram się, żeby oni o tem nie wiedzieli. Dlatego okłamałem Topolińskiego, widzę, że skutecznie.

— Zdębiałem — rzekł otwarcie Piętka, na którym słowa Twardowskiego wywarły potężne wrażenie. — Dostać takiego człowieka, jak pan, i to jeszcze bogatego, i nie tylko bogatego, ale chcącego dać pieniądze...

Zamyślił się.

— Nie byłem — rzekł — przygotowany na taki wynik naszej rozmowy. Sam nie dogadam się z panem. Nie czuję się do tego na siłach i nie mam prawa więcej mówić. Poznam pana z ludźmi ważniejszymi ode mnie.

— Dobrze. Chcę się dowiedzieć, co i jak robicie. Obawiam się, że wiele ustępujecie swoim przeciwnikom nie tylko w środkach, ale i w sposobach walki.

— My nie możemy się posługiwać takimi łajdakiemi metodami, jak tamci.

— Słusznie. Ale tem więcej trzeba energii i przejęcia się sprawą. Są wszakże metody, które można od nich przejąć. Dam panu przykład. Dziś otrzymałem list z Paryża od jednego z moich przyjaciół, który mi donosi, że tam w kołach moich znajomych naraz zainteresowano się niezwykle moją osobą. Pewni ludzie prowadzą formalne śledztwo, wypytują o moją przeszłość, o moje zwyczaje i nałogi, o stosunki i t. d. Wie pan, co to znaczy? To, że tutejsi grabarze, rozpoczynając walkę ze mną i wiedząc, że dotychczas przebywałem głównie w Paryżu, tam szukają materiału do niej. Może uda się wykryć jakiś skandal, może nawet jakie przestępstwo, słowem, jakiś środek szantażu, przy którego pomocy możnaby było mnie ubezwładnić. Szantaż — to jedna z najnikczemniejszych broni. Ale wiedzieć o przeciwniku i jego sprawkach, zwłaszcza, gdy jest on nikczemnikiem, a uchodzi za uosobienie cnoty, to rzecz niezbędna. Wy zaś bodaj nie wiecie nawet, z kim walczyacie. Pan, na przykład, nie domyśla się, kto kieruje waszymi uniwersyteckimi grabarzami?...

— Myślę, że Topoliński.

— To tylko pacholek. Czy słyszał pan o mecenasie Henryku Culmerze?

— Mecenasie Culmerze?... Tyle wiem, że to jakaś bardzo poważna osobistość. Ma podobno jakieś wielkie zasługi, o których zresztą nic nie wiem.

— Ot, widzi pan. Jest to jeden z największych łotrów, a przytem głowa grabarzy, z którymi ma pan do czynienia w życiu uniwersyteckiem.

— Co pan mówi! — zawołał z niedowierzaniem Piętka.

— O prawdzie słów moich przekona się pan niebawem. Jakże można skutecznie walczyć, orjentując się tak słabo?

— Ale skąd pan to wie?...

— Niech panu narazie wystarczy, że wiem. Nie dość uderzać w pacholków. Dlatego chciałbym, żebyście mi pomogli dobrać się do Culmera. Tymczasem niech pan o nim nie mówi z nikim.

— Dlaczego? Trzeba łotra demaskować!

— Trzeba, ale ze skutkiem. Co przyjdzie z pańskiego demaskowania, gdy nikt panu nie uwierzy? Im większy łotr, tem umiejętniej trzeba z nim walczyć. Przy pomocy nieprawdopodobnej wprost obłudy wyrobił on sobie pozycję zacnego człowieka. Trzeba mądrej i wytrwałej pracy, żeby tę pozycję zniszczyć.

Piętka z podziwem przyglądał się Twardowskiemu.

— Wie pan — rzekł — u nas takich, jak pan, ludzi niema. U nas nie robi się planów na długi dystans, ale działa się na gorąco.

— Żartuje pan — rzekł Twardowski. — Gdyby było prawdą to, co pan mówi, zawsze musielibyśmy być bici.

— Może trochę przesadziłem, ale nie jestem daleki od prawdy. Zdaje się, że nasi ludzie czegoś się od pana nauczą.

Po wyjściu profesora Twardowski myślał długo.

Niezawodnie przez Piętkę zetknie się z ludźmi, których szukał. Piętka wszakże nie był zbytnim optymistą. Czy w tych ludziach znajdzie wiele, oprócz dobrych chęci? Do czego są zdatni?... Jeśli grzeszą

tylko nieumiejętnością, czy będą umieli wiele się nauczyć?...

Jednakże sam Piętka, choć jak mówi, nie odgrywa wśród nich pierwszej roli, przedstawia się dobrze. Sądząc po nim, to są ludzie mocnych zasad i zdolni. W stosunku do sprawy, której służą, mają coś, czego nie spotykał na Zachodzie. Jakiś stosunek nieosobisty, chwytający za serce. Od nich można dużo oczekiwać...

— A jeżeli tak — rzekł do siebie — to się zabawimy, panie Culmer.

Nazajutrz rano Twardowski stawiał się o wyznaczonej mu godzinie w gabinecie mecenasa. Zastał go, siedzącego przy biurku, poważnego i godnego, z miną wyczekującą. W milczeniu wskazał gościowi miejsce naprzeciw siebie. Twardowski usiadł i nie śpieszył się z zaczęciem rozmowy. Spokojnie mierzył mecenasa wzrokiem.

— Cóż pana do mnie sprowadza, panie Twardowski? — ten zapytał, cedząc wyraz po wyrazie.

— Zaraz panu to powiem, panie Kulmer.

Mecenas udał, że nie słyszał zmienionej pronuncjacji jego nazwiska, tylko z twarzy jego znikł olimpijski spokój.

— Od niedawnego czasu — rzekł Twardowski — rozchodzą się po Warszawie potworne o mnie wieści. Nie będę panu powtarzał, co mówią: pan to wie najlepiej, gdyż zawsze jest pan dobrze poinformowany. Jak pan myśli, czy to długo będzie trwało?

— Co?

— Ta kampanja oszczercza.

— Cóż mnie to obchodzi?

— Jak widzę, ma pan zwyczaj odpowiadać na pytania pytaniami. To zwyczaj żydowski.

— Niech pan powie odrazu, z czym pan przyszedł. Nie mam czasu na słuchanie dowcipów.

— To się nie da tak w paru słowach powiedzieć. Zacznę od mego zmarłego stryja, którego życie jest mi dobrze znane — bardzo dobrze, panie mecenasie. Otóż ten, jak pan mówił, pański przyjaciel „drogi Alfred“, był zajadle prześladowany, a główną bronią, przeciw niemu używaną, był cały system nikczemnych oszczerstw. Pan, jego taki bliski przyjaciel, ma się rozumieć wie, co było tego przyczyną?

Culmer widział, że komedja, którą grał na początku, była chybiona, że młody Twardowski więcej wiedział, niż okazywał. Z musu stał się bardziej otwartym.

— Pański stryj ukradł rzecz, która mu była powierzona, i zdradził ludzi, którzy mu zaufali.

— Panie Kulmer, niech wyrazy, których pan użył, mówiąc o moim zacnym stryju, więcej z ust pańskich nie wyjdą. Jeżeli za nie pana w tej chwili nie ukarał, jak należy, to tylko dlatego, że nie chcę jeszcze kończyć naszej rozmowy. Zresztą, mam gorsze względem pana zamiary.

Culmer zbladł. Nie odpowiedział ani słowa.

— Ja wiem — ciągnął Twardowski — co stryj wam zabrał. Ten dokument narówni z innemi jest w mojem posiadaniu.

Tu mówił nieprawdę: miał tylko słabą nadzieję, że dokument odnajdzie wśród papierów stryja.

— Spodziewał się pan zdobyć go przy porządkowaniu papierów w Turowie. Dlatego się pan tak po przyjacielsku ofiarował do tej nudnej pracy. Niestety, wizyta, po której pana wyrzucono za kołnierz z turowskiego domu, była ostatnią.

Bolesne wspomnienie nie pomogło Culmerowi do zachowania spokoju.

— Pocoś pan przyszedł?

— Poto, by panu powiedzieć, iż walkę, którą mi wypowiedzieliście, przyjmuję. Postanowiliście zni-

szczyć mię oszczerstwami za to, że do was nie przysłał, tak jak zniszczyliście mego stryja za to, że was opuścił. Ja was będę niszczył, odsłaniając waszą nikczemność.

— Pan nas będzie niszczył... — cedził Culmer szyderczo. — Kto pan jesteś? Co pan znaczysz?... Pojedyńczy człowiek, bez stosunków, bez pozycji, bez majątku... Przeciw komu śmiesz pan rękę podnosić?...

— Niech pan nie myśli, panie Kulmer, że się porywam na wroga, którego nie znam. Ja cośkolwiek o was wiem. Przedewszystkiem znam waszą wiedzę tajemną — studjowałem ją przez lat dziesięć. Tak, to były moje studia. Cóż to za wiedza?... Po ludach starożytnych, które poznawały zjawiska drogą empirji, bez rozumienia ich przyczyn, pozostało trochę ochłapów ich wiedzy, przechowywanych w tajnych organizacjach, złożonych z ciemnych półbarbarzyńców. Wyście te ochłapy odziedziczyli i niezdarnie ich używacie do imponowania ciemnym, choć pozornie wykształconym swym adeptom, do sugestjonowania ich, hipnotyzowania w waszych inicjacjach, do robienia z nich swoich biernych narzędzi, nie tylko w czynach, ale i w myślach, do przerabiania ludzi na bydła. Ale to się wkrótce skończy. Niezadługo z popularnych książek ludzie będą dowiadawali się więcej, niż wyście kiedykolwiek wiedzieli...

Culmer słuchał, coraz szerzej otwierając oczy.

— Macie ludzi wielkich? — mówił dalej Twardowski. — Nie, wy staracie się niszczyć, łamać tych, co przerastają was głowami, a na ich miejsce podstawiacie miernoty, które wydymacie drogą bezwstydną reklamy. Od tych wydętych miernot świat dzisiaj się roi. Za waszą protekcją służą wam tak, jak im ich mizerne zdolności pozwalają, z zaparciem się swojego sumienia, honoru i godności ludzkiej. Ale miewacie wśród siebie wielkich łotrów, którzy używają tej po-

tęgi, jaką jest tajna organizacja, do swoich osobistych, nikczemnych celów. Są tam jeszcze więksi od pana.

Culmer się zerwał.

Twardowski spokojnie powstał z miejsca.

— Jak pan widzi, znam was nieźle. Wiem dużo, bardzo dużo faktów, nad którymi się tu nie rozwodzę. Zużytkuję je w walce z wami. Dowidzenia. Jeszcze się pewnie zobaczymy.

— Wątpię — odrzekł nieuprzejmy gospodarz.

— Jeszcze słowo — rzekł Twardowski. — Niepotrzebnie tracicie czas, prowadząc dochodzenia o mnie w Paryżu. Nic nie znajdziecie, żadnego skandalu, żadnego, najdrobniejszego nawet występku. Jestem człowiekiem, który nic ze swej przeszłości nie ma do ukrycia. I to moja wielka siła, którą pan odczuje, panie Kulmer.

Wracał do domu piechotą. Przed domem stała jego limuzyna, a przy niej na chodniku stał Marek. Ujrawszy zbliżającego się pana, szofer się wyprostował.

— Grzegorz jest w mieszkaniu — zaraportował. — Ksiądz proboszcz przysłał do nas wczoraj wieczór i kazał wcześniej rano jechać do Warszawy.

Twardowski przypomniał sobie, że proboszcz przy pożegnaniu obiecał mu przysłać Grzegorza i samochód.

Dom posiadał garaż, należący do jego właściciela, a w mieszkaniu był pokój na pomieszczenie Grzegorza i szofera.

— Aż za dobrze będę strzeżony — rzekł do siebie Twardowski.

W przedpokoju rzucił mu się na piersi Piorun.

— A ty co tu robisz? — zawołał Twardowski. — Pociście biednego psa przywieźli do miasta? — zwrócił się do Grzegorza, który go witał głębokim ukłonem.

— On się tu może bardzo przydać, proszę pana. Niewiadomo, co się zdarzy. A coby robił na wsi, gdy ani pana, ani mnie niema.

Piorun rzucił porozumiewawcze spojrzenie Grzegorzowi, zauważywszy, że o nim mówi, ale stał ciągle, oparty o piersi pana i wyciągał mordę ku jego twarzy, usiłując zbyt poufale z nim się przywitać. Dopiero, gdy pan zburczał go dobrodusznie za włóczenie się daleko od domu, zaczął słuchać ze skupieniem, ale widać było, że nie bierze na poważnie. Manifestował ogonem, że spotkanie z panem wynagrodziło mu nudną podróż automobilem. Mrukiem zadowolenia odpowiedział, gdy Twardowski swoim zwyczajem gniótł mu kark mocno; potem stanął na cztery łapy i starał się ani na chwilę pana nie odstępować.

Wchodząc do gabinetu, Twardowski zawołał za sobą Grzegorza.

— Zdaje się — rzekł — że tęsknisz za swoim Kolmarem. On się właściwie nazywa Kulmer. Masz tu jego imię, nazwisko i adres. Powłócz się trochę w tamtej okolicy, to go zobaczysz. Tylko pamiętaj, że ma teraz dłuższą brodę i że od owego czasu osiwiiał. Jest całkiem biały.

— Już ja go poznam, choćby po oczach.

— Tylko, żeby on ciebie nie widział.

— Może pan być spokojny.

Zapytał siłacza, czy nie mógłby mu znaleźć paru ludzi, którzyby chodzili za Culmerem i wywiedzieli się, co on robi w dzień i wieczorem, u kogo bywa, kto są jego przyjaciele i t. d. Musieliby to być ludzie sprytni; dostaliby przyzwoite wynagrodzenie.

Grzegorz go zapewnił, że ludzi nie brak, tylko trzeba ich znaleźć. Miał nadzieję, że znajdzie ich rychło przez starych znajomych warszawskich, których odszuka.

Twardowski zaczął przygotowywać się do rozpoczęcia ataku. Starał się już ani chwili nie tracić.

Przyjaciele Piętki, o których ten wspominał Twardowskiemu, mieli dwa stałe, chroniczne kłopoty: brak ludzi — chodziło o jakość — i brak pieniędzy — chodziło o ilość. Przedsięwzięcia rozбивały się o brak dzielnych i umiętynnych wykonawców i o niemożność sfinansowania rzeczy, nawet na skromną skalę. Niezawodnie, gdyby sami byli lepszymi kierownikami, gdyby przy dobrych chęciach i dużem rozumieniu położenia i potrzeb Polski posiadali większą umiętność przerabiania myśli na czyn, i ludziby sobie lepiej wyrobili, i środków więcej umieliby zdobyć. Na ich korzyść trzeba powiedzieć, że rozumieli słabe strony nie tylko swego położenia, ale w niemałej mierze i swoje własne.

Gdy Piętka zdał im sprawę ze swojej rozmowy z Twardowskim, uznali, że profesor zrobił wielkie odkrycie. Znalazł człowieka, zawziętego na grabarzy, wiedzącego, zdaje się, dużo o nich, człowieka niepospolitej inteligencji, energicznego, a przytem mającego pieniądze i gotowego je dawać... Z tylu zaletami w jednej osobie jeszcze nie mieli do czynienia.

Zetknięcie się osobiste z Twardowskim nie osłabiło relacji Piętki, ale wzmocniło ich pojęcie o nowym nabytku. Twardowski miał ogromną siłę sugestywną, której ulegała nie tylko panna Wanda Czarnkowska.

W ciągu kilku dni wszedł między nich, wziął udział w kierowaniu ich sprawami i niepostrzeżenie zaczął komenderować wszystkimi.

Wykazał im, że to, co oni nazywają organizacją pracy i walki, jest raczej klubem porządných ludzi. Schodzą się, znoszą sobie wiadomości o tem, co się dzieje, dyskutują, wreszcie uchwalają rozmaite rzeczy. To wszakże, co jest uchwalone, wykonywa się słabo, bez doprowadzenia rzeczy do końca; czasami zaś nic

się nie robi. Za wiele się dba o pokazanie nazewnątrz swej siły i wartości, na to się poświęca najwięcej energii, skutkiem czego brak jej na rzeczy istotniejsze.

Doszedł rychło do uogólnienia, iż Polak tem się przedewszystkiem różni od Francuza, Anglika lub Niemca, że więcej dba o pozory, niż o rzecz samą, że najłatwiej wydobyć z niego energję, gdy chodzi o efekt zewnętrzny, że trudno go rozpaćić do działań choćby najskuteczniejszych, ale narazie nieefektownych.

Niemniej polubił swych nowych przyjaciół i nabrał przekonania, że można z nimi wiele zrobić. Mieli oni duzo ludzi w całym kraju, ludzi odgrywających nieraz wybitną rolę w społeczeństwie, i rozporządzali wcale wpływową, choć naogół źle finansowo postawioną prasą.

Zaczął od tego, że namówił ich na wielkie zmiany w samej organizacji, w celu robienia jej istotnem narzędziem czynu. Choć sam nigdy do żadnej organizacji nie należał, dzięki zmysłowi praktycznemu i logice okazał się lepszym organizatorem od innych. Popępniał błędy skutkiem nieznamomości środowiska, ale szybko je spostrzegał i natychmiast naprawiał. W krótkim czasie zdołał wywołać sporo niezadowolenia, bo ciągle ludzi popędzał, ciągle męczył, mając złudzenie, że w Polsce można żądać od ludzi takiego napięcia energii, jak na Zachodzie. Dopiero doświadczenie go nauczyło, że tu ludzie rychlej się męczą, raz dlatego, że nie umieją przeprowadzić ściślej granicy między pracą a rozrywką, w pracy szukają rozrywki, a chwile odpoczynku psują, gadając ciągle o najcięższych swych troskach; powtóre dlatego, że mają słabsze, gorzej wyćwiczone nerwy; wreszcie dlatego, że przy pracy wykonywają całe mnóstwo niepotrzebnych ruchów.

Gdyby nie to, że sam pracował za kilku i że na urzeczywistnienie swych projektów dostarczał środków, byliby go wkrótce mieli dosyć.

Jeszcze mniej od organizacji zadowalniała go prasa. Niewiele znał się na polityce wogóle, a na polityce polskiej nie znał się wcale. Nie mógł więc sądzić o wartości politycznej prasy. Podobno miała duże zalety i zasługi. Atoli poza sferą właściwej polityki uważał ją czasami za niepočitelną. Walczyła z grabarzami, ale z reguły pomagała tymże grabarzom puszczać w świat fabrykowane przez nich wiadomości i poglądy, reklamowała wydymane przez nich wielkości, ich rozmaite obroty międzynarodowe, nawet pomagała czasami zwalczać ludzi, którzy się narazili grabarzom, i przedsięwzięcia, stojące im na drodze.

Postanowił przynajmniej jeden narazie dziennik tak zorganizować, żeby prowadził konsekwentną walkę w każdym wierszu. Dotknąwszy się do tego, spostrzegł, że to będzie długa praca, bo ludzi niema i trzeba ich dopiero wyrobić; że pochłonie ona dużo pieniędzy. Tych wszakże nie miał zamiaru żałować. I przy pomocy znacznej sumy, ofiarowanej z własnej kieszeni, uzdrowił narazie finanse obranego dziennika.

Pomimo to wszystko czuł się dobrze. Widział, że praca jego zaczyna dawać wyniki, i że zaczął poznawać Polskę od jej najważniejszej strony. Był pewien, że grabarze wkrótce odczują na swej skórze jego działalność.

Pomiędzy jego nowymi przyjaciółmi powtarzano często nazwisko człowieka, którego nie znał. Powoływano się nań jako na autorytet, pytano, co on w tej lub innej sprawie myśli, dowiadywano się troskliwie o stan jego zdrowia. Raz wreszcie powiedziano znacząco Twardowskiemu, że go zaprowadzą na konferencję w niewielkiem gronie u Grzybowskiego.

Zastał starca, wyglądającego na lat osiemdziesiąt, choć jak mówiono, dobiegał dopiero siedemdziesiątki. Nie ruszał się z fotela, w którym siedział w ciepłym szlafroku, szczupły, niewielkiego wzrostu, z twarzą

wynędzniała, siwowłosa. Na stoliku przy nim stało jakieś lekarstwo, którego widocznie często zażywał.

Wyciągnął rękę do Twardowskiego.

— Przepraszam pana, że go tak przyjmuję. Dziś wszakże czuję się gorzej, niż zwykle. Toteż nie dam się tym panom męczyć długo. Omówimy prędko sprawy, z którymi przyszli, a pana poproszę, żeby pan został u mnie na chwilę — ma się rozumieć, jeżeli pan ma czas — to sobie we dwójkę pogadamy.

Istotnie, dyskusja w sprawach, dla których zebrano się u Grzybowskiego, trwała krótko. Zdanie gospodarza zwykle przekonywało zebranych, i zgodnie z nim zapadała decyzja. Twardowski zauważył, że ten starzec ma umysł niezwykle jasny i mocną logikę. Imponowała mu u niego głęboka znajomość Polski i wytrawność sądu, pochodząca z długoletniego doświadczenia. Najwięcej podziwiał temperament, który schorzałego starca czasami ponosił jak młodzieniaszka.

Gdy po rozejściu się zebranych zostali sami, gospodarz, uśmiechając się, rzekł:

— Jest pan podobny do swego stryja, jakby pan był jego rodzonym synem.

— Pan go znał? — zapytał Twardowski skwapliwie.

— Poznałem go na parę lat przed wybuchem wojny światowej i nawet zbliżyliśmy się politycznie. Wkrótce po wybuchu wojny znikł z widowni i od tego czasu już go nie widziałem. Napisałem nawet raz artykuł przeciw kanalji, która go napadała i prześladowała oszczerstwami. Zdaje mi się, że rozumiem tragedję tego człowieka: on musiał należeć do grabarzy i porzucił ich, gdy zobaczył, do czego zmierzają. Za to przedewszystkiem mścili się na nim. Niestety, był to indywidualista, nieumiejący zgrywać swych wysiłków z działalnością innych ludzi, podobnie jak on myślących. Szedł samopas, walczył na własną rękę i został pobity.

— Spotykam dopiero drugiego człowieka, który mówi o nim prawdę — rzekł Twardowski. — Pan się słusznie domyślił, że on opuścił grabarzy i że był z nimi w walce. Ja to dziś wiem pozytywnie. Teraz ja z nimi walczę. Tylko ja nigdy do nich nie należałem, choć chcieli mnie wciągnąć.

— Pan nie popełnia jego błędu, rozumie pan potrzebę organizacji... choć jest pan także niemałym indywidualistą.

Twardowski spojrzał bystro na starca.

— W czym pan to widzi? — zapytał.

— Pomówimy kiedy o tem, gdy będę zdrowszy. Choć i wtedy może się nie wytłumaczę jasno. Pan jest psychologiem i wie pan niezawodnie, że w diagnozie psychologicznej, jak w lekarskiej, buduje się często na znamionach i objawach prawie nieuchwytnych, niedających się ująć w formułę.

— Zdaje się, że zacznę się uczyć od pana psychologii — zauważył Twardowski.

— Niech pan nie przesadza. Nie znaczy to, żeby nie było rzeczy, którychbym mógł pana nauczyć. I napewno byłoby bardzo dobrze, żeby się pan ich ode mnie dowiedział. Za mało zna pan Polskę.

— Prawie jej nie znam. I naukę z wdzięcznością przyjmę. Czy pozwoli pan się odwiedzać?

— Każdego dnia popołudniu, gdy pan nie będzie miał nic do roboty, niech pan sobie mnie przypomni i niech pan wie, że mile będzie widziany.

W ciągu najbliższych dni Twardowski dwa razy odwiedził Grzybowskiego.

Jemu jednemu opowiedział całe swoje przejście z Culmerem.

Stary się ogromnie całą sprawą zainteresował: wypytywał o najdrobniejsze szczegóły. Miał coś w sobie, co zmuszało do całkowitej szczerości. Była to przede wszystkim jego szczerość, bezwzględna, czasami wprost brutalna.

Toteż Twardowski za trzecim u niego pobylem bez ogródek wypowiedział wszystko, co myśli o swoich nowych przyjaciółach. Porównywał ich z ludźmi na Zachodzie i wykazywał ich niższość pod każdym względem.

— Dobrze pan podpatrzył — rzekł Grzybowski — ich wady i słabe strony. Szcenasem dojrzy pan ich więcej. Ale wielu z nich ma jedną, ogromną wyższość nad ludźmi na Zachodzie i... nad panem.

Twardowski czekał, co dalej usłyszy.

— Na Zachodzie odbył się pewien proces w duszach ludzkich — pod jakimi wpływami, o tem dałoby się dużo powiedzieć — który tak zindywidualizował ludzi, że to już staje się niebezpiecznem. Człowiek tam w każdej sprawie, do której się bierze, musi mieć jakiś swój cel osobisty. W chwilach wielkich, niezwykłych, jak naprzykład ostatnia wojna, umie się poświęcić, często także z motywu osobistego — dlatego, że jemu, szanującemu się człowiekowi, nie wolno inaczej postąpić. W normalnem atoli życiu myśli tylko o sobie i o swoich celach. Nasi ludzie umieją służyć sprawie, do której są przywiązani, ojczyźnie przede wszystkim, usuwając całkowicie ze swej myśli swoje cele i interesy osobiste. Dlatego są niedołążni w porównaniu z tamtymi, bo człowiek, z bardzo rzadkimi wyjątkami, na największą energję się zdobywa, gdy o niego chodzi osobiście. Pan jest o wiele energiczniejszy od naszych ludzi... Ale zapytajmy: dlaczego pan wszedł między nich i pracuje z nimi?... Bo ma pan cel osobisty. Postanowił pan zmiażdżyć Culmera, z którym ma pan porachunki za swego stryja i za siebie. I kieruje pan robotą tak, żeby służyła przede wszystkim temu celowi. Gdyby nie Culmer, niezawodnie tkwiłby pan nadal w swej psychologii i patrzył na świat okiem obojętnego, obiektywnego obserwatora.

Ton Grzybowskiego był spokojny, obiektywny, jakby rozprawiał o człowieku nieobecnym. Widocznie nic go nie kosztowało mówić niemiłą prawdę ludziom w oczy. A przy tem wszystkiem czuć było w jego tonie życzliwość i szacunek dla słuchacza.

Twardowski nie czuł się urażony, tylko stwierdził w duchu, że ma do czynienia z niezwykle gatunkiem człowieka.

— Więc ja, zdaniem pańskim, źle robię? — zapytał.

— Nie — odrzekł starzec. — Culmera i jemu podobnych trzeba tępić, jak się tępi drapieżne zwierzęta i jadowite gady. Jeszcze ważniejszą rzeczą jest rozbijać i niszczyć ich organizację. Pan to chce robić i przyszedł pan dla nas wporę. Ja tylko wskazuję wielką zaletę naszych ludzi, z której pan korzysta. Oni Culmera nie znają, nie mają z nim żadnych porachunków. Nawet od grabarzy wogóle nie zdążyli przeważnie doznać krzywd osobistych. A jednak idą z panem w walce przeciwko nim i Culmerowi. Dlaczego?... Bo umieją się mocno przejąć celem nieosobistym. Prawda, że nie umieją włożyć w tę walkę tyle, co pan, energii. To wszakże nietylko dlatego, że są trochę niedołągi, ale także i dlatego, że dla nich nie zamyka się wszystko w Culmerze i w jego bandzie, że czują się odpowiedzialni za wiele spraw, które pana w tej chwili mało obchodzą, albo nie obchodzą wcale.

Już ksiądz Rybarzewski zmuszał czasem Twardowskiego do zastanawiania się nad rzeczami, o których nigdy przedtem nie myślał. Grzybowski zrobił to w o wiele większej mierze. Ta rozmowa była dla niego wprost rewelacją. W następnych dniach nieraz powracał do niej myślą. Grzybowski miał słuszość. On, Twardowski, w porównaniu z ludźmi, z którymi obecnie się związał, jest ogromnym indywidualistą. W celach swoich jest o wiele więcej osobisty. Ale

czy tem samem nie jest wyższym typem człowieka? Czy nie stoi na wyższym szczeblu cywilizacji?... Przecie największem dziełem cywilizacji europejskiej jest to, że wykształciła ona samoistną, indywidualną duszę ludzką, że wyzwoliła ją ze stada, które nad nią panuje u ludów barbarzyńskich. To jest niezbita prawda... A jednak na tem stanąć, tem się zadowolnić nie można. Bo czyż nie jest niewątpliwą wyższością moralną, gdy człowiek umie się wznosić ponad swoje interesy, ambicje, nad swoje osobiste, choćby najlepszego gatunku cele, jeżeli umie oddać siły sprawie zbiorowości, społeczeństwa, narodu, w której dla siebie osobiście żadnej korzyści nie widzi, a nawet narażony jest na straty?... Coby się stało z cywilizacją, ze społeczeństwem, a więc i z jednostką do społeczeństwa należącą i tylko w społeczeństwie mogącą żyć i rozwijać się, gdyby ludzie całkiem zatracili tę zdolność wzniesienia się ponad swe cele osobiste?... Ścierające się, niczem nie hamowane dążenia osobiste sprowadziłyby rozstrój, upadek społeczeństw, ruinę cywilizacji i zdziczenie jednostki ludzkiej.

Te spory wewnętrzne, prowadzone z samym sobą, zakończyły się odkryciem, z którego, jak ze wszystkich swoich odkryć, ogromnie się ucieszył.

Doszedł do przekonania, że jednocześnie z dobroczynnym procesem dojrzewania samoistnej duszy ludzkiej, w cywilizacji europejskiej odbywa się proces inny, niebezpieczny — zrywania węzłów moralnych, łączących tę duszę z narodem. Nie jest koniecznością, żeby ten drugi proces towarzyszył pierwszemu. On ma odrębne źródła, które dla dobra cywilizacji należy usuwać i niszczyć. Najgłówniejszem z nich jest robota takich organizacji, jak grabarze, pracujących przeciw ojczyźnie.

Zrobiło mu się w duszy jasno. Przecie on sam, choć przeziąknięty atmosferą Zachodu, wychowany zdala od ojczyzny, czuje w głębi swej duszy jakąś siłę,

która przeciwstawia się jego egoizmowi, jego indywidualizmowi, siłę, która była prawie zgłuszona, ale zaczyna brać w nim coraz bardziej górę i czyni go sługą czegoś, co jest ponad nim. To coś — to ojczyzna.

Przypomniawszy sobie, jak go za serce chwyciło, gdy po raz pierwszy odczuł u swoich nowych przyjaciół ten nieosobisty stosunek do spraw, którymi się zajmowali. To odpowiadało jego własnym instynktom, uśpionym przez wychowanie poza krajem.

Przed kilku laty rozpoczął był pisanie książki o roli sugestji w powstawaniu i rozwoju społeczeństw. Oddawał się tej pracy z zapałem — miało to być główne dzieło jego życia. Pracę tę przerwała śmierć stryja, która sprowadziła go do Polski. Próbował prowadzić ją dalej w Turowie, ale mu się to nie udawało. Zanadto go pochłaniała zagadka przeszłości stryja, którą postanowił rozwiązać, i walka rozpoczęta.

Dziś pod wpływem rozmyślań, do których zmusiła go rozmowa z Grzybowskim, spostrzegł, że przybył mu nowy, pierwszorzędnej wagi rozdział do jego książki, rozdział zdobyty w znacznej mierze drogą osobistych doświadczeń w czynnym życiu. Zrozumiał znaczenie życia czynnego dla umysłu. Ileż to prawd nie dochodzi do umysłów badaczy społeczeństw, historyków, dlatego, że zdala patrzą na życie, sami nie biorąc udziału czynnego w działaniach, które przekształcają społeczeństwo i robią historję!...

Dopiero teraz widzi, jak olbrzymią rolę odgrywa sugestja, organizowana planowo przez związki ludzi, w tym celu założone, do jakiego stopnia może ona zmieniać i wykolejać żywiołowy rozwój społeczeństwa. Im więcej myślał, tem więcej przedmiot ten rósł, olbrzymiał w jego pojęciach. Czuł potrzebę pomówienia z kimś o tem dla skontrolowania wyników, do których doszedł.

Jedynym człowiekiem, który mógł mu coś mądrego powiedzieć, był Grzybowski. Poszedł znów do niego.

Grzybowski nie był uczonym; gorzej, nie miał nawet tej dyscypliny umysłowej, jaką daje porządne, systematyczne wykształcenie. Nie odbył nawet studiów uniwersyteckich. Załedwie je był rozpoczął, gdy wpłątany w jakiś proces polityczny, został uwięziony, a potem wysłany na północ Rosji. Czytał niesłychanie dużo, ale niesystematycznie. Miał wszakże jeden wielki dar: umiał patrzeć w życie, rozumiał znaczenie faktów i z zestawienia ich wyciągał logiczne wnioski. Miał przytem w wysokim stopniu to, co jedni nazywają intuicją, a drudzy poprostu nosem. Wygłaszał czasem teorie własnego pomysłu, które można było obalić przytoczeniem jednego, nieznanego mu faktu, ale nieraz robił uogólnienia genialne, na które się nikt przed nim nie zdobył.

Twardowski, rozmawiając z nim, porównywał go z wybitnymi uczonymi na Zachodzie, których znał wielu i znał blisko. Tamci niezawodnie patrzyliby nań, jako na umysł chaotyczny, odbiegający ciągle od przedmiotu, nieznający niczego gruntownie, robiący uogólnienia lekkomyślne, niepoważne; a jednak mózgi tamtych w porównaniu z jego mózgiem, zamkniętym w szerokiej, pękatej czaszce, pracowały słabo. I mówił sobie, że gdyby ten człowiek przeszedł był należytą szkołę i poświęcił się nauce, niewątpliwie zrobiłby rzeczy genialne. Raz mu to nawet powiedział, na co usłyszał:

— Co tam, panie, nauka: nigdybym w niej nie usiedział. Ważniejsza rzecz robić życie, robić porządną Polskę.

Niewątpliwie, człowiek z temperamentem Grzybowskiego w pracy naukowej nie byłby wytrzymał.

Twardowski, przyszedłszy do niego ze swemi myślami o znaczeniu celowo organizowanej sugestji, stwierdził, że ten przedmiot nie był dla Grzybowski-

skiego nowy, że myślał on o nim wiele i miał nań swoje poglądy, niezbyt uporządkowane, niezawsze uzasadnione, ale często uderzająco trafne. Rzucił mu szereg myśli, czasami świetnych, które tylko wymagały należytego rozwinięcia, metodycznego opracowania i gruntownego uzasadnienia.

I myślał sobie, że w Polsce można czasami znaleźć to, czego się nie znajdzie na Zachodzie. Spotyka się tu ludzi, którzy w porównaniu z ludźmi na Zachodzie są, jak książki źle opracowane, niewykończone należycie, ale pełne myśli niepospolitych, w porównaniu z dziełami poprawnemi, wykończonemi według zgóry powziętego planu, ale zawierającemi mało nowego. Wszak i książd Rybarzewski to bardzo ciekawa książka. Tylko czytelnik zachodni pewnieby się na nim nie poznał. Jeszcze mniej poznałby się na Grzybowskim.

Te refleksje coraz bardziej oddalały duszę Twardowskiego od Zachodu, a przywiązywały ją do Polski. Polska zaś coraz mniej wydawała mu się ogonem Zachodu, jego słabem, wykoszlawionem odbiciem, a coraz więcej czemś swoistem, zdolnem stać na własnych nogach, zdolnem coś dać Zachodowi, coś niepośledniej wartości. Tylko ona sama jeszcze tego nie rozumie i nie ma w tym kierunku ambicji.

Pod koniec rozmowy Grzybowski, skracając swoim zwyczajem wbok od dyskutowanego przedmiotu, powiedział Twardowskiemu:

— Najważniejsze ze wszystkiego jest to, że pan nie jest tak skrajnie osobisty, jak się pan wydaje. Przekonywam się, że wychowanie zachodnie zrobiło pana mocniejszym człowiekiem, niżby pan był, gdyby się wychowywał w Polsce; ale nie zabiło w panu tego, co jest naszą wyższością nad ludźmi zachodnimi. Pan ma mocne instynkty, wiążące pana z narodem: siedzi w panu porządny Polak. I widzę, że pan zaczyna wysoko cenić te instynkty w sobie i w innych. To

najważniejsza: już nie boję się pańskiego wpływu na moich przyjaciół.

— A dotychczas pan go się bał? — zapytał z uśmiechem Twardowski.

— Tak. Nie wiem, czy będę żył jeszcze miesiąc, czy parę miesięcy, czy rok. Na więcej liczyć bodaj nie mogę. Najwięcej ze wszystkiego obchodzą mnie ludzie, którzy po mnie zostaną. Przyglądam się wybitniejszym, tym, którzy będą innych za sobą prowadzili. Co oni przedstawiają? Staram się ocenić ich energję, ich dążenia polityczne, ich idee ogólne; ale najwięcej mnie obchodzi ich oblicze moralne. Najważniejsze jest to, czy posiadają tę zanikającą na Zachodzie, a pod wpływem Zachodu rozkładającą się u nas zdolność przystępowania do sprawy publicznej bezinteresownie, nie uzależniając jej od swych celów osobistych. Dopiero co powiedzieliśmy sobie, skąd się ta zdolność rodzi i co ją niszczy, i zgodziliśmy się w naszych poglądach.

Zamyślił się chwilę, poczem zaczął mówić głosem podniesionym, jakby pobudzonym gniewem:

— Człowiek zachodni, gdy zatracą tę zdolność, gdy zaczyna się kierować wyłącznie swemi celami osobistemi, swym egoizmem, ma na ratunek swoją mocną indywidualność, swój wyrobiony charakter, a obok tego starą, tradycyjną dyscyplinę, utrwalone nałogi moralne, mocne poczucie prawa, wreszcie szereg instytucyj, trzymających go w korbach. Jako egoista jest skutkiem tego bardzo często egoistą poprawnym. Polak zaś, który go naśladowe, przy swej słabej indywidualności, przy niewyrobionym charakterze, przy chwiejności naszych dobrych nałogów, przy słabym poczuciu prawa, przy braku instytucyj, mających w społeczeństwie mocne korzenie — gdy się rządzi bezwzględny egoizmem, osobistemi wyłącznie celami, staje się pospolitą świnią. Tak, panie, świnia — wszelkie inne określenie będzie nieściśle.

Używszy tego mocnego wyrazu, jakby wyładował gniew i głosem już spokojnym dodał:

— Dla nas jedyny ratunek mieć na czele naszego życia jaknajwięcej ludzi z mocnymi instynktami, wiążącymi człowieka z ojczyzną i nakazującymi jej służyć bezinteresownie, poświęcać dla niej cele osobiste, gdy sprawa tego wymaga; ludzi, którzy posiadają to, cośmy nazwali w naszej rozmowie nieosobistym stosunkiem do sprawy publicznej, do spraw narodu. Dziś upewniłem się, że pan takich ludzi będzie szukał i swoim wpływem będzie ich wyrabiał. Ze wszystkiego, o czem mówiliśmy, to dla mnie najważniejsze.

Wyszedłszy od Grzybowskiego, Twardowski stwierdził, że zdobył coś nietylko do swojej książki.

XXI.

— Jedyny naród, z którym można pracować i robić interesy, to Anglicy — rzekł pan Czarnkowski, podnosząc oczy od gazety.

Audytorjum, do którego to zdanie było zwrócone, składało się z pani Czarnkowskiej i panny Wandy. Pili we troje kawę, przeglądając listy i gazety. Pierwsze śniadanie było chwilą, w której pan Czarnkowski najwięcej się udzielał żonie i córce. Resztę dnia zabierały mu interesy, życie towarzyskie i klub, inaczej *bridge* lub pikiet.

Wrócił przed paru dniami z Paryża: miał świeże wrażenia zagraniczne, któremi się chętnie dzielił z otoczeniem, i było sporo nowych plotek miejscowych, których chętnie słuchał.

Żona i córka zauważyły, że jest jakiś przyjemnie podniecony i rozmowniejszy niż zwykle.

Rozwijał dalej wygłoszony przed chwilą pogląd:

— Nic się na nich nie odbiła wielka wojna, której skutki tak wszyscy odczuwamy. Zawsze spokojni, so-

lidni: w prowadzeniu interesów nie widać u nich tej nerwowej spekulacji, która po wojnie zapanowała wszędzie. Toteż interesy u nich idą tak, jakby nic wielkiego w świecie się nie stało. Niechętnie dopuszczają do nich cudzoziemców, ale temu dziwić się nie można.

— Ja myślę, tatku, że i tam są rozmaici ludzie, lepsi i gorsi, i pewnie nie wszystkie interesy tam dobrze idą — odezwała się panna Wanda, chcąc okazać swoje zainteresowanie.

— Pewnie, moje dziecko. Trzeba też umieć rozróżniać i trafiać na właściwych ludzi. To nie jest trudno, zwłaszcza gdy się ma stosunki.

Pani Czarnkowska milczała. Wiedziała, że mąż jej ma słabość do interesów, że robił ich wiele i wszystkie były świetne. Tylko na każdym okazywała się wkońcu jakaś nieprzewidziana skaza, która psuła wszystko, skutkiem czego zawsze ponosił straty. Niewiele ją to obchodziło. Przez cały czas pożycia z Czarnkowskim nie zdołała się nim bliżej zainteresować i sprawy jego traktowała apatycznie. Swoje obowiązki spełniała sumiennie, prowadziła dom umiejętnie w granicach wyznaczonego budżetu, w resztę zaś się nie wtrącała. Miałaby do tego prawo, bo Czarnkowski operował i jej posagiem, losy wszakże swej osobistej fortuny traktowała z dziwną obojętnością: wszystko jedno, czy będzie trochę więcej, czy trochę mniej — byle dożyć do końca. Domyślała się, że i teraz przedsiębiorczy małżonek musiał zrobić jakiś świetny interes, pewnie z Anglikami, kiedy ich tak chwali. Wolałaby, żeby jej pieniądze były w rękach Twardowskiego, ale teraz właśnie Czarnkowski był jej tak obcy, tak daleki, że nie mogłaby się zdobyć na mówienie z nim o jego sprawach. Myśl jej była zajęta tem, co robi Twardowski, którego już zbyt długo nie widziała.

Czarnkowski, jakby naprowadzony przez nią, naraż zmieniał przedmiot:

— Ale niceście mi nie mówiły, że ten Twardowski znikł nagle z horyzontu. Błysnął jak meteor, zwrócił na siebie uwagę wszystkich, i już go nie ma. Mówiono mi w klubie, że nigdzie nie bywa, nikt go nie widuje...

— Salony go nudzą i szuka poważniejszych ludzi — rzekła panna Wanda tonem, rzucającym wyzwanie.

Czarnkowski się obraził.

— Głupstwa pleciesz, Wandeczko — odrzekł, ubierając się w powagę ojcowską.

Pani Czarnkowska, aby przerwać niemile zapowiadającą się dyskusję między ojcem a córką, zabrała głos:

— Jakże on ma bywać w towarzystwie, kiedy jedni szerzą o nim obrzydliwe plotki, a inni im dają wiarę. Szanujący się człowiek musi się odwracać z pogardą od takiego towarzystwa.

— Mówisz tak, jakby to wszystko, co się o nim słyszy, było nieprawdą.

— Bo tak jest — odparła z niezwykłą stanowczością spokojna i obojętna zazwyczaj kobieta. — Nie pierwszy to szlachetny człowiek, który pada ofiarą nikczemnych oszczerstw.

Twarz Czarnkowskiego wyraziła przykre zdziwienie.

— Moja Zosiu — rzekł — niema nigdy dymu bez ognia. Dlaczego o mnie nie ośmieli się nikt czegoś uwłaczającego powiedzieć?...

— Bo tatko z nikim nie jest w wojnie i nikomu się nie naraził — wtrąciła Wanda. — Twardowski to mocny człowiek!...

Czarnkowski znów się obraził. Rodzona córka widocznie uważa go za safandulę.

— Lepiej ostrożnie — rzekł — z takimi mocnymi ludźmi. Ktoś mi mówił, że widział go na ulicy we wspnianym samochodzie. „Mocny człowiek” widocznie jest zajęty puszczaniem swego mizernego spadecz-

ku po stryju. Przyznam się, że zaraz przy pierwszym spotkaniu nie wywarł on na mnie dobrego wrażenia. I bardzo się cieszę, że przestał bywać w towarzystwie. Wolę, żebyście go nie spotykały.

— U nas nie przestał bywać — strzeliła Wandeczka.

Czarnkowski podskoczył na krześle. Już miał coś odpalić córce, gdy pani Czarnkowska odezwała się znów spokojnie, ale stanowczo:

— Pan Zbigniew Twardowski jest poważnym i szlachetnym człowiekiem, a przytem bardzo dobrze wychowanym. Chociaż więc nie przychodzi na nasze czwartki, prosiłam go, żeby o nas nie zapominał, i zapewniłam, że zawsze będzie mile widziany. Dziś nawet myślę do niego napisać, bo dawno go już nie widziałam. Chcę go widywać często: jeżeli go nie lubisz, nie wymagam od ciebie, żebyś go spotykał.

Zdetonowany tą stanowczością Czarnkowski odparł kwaśno:

— Jak chcesz, moja Zosiu. Pamiętaj wszakże, żebyś tego nie żałowała.

Wanda chciała coś jeszcze powiedzieć, ale pani Czarnkowska dała jej znak, nakazujący milczenie.

Gdy Czarnkowski zostawił je same w jadalnym pokoju, rzekła do przybranej córki:

— Wiesz, Wandeczko, że ojca niełatwo przekonać. Jest widocznie pod wpływem nieprzyjaciół pana Zbigniewa. To trudno, my go nie przerobimy. Ale tem bardziej trzeba, żebyśmy okazywały przyjaźń Twardowskiemu. Zaraz do niego napiszę z prośbą, żeby przyszedł.

— Mamusia zawsze ma słuszość — rzekła pokornie Wandeczka, uradowana nadzieją zobaczenia swego władcy, jak go od ostatniej rozmowy nazywała pocichu.

Przy drugim śniadaniu, na którem ojca nie było, dowiedziała się od matki, że Twardowski przyjdzie o czwartej.

— Wy tam macie oboje jakieś konszachty — rzekła, grożąc matce palcem na nosie — i napewno chcesz z nim rozmawiać w cztery oczy. Ale i ja chcę z nim pomówić. Czy powiesz mu, żeby przed wyjściem zobaczył się ze mną?

— Dobrze, kochanie. Tylko nie zawracaj mu z nadto głowy; on ma teraz o czym myśleć.

— Czem jabym mu mogła głowę zawrócić! — odparła Wandeczka nieszczerze. Miała poczucie, że już coś zrobiła w tym względzie.

Pani Czarnkowska nie była pozbawiona intuicji kobiecej. Atoli tak była opanowana myślą o Zbigniewie Twardowskim, jako o pośle od Alfreda, że nie zwracała wcale uwagi na jego stosunek do Wandy i nie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje w duszy przybranej córki.

Twardowski przyszedł o oznaczonej godzinie: przyjęła go w swym buduarze, żeby im nikt nie przeszkadzał. Wypytywała długo o jego sprawy i zajęcia, poczem rzekła:

— Chcę pana ostrzec, że męża mego również usposobiono przeciw panu.

— Nie dziwię się wcale, że ulega wpływowi zagnanego mecenasa. Gdyby nie Culmer, nie byłby mężem pani.

— Niema za co być mu wdzięcznym. Jeżeli mogłam dać szczęście, to nie jemu. Dziś przemówiliśmy się z nim o pana, ja i Wandeczka. Dziewczyna ogromnie wierzy w pana i ma dla pana wielką przyjaźń. Kobieca intuicja często więcej warta, niż męska logika. Powiedzieliśmy mu, że nam bardzo zależy na pańskiej przyjaźni, że on może pana nie spotykać, ale pan nas będzie często odwiedzał. Prawda, że tak będzie? Przecież jego stosunek do pana nie może być przeszkodą w naszej przyjaźni.

Twardowski upewnił ją, że nic nie będzie sobie robił z pana Czarnkowskiego.

Przy pożegnaniu powiedziała mu, że Wandeczka chce go koniecznie zobaczyć.

— Wybaczcie mi — dodała — że towarzyszyć wam nie będę. Jestem bardzo zmęczona. Nie, nie, to nie pan, to moje myśli mię męczą.

Służący, który miał go zaanonsować pannie Wandzie, zawiadomił, że panienka czeka w salonie.

Twardowski, udając się do pani Czarnkowskiej, był pewien, że zobaczy Wandę, której nie widział blisko od dwóch tygodni, od owej pamiętnej rozmowy. Nie starał się o to, choć myślał ciągle o niej i pragnął jej widoku. Nie miał o czym z nią mówić, bo tego, co by jej chciał powiedzieć, powiedzieć nie mógł. Rozumiał, że w położeniu, w którym się znalazł, nie wolno mu było zrobić kroku naprzód w stosunku do dziewczyny. Ona musi do niego należeć, ale trzeba czekać. Trzeba pierwszej rozegrać walkę i zwyciężyć. Teraz, gdy miał ją za chwilę zobaczyć, czuł strach, że zachowa się niemądrze...

I panna Wanda trochę się bała tego spotkania, pragnąc go bardzo zarazem. Od owej rozmowy niejedną chwilę spędziła w fotelu, w którym ją wtedy zostawił. Zamykała oczy i przeżywała w wyobraźni moment, kiedy czuła, że ją wola opuszcza, że jest całkowicie w jego mocy. Nie wiedziała dlaczego, ale i teraz czekała nań w tym samym fotelu. Postanowiła przywitać go jaknajswobodniej i jaknajbardziej towarzysko zapytać go, dlaczego o ich domu zapomina...

Gdy ujrzała go wchodzącego, postanowienia nie wykonała. Chciała powstać z fotela i pobiec na jego spotkanie, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Czekala, aż podszedł do niej, i wyciągnęła rękę, którą on pocałował.

— Dlaczego pan nie przyszedł? — zapytała cichym głosem.

Nie miał na to odpowiedzi, więc rzekł:

— Zato dużo myślałem o pani.

Popatrzyła mu w oczy.

— Czy powie mi pan, jak pan myślał?

— Powiem, ale jeszcze nie teraz...

Zapanowało milczenie: ani on, ani ona nie wiedzieli, co powiedzieć.

Wreszcie Twardowski odezwał się:

— Panno Wando, tu, w tem miejscu, ostatnim razem rozmawialiśmy i... zrozumieliśmy się. Najlepiej w chwili, kiedyśmy milczeli, prawda?... Będziemy milczeli jeszcze przez czas pewien. Ja muszę przedtem przeprowadzić walkę i zwyciężyć. Pani mi obiecała towarzyszyć w tej walce. Będziemy przez ten czas dobrymi towarzyszami. Chce pani?...

Dziewczyna się ożywiła, poczuła w sobie siłę.

— Ach, jaki pan mądry! — zawołała. — Teraz już wiem wszystko, wiem, co mam robić. Zamykamy tamten rozdział i piszemy inny. Jakie to proste i jasne. Pocałowałabym pana za to... ale to należy do następnego rozdziału.

Spostrzegła się, że za wiele powiedziała, i umilkła, zarumieniona.

Twardowski, jakby ostatnich słów nie słyszał, rzekł spokojnie:

— Kcmplikuje nam sprawę to, że ojciec pani, zdaje się, należy do obozu moich nieprzyjaciół.

Posmutniała.

— Tak, tatko lubi słuchać plotek, a już wierzy we wszystko, co mu ten wstrętny Culmer powie. Ale my sobie z nim poradzimy.

Twardowski, wspominając o panu Czarnkowskim, myślał o tem, że nieprzyjaźń pana domu psuje swobodę jego stosunków z paniami. Teraz spostrzegł, że Wanda myśli o ojcu, jako o możliwej przeszkodzie na później, w sprawach następnego rozdziału, jak to nazywała. To nieporozumienie nie zmartwiło go wcale.

Dziewczyna wypytywała go uparcie o to, jak będzie walczył ze swymi wrogami, czy walka ta długo będzie trwała i czy ona nie mogłaby się w niej przydać do czegoś ważniejszego, niż kłócenie się z oszczercami salonowymi. Widoczne było, że całą sprawę Twardowskiego traktuje już jako swoją.

Tak Twardowski wrócił do swobodnych przyjacielskich stosunków z dziewczyną, dla której miał dużo więcej niż przyjaźń. Czy na długo?...

Tymczasem organizacja ataku na Culmera i jego bandę posuwała się szybko naprzód. Padły pierwsze strzały w prasie.

Grzegorz codziennie składał raporty na podstawie doniesień paru ludzi, których sobie znalazł. Były one różnej wartości. Często przychodziły rzeczy błahe, aż rozbiewające, ale całość składała się na wcale dokładny obraz życia czcigodnego mecenasa i jego stosunków. Twardowski sformował sobie już wcale długą listę osób, z którymi Culmer żył bliżej, i dostarczał cennych nieraz informacji towarzyszącom. Z doniesień ludzi Grzegorza okazało się, że i życie prywatne białogrzywego patriarchy miało ciekawe tajemnice. Był to *un vicieux* (polskiego wyrazu Twardowski nie mógł znaleźć), który z paru towarzyszami uprawiał zabawy, uwzględniane nawet przez kodeks karny. Nie zdziwiło to Twardowskiego. Znał on w szerokim świecie ludzi, cieszących się powagą i rozgłosem, którzy mieli podobną i równie dobrze zakonspirowaną stronę swojego życia...

Culmer rychło poczuł, że nieprzyjaciel przeszedł do ataku.

Profesor Topoliński skarżył mu się, że na uniwersytecie praca już nie idzie tak spokojnie, jak dotychczas. Napotyka ona na coraz wyraźniej zorganizowany opór. Niewszystko już się udaje, a ludzie, dotychczas poważani i mający posłuch, zaczynają się spotykać z ostrą krytyką, lekceważeniem i szyderstwem.

W prasie zjawiły się napaści na grabarzy, co gorsza, nie ogólnikowe, ale oparte na faktach i znajomości rzeczy. To, co uważano dotychczas za dobrze chowaną tajemnicę, przeciwnicy zaczęli bez ceremonii dyskutować publicznie. Widać w tem plan: zaczęto od rzeczy mniejszych i stopniowo przechodzi się do coraz ważniejszych, mających coraz większe znaczenie. Dokąd to może zejść, jeżeli się kampanji nie położy kresu? Ale jak to zrobić?...

Jego samego, Culmera, o którym mówiono dotychczas ze czcią i uznaniem, zaczynają zaczepiać. Robią to narazie ostrożnie, zwykle bez wymienienia nazwiska, chociaż dość przejrzyście. Ale i tu czuć stopniowe wzmacnianie ataku. Już go znajomi zapytują, co to znaczy. Przy nim się oburzają, ale znał ich dobrze: pewnie zaczynają sobie mówić, że niema dymu bez ognia...

Zaczął go strach ogarniać. Bał się o swoje stanowisko nie tylko w miejscowym społeczeństwie, ale i u swoich władz zagranicą.

Stamtąd przysłało mu numer katolickiego pisma francuskiego, w którym zjawiła się bardzo zjadliwa korespondencja o grabarzach w Polsce. Niebawem przyszedł list, zapowiadający w krótkim czasie przyjazd do Warszawy bardzo znacznej osobistości, widocznie na inspekcję. Czuł z tego listu, że tam zaufanie do niego nieco się zachwiało. Tego się bał najwięcej.

Za tą całą robotą stoi Twardowski — niema żadnej wątpliwości. I niebezpieczeństwo będzie coraz większe, dopóki ten człowiek żyje lub przynajmniej siedzi w Polsce. Na jak długo starczy mu energii i środków?... Pocieszał się, że jedno i drugie wkrótce się wyczerpie. Ale to go nie uspokoiło.

Siedział sam, trapiąc się tem wszystkiem, gdy mu Jakób zaanonsował doktora Białostockiego. Był to jeden z najbliższych jego przyjaciół.

Wszedł mężczyzna, równie jak on poważny, siwo-
włosy i siwobrody, z widoczną troską rozlaną na
obliczu.

— Mój Henryku — rzekł na wstępie — zdaje się,
że dziś wieczorem nie będziemy się mogli spotkać.

— Dlaczego? Masz jaką przeszkodę?

— Nie ja, ale my wszyscy.

Culmer się zaniepokoił.

— Co się stało?

— Dziś rano była u mnie Zysowa. Baba ogromnie
wystraszona. Powiada, żeśmy naprowadzili na nią
policję.

— Co jej się przywidziało?

— Powiada, że jacyś ludzie włóczą się przed do-
mem i patrzą w jej okna. Od stróża się dowiedziała,
że oni tam za nami przyszli. Wynikałoby z tego, że
jesteśmy śledzeni. Stróżowi trzeba wierzyć — jest
przez nią dobrze wynagradzany. Mówi on, że jeden
z tych szpiegów zaprzyjaźnił się z pokojówką z mie-
szkania naprzeciwko i że ona im pomaga.

Culmer się zamyślił.

— To nie jest policja — rzekł po chwili milcze-
nia. — Od pewnego czasu mam wrażenie, że jestem
szpiegowany, że ktoś stara się zdobywać wiadomości
o mojem życiu prywatnem. To musi być w związku
z ostatnimi napaściami w prasie.

Białostocki przeraził się.

— Czyżby nam chcieli zrobić skandal?...

— Wszystko możliwe u tych łajdaków. Oni chcą
podkopać naszą pozycję, zniszczyć nas zupełnie. Czu-
ję w tem rękę Twardowskiego. Nie przypuszczałem,
że to bydlę umie być takie szkodliwe.

— Czy nie możnaby go unieszkodliwić?

— Robię, co mogę. Popsuliśmy mu reputację
w towarzystwie — poszukał innych ludzi i stał się
jeszcze niebezpieczniejszy. Liczyłem, że mu przesko-
dzi brak pieniędzy. Dziś dowiedziałem się z banku,

że drugi raz już otrzymał sporą sumę z zagranicy. Kto go popiera? Czy to nie jest jaka akcja międzynarodowa? Będziemy to wkrótce wiedzieli.

— A czy niema sposobu załatwienia się z nim radykalniej?

— Z temi sposobami jest coraz gorzej. Coraz trudniej o pewnych ludzi. Łatwo być zdradzoną, a tego byś przecie nie chciał?...

Białostocki się wzdrygnął.

— Myślę — rzekł — że z Zysową trzeba będzie zerwać, dopóki rzecz się nie wyjaśni.

— Czy nie moglibyśmy się jakoś obejść bez niej?

— Nie widzę jak.

— Niech diabli wezmą!

Mecenas był wystraszony. Ale nawet w takich chwilach niełatwo rezygnował z rozkoszy życia. Tak był pewny tego przyjemnego wieczoru...

Wkrótce po wyjściu doktora wpadła Hela.

— Stęskniłam się za tobą — zawołała. — Tak dawno cię nie widziałam. Jak będzie z mojemi brylantami?

— Czy ja mam teraz czas myśleć o twoich brylantach?

— Nie trzeba myśleć, wystarczy zapłacić.

— Zapłacić! Czy ja wiem, co ja jutro będę musiał zapłacić?

— Robisz znów jaki duży interes?

— Żaden interes.

— To co masz płacić? Ty przecie nigdy darmo nie płacisz.

— Dotychczas nie, ale teraz — kto wie? W mojej pozycji lepiej grubo zapłacić, niż mieć grubych...

— Skandal — dodała domyślna córka.

Myślał głośno i za późno ugryzł się w język.

— Może się co popsło z twojemi aniołkami? — zapytała Hela.

— Z jakimi aniołkami?

— No, nie udawaj przede mną. Na twojem miejscu wolałabym dojrzały owoc: więcej ma smaku i bezpieczniejszy. Zresztą, każdy niech się bawi, jak mu się podoba. Więc masz kłopoty?

— Więcej, niż potrzeba — rzekł Culmer z goryczą.

— A cóż się dzieje z Twardowskim? Nie widać go wcale, nigdzie nie bywa, zaczyna mi go brakować. Myślałam, że urażony w swej męskiej ambicji zażąda ode mnie zadośćuczynienia... któreby mu może dała.

Wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Helu! — krzyknął Culmer — ty sobie nie żartuj! To niebezpieczny człowiek. Mnie teraz zaczyna szczuć, prześladować, psuć mi robotę, śledzić moje życie prywatne — jestem pewien, że za tem wszystkim on stoi. To niezwykle łądak: mści się jak żyd.

— Od początku mówiłam, że on nie taki, jak inni, że to niebezpieczny człowiek. Nie chciałeś wierzyć. Licz się więcej z mojem zdaniem — ja mam lepszego nosa do ludzi.

Po wyjściu córki mecenas zapadł w zadumę.

Hela miała słuszość: on nie taki, jak inni. Walka z nim, to, zdaje się, walka na życie i śmierć. Czyja śmierć?... Mecenasa mrowie przebiegło po skórze.

Myślał długo jeszcze. Wreszcie rzekł głośno do siebie:

— Dobrze. Ale jak to zrobić?...

XXII.

Twardowski zajechał przed bank, w którym miał odebrać pieniądze. Gdy wysiadał z automobilu, wpadł nań wychodzący z banku profesor Kozieniecki.

— Wie pan, co się stało? Czarnkowski jest zrujnowany. Stracił cały majątek...

— Skąd pan to wie? — zapytał Twardowski. — To może być jedna z wielu plotek, wyssanych z palca.

— Niestety, nie — odrzekł profesor. — Przed chwilą powiedział mi to dyrektor banku.

— Jakże to się stało?

— Nic więcej nie chciał mi powiedzieć, jak tylko to, że dziś rano przyszedł telegram, z którego Czarnkowski się dowiedział, iż nie posiada ani grosza.

Twardowski jakoś nie podzielał smutku Kozienieckiego i prawie obojętnie słuchał, gdy ten monologował.

— Jaka szkoda tych ludzi. Tacy mili, tacy kulturalni. I co ta biedna dziewczyna zrobi?...

— Jaka dziewczyna? — zapytał Twardowski.

— A no panna Czarnkowska.

— Jakto co zrobi?

— Teraz została bez majątku...

— Więc co?

— Pan myśli, że to tak łatwo pannie bez majątku wyjść za mąż? — i to pannie z tej sfery, przyzwyczajonej do takiej wysokiej stopy życia?...

— Z reguły ma pan słuszność! No, dowidzenia. Mnie pilno.

Wrócił do swego automobilu, do banku nie poszedł, tylko kazał jechać do państwa Czarnkowskich.

— Pana niema w domu — rzekł mu służący we drzwiach — a pani jest cierpiąca.

— Panienska jest? Proszę spytać, czy mnie przyjmie.

Służący wrócił z wiadomością, że panienska prosi.

Panna Wanda była blada, miała zaczerwienione oczy, ale Twardowski w jej postawie i wyrazie twarzy odczuł spokój i nawet pewność siebie.

— Zastał mię pan, obmyślając plany na przyszłość...

Twardowski milczał. Oczyma tylko zapytywał, jakie plany.

— Trzeba wziąć się do pracy i zacząć zarabiać na chleb.

— Pani?...

— Pan myśli, że nie będę umiała? Zobacz pan. Widać było, że zrobiła już jakieś postanowienie. Twardowski patrzył na nią zachwycony. Ma charakter, myślał, i to nie byle jaki.

— Więc to prawda? — zapytał.

— Tak. Jesteśmy zrujnowani.

— Jak to się stało?

— Tatko ulokował cały majątek w udziałach kopalni złota, i to przedsiębiorstwo zbankrutowało.

Twardowski zdrętwiał.

— Kopalni złota?... — zapytał. — W Afryce?... Tugela River Gold Co.?

— Pan to wie...

— Teraz wiem jeszcze jedno, że jestem największym osłem na świecie.

Dziewczyna patrzyła nań zdumiona.

— Mogłem was od tego uratować...

— Nic nie rozumiem — rzekła.

— Później pani wytłumaczę. Pan Czarnkowski niedawno sprzedał swój majątek ziemski?

— Tak.

— Culmerowi?

— Tak.

— Który kupił go dla syna?

— I to pan wie?

— I całą gotówkę włożył w te kopalnie złota.

— Tak.

— Tymczasem okazało się, że tam było wszystko: był zarząd, była kopalnia, tylko złota nie było. Kompanja zawiesiła wypłaty, prezes jej i dyrektorzy ulotnili się, i wszystkie wkłady przepadły.

— Widzę, że pan o wszystkim wie dokładnie.

— Wiem, co było, i trochę tego, co będzie.

— Co będzie?

— Chce pani, żebym powiedział?

— Niech pan powie.

— Młody Culmer proponuje pani powrót do majątku rodzinnego.

— Nie rozumiem.

— Oświadczy się o rękę pani.

Skoczyła jak oparzona.

— Co, ten Żyd? Jak pan śmiał to powiedzieć!

Twadowski wziął jej rękę i pocałował. Gniew nagle znikł z jej twarzy.

— Panno Wando — rzekł — nigdybym sobie na taki żart nie pozwolił. Ja wiem, rozumie pani? — wiem, że on to robi, jeżeli... jeżeli nie znajdzie się przedtem w więzieniu. Lepiej, żeby pani była na to przygotowana.

— Skądże pan to wszystko wie?

— Tymczasem jeszcze pani nie powiem. Ale wkrótce dowie się pani wszystkiego.

— Wie pan, że on raz był u nas: wstrętny Żyd, pozujący na Anglika.

— Tak. Tymczasem mamy ważniejsze rzeczy przed sobą. Mam nadzieję, że uda się majątek państwa odebrać.

— Nie rozumiem znowu. Komu pan odbierze?

— Złodziejowi. On został ukradziony i ja go odbiorę.

— Wie pan, w głowie mi się kręci. To, co słyszę, powinno być niemożliwe, nieprawdopodobne. A jednak jakiś głos w głębi mej duszy nakazuje mi wierzyć we wszystko, co pan mówi.

— To dobry głos: niech pani idzie za nim — odrzekł z uśmiechem. — Dziś będę musiał pożegnać panią na dłużej. Wyjadę na noc do Londynu. Niema ani chwili do stracenia.

Na twarzy panny Czarnkowskiej odmalowało się przerażenie.

— Muszę — tłumaczył jej — zdobyć materiały do walki ze złodziejem.

Nie śmiała pytać o nic. Ale widział, że chciałyby wiedzieć coś więcej.

— Powiem pani — rzekł — tylko to, że tym złodziejem jest stary Culmer, że obrabowanie was z majątku oddawna uplanował i z przebiegłością nikczemnika wykonał...

— A tatko tak w niego wierzył!

— W tem właśnie leży źródło całej katastrofy. Do planu jego należy zrobienie pani swą synową. Proszę mi wybaczyć, żem się jeszcze raz z tem wyrwał...

— Nie, już się nie gniewam. Lepiej, że wiem o tem zgóry.

Twardowski powstał.

— Teraz panią pożegnám. Trzeba się śpieszyć; mam jeszcze dużo do załatwienia przed wyjazdem.

Dźwignęła się niechętnie z krzesła i wyciągnęła do niego rękę. Twardowski miał wrażenie, że dziewczyna boi się tego pożegnania.

— Kiedy pan wróci?

— Nie wiem. Ani dnia dłużej nie zabawię, niż będzie potrzeba. Myślę, że z tydzień, może trochę więcej...

Nagle uderzył się ręką w czoło.

— Ach, jakież ze mnie głupiec! Byłbym zapomniał o najważniejszej narazie rzeczy. Siadajmy.

— Panno Wando — zapytał tonem prośby w głosie — czy pani gotowa jest pomóc mi w tej sprawie?

— Zrobię wszystko, czego pan zażąda.

— Bardzoby mi popsuło moje zamiary, gdyby ojciec pani, znalazłszy się teraz w trudnem położeniu, popełnił jaki błąd w stosunku do Culmera. Teraz czekają was bardzo przykre chwile. Wieść o ruinie ojca pani rozejdzie się po mieście jak błyskawica. W tej chwili na pewno już dziesiątki ludzi opowiadają sobie o tem. Kredyt ojca pani już jest przecięty, a od jutra

zaczną się zgłaszać z rachunkami wszyscy, którym się cośkolwiek należy. O ile pan Czarnkowski nie ma zapasu gotówki...

— Wiem, że go nie ma.

— ...sytuacja będzie trudna.

— Na to niema rady.

— Jest, o ile zechce mi pani pomóc.

— Ja? jakim sposobem?

— Nie chcę mówić o tem z ojcem pani, nie mogę z panią Czarnkowską, tem bardziej, że jest cierpiąca. Ale na szczęście jest pani i razem z panią możemy wszystko zrobić.

— Co? nic nie mogę zrozumieć.

— Zanim odbierzemy ukradziony majątek, państwu będzie potrzebna taka, czy inna suma pieniędzy na płacenie rachunków i t. p. Pani pozwoli, że zostawię tę sumę w rękach pani...

— Skąd ją pan weźmie?

— Z banku.

— Jakim sposobem?

— Tym, że mam je właśnie dziś do odebrania.

Przyszły dla mnie z Paryża.

Przestraszyła się.

— Dziękuję panu serdecznie, ale na to się nie zgodzę. Pieniądze pańskie nie są na załatwianie rachunków państwa Czarnkowskich.

— Ależ to będzie tylko pożyczka.

— Nie zaciąga się długów, gdy się nie ma z czego zwrócić.

— Przecie pani powiedziała, że wierzy w to, co mówię, a ja powiadam, że majątek odbierzemy.

— Ja wierzę panu, wierzę w pana, ale pieniędzy od pana nie wezmę. Przecie my jesteśmy dla siebie nawzajem obcy ludzie.

— Obcy ludzie!... Jak pani to powiedziała!

— Panie Zbigniewie, ja nie chciałam nic przykre-g-o powiedzieć — mnie samej jest przykro. Ale, niech

pan powie, czyż tak nie jest?... Jestem panu bardzo wdzięczna za pańską gotowość, ale jakże jabym sama przed sobą wyglądała, gdybym to zrobiła?... Nie mówmy więcej o tem.

Twardowski zastanowił się... Wreszcie z decyzją rzekł:

— Przeciwnie, będziemy mówili.

Spojrzała nań z wyrzutem.

— Pani powiedziała, że jesteście sobie obcy. Zmusza mnie pani do powiedzenia rzeczy, którą odkładałem na później. Przed paru tygodniami powiedziałem sobie, że zrobię wszystko, ażeby się pani zgodziła zostać moją żoną; jeżeli zaś pani się nie zgodzi, nie ożenię się nigdy.

Błada twarz dziewczyny pokryła się rumieńcem. Podniosła nań oczy.

— Kiedy pan to sobie powiedział?

— Gdym się znalazł na ulicy po owej rozmowie między nami.

— To dziwne...

— Co?

— W tej samej chwili mówiłam sobie, że mogę być tylko pańską żoną.

— Więc proszę panią o rękę.

— Tak nagle?

— Mówiłem pani, że chciałem to zrobić później, ale po tem, com w tej chwili usłyszał, nie myślę odkładać.

Wyciągnęła do niego rękę, którą Zbigniew ucałował.

— Dzięki Bogu! — zawołał, jakby mu ciężar spadł z piersi. — Nie jesteśmy już sobie obcy, prawda?...

Oszłomiona patrzyła nań w milczeniu.

— Jest pani moją narzeczoną i będzie pani moją żoną. Bo przecie nie cofnie mi pani słowa?...

— Nie.

— Wszystko tedy, co jest moje, do pani również należy. We wszystkim, co przedsięwiorę, mam prawo liczyć na pani współdziałanie. Otóż mówię w tej chwili do pani: moja najdroższa — wolno mi, prawda?

Skinęła głową.

— Mówię tedy: moja najdroższa, wyjeżdżam do Londynu i proszę cię, ażebyś w czasie mej nieobecności płaciła rachunki państwa Czarnkowskich, bo to mi potrzebne do pomyślnego przeprowadzenia akcji, mającej na celu uratowanie ich majątku. Dlatego złożymy dziś w pewnym banku na twój rachunek kilkadziesiąt tysięcy złotych. Gdybym pozostał zagranicą dłużej i conto się wyczerpało, zawiadomisz mię, a przyślę więcej, bo mam w Londynie pieniądze. Co pani na to odpowie?

— Odpowiem: mój najukochańszy, po pierwsze, nie jest rzeczą właściwą, żebyś, nie będąc jeszcze moim mężem, wnosił już pieniądze na mój rachunek; powtóre, choć nie jestem jeszcze twoją żoną, mam prawo cię zapytać, co to za pieniądze. Przecież pan nie jest taki bogaty?

— Tu muszę poprosić o przebaczenie — odrzekł Twardowski. — Oszukiwałem wszystkich, a więc i panią. Mój stryj nic nie utracił ze swego znacznego majątku i wszystko mi zostawił. Tylko dla pewnych celów trzeba mi, żeby o moim majątku nie wiadano.

Panna Czarnkowska spłoszyła się.

— Mój Boże — zawołała — jak ja wyglądam! Dowiedziawszy się o ruinie ojca, o tem, że nic nie mam, oddaję rękę człowiekowi bogatemu, żeby ratować siebie i rodziców.

Twardowski się roześmiał.

— Nie chodzi o to, jak pani wygląda, tylko o to, jaka jest pani. Dwa tygodnie temu zdecydowała się pani zostać moją żoną. Wtedy pani nie wiedziała o moim majątku, a siebie uważała za bogatą. Zresztą pani nie jest biedna, bo majątek odbierzemy.

— Wie pan, co ja czuję teraz?

— Co?

— Że wszelki opór wobec pana, to próżna męka. Lepiej słuchać i robić, co pan każe.

— W tej chwili o to chodzi — nie mamy czasu do stracenia.

— Więc słucham.

— Jadę zaraz do banku po pieniądze. Za dwadzieścia minut wstąpię po panią i pojedziemy do innego banku, w którym otworzymy rachunek na imię pani.

— Będę gotowa.

Wracając z banku z pieniędzmi, ledwie zajechał przed dom Czarnkowskich, gdy z otwartych drzwi wybiegła Wanda i wskoczyła do jego samochodu, z nim zdołał wysiąść na jej spotkanie.

— Tak, to rozumiem — rzekł, uśmiechając się do niej. — Z panią można coś zrobić.

— Więcej, niż pan myśli. Nikt nie wie, jak ja umiem być posłuszną. Ale tylko temu, kto umie rozkazywać.

— Dyrektor banku, do którego jedziemy, jest moim przyjacielem. Nikt od niego się nie dowie, skąd pochodzą pieniądze na rachunku pani. Gdyby pani miała jaki kłopot w mojej nieobecności, proszę się do niego zwrócić. Znajdzie radę i zrobi wszystko dla pani.

— Ojcu — mówił dalej — będzie pani musiała coś powiedzieć; im mniej, tem lepiej. Idzie mi o to, żeby Culmer niczego się nie domyślał, żeby czuł się bezpiecznym. Inaczej cały mój plan mógłby być popsuty.

— To nic nie powiem — nawet tego, żem sobie znalazła męża. Jakby to wiedział, wszystkiego by się domyślił.

— Całkiem słusznie. Ach, jaka pani mądra!

— Teraz znów nadzwyczajnie mądra. Pan chce, żebym całkiem zwariowała.

— Nie powiedziałem „nadzwyczajnie”.

— Powiedział pan „ach”, co na jedno wychodzi.

Stanęli przed bankiem. Po kwadransie wyszli z niego. Twardowski z portfelem lżejszym o kilkadziesiąt tysięcy złotych, panna Czarnkowska z książeczką czekową.

— Bardzo mi się podobał ten dyrektor banku — rzekła w powrotnej drodze. — Pan go dawno zna?

— Od dziesięciu dni.

— I już jesteście tacy przyjaciele?

— Są warunki, w których przyjaźń zawiera się w skróconem tempie. Dzieje się to wtedy, gdy ludzie razem pracują dla wspólnego celu.

— Już rozumiem. Z tego wynika, że jest on trochę i moim przyjacielem.

— Niech pani o tem nie wątpi. Wracając do naszej sprawy, nie widzę jeszcze, jak pani sobie poradzi z ojcem podczas mojej nieobecności.

— W tem już moja głowa. Na to wystarczy moja mądrość, a raczej moja odwaga, gdy za mną ktoś mocny stoi. Spodziewam się, że pan z Londynu do mnie napisze.

— Zaraz po przyjeździe.

— Wobec tego żegnam się bez żadnych tkliwości. Wyjął z kieszeni kartę.

— Oto mój adres londyński. Gdyby się stało co ważnego, niech mi pani zaraz telegrafuje.

Limuzyna stanęła przed domem Czarnkowskich. Panna Wanda wyciągnęła rękę, którą Twardowski pocałował, wyskoczyła na chodnik i wbiegła do domu.

Rzuciwszy adres szoferowi, Twardowski zapadł w zadumę. Tyle rzeczy stało się w ciągu godziny. Dowiedział się o ruinie Czarnkowskiego, znalazł sposób zadania silnego ciosu Culmerowi, postanowił dziś na noc jechać do Anglii w celu wmieszania się w spra-

wę *Tugela River Gold Co.*, wreszcie — co najważniejsza — został narzeczonym panny Czarnkowskiej. Szybkość istotnie nowoczesna.

Panna Wanda, wróciwszy do domu, zastanawiała się również nad tą zawrotną szybkością wypadków. Zapytywała siebie, dlaczego jej się w głowie nie kręci... Po dłuższem zastanowieniu znalazła odpowiedź. Wyobraziła sobie, że jest na morzu: naokół szaleje burza, ale ona się nie boi: ją niesie statek, który nie zatonie, i wyląduje w bezpiecznym porcie.

Państwo Czarnkowscy siedzieli przy stole, przy którym pan zdążył już pani powiedzieć, że jej posąg utonął razem z majątkiem jego i córki. Podnieśli głowy, gdy Wanda weszła, i ze zdziwieniem patrzyli na jej pogodną, pewną siebie minę.

Gdy podeszła przywitać się z ojcem, ten wziął ją obiema dłońmi za głowę, pocałował w czoło i rzekł tragicznym głosem:

— Piękny ci los zgotowałem!

Znajdował się w stanie całkowitej prostracji. Nę-dza, zdeklasowanie, zniszczenie życia jedynemu dziecku, wreszcie — co go może najwięcej bolało — wystawienie na powszechne szyderstwo. On, który się uważał za głowę do interesów, stracił wszystko w tak skandalicznie głupi sposób...

— Niech tatko nie rozpacza — rzekła córka prawie wesoło — wszystko będzie jaknajlepiej.

Czarnkowscy spojrzeli na Wandę, przerażeni jej dobrym humorem. Nigdy jej nie posądzali o taką lekkomyślność.

— Byłem u Culmera — rzekł Czarnkowski — nic jeszcze nie wiedział. Obiecał zasięgnąć natychmiast bliższych informacji, obawia się wszakże, iż sprawa jest beznadziejna. On mnie ostrzegał: gdybym go był słuchał, byłbym dziś tem, czem byłem. Mądry i zacny człowiek. Niestety, on się tak wyzbył gotówki na

kupno Zbychowa i tyle ma kłopotów, że wątpi, czy mi będzie mógł co poradzić, choć bardzoby pragnął.

— Tatu — odezwała się stanowczym głosem córka — niech mi tatko przyrzeknie, że więcej do tego Culmera nie pójdzie.

Oboje państwo Czarnkowscy osłupieli. Pani patrzyła na Wandę, jakby szukała w niej czegoś, jakby, wiedzioną instynktem kobiecym, podejrzewała, że coś zaszło. On miał odruch, jakby chciał ją zburzyć, ale natychmiast spokorniał: czuł się wobec niej winowajcą.

— Moje dziecko — rzekł łagodnie — łatwo ci mówić. Przecie muszę gdzieś iść, czegoś szukać. Jesteśmy bez grosza, a trzeba żyć i płacić to, co się ludziom należy. Na najbliższe dni niema, a mój kredyt już skończony.

— Na najbliższe tygodnie mamy — odparła Wanda. — Wystarczy, zanim się sprawa całkiem nie wyjaśni.

— Nie mamy nic.

— Ja mam.

Oboje państwo Czarnkowscy podskoczyli na krzesłach.

— Ty? — krzyknęli unisono.

— Ja.

— Dziecko — rzekł ojciec — co ty możesz mieć... Ty sobie nawet nie wyobrażasz, jakie są nasze wydatki.

— Jak tatko myśli, ile nam, oszczędnie licząc, może być potrzeba na najbliższe trzy tygodnie?...

— Nie wiem, ile jest niezapłaconych rachunków domowych.

— Na trzydzieści tysięcy zgórą — wtrąciła pani.

— Aż tyle! — zawołał z rozpaczą. — A więc potrzeba nam najmniej czterdzieści tysięcy.

— Tyle mam, nawet trochę więcej.

— Wandeczko, czyś ty oszalała? — zawołała pani Czarnkowska.

— Nie, jestem przy najzdrowszych zmysłach. Oto moja książeczka czekowa — na wszystko, co się należy, będę pisała чеки.

— Skądże ty wzięłaś te pieniądze? — pytał ojciec, w którym nadzieja na parotygodniowy spokój walczyła z przerażeniem.

— Tatku, pozwól mi tymczasem nie odpowiadać na pytanie. Znasz mię chyba dosyć, żeby wiedzieć, że ich nie ukradła, ani nie doszła do nich na żadnej innej nieuczciwej drodze. Dość, że pieniądze są i jesteśmy zabezpieczeni na parę tygodni, jeżeli zaś będzie potrzeba, to i na dłużej.

Na twarzy pani Czarnkowskiej malowało się natężone myślenie. Widać było, że usiłuje rozwiązać jakąś zagadkę i że jej się to w żaden sposób nie udaje. Widać też było, że się zaczyna niecierpliwić, że chce jaknajprędzej znaleźć się sam na sam z przybraną córką.

— Więc obiecujesz, tatku, że do Culmera więcej nie pójdziesz?... Najlepiej siedzieć teraz w domu, udawać chorego, bo w tem położeniu nie jest chyba przyjemnością spotykać się z ludźmi.

— Dobrze, nie pójde.

Dziewczyna aż skoczyła z radości.

— Ale skąd ty możesz mieć te pieniądze?...

— Dowiesz się potem i mam nadzieję, że się nie zmartwisz bardzo.

Po śniadaniu pani zawiadomiła, że idzie spocząć, i zaciągnęła z sobą Wandę. Jeszcze nie zdążyły usiąść, gdy zapytała:

— Wandziu, co to za pieniądze?

— Powiem ci, ale tylko tobie, w tajemnicy. Nie powiesz tatkowi?

— Nie powiem.

— Przysięgasz?

— Przysięgam — odrzekła z uśmiechem.

Wanda rzuciła się jej na szyję i zaczęła ją okrywać pocałunkami. Nareszcie pani Czarnkowska oswobodziła się.

— Mówże wkońcu.

— To są pieniądze mojego narzeczonego.

— Co?

— Mojego narzeczonego.

— Ty masz narzeczonego?

— Mam.

— Któż to jest?

— Zbigniew Twardowski.

Pod panią Czarnkowską nogi się ugięły, opadła bezwładnie na fotel. Wandzie zdawało się, że zemdleje.

— Co ci jest, mamusiu? — zapytała z niepokojem. Usiadła na poręczy jej fotela i wzięła ją za rękę.

— Nic — odrzekła pani Czarnkowska, przyszedłszy do siebie — serce mi się nagle ścisnęło. Już teraz dobrze...

— Może ty myślisz, że ja źle zrobiłam?

Pani Czarnkowska nachyliła głowę przybranej córki ku sobie, pocałowała ją w czoło i rzekła:

— Nie, dziecinko, nie. Mnie się zdaje, że ty jesteś mądrzejsza ode mnie...

Przez kilka chwil milczała, wreszcie odezwała się:

— I tobie się zdaje, Wandeczko, że to można brać pieniądze od narzeczonego?

— Słuchaj, mamusiu. Przyrzekłam mu, że wyjdę za niego, i słowa dotrzymam nie tylko dlatego, że je dałam, ale że ogromnie chcę być jego żoną. Więc tak, jakbym nią już była, czyli że to, co on ma, ma wspólnie ze mną.

— To on ci to wszystko wytłumaczył?...

— On. I przekonał mnie.

— Ma wielki dar przekonywania, prawda?

— O, tak. A zresztą tatko odzyska majątek i będzie mógł mu zwrócić.

— Kto ci to powiedział?

— Zbigniew. Powiedział, że majątek jest ukradziony i on go odbierze złodziejowi.

— Złodziejowi?...

— Tak. Culmerowi.

— Nic nie rozumiem...

— I ja nic nie rozumiem, ale to wszystko jedno. Wierzę, bo on tak mówi.

Po chwili milczenia pani Czarnkowska zaczęła głośno myśleć.

— Czyż on może tak rzucać pieniędzmi? Przecie nie jest bogaty...

— Jest — odrzekła Wanda. — Odziedziczył duży majątek po stryju. On tylko to ukrywa przed ludźmi: powiada, że dla jego planów tak lepiej. Ale pamiętaj, że to wszystko tajemnica!

— Czyś wiedziała o jego majątku, gdyś się zdecydowała wyjść za niego?

— Nie. Myślałam, że my jesteśmy bogaci, a on tak sobie.

Pani Czarnkowskiej zaświeciły łzy w oczach. Ucałowała jeszcze raz przybraną córkę ze słowami:

— Będziesz szczęśliwa, moje kochanie... Za mnie i za siebie...

XXIII.

Przyjechawszy do Londynu, Twardowski przede wszystkim kazał się połączyć z jednym ze swych przyjaciół, wysokim urzędnikiem policyjnym. Bywali dawniej razem na seansach medjumistycznych i obaj zajmowali się przytąpywaniem szarlatanów: Twardowski w interesie nauki, tamten dla sportu. Stąd wywiązała się między nimi przyjaźń: Fergusson przepadał

za Twardowskim i, śmiejąc się, mówił zawsze, że jeżeli mu się znudzi nauka, to ma dla niego dobre miejsce w policji.

Fergusson był wolny i z radością przyjął zaproszenie na śniadanie w restauracji.

Po zwykłej rozmowie między przyjaciółmi, którzy się dawno nie widzieli, Twardowski go zapytał o *Tugela River Gold Co.*

— To wielki skandal dla nas, policji — rzekł Anglik. — Oszustwo było robione tak ordynarnie, że powinniśmy ich byli przyłapać, zanim zamknęli budę i uciekli. To robota małych, brudnych Żydów, niemających żadnej pozycji finansowej, i należało ich od początku podejrzewać.

— Czy tak jest w istocie?

— Co pan chce powiedzieć? — zapytał Fergusson.

— Możemy znaleźć osobistość z pozycją, która w tem ręce maczała.

— Z pozycją? gdzie?

— Tu, w Londynie.

Anglik się zainteresował.

— A cóż pan może wiedzieć o tej sprawie?

— Zdarzyło się tak, że wiem trochę. Ale chciałbym wiedzieć więcej. I tu mam do pana prośbę. Traktujcie mnie, jak zagranicznego policjanta, który przyjechał wam pomóc i nawzajem żąda od was pomocy. Niech mnie pan skieruje do człowieka, który ma w rękach śledztwo w sprawie *Tugela River*, i niech mu pan poleci, żeby porównał swoje wiadomości z moimi, a może się pan dowie ciekawych rzeczy.

Anglik zaczął się śmiać rubasznie.

— Widzę, że pan mnie posłuchał i zaczyna zużytkowywać swoje zdolności.

— Mówiąc na serjo — rzekł Twardowski — ta sprawa bardzo blisko mnie obchodzi.

— Co, może pan ma udziały?

— Broń Boże! Za kogóż mnie pan ma?

— Ja też się zdziwiłem, bo uważam pana za jednego z najinteligentniejszych ludzi. Chętnie polecę pana Sinclairowi, napiszę, żeby panu całkowicie zaufał. Nie pytam pana tymczasem, kto to jest owa osobistość z pozycją, o której pan mówił. Jeżeli pańskie przypuszczenie sprawdzi się, rzecz stanie się o wiele ciekawszą.

Wychodząc z restauracji, zatrzymali się na chwilę w lobby, gdzie Fergusson napisał list polecający.

Tegoż popołudnia Twardowski odnalazł Sinclaira. Pojechał do jego biura i posłał mu swą kartę z listem. Sinclair wybiegł na jego spotkanie: widać było, że list zrobił swoje.

Zasiadłszy w fotelu, Twardowski od razu przystąpił do rzeczy.

— Jakież pan ma dotychczas wyniki śledztwa?

— Nieszczerólnie. Zwykły szwindel, jak wiele innych w tym rodzaju. Okradziono mnóstwo naiwnych ludzi, prawie wyłącznie drobnych rybek, bo grubsze na taką przynętę już się nie biorą. Sprawcy uciekli. Badamy teraz rachunki i korespondencję kompanji, robota banalna, którą tyle razy już się robiło i która zawsze daje te same wyniki. Jedyna rzecz, którąby mogła być ciekawsza, to korespondencja prywatna Stuarta, *chairmana* kompanji, pozostawiona w ogromnym nieporządku w szufladach biurka — widać to była wielka flądra. Przeglądamy ją, ale jest wiele rzeczy niezrozumiałych, pisanych pod obsłonkami, zamiast nazwisk przezwiska lub inicjały... Wtrącane są zdania po polsku...

— Otóż to są rzeczy — rzekł Twardowski — dla mnie najbardziej interesujące. Może w części pomogę panu do ich zrozumienia. Choćby jako tłumacz polski.

— Ach, to pan Polak.

— Tak, ale naprawdę Polak, nie taki, jak Stuart lub jego współpracownicy, których panowie niesłusznie nazywacie Polakami.

Sinclair zaśmiał się głośno.

— Może panu trochę pomoże — rzekł Twardowski — przeczytanie tego, co tu panu przyniosłem. Jest to rozmowa prowadzona po polsku — przełożyłem ją ściśle na angielski — przez dwóch dżentelmenów w pociągu Golden Arrow między Calais a Paryżem. Działo się to przed paru miesiącami — ma pan tam datę.

Policjant wziął spokojnie papier, położył go przed sobą na biurku i zaczął czytać. Po pierwszych paru wierszach czytał już chciwiej, stracił swą flegmę angielską, raz nawet podskoczył na fotelu.

Skończywszy, zwrócił się do Twardowskiego:

— Czy ma pan pewność, że to rozmowa autentyczna?

— Całkowitą. Sam ją słyszałem i sam spisałem ją dosłownie.

Tu opowiedział Sinclairowi okoliczności, w których się zabawił w wywiadowcę. Anglik słuchał łaskomie.

— W takim razie oddał nam pan pierwszorzędną usługę. Sprawa przestaje być banalną — ma ona teraz dla mnie duszę. Jest w niej jeden punkt...

— Domyślam się — przerwał Twardowski. — Sir Joseph Turner...

— Nie pierwszy już raz prowadzę śledztwo w sprawie tego rodzaju. Zawsze sir Joseph Turner okazuje się posiadaczem niewielkiej ilości udziałów. Dziwiło mię, że człowiek tak poważny, tak biegły w sprawach finansowych kupuje drobne udziały i daje się okradać na te niewielkie sumy. Czyżby był manjakiem, kolekcjonistą papierów bezwartościowych?... Ostatnim razem nawet poszedłem do niego, żeby się dowiedzieć, co to znaczy. Przyjął mię bardzo uprzejmie i, śmiejąc się, powiedział, że kupowanie wszelkich możliwych akcji i udziałów to jego *hobby*, że gra sobie tym sposobem na loterji i nic go to nie

kosztuje, bo czasami papiery bardzo niepozorne i nawet podejrzane okazują się doskonałym interesem. Pomimo wszakże całej uprzejmości i dobrego humoru wywarł na mnie wrażenie antypatyczne.

— Jest pan, widzę, niezłym psychologiem.

— To znów moje *hobby* — bawić się w psychologię. Otóż pan mi dostarcza dowodu, że moje wrażenie nie było mylne. Sir Joseph Turner jest nagiannaczem, cichym współnikiem tych oszustów, co mu musi dawać wcale niezły dochód. Posiadanie małej ilości udziałów potrzebne mu jest do pokazania, że on, poważny finansista, zaangażował się w przedsiębiorstwo, to znaczy, że jest ono solidne. Panie, ja go nakryję, i to będzie dopiero sensacja!

— A ja panu do tego pomogę.

— Panie... — Anglik spojrzał na kartę wizytową — Twardowski, jestem wielkim pańskim dłużnikiem.

— Może mi pan zaraz ten dług zapłacić.

Policjant rzucił pytające spojrzenie.

— Pozwoli mi pan przejrzeć prywatną korespondencję pana Jamesa Stuarta i skopjować lub nawet sfotografować listy, które mię zainteresują?

Sinclair się zastanowił.

— Nie jest to całkiem w porządku. Wobec wszelkie polecenia, z którym pan przyszedł, i pańskiej cennej pomocy w śledztwie, sędzę, że mam prawo to zrobić. Jestem do pańskiego rozporządzenia. Ale pan mi przyrzeknie, że przed procesem te listy nie będą publicznie ogłaszane.

— Przyrzekam.

— Jeszcze jedno. O to już tylko prosić mogę. Rozmowa, którą pan spisał, także nie będzie ogłoszona, dobrze? Bardzoby to zaszkodziło śledztwu.

— Dobrze.

Od tej chwili Sinclair był cały na usługi Twardowskiego.

W korespondencji Stuarta znalazł się szereg listów, podpisanych „Charlie” i niewątpliwie pochodzących od młodego Culmera. Dla znającego rozmowę w pullmanowskim wagonie były one aż nadto jasne i wystarczające do umieszczenia w więzieniu obiecującego młodzieńca. W niektórych była mowa o Turnerze, oznaczanym bądź inicjałem, bądź tytułem „knight” (szlachcic). Sinclair nie posiadał się z radości, gdy te listy ponownie odczytał, rozumiejąc je teraz całkowicie.

— Panie Twardowski — mówił — będę panu zawdzięczał dwie rozkoszne chwile w swoim życiu: jedną, gdy otrzymam *warrant* na aresztowanie Turnera i zacznę z nim rozmawiać o jego *hobby*; drugą, gdy będę patrzył, jak sir Joseph wędruje w kajdankach do Dartmoor.

Twardowski listy młodego Culmera przeważnie sfotografował.

Zadowolony ze swej wyprawy londyńskiej po ośmiu dniach był już spowrotem w Warszawie.

Na stacji czekał go Michał, który zabrał jego ręczne rzeczy i kwit od bagażu, meldując, że w automobilu czeka panna Czarnkowska. Przyśpieszył kroku.

— Mam nadzieję, że się pan nie gniewa na mnie za zaproszenie się do pańskiej limuzyny — rzekła na przywitanie.

— Nie śmiałem marzyć o takiej niespodziance — odparł, całując ją w rękę.

Rzuciła Markowi adres Twardowskiego, a gdy ten chciał ją poprawić, zamknęła mu dłonią usta.

— Pojadę do pana, bo mam dużo do opowiedzenia.

W drodze zdążyła mu tylko powiedzieć, że wykonała ściśle jego instrukcję, że ojciec nic nie wie i nic nie przedsięwzię, że jednak przybraną matkę musiała we wszystko wtajemniczyć; ale ta przysięgła, że nic ojcu nie powtórzy.

Drzwi im otworzył Grzegorz. Dobry służbista nie okazał najmniejszego zdziwienia, zobaczywszy pana w tak efektownem towarzystwie.

— Kto jest ten straszny człowiek? — zapytała szeptem, gdy się znaleźli sami.

— To Grzegorz. Wśród mej służby, która jest dobra, on jest najlepszy. Muszę pani go przedstawić.

Zadzwonił. Wszedł Grzegorz i stanął w pozycji.

— Grzegorzu — rzekł Twardowski — zawiadamiam cię, że panna Wanda Czarnkowska jest moją narzeczoną. Tymczasem masz nie mówić o tem nikomu.

— Rozumiem.

Pochylił się nisko przed dziewczyną i pocałował ją w rękę.

— Mam nakryć na dwie osoby? — zapytał z powagą.

Twardowski spojrzał nieśmiało na Wandę.

— Na dwie — odpowiedziała. — Zatelefonuję do domu, że nie będę na obiedzie.

Grzegorz wyszedł.

— On nie jest tak straszny, jak mi się w pierwszej chwili wydało. Ma coś pocziwego w oczach. Ale jaki on musi być silny!

— O, tak — rzekł Twardowski. — Niósł raz w powietrzu za kołnierz dwóch ludzi: Culmera i jego przyjaciela. I wrzucił ich, jak kuferki, do automobilu.

— Culmera? kiedy?

— To było już dawno, za życia mojego stryja. Później to pani opowiem.

— Widzę, że strasznie dużo mam do usłyszenia od pana... Ale jest jedna rzecz. Teraz, gdy Grzegorz wie, że jesteśmy narzeczeni, czy to wypada, żebyśmy przy nim byli na pan i pani? Musimy sobie mówić: ty.

— Niczego więcej nie pragnę.

— I zaczniemy to zaraz, żeby się wprawić, bo to będzie trudne.

Twardowski niebardzo podzielał tę obawę.

Zdjęła futro i kapelusz, usadowiła się wygodnie i rozpoczęła długi raport o tem, co się działo w Warszawie podczas nieobecności Zbigniewa. Opowiedziała mu o swojej rozmowie z rodzicami w dniu jego wyjazdu, o zwierzeniach zrobionych matce, przeszła do prozaicznej opowieści o tem, jak ze wszystkich stron zaczęto się zwracać o pieniądze. Na szczęście nie były to wielkie sumy, tak, że wydała tylko połowę posiadanych pieniędzy. Ojciec nie wychodził z domu, był niby chory. W dwa dni po wyjeździe Zbigniewa przyszedł do ojca Culmer. Pytał się, jak sobie radzą, a ojciec, zgodnie z jej instrukcją, odpowiedział, że jeden z przyjaciół pożyczył mu trochę pieniędzy. Później Culmer dużo mówił o swym synu, wychwalał go ogromnie, tylko się martwił, że zanadto lubi Anglię, że się z niego zrobił całkowity angielski gentleman. Później jakoby powtarzał, co syn jego mówił o paninie Wandzie, jakie kolosalne wrażenie na nim zrobiła!

— No i cóż ty na to? — zapytała.

— Sprawdza się to, com zapowiedział — odparł Zbigniew.

— Wszystko się sprawdza. Ja wkrótce przestane myśleć, tylko będę powtarzała za tobą, jak za panią matką pacierz. Co najgorsza, że tatko mówił o tem tak, jakby nic nie miał przeciw temu, żebym została synową tego Culmera. Wychwalał tego żydziaka, aż mu przerwałam trochę niegrzecznie. Później sobie to wyrzucałam, bo biedny tatko jest bardzo nieszczęśliwy i czasami nie wie, co mówi. Wczoraj był z wizytą sam pan Charles Culmer. Jaki on był Anglik! A jak pięknie mówił o Anglii i o swych angielskich przyjaciółkach. Mój przyjaciel Buckingham...

— Żydek niemiecki, mówiący źle po angielsku — wtrącił Zbigniew.

— Mój przyjaciel Mackaen...

— Max Cohn z Wiednia.

— To, to także twoi przyjaciele? — zapytała z udaną powagą.

Twardowski wybuchnął śmiechem.

— Nie, ale ja wiele wiem o znakomitych ludziach, o których nigdy nie słyszałaś. Jest jeszcze James Stuart, sir Joseph Turner, o których wkrótce się dowiesz.

Wszedł Grzegorz, zawiadamiając, że obiad podany.

Panna Wanda była przy stole bardzo swobodna i wesoła. Grzegorz patrzył na nią z widoczną aprobatą.

— Wiesz — rzekła — bardzo mi się tu u ciebie podoba. Będę częściej przychodziła na obiady.

Wrócili do gabinetu. Rozsiadła się wygodnie w fotelu i rozglądała się ciekawie po całym pokoju. Grzegorz wszedł z czarną kawą.

— A jak się ma Piorun? — zapytał Twardowski.

— Dobrze, proszę jaśnie pana, tylko trochę mu się nudzi.

Nie uszło uwagi Twardowskiego, że Grzegorz przy Wandzie znów go zaawansował na jaśnie pana.

— Przyrowadź go.

— Któż to jest ten Piorun? — zapytała zaintrygowana Wanda.

— Mój wierny przyjaciel.

Drzwi się uchyliły. Pies, który czuł już pana w mieszkaniu, wpadł z impetem i rzucił się ku Twardowskiemu z radosnym piskiem.

— Ach, jaki on śliczny! — zawołała Wanda.

Pies tulił się do długo niewidzianego pana, który go głaskał i mówił mu przyjemne rzeczy. Wreszcie Twardowski, wskazując na Wandę, rzekł:

— Idź, przywitaj panią.

Piorun podniósł głowę, popatrzył uważnie na nową osobę. Widocznie inspekcja wypadła dobrze, bo zeskoczył na ziemię, i obchodząc dokoła stolik, pod-

szedł do Wandy. Najpierw dotknął nosem jej nogi, poczem położył łeb na jej kolanach, patrząc jej w oczy.

Dziewczyna, zachwycona, zaczęła go pieścić, co Piorun przyjmował z widoczną przyjemnością.

— Taki miły, a tak się strasznie nazywa! — mówiła do niego.

— Bo on umie być bardzo niemiły dla tych, do których nie ma zaufania — objaśniał ją Twardowski. — To dzielny stróż mojej osoby.

— To jesteś kochanym Piorunem. Twego pana trzeba dobrze pilnować.

Gdy się Piorun wreszcie ułożył swoim zwyczajem u nóg pana, Wanda rzekła:

— Słuchaj, ale ja ciągle jestem, jak tabaka w rogu co do twej londyńskiej podróży. Nic nie rozumiem z tego, coś mi mówił na wyjeździe. Czy możesz mi coś powiedzieć tak, żebym zrozumiała?

Twardowski opowiedział jej o podsłuchanej przy-padkiem rozmowie między Calais a Paryżem i o tem, że ją zapisał.

Słuchała zdumiona.

— Czy to twój stały zwyczaj słuchać cudzych rozmów i zapisywać je sobie?

Wybuchnął śmiechem.

— Pyszne zapytanie! — zawołał. — Nie, dziecko, nie bój się. Byłem w poszukiwaniu człowieka, noszącego nazwisko Kolmar czy Culmer. Nazwisko to usłyszałem w rozmowie tych dwóch jegomościów i powiedziałem sobie, że może ona mieć znaczenie w mych dochodzeniach. Dlatego ją zapisałem.

— Rozumiem.

— Ale nigdy przedtem do głowy mi nie przyszło, że to była mowa o twoim ojcu i o tobie. Dopiero, gdyś mi powiedziała, że ojciec stracił majątek na kopalniach złota, wszystko stanęło mi jasno przed oczy-

ma. Żle to świadczy o mojej inteligencji, że się nie domyślił wcześniej.

— Nie wiem, ale dobrze świadczy o twojej delikatności. Dziękuję ci w imieniu mego ojca za to, żeś go nie posądzał o takie nierozsądne postępowanie.

— Rozumiesz teraz — rzekł Twardowski — dlaczego pojechałem natychmiast do Londynu. Tam zdobyłem materiał, obciążający obu Culmerów, który posłuży do odebrania majątku.

Dziewczyna słuchała z otwartymi ustami.

— Wiesz — rzekła wkońcu — że to bajeczna historia. Ekscytowałaby mnie nawet, gdybym nie była jej bohaterką. Ale ty jesteś jeszcze bajeczniejszy. Muszę z ciebie dużo jeszcze wyciągnąć, żeby się orjentować. Ten Culmer, na przykład, nie zaczyna się u ciebie dopiero od tej historii. Tu jest coś dawniejszego.

— Dobrze się domyślasz.

— Muszę to odłożyć na inny raz. Już czas iść. Mogę nie być na obiedzie, ale jeszcze takiej pozycji sobie nie wyrobiłam, żeby móc po nocach wracać do domu. Trzeba się ubierać.

Zerwał się z miejsca. Zatrzymała go za rękę i z całym spokojem, jakby mówiła o najprostszej rzeczy, rzekła:

— Jesteś moim narzeczoną, a dotychczas mnie nie pocałowałeś.

Nie czekając, rzuciła mu się na szyję i usta ich społy się w długim, namiętym pocałunku...

Nagle oderwała się od niego, stanęła o parę kroków.

— Daj mi futro... — wyszeptała ze spuszczonej oczyma.

Okrył ją futrem i podał kapelusz.

— Odwiozę cię do domu — rzekł.

Nic nie odpowiedziała.

W samochodzie siedziała, wciśnięta w róg, nie mówiąc ani słowa.

Gdy zbliżali się do ich domu, Twardowski się odezwał:

— Jutro będę u was o czwartej. Muszę się zobaczyć z twoim ojcem.

— Chcesz mu powiedzieć?...

— Tak. Ale idę przedewszystkiem załatwić sprawę Culmera.

Dała mu rękę do pocałowania, wyskoczyła z automobilu i pobiegła ku wejściu do domu. Pośpieszył za nią. Wkrótce drzwi się otwarły.

— Dobranoc. Dziękuję za odprowadzenie — rzekła przy służącym i szybko wpadła do domu.

Długo w noc Twardowski nie mógł zasnąć. Ciągłe czuł jej usta na swoich. To mu utrudniało logiczne myślenie, a jednocześnie spędzało sen z powiek.

Wanda od służącego dowiedziała się, że pani Czarnkowska jeszcze nie śpi i prosi ją, by do niej wstąpiła.

Poszła niechętnie: wolałaby zostać sama ze sobą.

— Gdzieżeś, dziecko, była na obiedzie? — zapytała matka.

— U mego narzeczonego.

— Co?... Jak to się stało?...

— Pojechałam go powitać na dworzec. Chciałam się dowiedzieć, co przywozi z Londynu, i zdać mu sprawę z tego, co się tu dzieje. W automobilu nie mieliśmy dość czasu na rozmowę, więc zaprosiłam się do niego. A gdy byłam u niego, zaprosiłam się na obiad.

— Ależ, moje dziecko, jak to wygląda?

— Mojem zdaniem, całkiem naturalnie. Zdecydowałam się zostać żoną człowieka, którego znam bardzo mało. On mi imponuje, ale go nie rozumiem. Muszę go poznać lepiej, wystudjować go, zajrzeć jaknajgłębiej do jego duszy. A jakże to zrobić, jeżeli nie będę spędzała z nim jaknajwięcej czasu sam na sam...

— Ależ, moja Wandeczko, młode panny nie bywają u samotnych mężczyzn, nawet będąc ich narzeczonymi.

— To było tak za twoich czasów. My dziś inaczej traktujemy te sprawy. Spytaj moich dawnych koleżanek. Przedewszystkiem, my nie jesteśmy takie naiwne. Nas uczą o rzeczach, o których wyście nie miały pojęcia; czytamy książki, których wam do rąk nie dawano: dla was małżeństwo zawierało tajemnice — my wiemy wszystko: nie czekają nas w niem żadne niespodzianki. Dzisiejsza dziewczyna traktuje młodych mężczyzn po koleżeńsku, ociera się ciągle o nich czyto na studjach, czy w sportach, i nie robi sobie z nimi żadnych ceremonij. To przesąd, że ja nie mogę być sam na sam z mężczyzną w jego mieszkaniu, tem bardziej z moim narzeczonym.

— Mówisz do mnie tak, jakbym należała do pokolenia twoich prababek. Mylisz się: myśmy także nie były ciemne, dużośmy wiedziały. I mylisz się, że was w małżeństwie nie czekają niespodzianki. Nałapałyście się wiadomości często najfałszywszych, brałyście je nie z życia, ale z literatury, która handluje sensacją, i zdaje wam się, że jesteście pierwszym pokoleniem mądrych kobiet. Życie wam sprawi niespodzianki taksamo, jak je nam sprawiło. Ty, Wandeczko, jesteś niegłupia dziewczyna, ale nie dlatego, że ci w głowę napakowano rozmaitych wiadomości, które często są nic nie warte, tylko dlatego, że masz sporo zdrowego rozsądku i dobre, szlachetne instynkty. Tym instynktom zawdzięczasz, żeś zrobiła dobry wybór, decydujący o całym twojem życiu, o twojem szczęściu. Bo Twardowski, to człowiek, do którego mam nieograniczone zaufanie. W jego rękach nie boję się o ciebie.

— A właśnie to jest jedyny mężczyzna, którego się boję.

— Co ty mówisz? — zapytała zdziwiona matka.

— Próbuje przemoc ten strach, nadrabiam odwagę, ale to się źle kończy.

— Nie rozumiem.

— To ci powiem wszystko szczerze. Spędziliśmy wieczór na bardzo interesującej rozmowie dwojga dobrych przyjaciół. On mi już dawno zaproponował, żebyśmy byli dobrymi przyjaciółmi i nie mówili między sobą o tem, czem ja jestem dla niego, a on dla mnie. Bo on nie miał zamiaru mi się oświadczyć, dopóki nie zwycięży swoich nieprzyjaciół. Oświadczył się tylko dlatego, że nie chciała wziąć od niego tamtych pieniędzy. Ale się oświadczył i jest moim narzeczonym. Uważałam więc za śmieszne, żeśmy się dotychczas nie pocałowali, i kiedy już miałam wychodzić, wzięłam na odwagę i pocałowałam go...

— Oj, dziecko, dziecko! — mówiła pani Czarnkowska z pobłażliwym uśmiechem.

— I kiedyśmy się całowali, poczułam nagle, że mięsiły opuszczają, że tracę wolę, że jestem zupełnie w jego rękach i on może zrobić ze mną wszystko, co zechce... Strasznie się przełękałam i ostatnim wysiłkiem wyrwałam się z jego ramion. Jestem pewna, że żaden inny mężczyzna do tegoby mnie nie doprowadził i nie nabawił takiego strachu.

— I cóżeś zrobiła?

— Poprosiłam, żeby mi podał futro. On mi je podał i odwiózł mnie do domu.

— Wiesz, kochanie, co to znaczy? — rzekła pani Czarnkowska. — To, żeś spotkała jedyne go mężczyznę, z którym możesz być naprawdę szczęśliwa. Bo prawdziwa kobieta — a ty nią jesteś, pomimo że udajesz czasami dziwolągą — nie może być szczęśliwa z mężczyzną, którego lekceważy...

Wandeczka się nie domyśliła, że jej przybrana matka mówi o sobie.

Następnego dnia popołudniu Twardowski wybrał się do ograbionego dziedzica Zbychowa.

Ledwie poznał człowieka, który przy pierwszym spotkaniu uderzył go młodzieńczością. Czarnkowski stracił całą werwę, całą lekkość i sprężystość ruchów, przygarbił się, a na zapadłej twarzy zjawiły się brzydkie zmarszczki. I to wszystko stało się w tak krótkim czasie.

Z zapóźnionego młodzieńca — pomyślał Twardowski — został przedwczesnym starcem. Nie miał czasu być dojrzałym mężczyzną.

— Czem panu mogę służyć? — zapytał gospodarz sucho, z widoczną niechęcią.

— Chcę mówić z panem o pańskich interesach — odparł Twardowski — jakkolwiek to jest niedyskrecja.

Widział, że Czarnkowski go przyjął tylko pod presją Wandy. Nie dając mu czasu do odezwania się, mówił dalej:

— Znam dobrze całą historję pańskiej straty. Został pan cynicznie okradziony. Oddawna już istniał plan pozbawienia pana majątku...

Mina Czarnkowskiego świadczyła, że nie bierze swego gościa na serjo. Ten wszakże spokojnie mówił dalej:

— Mam przekonanie, że ten skradziony majątek można odebrać. Może pana dziwić, że ja się w to wdaję. Otóż czynię to przedewszystkiem dlatego, że interesuje mię osoba złodzieja, z którym mam pewne porachunki.

— Któż jest tym złodziejem? — zapytał Czarnkowski z ironją.

— Pan mecenas Henryk Culmer.

Czarnkowski skoczył.

— Proszę pana liczyć się ze słowami. Pan Henryk Culmer jest moim przyjacielem i mam dla niego

wielki szacunek. Nie mogę pozwolić, ażeby o nim w ten sposób do mnie mówiono.

Twardowski się uśmiechnął.

— Za chwilę pan zmieni zdanie.

Czarnkowski czuł się widocznie obrażony ostatnimi słowami gościa. Zrobił ruch, jakby chciał powstać i tym sposobem zmusić Twardowskiego do opuszczenia jego pokoju, ale się zatrzymał. Widocznie wzięła górę ciekawość, co mu ten powie, a może chęć powiedzenia mu ze swej strony czegoś, co go upokorzy. Zaczął też odrazu:

— Panu zapewne nie wiadomo, że pan Culmer odradzał mi zaangażowanie się w interes, na którym straciłem, kupił zaś mój majątek dlatego, że go musiałem sprzedać; zrobił to tylko dla wydobycia mnie z kłopotu i dał wyższą cenę od ofiarowanej mi przez innych.

Patrzył na Twardowskiego z triumfem.

— Nie wiedziałem — odrzekł Zbigniew — ale się tego domyślałem. Czy pan pozwoli, że panu przeczytam pewien dokument?

— Proszę — rzekł tamten sucho.

Twardowski sięgnął do teki, którą przyniósł ze sobą, wyjął z niej kilka kart papieru, razem spiętych, i zaczął:

— Jest to rozmowa, prowadzona parę miesięcy temu w pociągu na linii Calais—Paryż między synem pańskiego przyjaciela, Karolem Culmerem, a panem Jamesem Stuartem, który zapewne jest panu także znany. Osoba, która przypadkiem słuchała tej rozmowy, zapisała ją dosłownie, stenograficznie.

— Któż to ją zapisał?

— Tego tymczasem nie powiem. Niech pan posłucha.

Zaczął czytać swój protokół, opuszczając tylko wyrażenia, które byłyby zbyt bolesne dla miłości własnej Czarnkowskiego.

Ten, słuchając, niespokojnie się ruszał w fotelu, mienił się na twarzy, jakaś burza w jego duszy szalała.

Gdy czytanie dobiegło do końca, opanowując się z trudem, zapytał drżącym głosem:

— Proszę pana, skąd ja mogę wiedzieć, że ta rozmowa jest autentyczna?

— Ja wiem. Co zaś do pana, to może się znaleźć sposób na przekonanie pana. Czy nie ma pan czasem jakiego listu od młodego Culmera?

— Mam. Otrzymałem go przed paru dniami.

— Niech pan go wyjmie i położy przed sobą na stole.

Czarnkowski podszedł do biurka, wyjął z szuflady list i położył go przed sobą.

Twardowski sięgnął znów do teki, wyjął kartę grubego papieru z fotografią pisma i położył ją przed Czarnkowskim ze słowami:

— Niech pan porówna te dwa listy i powie mi, czy pisała je jedna ręka.

Czarnkowski długo się przyglądał dokumentom, wreszcie krzyknął:

— Tak, stanowczo tak!

— Teraz niech pan przeczyta ten list sfotografowany.

Czarnkowski zaczął czytać chciwie. Naraz zerwał się z fotela i zaczął biegać po pokoju, krzycząc:

— A łotry, łotry, łotry! Boże, nikomu nie można wierzyć na świecie!...

— Można — rzekł spokojnie Twardowski — ludziom uczciwym. Jest ich więcej, niż takich, jak ci, łotrów.

Czarnkowski stanął przed nim i wyciągnął do niego rękę:

— Zwyciężył mnie pan! zwyciężył i upokorzył! Jakież ze mnie głupiec!

Długo trzeba było czekać, aż się tyle uspokoił, żeby móc zacząć myśleć na nowo. Tej przywróconej zdolności złożył dowód, gdy zapytał:

— Skąd pan te dokumenty posiada?

— Byłem świeżo w Londynie i dla tej sprawy wszedłem w kontakt z policją angielską.

Czarnkowski szeroko otworzył oczy.

— Panie, kim pan jest?

Twardowski przypomniał sobie, że już to pytanie słyszał od dziewczyny, która potem została jego narzeczoną. Odrzekł poważnym i surowym głosem:

— Jestem synowcem Alfreda Twardowskiego, któremu Culmer zrujnował i skrócił życie. Mojem zadaniem jest ukarać i unieszkodliwić tego nikczemnika.

Czarnkowskiego oczy patrzyły w przestrzeń. Coś z przeszłości odżyło w jego pamięci. Na wymęczonej jego twarzy malował się ból głęboki.

— I dzięki temu odzyska pan majątek — dodał Twardowski.

Czarnkowski spojrzał nań nieśmieiele jak winowajca.

— I pan — rzekł — chce być moim dobrodziejem.

— Mówilem już panu, że w tej sprawie obchodzi mnie przedewszystkiem Culmer, a raczej Kulmer, bo to jest Żyd polski. Zresztą może mię pan uważać za zainteresowanego w swoim majątku. Jestem narzeczonym pańskiej córki.

Czarnkowski znów oczy szeroko otworzył. Zaczął wyjąkiwać:

— Chociaż to się stało bez mojej wiedzy...

Naraz zerwał się z miejsca, rzucił się Twardowskiemu na szyję i zaczął szlochać...

Uspokoił się nareszcie i usiadł.

Nagle zapytał:

— To ona od pana ma pieniądze, któremi nas teraz ratuje?

— Ode mnie.

— A mówili, że pan nic nie ma!

— Stryj mój nie stracił nic ze swego majątku i wszystko mi zostawił. Choć pan odbierze swoje, jestem od pana bogatszy. Wobec tego rozumie pan, że przyczyną mojego zainteresowania w pańskim majątku jest przede wszystkim Kulmer.

Czarnkowski patrzył na przyszłego zięcia z coraz większym respektem. Jednocześnie rósł jego respekt dla córki, która sama sobie znalazła bogatego męża. Twardowski bogaty był w jego oczach dziesięćkroć mądrzejszym i poważniejszym człowiekiem, niż przed chwilą, i gdy ponownie z ust jego usłyszał, że majątek będzie odebrany, już prawie nie wątpił, że to się stanie.

— Więc pan mówi — rzekł — że majątek będzie można odebrać?

— Tak, tylko pan mi musi pomóc.

— W jaki sposób?...

Twardowski zauważył strach, który przemknął po twarzy ojca Wandy. Widocznie bał się, czy nie będzie wysłany na walkę z Culmerem, dla którego respekt tkwił, jeżeli już nie w jego mózgu, to w nerwach. Postanowił go więc uspokoić:

— Chcę panu oszczędzić spotkania z tym łotrem; dlatego musi pan dać *plein pouvoir* do działania w pańskim imieniu adwokatowi Osieckiemu. Niech się pan ubierze, pojedziemy do niego — on już na nas czeka. Ja tymczasem spróbuję zobaczyć moją narzeczoną. A niech pan pamięta, że to, co pan usłyszał ode mnie, musi tymczasem pozostać między nami.

Widział, że Czarnkowski doznał wielkiej ulgi. Ruszył się z jakąś nową energją.

— Za kwadrans będę gotów. Niech pan idzie do pań.

W salonie czekała Wanda.

— Coś tak długo robił u tatka? Myślałam, że nigdy nie skończycie.

— Oświadczyłem mu się o twoją rękę i zostałem przyjęty.

— To chodź teraz i oświadczyć się mamusi.

Wzięła go za rękę i poprowadziła.

— A na kogo tatko tak krzyczał? — pytała po drodze.

— Na mnie, że mu cię zabrałem bez jego wiedzy.

— E, głupstwa gadasz. Ty sobie ciągle drwisz ze mnie.

— Mamo, to jest mój narzeczon! — zawołała, wprowadzając go do pokoju matki.

Pani Czarnkowska uśmiechnęła się przez łzy i wyciągnęła do niego rękę, oszczędzając mu ceremonii oświadczyć.

Wkrótce zjawił się Czarnkowski i razem wyszli.

U Osieckiego Czarnkowski podpisał plenipotencję wraz z upoważnieniem do odebrania aktów jego spraw od adwokata, którego polecił mu być Culmer. Ten dawniej prowadził jego sprawy, ale się zrzekł tego, kiedy zdecydował się kupić jego majątek.

Wróciwszy do domu, Twardowski kazał się połączyć z Culmerem.

— Czego pan sobie życzy? — zapytał tamten tonem niegrzecznym.

— Chcę być u pana jutro o dziesiątej rano.

— Może pan chce, ale ja nie chcę pana widzieć — odrzekł mecenas, mając nadzieję, że Twardowski zdecydował się zaproponować pokój i że na ten wypadek lepiej przybrać rolę obrażonego, którego trzeba przebłagać.

— W takim razie spotkamy się dopiero przed kratkami sądowymi.

Pewność siebie w głosie Culmera zachwiała się.

— Sądowymi? — zapytał. — W jakiej sprawie?

— W sprawie *Tugela River Gold Co. Ltd.*

— W jakiej? Nie rozumiem.

— Nie będę powtarzał; powiedziałem wyraźnie. W tej sprawie nie stanie pan jako adwokat, ale jako pozwany i oskarżony, bo to będzie także sprawa karna.

— Ja z żadnymi kopalniami złota nie mam nic wspólnego.

— Sam na własną rękę nie, ale w spółce z panami: Charles Culmer, James Stuart, sir Joseph Turner...

— Panie, jak pan śmie mówić takie rzeczy, i to jeszcze przez telefon?...

— Chciałem mówić dyskretniej i być u pana...

— To ja już wolę czekać jutro. Tu jest jakieś nieporozumienie, które trzeba wyjaśnić.

— O dziesiątej rano?

— Dobrze.

Mecenas Culmer miał znów noc bardzo niedobłą. Nie dawało mu zasnąć pytanie, na które nie miał odpowiedzi:

— Co Twardowski może wiedzieć?... I w jakim celu on się miesza w tę sprawę?...

Dla niego, człowieka tak szanowanego — pomimo ostatnich napaści w gazetach — tak znanego z nieskazitelności, samo już podniesienie tej sprawy jest niedopuszczalne. Niczego mu nie dowiodą; ale cóż z tego?... Samo oskarżenie jest już ciosem, który może całkiem zniszczyć jego pozycję. A jeżeli do Turnera dojdzie, że został skompromitowany via Warszawa, to znaczy przez Culmerów, skutki mogą być straszne. Turner, to potężny człowiek, jego wpływy sięgają daleko. Turner takiej rzeczy nigdy nie przebaczy... Jakim sposobem Twardowski doszedł do wymienienia tego nazwiska?... Kompromitacja Turnera byłaby klęską dla wielu ludzi, dla całej organizacji, i sprawca jej poniósłby karę, o której Culmer wołał teraz nie myśleć...

Culmer, w miarę, jak te myśli tłukły się po jego głowie, utwierdzał się coraz bardziej w poczuciu, że Warszawa jest za ciasna dla takich dwóch ludzi, jak on i Twardowski. Ktoś musi ustąpić. On nie, bo imię Culmera za wiele znaczy i za wiele obejmuje. Jemu nie wolno dać się pobić i usunąć. A więc?... Dawne myśli o potrzebie pozbycia się Twardowskiego wracały o wiele natrętniej. Teraz już niema ani chwili do stracenia, niema czasu na wybieranie sposobów i szukanie najlepszych, najpewniejszych narzędzi.

Z nocy bezsennych rodzą się często ciekawe myśli. Są one zazwyczaj mniej warte od tych, które przychodzą rano, po dobrze przespanej nocy; niemniej prowadzą czasami do wielkich postanowień, do postanowień rozpaczliwych...

Rano mecenas zadzwonił wcześniej, niż zwykle, na Jakóba.

Dziwny służący wszedł, uważnie przyglądając się panu, na którego twarzy była wypisana cała praca myśli i cała męka bezsennej nocy.

— Dziś — rzekł Culmer — przyjdzie tu o dzieśniętej Twardowski.

— Słyszałem to już wczoraj — odpowiedział Jakób tonem, w którym było mniej niż zwykle szacunku.

— Ten człowiek stał się niemożliwym.

— On już dawno jest niemożliwy.

— Ale teraz każda dalsza godzina jego działania jest ogromnem niebezpieczeństwem.

— Więc?...

— On tu będzie sam... To człowiek młody i, zdaje się, silny, ale...

— Ale, jeżeli pan zajmie go rozmową, a ja przypadkiem znajdę się za jego plecami, to, to przecie jest sposób... Prawda?...

— Tylko, co potem zrobić? To najtrudniejsze...

— I z tem można sobie poradzić. Ryzyko zawsze jest. I duże. Ale jeżeli już jest taka nagła potrzeba... Tylko...

— Tylko co? — zapytał mecenas nerwowo.

Na twarzy służącego pojawił się wyraz ironji.

— Tylko pan zapomniał, że on ma swój automobil.

— Więc co?

— Więc jego szofer będzie wiedział, dokąd pana zawiózł. A może nawet będzie czekał na niego przed domem.

— Więc wszystko nanie?

— Myślę, że tak. Trzeba, żeby się to stało w innym miejscu. I musi to zrobić kto inny. Sądziłem, że pan jest na taką potrzebę przygotowany...

— Niestety, niema ludzi. Myślałem o tem dużo i nic nie mogłem wymyślić. A tu niema chwili do stracenia...

Mecenas, bezradny, poddawał się coraz bardziej ogarniającej go rozpacz.

Służący wzruszył ramionami z politowaniem.

— A może pan przesadza? — rzekł. — Może jest jeszcze trochę czasu?...

— Może... — myślał Culmer głośno — może to tylko bluff z jego strony... Może on nic nie wie i tylko próbuje się domyślać, i chce ze mnie coś wyciągnąć...

Przeczucie jednak mówiło mu, że sprawa gorzej się przedstawia.

Punkt o dziesiątej rozległ się dzwonek u drzwi.

Jakób wprowadził Twardowskiego do pustego gabinetu, sam zaś zbiegł szybko z pierwszego piętra na dół i wyrzwał na ulicę. Wrócił równie szybko do pana z raportem:

— Automobil stoi przed domem, przy nim na chodniku szofer, a w środku ktoś drugi, pewnie służący. Cała więc kombinacja nanie. Twardowski

przyszedł z teką: musi mieć jakieś dokumenty do pokazania.

Nerwowość Culmera wzrosła.

— Moznaby go uwolnić od tych papierów, gdyby zaszła potrzeba — zauważył Jakób.

Wyłożył myśl obszerniej.

— Dowiemy się pierwszej, co on ma — odrzekł mecenas i, przybrawszy minę o ile mógł najspokojniejszą, poszedł przyjąć niepożądanego gościa.

Twardowski, wszedłszy do gabinetu Culmera, usiadł w fotelu przed biurkiem, przysunawszy sobie uprzednio krzesło, na którem położył tekę, ażeby ją mieć pod ręką.

Czekał z dziesięć minut, zanim się zjawił mecenas.

— Niech pan siada — rzekł do gospodarza — bo mam mało czasu, a dużo mamy do załatwienia.

Culmer w milczeniu usiadł za biurkiem.

— Wobec tego — zaczął Twardowski — że mówię o rzeczy dobrze panu znanej, będę się streszczał.

Mecenas poruszył się, ale słowa nie wymówił.

— Uplanował pan sobie wyzuć swego przyjaciela, pana Czarnkowskiego, z majątku — wszak i mój stryj, Alfred, był droгим pańskim przyjacielem, nieprawdaż?... W tym celu niejaki Thorner alias sir Joseph Turner, naganiacz naiwnych udziałowców do szwindlu, zwanego *Tugela River Gold Co.*, namówił biednego człowieka na wpakowanie całego majątku w udziały tego nadzwyczajnego interesu. Oszustowi, stojącemu na czele szwindlu, który się ustroił w nazwisko Stuarta, sprzedał Czarnkowskiego pański obiecujący synalek, który wziął za to niezwykle wysoką prowizję. Genjalny plan został wykonany: pan jest właścicielem Zbychowa, syn pański właścicielem połowy pieniędzy, włożonych przez Czarnkowskiego w *Tugela River*, a sam Czarnkowski został żebrakiem.

— Pan powinien pisać romanse, panie Twardowski. Ma pan niezwykle bogatą fantazję.

Ton ironiczny niebardzo się Culmerowi udawał. Mimo robionych przez niego wysiłków, zdenerwowanie jego było widoczne.

— Żeby nie tracić czasu na próżne spory — odrzekł Twardowski — przeczytam panu bardzo interesujący dokument.

Wyjął z teki i przeczytał mu całą rozmowę w ciągu, poprzedziwszy ją swoim komentarzem.

Culmerowi zrobiło się zimno. Zdobył się jednak jeszcze na dalsze próbowanie ironji:

— Ten utwór także świadczy o bogatej fantazji jego autora.

— A czy to także utwór fantazji?

Tu Twardowski wyjął z teki fotografię listu i, trzymając ją mocno w obu rękach przed oczyma Culmera, mówił:

— Niech pan czyta... Poznaje pan charakter pisma... Czy będzie pan próbował kwestjonować i ten dokument?...

Culmer opadł bezwładnie w fotel.

— Panie, kto pan jest?

Twardowski się uśmiechnął.

— Już trzeci raz w Warszawie słyszę to pytanie. Odpowiem to samo, co za drugim razem.

Zmienił nagle ton i, patrząc Culmerowi w oczy, wybijał mocno wyraz po wyrazie:

— Jestem synowcem Alfreda Twardowskiego i załatwiam rachunki stryja z jego „drogim przyjacielem”, panem Henrykiem Kulmerem.

Culmer był jak piorunem rażony. Po długim milczeniu zawołał:

— Czego pan chce?... Co pan ma zamiar zrobić?

— Przedewszystkiem mam zamiar odebrać dla pana Czarnkowskiego jego majątek.

— Odebrać? Ja go kupiłem i jest moją legalną własnością.

— To nic nie szkodzi. Pan go odda.

— Jakto odda? Czy pan Czarnkowski ma pieniądze, żeby go odkupić?

— Pan go odda bez pieniędzy. Pan Czarnkowski musi wrócić do swego majątku bez straty.

Culmer wybuchnął śmiechem szyderczym, do którego zdenerwowanie domieszało coś ze śmiechu warjata.

— Jeżeli pan tego nie robi — rzekł spokojnie Twardowski — będziemy mieli interesujący proces, bardzo interesujący... Dziennikarze będą nam wdzięczni.

Culmer zaczął ciężko oddychać.

— Więc ja mam Czarnkowskiemu podarować całą sumę, którą mu wypłaciłem przy kupnie Zbychowa? Przecież to rabunek!

— Nie, panie, to tylko naprawienie krzywdy. Zresztą zostanie panu i pańskiemu synowi połowa tej sumy, mianowicie prowizja, wzięta przez niego od Stuarta.

— Ja tego nigdy nie zrobię!

— Zrobi pan dobrowolnie, czy nie.

Schował do teki papiery, zamknął ją i położył na krzeselku.

— Niech pan nie myśli — dodał — że dokumenty, które panu pokazałem, są jedynymi. Są tu jeszcze inne, które będą zaprodukowane przed sądem.

Tonący Culmer gotów był uchwycić się wszelkiej deski, choćby to była najcieńsza listewka.

— Co pan ma za interes — zapytał — zajmować się majątkiem Czarnkowskiego?

— Mam, i to wielki — odrzekł Twardowski z pozorną powagą. — Spadkobierczynią pana Czarnkowskiego jest jego jedyna córka, panna Wanda Czarnkowska, a ja jestem jej przyszłym mężem. Rozumie pan?...

Culmer otworzył obrzydliwe usta z grubą, obwisłą dolną wargą.

— Jak pana to zdziwiło! — rzekł Twardowski. — Prawda, ona według pańskiego planu miała zostać panią Culmerową, mrs. Charles Culmer, a w przyszłości może lady Culmer — bo tylko na szerokim świecie umieją oceniać wielkie talenty...

Culmer wreszcie opanował się.

— Panie Twardowski — rzekł — ja panu także pokażę pewne dokumenty.

Nacisnął dzwonek, i wszedł Jakób.

— Poszukaj mi — rzekł do służącego — papierów, które wczoraj wieczór przeglądałem.

Jakób otworzył szafę z aktami, stojącą przy ścianie za plecami Twardowskiego, Culmer zaś zaczął:

— Muszę przedtem opowiedzieć panu historję moich stosunków z pańskim stryjem. Jak panu wiadomo...

Twardowski był ogromnie zadowolony.

Culmer utkwiał w nim płonące oczy i zaczął od charakterystyki Alfreda Twardowskiego z czasów jego młodości. Mówił nawet ze swadą...

Naraz coś Twardowskiemu mignęło z lewego boku. Odwrócił się i zobaczył Jakóba, uciekającego na palcach ku drzwiom z jego teką w ręce.

— Słuchajno!... — zawołał.

Jakób nie słuchał i już brał za klamkę.

Twardowski, nie namyślając się, szybkim ruchem chwycił ciężkiego brązowego sfinksa, stojącego na biurku, i puścił go w kierunku Jakóba.

Wszystko to stało się w ciągu paru sekund.

Służący padł na ziemię, wypuszczając tekę z ręki. Twardowski skoczył, chwycił tekę i wtedy dopiero spojrzał na swoją ofiarę.

Jakób leżał nieprzytomny. Z głowy jego ponad uchem sączyła się krew przez włosy. Okiem medyka poznał, że służący jest tylko ogluszony i że, zdaje się, tylko skóra jest przecięta a czaszka cała.

Podniósł oczy: przed nim stał Culmer, na którego bladej twarzy strach i nienawiść walczyły o pierwszeństwo.

— Zamordowałeś pan człowieka — wysyczał.

— Niestety, nie — odparł spokojnie Twardowski. — Byłoby o jednego łotra mniej. Niemniej przeto, panie Culmer, niech pan zatelefonuje po policję. Ja tu na nią poczekam.

Culmer stał bez ruchu w milczeniu.

— Nie? — zapytał Twardowski. — To może byłoby niedogodne, prawda?... W takim razie opuszczam pana. Daję panu dwadzieścia cztery godziny do namysłu. Jeżeli jutro do południa nie zakomunikuje mi pan zgody na moją propozycję, rozpoczynam kroki przeciw panu i pańskiemu synowi. A do miłego Jakóba niech pan lepiej wezwie zaraz lekarza. To nie pociągnie za sobą żadnego kłopotu: przewrócił się, uderzył o kant mebla... Taki zwykły wypadek. Krew niech pan zaraz zatamuje. Poco ma ją niepotrzebnie tracić?... Niewiele ona warta, ale pan pewnie inaczej sądzi. Dowidzenia.

XXV.

Grzegorz, który się był naparł towarzyszyć rano Twardowskiemu i czekał nań przed domem Culmera, wcisnięty w kąt limuzyny, widział Jakóba, obserwującego z głębi bramy załogę automobilu, i zrozumiał, o co mu chodziło.

Po powrocie do domu podzielił się z Twardowskim myślami:

— To szczęście, że pan ma w Warszawie swój automobil i że kazał nam pan czekać na siebie. Gdyby pan nie miał pod boki swoich ludzi i gdyby nie było świadków na to, że pan wszedł do Culmera, możeby pan z tego domu już nie wyszedł.

— Cóż ty myślisz — rzekł, śmiejąc się, Twardowski — że ja sobie dam tak łatwo krzywdę zrobić?

— Proszę pana, niech się pan nie śmieje. Nie pomoże największa siła i odwaga, gdy jest zasadzka. Ich było dwóch, a pewnie i więcej. Napadając podstępnie, znienacka, we dwóchby mogli pana zamordować. Mnie się zdaje, że w jego położeniu niema wyboru: on musi się pozbyć pana...

— A skądże ty wiesz, w jakim on jest położeniu?

— Ja wczoraj słyszałem przypadkiem, jak pan rozmawiał z nim przez telefon.

— To ty słuchasz moich rozmów?

— Przepraszam pana, ja jestem uczciwy człowiek. Gdy pan rozmawia z kim innym, z jaką panią na przykład, odchodzę jaknajdalej, żeby nie słyszeć. Ale Culmer to co innego. Jestem tu poto, żeby pana bronić od tego zbrodniarza, i muszę wiedzieć, co między nim a panem zachodzi. Gdym usłyszał z drugiego pokoju, że pan wzywa Culmera do telefonu, nietylko nie wyszedłem, ale przyłożyłem ucho do dziurki od klucza.

Ta szczerość służącego i jego dobre zamiary rozbroiły Twardowskiego. Nietylko nie zbeształ go za niedyskrecję, ale opowiedział mu całą sprawę kopalni złota i ograbienia Czarnkowskiego.

— No i widzi pan — rzekł Grzegorz. — Czy pan myśli, że taki łotr cofnie się przed największą zbrodnią?

— Gdyby nie był tchórzem.

— Proszę pana, i tchórze umieją mordować: ze strachu, gdy są przyciśnięci do muru. Jak pan tylko wszedł do Culmera, zaraz ten prześliczny Jakóbek pokazał się w bramie i uważnie nam się przyglądał. Pocoby on to robił? Tam było coś na pana przygotowane.

— Nie może być. To byłoby bardzo nieostrożne, a on nie taki głupi.

— Tonący brzytwy się chwyta. Lepiej nie czekać, aż on głupstwo zrobi, i raz z nim skończyć.

Grzegorz w tej chwili miał wyraz twarzy, jak wtedy na cmentarzu, nad grobem pana. Twardowskiego mróz przeszedł.

— Co chcesz powiedzieć? — zapytał.

Grzegorz nie powiedział ani słowa, tylko rękami wykonał ruch, jakby postrzelonej kuropatwie łeb ukręcał.

— Grzegorzu, Grzegorzu! — zawołał Twardowski. — Przecież my nie możemy być mordercami.

Grzegorz mu popatrzył w oczy. Twarz jego przybrała dziwny wyraz: coś jakby zawód, rozczerowanie; patrzył, jak człowiek, który zgubił drogę. Wreszcie jakby nowa myśl zaświtała w jego kanciastej głowie i zrodziła nowe postanowienie.

— Tak — odezwał się półgłosem, jakby dyskutując ze sobą — ale ja nie mogę dać pana zamordować.

— Będziemy się strzegli i poradzimy sobie — rzekł Twardowski. — Tymczasem temu łotrowi porządnie krwi upuścimy. Dla niego pieniądze to krew własna. Dałem mu dwadzieścia cztery godziny do namysłu.

— Przez te dwadzieścia cztery godziny ja pana na chwilę nie odstąpię. Oni będą czegoś próbowali.

Chcąc poprawić Grzegorzowi humor, Twardowski opowiedział mu historję teki z papierami i uszkodzonej głowy Jakóba.

Rozweseliło to trochę pocziwego siłacza.

— Jakie to szczęście — rzekł — że pan jest taki przytomny. Ale teraz mamy dowód, że ten Jakóbek to spółnik swego pana i taki sam, jak on, ptaszek. Po chwili milczenia rzekł, jakby do siebie:

— Ciekawym, co oni dziś wymyślą...

Usiadł przy oknie sąsiedniego pokoju i ukryty za firanką obserwował ulicę. Koło czwartej zaraportował, że jakieś dwie podejrzane figury jedna za drugą

co kilka minut przechodzą po drugiej stronie ulicy, najwidoczniej obserwując dom Twardowskiego. Ubłagał pana, żeby tego dnia mieszkania nie opuszczał, co zresztą było łatwe, bo ten nie miał narazie żadnych spraw na mieście, a do Czarnkowskich wołał nie chodzić, dopóki nie będzie miał dla nich czegoś określonego.

Koło szóstej zatelefonowała Wanda:

— Co u ciebie słychać? Nie wpadniesz do nas?

— Dziś nie — odpowiedział Zbigniew. — A u was nic nie zaszło?

— Culmer telefonował do tatka, ale usłyszał, że leży chory, do telefonu nie wstaje i nikogo nie przyjmuje. Zapewniał, że jego przyjmie: odpowiedzieliśmy, że taki jest wyraźny nakaz doktora.

Przez cały wieczór Grzegorz siedział w ciemnym pokoju i wyglądał na ulicę. Twierdził, że dwa podejrzane indywidua ciągle się kręcą.

Twardowski zjadł z apetytem obiad i cały wieczór wypełnił czytaniem.

O północy zadzwonił telefon. Twardowski, który jeszcze czytał, wziął słuchawkę i zapytał, kto mówi.

— Mówi doktor Kwiatkowski. Jestem u pana Czarnkowskiego, którego stan jest ciężki: może nie dożyć do rana. Pragnie pana widzieć. Czy może pan przyjechać i kiedy?

— Będę za kwadrans.

— Lepiej tak za godzinę. Chory chwilowo zasnął.

— Dobrze.

Grzegorz, który słyszał odpowiedzi pana, zapytał bez ceremonii, o co chodzi. Ten mu powtórzył rozmowę z doktorem.

— Czy pozwoli pan, że zadzwonię do mieszkania doktora Kwiatkowskiego?

— Poco?

— Tak, dla sprawdzenia. Nauczyłem się tego przy nieboszczyku panu.

Odszukał numer doktora i zadzwonił. Po długiem czekaniu ktoś się odezwał.

— Czy jest pan doktor w domu?

Po krótkiej chwili położył słuchawkę i zwrócił się do pana:

— Doktor od godziny śpi i nie kazał się budzić dla nikogo.

Zaśmiał się brzydko.

Twardowski pokręcił głową. Po chwili wziął słuchawkę i zadzwonił do Czarnkowskich.

W telefonie odezwał się głos Wandy.

— Jak się ma ojciec? — zapytał.

— Nieźle, udaje tylko chorego. Czemu o to pytasz?

— Czyście wzywali doktora?

— Ależ nie. Mówię ci, że tatko zdrow i śpi już od dwóch godzin. Powiedz mi, co znaczą te pytania?

— Wiem, że nie mają sensu. Byłem trochę niepokojny. A ty, dziecko, dlaczego jeszcze nie śpisz?

— Nie chce mi się. Jestem także trochę niespokojna.

— Z jakiego powodu?

— O ciebie. Wiem, że i to nie ma sensu, ale sensowność to rzecz twoja, a nie moja. Ja się rządę babskimi przeczuciami. I dlatego proszę, pilnuj się, mój najdroższy.

Wymienili jeszcze parę zdań i powiedzieli sobie dobranoc.

Grzegorz wychylił się z sąsiedniego, ciemnego pokoju.

— Cóż, proszę pana, nie miałem racji, że oni będą czegoś próbowali? Tych dwóch już niema na ulicy. Widać przygotowują się do spotkania z panem...

Twardowski nie mógł zaprzeczyć.

— Trzeba iść spać — rzekł.

— Może pan spać spokojnie. Ja spać nie będę. Usiądę sobie z Piorunem tu w gabinecie, będę wyglą-

dał na ulicę, a Piorun będzie słuchał, czy nie dobiera się kto do drzwi frontowych. Od kuchni pilnuje Marek.

Twardowski się zaśmiał.

— Strzeżecie mnie, jak Mussoliniego.

— Lepiej być za ostrożnym, niż niedbałym.

Spał mocno do rana. Obudziwszy się, zadzwonił. Zjawił się Michał i zawiadomił go, że Grzegorz i szofer poszli spać o pół do siódmej i kazali się obudzić, gdy będą potrzebni, lub gdyby pan miał z domu wychodzić.

Wykąpał się, ubrał, zjadł śniadanie i zabrał się do pracy.

O jedenastej zjawił się Grzegorz.

— Widać — rzekł — długo w jakimś punkcie czekali na pana, myślę, że koło domu państwa Czarnkowskich, bo na naszej ulicy pokazali się dopiero po pół do trzeciej. Zrobiliśmy im kawał. Myślałem, że spróbują dobrać się do naszego mieszkania, ale się nie odważyli. To tchórze!...

Od Culmera nie było wiadomości.

Wreszcie o pół do dwunastej rozległ się dzwonek telefonu. Twardowski usłyszał głos mecenasa:

— Chcę się z panem widzieć. Czy może pan do mnie przyjechać?

— Nie. Czekam pana u siebie — odpowiedział sucho Twardowski.

— Przed dwunastą będę.

Twardowski Grzegorzowi dał instrukcje, żeby się nie pokazywał. Musiał mu wszakże pozwolić na przebywanie w sąsiednim pokoju.

Culmer przyszedł. Targował się jeszcze. Próbował zmiękczyć Twardowskiego swem ciężkim położeniem. Ten wszakże był nieczuły jak kamień. Wreszcie wyjął zegarek i oświadczył mecenasowi, że ma jeszcze tylko pięć minut czasu.

Culmer zerwał się.

— A więc niech tak będzie, weźcie sobie ten majątek. Udławicie się nim!

— A to dlaczego?

— Na Zbychowie przy jego obdłużeniu może się utrzymać tylko ten, kto ma pieniądze. Czarnkowski z niego prędko wyleci. Ja go nie będę miał, ale i wy nie będziecie mieli.

— Tu się pan myli. Spłacę długi Czarnkowskiego i sam wejdę na hipotekę.

Culmer stał jak piorunem rażony.

— Pan?

— Ja. Spadek po stryju, który prócz Turowa wynosi 6 milionów, pozwoli mi na to.

— Dlaczego pan kłamał? — zawołał mecenas szczerze oburzony.

— Niech pan się przyzwolicie wyraża. Czy pan zasługuje na to, żeby panu prawdę mówić?... Zresztą, mniejsza o to. Wobec pańskiej zgody stawia się pan dla podpisania aktu u rejenta Konińskiego. Drugą stronę będzie reprezentował mecenas Osiecki, który ma na to pełnomocnictwo.

— Ja się osobiście nie stawię; przyślę także pełnomocnika.

— Wszystko jedno. Jest pan prawnikiem i nie mam potrzeby pana informować, co ma pan zrobić, żeby wszystko było należycie załatwione. Tylko proszę nie liczyć na żadną zwłokę. Ma pan czas dziś wszystko przygotować. Jutro punkt dwunasta w południe akt ma być podpisany. Uprzedzam pana, że skargę przeciw panu mam gotową i wniosę ją do sądu jutro przed pierwszą, jeżeli nie otrzymam zawiadomienia o podpisaniu aktu.

Culmer milcząc powstał.

Twardowski go zatrzymał gestem ręki.

— Jeszcze jedno — rzekł. — Nie chcę, żeby było między nami nieporozumienie. Podpisanie tego aktu załatwi sprawę pana Czarnkowskiego, którą będę

uważał za skończoną. Ale sprawa między nami, panie Kulmer, pozostaje niezakończona. Walkę z panem i pańską bandą doprowadzę do końca.

— Zobaczymy! — wykrztusił chrapliwym głosem mecenas.

Po wyjściu Culmera Twardowski zawołał Grzegorza.

— Jutro o dwunastej — rzekł — akt będzie podpisany.

— O, to źle! — zawołał służący.

— Dlaczego?

— Mają jeszcze dwadzieścia cztery godziny czasu.

— Tyle zrobią, co dotychczas.

— Jeżeli będziemy się dobrze pilnowali.

Popołudniu zadzwoniła Wanda.

— A dziś nie przyjdiesz do nas?

— Przyjdę jutro, bo już będę miał z czem przyjść.

— A dziś co będziesz robił?

— Będę siedział w domu.

— To ja się zapraszam do ciebie na obiad. Jeżeli cię dziś nie zobaczę, będę bardzo niespokojna. Nie rozumiem, co się ze mną dzieje...

Jeżeli Grzegorz ma słuszość, że dom jego jest strzeżony, to nie można dziś w nim przyjmować Wandy. Trzeba jednak z nią się zobaczyć.

— Dziś, kochanie, mój dom nie jest odpowiednim miejscem dla ciebie. Wobec tego wolę ja się zaprosić do was na obiad, jeżeli mię przyjmiecie.

— Brawo! zapraszam cię w imieniu mamusi i tatka. Przyjdź wcześniej — będę na ciebie czekała.

Grzegorzowi nie podobał się ten obiad u państwa Czarnkowskich. Według niego pan nie powinien wychodzić z domu, dopóki Culmer aktu nie podpisze. Widząc jednak, iż rzecz jest postanowiona, zapowiedział, że będzie panu towarzyszył.

Gdy automobil zajechał przed dom Czarnkowskich, Grzegorz wyskoczył pierwszy, rozejrzał się wokół,

poczem panu drzwiczki otworzył. Twardowski chciał ich odprawić z tem, żeby przyjechali po niego o dziesiątej, ale Grzegorz zaoponował.

— Będziemy czekali. Może się coś zdarzyć, że pan będzie chciał wyjść wcześniej. Lepiej, żeby pan miał nas pod ręką każdej chwili.

W przedpokoju służący mu powiedział, że panienka czeka u siebie.

Gdy wszedł, rzuciła mu się na szyję, witając go z taką radością, jakby się wieki nie widzieli. Była dziwnie nerwowa — trochę przybladła.

— Muszę widzieć ciebie — mówiła szybko — żeby być spokojną. Nic nie wiem, nic nie słyszę, a jednak mam poczucie, że w powietrzu wisi jakieś niebezpieczeństwo dla ciebie. Do głowy mojej jakby przychodziły jakieś nieme depesze, które mnie przerażają. Powiesz, że to głupstwo, ale co ja poradzę?...

Tuliła się do niego, jakby chcąc z niego zaczerpnąć siły. Czuł lekkie drżenie jej ciała.

— Uspokój się, kochanie, nic mi nie grozi. Wszystko idzie jaknajlepiej.

— A dlaczegoś wczoraj telefonował ni stąd, ni zowąd o zdrowie tatka?

— Ktoś mi powiedział, że jest chory.

— Kto?

— Nie wiem kto. Mówił przez telefon.

— To dziwne...

Popatrzyła mu w oczy, jakby chcąc dowiedzieć się, czego nie dopowiedział.

— Nam tu także dokuczają telefonami. Nieznajomym tatko już kazał nie odpowiadać...

— To wszystko wkrótce się skończy.

— Przed chwilą telefonowała do mnie ta Brzowska.

Twardowski się zaciekawił.

— Zamówiła się o jakąś książkę, której jakoby chciała ode mnie pożyczyć. Ale zaraz zaczęła mówić

o tobie. Pytała, czy to prawda, że przestaliśmy cię przyjmować. Oburzyła mię. Powiedziałam jej, że dziś będziesz u nas na obiedzie. Może ja źle zrobiłam?

— Cóż może być w tem złego? Przeciwnie, dziękuję ci, żeś to powiedziała.

W duchu sobie jednak mówił, że to pewnie był wywiad mecenasa.

Obiad odbył się w atmosferze dość napiętej. Pomimo iż Twardowski zawiadomił pana domu, że jutro o dwunastej ma zostać spowrotem właścicielem Zbychowa, towarzystwo jakoś nie mogło się wypogodzić. Niepokój Wandy widocznie udzielał się jej rodzicom. Pani parę razy powtórzyła mu, żeby się strzegł nieprzyjaciół. Czarnkowski zaś siedział, jak podsądny, niepewny wyroku, który ma zapaść za chwilę.

Twardowski pożegnał się przed dziesiątą, obiecując się nazajutrz na śniadanie.

— Wszystko spokojnie, nic podejrzanego — zaraportował Grzegorz panu, wsiadającemu do automobilu.

Ruszyli spowrotem do domu.

Przed domem również Grzegorz nic nie zauważył. Brama była jeszcze otwarta; służący towarzyszył panu na górę.

Otworzył drzwi dwoma kluczami i weszli do przedpokoju. Naraz z głębi mieszkania, z sypialni, rozległ się szczek Pioruna, namiętny, trochę piskliwy, jaki zawsze wydawał, gdy zobaczył kota na drzewie.

— Oho — szepnął Grzegorz i ruszył w kierunku psiego głosu, odkręcając po drodze światło. Twardowski podążył za nim.

W sypialni zaświecona lampka przy łóżku ukazała im dziwny widok.

Na dywanie koło łóżka leżał nawznak mały, chudy człowieczek, a na nim siedział Piorun, opierając się przedniemi łapami o ziemię po obu stronach jego

głowy, ze łbem zwieszonym nad jego twarzą. Obok tej pary stał na dywanie gramofon.

Na ten niezwykle widok Twardowski o mało nie parsknął śmiechem.

Na ich wejście Piorun zamerdał ogonem i zwrócił ku nim mordę z triumfującym spojrzeniem. Leżący uniósł trochę głowę i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale pies natychmiast zwrócił łeb ku niemu i zębami chwycił go za gardło.

— Puszczaj, Piorun! — krzyknął Grzegorz.

Pies puścił gardło leżącego i podbiegł do pana.

— Wstawaj! — rzekł Grzegorz.

Leżący trochę się uniósł.

— A on?... — zapytał, niespokojnie wskazując na Pioruna.

— On ci już teraz nic nie robi.

Człowieczek powstał z ogromnie niemądrami miną. Westchnął z ulgą. Był to mężczyzna młody, koło lat trzydziestu, wygolony, ubrany dość przyzwoicie, ale strasznie wychudzony: miał wygląd suchotniczy.

— Co ty tu robisz? — zapytał Grzegorz.

— Nie bój się pan, nic nie ukradłem. I kraść nie przyszedłem: owszem, przyniosłem prezent.

— Jaki prezent?

— Nie widzisz pan?

Wskazał na gramofon. Był to aparat najmniejszego ze znanych rozmiaru.

— Jakiś tu wszedł?

— Jak się należy: przez drzwi frontowe.

— Kto ci otworzył?

— Ja tam nie potrzebuję nikogo fatygować. Sam sobie otwieram.

— Miałeś klucze?

Indagowany uśmiechnął się pogardliwie.

— Poco mi klucze? Dla mnie niema zamku ani zatrzasku.

— Oho! — rzekł Grzegorz — toś ty ładny ptaszek.

— To zaczyna być interesujące — wtrącił Twardowski. — Przejdźmy do gabinetu.

— Siadaj pan — rzekł, widząc, że człowieczyna chwieje się na nogach.

Grzegorz spojrzał nań z wyrzutem, że tak grzecznie traktuje nieproszonego gościa. Piorun ułożył się u nóg pana i, zadowolony z siebie, figlarnie patrzył na swoją ofiarę.

— Opowiedzno pan — zagaił Twardowski — co znaczy ta wizyta i ten gramofon.

— Widzę, że z całym przedsiębiorstwem kłapa, więc niema rady: powiem wszystko, co wiem. Tylko muszę odsapnąć trochę, bo ta bestja mię zmordowała. Co chcę się ruszyć, to on mnie zębami za gardło...

Twardowski pogłaskał Pioruna, który patrzył mu w oczy, jakby mówił: „Dobrzem się spisał, co?”

— Długoś pan tak leżał?

— Bo ja wiem. Mnie się zdawało, że ze sto lat. Przyszedłem tu o pół do dziewiątej.

— To tylko półtorej godziny.

— Tylko! Chciałbym, żeby mój najgorszy wróg tego spróbował.

Jasno, bez widocznego kręactwa opowiedział całą historję. Zeznał, że jest z zawodu ślusarzem, i to bardzo zdolnym; że, nie mogąc ciężko pracować, wziął się do złejszego zajęcia: został mieszkaniowym złodziejem. Ułatwiła mu to znajomość radzenia sobie z zamkami.

— Wzywano mię często — mówił z uśmiechem — do otwierania trudnych zamków: później otwierałem bez zaproszenia.

I ten zawód zaczął mu się przykrzyć, zwłaszcza, że podupadał na zdrowiu. Toteż ucieszył się, gdy jeden z jego przyjaciół zapoznał go z pewnym panem, który powiedział, że ma dla niego łatwą robotę, która będzie dobrze zapłacona.

Tu przerwał i zawahał się.

— Cóż to za robota? — zapytał Twardowski.

— To pan jest pan Twardowski, prawda? — odpowiedział były ślusarz pytaniem.

— Tak.

— To, co mam mówić, dotyczy tylko pana.

Wskazał okiem na Grzegorza, jako na niepotrzebnego.

— Proszę wszystko mówić do nas dwóch.

— Dobrze. Otóż ten pan mi powiedział, że pan Twardowski bałamuci mu żonę, która chodzi do niego na noc. Chcąc się zemścić na nich, kazał przygotować sobie gramofonik z zegarowym przyrządem i nagadał dla nich płytę z okrutnem wymyślaniem. Zegarek nastawi się na nocną godzinę — chodzi tylko o to, żeby ktoś wstawił gramofonik pod pańskie łóżko. Ogromnie mi się ta zemsta podobała, bo to niezły figiel.

— Któż to jest ten pan? jak się nazywa?

— Kozieniecki.

Twardowski szeroko usta otworzył.

— Gdzie mieszka?

— Tego nie wiem, bośmy się spotykali u mego przyjaciela.

— A jak wygląda?

— Straszna małpa: mały, z dużym łbem, z gębą, która się może przyśnić. Nie dziwię się, że żona go zdradza. Dziś przypędził do mego przyjaciela z obandażowaną głową. Żona go zdzieliła, gdy jej robił wymówki. Powiedział, że nie można dłużej zwlekać, bo pan jutro wyjeżdża na jakiś czas. I dziś dobry dzień, bo pana od ósmej nie będzie w domu, a na noc na pewno przyjdzie jego żona pożegnać się z panem.

Twardowski wymienił spojrzenie z Grzegorzem.

— Jakóbek! — szepnął służący i wybiegł z pokoju.

Za chwilę wrócił z gramofonem. Przystawił go Twardowskiemu do ucha...

— Tik tak, tik tak — słychać było zegarek.

Odwrócił gramofon dnem do góry: dno było przymocowane nowemi śrubkami.

Postawił gramofon na stoliku i znów zniknął. Wrócił, niosąc skrzynkę z narzędziami. Usiadł naboku i zaczął odkręcać śrubki.

— Wszystko byłoby poszło dobrze — mówił dalej niedoszły wykonawca zemsty. — Ale kiedym leżał koło łóżka, chcąc wsunąć pod nie gramofon, coś skoczyło na mnie. Patrzę — pies. Chciałem go zrzucić, a on mnie zębami za gardło. Osłabiony padłem nawznak. Wtedy puścił moje gardło. Próbowałem się podnieść, znów mię złapał za gardło. Po paru takich próbach zrozumiałem, że jeśli będę leżał spokojnie, to on mi nic nie zrobi. Przestałem więc się ruszać, a on sobie siedział na mnie. Nawet nie był zły: mędał ogonem, wywiesił ozór i patrzył mi w oczy tak, jakby się śmiał ze mnie. Ale niech go djabli wezmą! Pewnie mam dobre znaki na gardzieli...

Podniósł brodę. Po obu stronach grdyki widać było czerwone ślady kłów Pioruna.

Tymczasem Grzegorz odjął denko i z otwartym gramofonem podszedł do Twardowskiego. Prawie całe wnętrze pudełka wypełniał gruby, żelazny cylinder.

— Bombka! — rzekł krótko.

Twardowski kazał mu podać skrzynkę z narzędziami, wziął z niej cążki i przeciął niemi jakiś drucik wewnątrz pudełka.

— Ostrożnie, panie! — zawołał Grzegorz.

— Bądź spokojny, ja się na tem trochę znam. Już teraz nieszkodliwa. To istotnie niezły figiel — wyjąć mechanizm gramofonu, a wstawić bombę. Jutro ją pošlemy do analizy i dowiemy się, czem naładowana. Ładny prezent nam pan przyniosłeś — zwrócił się do ślusarza.

Ten trząst się, jak liść.

— Panie, ja o tem nie wiedziałem. Jestem złodziejem, ale nie jestem mordercą. Nikogo w życiu nawet nie skaleczyłem!...

— Będziesz się tłumaczył na policji! — rzucił mu Grzegorz z dzikiem spojrzeniem.

— Ileż on panu za to dał? — zapytał Twardowski.

— Tysiąc złotych: pięćset dostałem zgóry, a pięćset miałem dostać jutro.

— To wcale tanio za taką robotę.

— Gdybym był wiedział, za miljonymbym tego nie zrobił.

Rozplakał się jak dziecko, czyniąc sobie wyrzuty i strasznie przeklinając samego siebie.

Tymczasem Twardowski wyjął cylinder, odkręcił jego przykrywą i przyglądał się szaremu proszkowi, który go wypełniał.

— To wygląda na zwyczajny, pocziwy dynamit — mówił do siebie. — Efekt byłby niezły, gdyby to wybuchło...

— Niechże pan wezwie policję! — zawołał delinkwent, dla którego dalsze przyglądanie się zawartości pudełka od gramofonu było widoczną męką.

— Wcale nie będę wzywał — odrzekł spokojnie Twardowski.

— Co pan chce ze mną zrobić?...

— Nic. Pójdiesz pan sobie wolno do domu.

— Puszczą go pan? — zawołał Grzegorz.

— On jest szczery — rzekł uśmiechając się Twardowski. — On nie wiedział, co przynosi. Ci zbrodniarze wywiedli go w pole...

Niedoszły morderca rzucił się przed Twardowskim na kolana, a gdy ten mu wyrwał ręce, zaczął mu nogi całować.

— Możesz pan iść — rzekł.

Wtem sobie coś przypomniał.

— Zaczekaj pan chwilę.

Usiadł przy biurku, wziął kartkę papieru i parę słów napisał.

— Masz pan tu adres. Pod tym adresem mieszka pan mecenas Henryk Culmer i jego służący, Jakób. Żaden z nich nie ma żony, więc nie miałem co uwieść. To oni obaj przygotowali dla pana ten gramofon. Jakób układał się z panem, przybrawszy nazwisko Kozienieckiego. Może pan zechce z nimi pogadać...

Człowieczyna chwycił łakomie kartkę, całując rękę, która mu ją podała.

— Już ja z nimi pogadam!

— Byle nie jutro przed południem. Możesz pan zacząć składać im wizyty dopiero jutro popołudniu. Grzegorz, wyprowadź go do bramy.

Wziął do ręki słuchawkę telefonu i podał numer Czarnkowskich. Kazał poprosić pannę Wandę.

— Wandeczko, możesz dziś spać spokojnie. Już mi nic nie grozi. A wiesz komu to zawdzięczam?... Twojemu przyjacielowi, Piorunowi.

Pies, leżący u jego nóg, usłyszawszy swoje imię, skoczył i upomniał się o podziękowanie.

XXVI.

Obudziwszy się po dobrze przespanej nocy, Twardowski zadzwonił. Wszedł Michał i zawiadomił go, że Grzegorz śpi. Poszedł spać rano, bo całą noc stróżował.

Ubrał się, wypił kawę i zabrał się do pracy. Ledwie usiadł przy biurku, gdy się odezwał telefon.

— Czy mieszkanie pana Twardowskiego? — zapytał głos nieznany.

— Tak.

— Czy jest pan w domu?

— Jestem przy telefonie.

— Ach, to pan... Przepraszam... Chciałem...

— Czy może w sprawie gramofonu? — zapytał Twardowski.

Rozmowę z tamtego końca przerwano.

— Poczciwy mecenas — rzekł do siebie Twardowski. — Nie znalazłszy w rannych gazetach sensacyjnej wiadomości o tajemniczym wybuchu przy ulicy Pięknej, dowiaduje się o moje zdrowie. Wiesz, Piorunie — zwrócił się do psa, leżącego na dywanie — żeś mu zrobił brzydki kawał.

Pies podszedł do niego z wesołą miną i udawał, że rozumie.

— Będzie musiał stanąć u rejenta i krwi sobie upuścić. A wyobrażam sobie jego minę, gdy popołudniu otrzyma wizytę tego majstra od zamków.

Piorun, uważnie wysłuchawszy przemowy pana, pogłaskany przez niego, a zadowolony z siebie, położył się spowrotem. Widocznie, narówni z Grzegorzem, czuwał przez całą noc i potrzebował spoczynku.

Za chwilę znów się odezwał telefon. Tym razem głos był aż nadto dobrze znajomy. Mówiła Wandeczka.

— Wiesz, że ty jesteś cudotwórcą. Wczoraj po twoim telefonie poszłam spać, natychmiast zasnęłam i obudziłam się dopiero przed chwilą. I strasznie wesoło mi na duszy. Będiesz na śniadaniu, prawda? A nie będziesz się śpieszył?... bo mam z tobą dużo do mówienia.

Potem już nikt mu nie przeszkadzał.

Koło południa zjawił się Grzegorz z zapytaniem o rozkazy. Miał minę ponurą.

— Co ci jest, Grzegorzu? — zapytał Twardowski.

— Nic, proszę pana.

— Wyglądasz, jakbyś siedem wsi spalił.

— Pan myśli, że to przyjemnie patrzeć na to, co się dzieje. Polują na pana jak na zwierzynę.

— Ale nie upolowali. Poczciwy Piorun dobrze się znalazł.

— Mówilem panu, że on się przyda. A tego złodzieja to pan puścił.

— On się też przyda. Będzie uprzyjemniał czas Kulmerowi.

— To prawda. Strasznie się odgrzązał, gdym go wyprowadzał przez bramę. Mnie się zdaje, że on wyciągnie z nich sporo pieniędzy.

— Życzę mu powodzenia. Lepiej, żeby to robił, niż żeby okradał mieszkania. Pierwszy raz w życiu popieram szantaż. A szkoda ich — to zdolni ludzie. Ta historia z uwiedzioną żoną i z zemstą przez gramofon mogłaby figurować w najnowszej farsie. Nie podejrzewałem Kulmera o taką fantazję. A może to Jakóbek taki utalentowany.

— Ale skąd, proszę pana, Jakóbkowi przyszło do głowy przybrać nazwisko pana Kozienieckiego?

— To jest także załatwienie rachunków.

Stojący przy ścianie naprzeciw biurka zegar empirowy wybił godzinę dwunastą.

— Teraz zaczyna się tragedia — rzekł, śmiejąc się szyderczo, Twardowski.

Zarządził, żeby samochód zajechał przed pierwszą, a sam czekał na wiadomość od Osieckiego.

Zbliżała się pierwsza, a wiadomości nie było. Zaczął się już niecierpliwić. Wreszcie rozległ się dzwonek u drzwi, i wpadł zdyszany Osiecki.

— Wszystko załatwione! — zawołał triumfująco. — Pan Czarnkowski napowrót figuruje w hipotece jako właściciel Zbychowa.

— Kto stawał z ramienia Kulmera?

— On sam stanął. Widać rozmyślił się; wołał nie powiększać sobie kosztów. Ależ, panie, jaka to ruina! Gdzie się podział ten wielki, pyszny Kulmer! *Quantum mutatus...* A jakie żydzisko z niego wylazło!

Twardowski podziwiał poetycki wybuch w spokojnym zazwyczaj Osieckim. Ten wszakże natychmiast wrócił do swej roli.

— Koszty poniosłem zgodnie z danem mi przez pana poleceniem ze złożonej u mnie gotówki. Wynoszą one...

— Pomówimy o tem później. Teraz się śpieszę — spóźniłem się na śniadanie.

Osiecki pożegnał się i wyszedł z miną człowieka, który miał jedną z największych przyjemności w swoim życiu.

U Czarnkowskich czekano niecierpliwie. Jeszcze nie byli pewni, że sprawa dobrze się skończy, że stanie się ten cud, jak mówili. Tylko Wanda nie miała żadnych wątpliwości.

— Będzie tak, jak on powiedział — mówiła spokojnie do ojca.

Wszedł Twardowski, przepraszając za spóźnienie.

— Wszystko dobrze — rzekł do Czarnkowskiego.

— Jakto dobrze?

— Pół godziny temu wrócił pan do księgi hipotecznej Zbychowa jako jego właściciel. Kulmer sam stanął u rejenta i akt podpisał.

Czarnkowski zachwiał się na nogach, padł na fotel.

— Co?... jak?... jak to się stało?...

— Odprzedał panu Zbychów, nie dostawszy ani grosza.

Zapanowała cisza. Czarnkowski siedział w fotelu i płakał.

— Chodźmy jeść! — zawołała Wanda wesoło. Pomogła matce się podnieść i poprowadziła ją do jadalni.

Tam czekały kilka minut, bo Czarnkowski potrzebował sporo czasu na przyjście do siebie i na wyrażenie wdzięczności przysłuszanemu zięciowi.

Gdy wchodzili, pani Czarnkowska utkwiała oczy pełne zachwytu w Twardowskiego i rzekła:

— Bóg jest miłosierny! On się nami opiekuje, on nam pana przysłał.

Wanda się dziwiła, dlaczego matka nie powiedziała „zesłał“. Ale Twardowski się nie dziwił: wiedział, że „on“ to Alfred.

Czarnkowski ciągle był oszołomiony. Powtórzył parę razy, że nie może sobie wyobrazić, jakich sposobów Twardowski użył dla odebrania jego majątku.

Musiał mu Twardowski wyłożyć cały przebieg sprawy od początku, od owej rozmowy, podsłuchanej w wagonie. Zrobił to krótko, bez wdawania się w szczegóły. Gdy skończył, Czarnkowski rzekł:

— A jednak nie każdyby tak oddał majątek, kupiony całkiem legalnie. To wszystko były machinacje jego wyrodnego synalka. On sam przecie odradzał mi sprzedawanie Zbychowa, a gdy się o wszystkim dowiedział, nie wahał się ponieść olbrzymiej straty i łatwo pozbył się majątku.

W oczach Twardowskiego gniew błysnął. Wanda patrzyła nań przerażona: była pewna, że ojciec usłyszy coś bardzo przykrego. Istotnie, gdyby Czarnkowski nie był ojcem Wandy, napewno byłby się dowiedział w jakiejkolwiek formie, że jest nieuleczalnym durniem. Twardowski zrozumiał obawę dziewczyny, więc rzekł z uśmiechem:

— Pan myśli, że on łatwo pozbył się majątku. Tu się pan myli.

Uwziął się wyleczyć ojca Wandy z respektu dla zacnego mecenasa. Wbrew tedy pierwotnemu zamiarowi opowiedział, jak uratował porwaną przez Jakóba tekę, jak Grzegorz wyjaśnił telefon nocny od rzekomego doktora Kwiatkowskiego, jak wreszcie Piorun udaremnił umieszczenie pod jego łóżkiem złośliwego gramofonu.

Wszyscy troje słuchali z otwartymi ustami. Zgroza malowała się na ich obliczach.

— Niceśmy o tem nie wiedzieli — rzekł głupio Czarnkowski.

— Ja wiedziałam — zawołała Wanda.

Spojrzeli na nią w osłupieniu.

— Nie wiedziałam, co się dzieje, ale wiedziałam, że życie jego jest w niebezpieczeństwie. Przez te parę dni nie mogłam sobie dać rady z sobą. Czułam się bezradną; co chwila chciałabym biec do niego. Nie macie pojęcia, jakie to straszne. Mówią, że nie istnieją przeczucia...

Twardowski słuchał z wdzięcznością, a jednocześnie z obiektywnem, naukowem zainteresowaniem.

— Jabym tego nie nazwał przeczuciem; to było coś innego.

— Więc cóż?

— W tej chwili trudno byłoby to wytłumaczyć.

Czarnkowski wygłosił swoją refleksję, będącą zarazem apologią:

— I jak człowiek uczciwy może się obracać w świecie, w którym dzieją się takie rzeczy! Któż może podejrzewać, że za takimi szlachetnymi pozorami kryją się takie zbrodnie!...

— Otóż to właśnie! — zawołał Twardowski. — Dotknął pan rzeczy najważniejszej. Widzicie tylko małe, pospolite kłamstwa i tylko prostackie, niezdarne zbrodnie. Wielkie fałsze i najnikczemniejsze zbrodnie ukrywają się przed waszemi oczyma. I to się dzieje we wszystkich cywilizowanych krajach. A wie pan dlaczego?... Bo nasza cywilizacja od czasów greckich wychowuje w nas kult prawdy i pogardę dla kłamstwa. Nie oduczyla ona nas kłamać, ale kłamiemy niezdarnie. Gdy wchodzi między nas ludzie innej cywilizacji, która nie ma tego szacunku dla prawdy, my ich nie jesteśmy zdolni przejrzeć do głębi. Dlatego to Żydom tak się powodzi. Ich cywiliza-

cja podniosła kłamstwo do godności wielkiej sztuki, powiedziałbym nawet — cnoty. Oni kłamią na taką skalę, że Polak, Francuz, Anglik czy inny, niezdolny jest nawet przypuścić, żeby można było tak kłamać. I dlatego łapiemy ich na mniejszych, mniej ważnych fałszach, ale tam, gdzie się dopuszczają największych, naiwnie im wierzymy. Żaden, najzdolniejszy w łotróstwie Polak, gdyby nawet największe robił wysiłki, nie umiałby tak, jak Kulmer, kłamać całego swego życia, tonu każdego wychodzącego z ust swych słowa, każdego gestu swej ręki. Cynizm wyłaziłby z niego na każdym kroku. Toteż, sądząc po sobie, nie możemy uwierzyć, ażeby to wszystko było kłamane. Dlatego Kulmer, będąc najnikczemniejszym łotrem, jest uważany za najszanowniejszego męża, i, pracując konsekwentnie na zgubę Polski, jest podawany za wzór patriotyzmu.

Czarnkowski słuchał z wytrzeszczonemi oczyma i niewiele rozumiał.

— Pan, jako uczony... — zaczął.

— Nie jestem uczonym — przerwał mu Twardowski. — Nauka, która się chełpi odwagą w poszukiwaniu prawdy, boi się dotychczas uczynić przedmiotem swych badań tego, co ja studjuję. A ja prowadzę studia nad kłamstwem, które nas, całą naszą cywilizację zniszczy, jeżeli go nie poznamy i nie nauczymy się go tępić.

Czarnkowski jeszcze mniej rozumiał.

Gdy wstawali od stołu, rzekł:

— Muszę iść odpocząć: czuję się całkiem wyczerpany. Pan mię przekonał, że Culmer nie jest tym szlachetnym człowiekiem, za którego go miałem. Nie uwierzy pan, jak mię to zmartwiło.

Twardowski się roześmiał.

— Kulmer zapytałby pana: czy pan nie ma większego zmartwienia?...

I tego Czarnkowski nie zrozumiał.

Poszedł do swego pokoju, a Twardowski wypił czarną kawę z paniami.

— Pani mi zrobiła nadzieję — rzekł do Czarnkowskiej — że odwiedzi kiedy Turów. Teraz właśnie w początku wiosny Turów jest naprawdę ładny.

Wanda zaczęła klaskać w ręce, jak uradowane dziecko.

— Mamusiu, pojedziemy, dobrze? Takbym chciała zobaczyć Turów!

— Byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby pani zechciała wypocząć w Turowie po tych niemiłych ostatnich tygodniach. Za parę dni dom mój będzie gotów na przyjęcie państwa.

Mówił „państwa”, ale miał nadzieję, że Czarnkowski nie pojedzie. Był uszczęśliwiony, że Wanda przyjęła projekt z takim zapałem.

Pani próbowała się uśmiechnąć, ale jakoś nie mogła.

— Dziękuję panu — rzekła z niezwykłą powagą. — Bardzo pragnę być w Turowie i zaproszenie przyjmuję całym sercem w imieniu swoim i Wandeczki. Mam nadzieję, że za jaki tydzień będziemy mogli pojechać.

Widać było, że o mężu nie myślała.

Zobowiązał się przyjść wieczorem na obiad dla ułożenia całego planu wspólnie z panem Czarnkowskim.

Gdy się zaczął żegnać, Wanda zawołała:

— Co, już uciekasz? A mieliśmy pogadać.

— Nie chcę pań męczyć dłużej i sam niejedno mam jeszcze do załatwienia przed wieczorem.

Spojrzał na zegarek.

— Mam jeszcze pół godziny czasu.

— To ja was tu zostawię: gadajcie sobie — rzekła pani Czarnkowska. — Jestem naprawdę bardzo zmęczona.

Gdy zostali sami, Wanda posadziła Twardowskiego.

— Słuchaj — rzekła — to zaproszenie nas do Turowa jest genialne. Tam będziemy ciągle razem i może nareszcie znajdę odpowiedź na moje pytanie.

— Na jakie pytanie?

— Kto ty jesteś? Jesteśmy narzeczeni, a ja ciebie doprawdy nie znam.

— Masz słuszość: oświadczyłem ci się za wcześnie. Ale to twoja wina: pocoś się tak upierała w sprawie tych pieniędzy? Widzisz, że miałem słuszość i że majątek do was wrócił...

— Nie o to chodzi, czy za wcześnie, czy za późno. Ja już dawno wiem, że muszę zostać twoją żoną: bez ciebie już żyćbym nie umiała. Tylko to jest nienormalne, żeby żona tak mało знаła swego męża. Imponujesz mi, zachwycam się tobą i boję się ciebie. Wszystkich mężczyzn, którzy mnie otaczają, zaczynając od tatka a kończąc na Kozienieckim, znam nawylosot; a w tobie jest jakby jakieś miejsce zamknięte, w którym coś siedzi, czego ja się nawet domyślić nie mogę. Chciałabym to miejsce otworzyć i boję się... Czy ja kiedy tam zajrzę?...

Twardowski słuchał i nic nie odpowiadał.

— Nie myśl, że to są kłopoty naiwnej panienki, która nie wie, co to znaczy wyjść zamaż. Takich panienek niema. My, młode dziewczyny, wiemy dziś więcej, niż nasze matki. Tu nie o to chodzi: tu chodzi o ciebie. Ty jesteś jakiś inny, niż wszyscy mężczyźni.

— Wszyscy, których ty znasz, kochanie.

— Może i tak, nie wiem. Ale ja nawet nie wiem, dlaczegoś ty zechciał ze mną się ożenić. Jestem niebrzydka; to nawet wiem, że jestem wyjątkowo dobrze zbudowana, a to się mężczyznom podoba. Ale takich pewnie spotykałeś wiele. Zresztą, zdaje mi się, że tobie to nie wystarcza, żeby się związać z ko-

bietą na całe życie. Do romansiku owszem... — dodała tonem doświadczonej kobiety, która zjadła zęby na przejściach z mężczyznami.

Twardowskiego ten jej ton raził, ale zarazem bawił.

— Powiesz mi, czy nie, dlaczegoś postanowił ze mną się ożenić? Przecie i ty mnie naprawdę nie znasz...

— Kochanie — odrzekł Twardowski — znam cię o wiele więcej, niż myślisz, może nawet więcej, niż ty znasz siebie. I dlatego, że cię znam, powiedziałem sobie, że musisz być moją żoną.

— Więc powiedz mi przynajmniej, co o mnie myślisz.

— Powiem. Teraz jednak muszę już iść. Czekają na mnie.

— To dziś wieczór nie wypuszczę cię, dopóki mi nie powiesz.

Wieczorem przy obiedzie Czarnkowski zakomunikował swe postanowienie:

— Zwijam mieszkanie w Warszawie i przenoszę się do Zbychowa. Trzeba zająć się gospodarstwem. W dzisiejszych ciężkich czasach nie można bawić się w pana.

W oczach pani Czarnkowskiej przemknęła jakby obawa o los Zbychowa, jeżeli pociąg do interesów zamieni się u męża w zapał do gospodarstwa.

Projekt wyjazdu do Turowa przyjął apatycznie.

— Jedźcie we dwie — rzekł. — Ja jutro muszę być w Zbychowie i tam dłuższy czas pozostać. Pańskie oko konia tuczy.

Nietylko chciał popatrzeć na odzyskany majątek, ale także zniknąć jaknajrychlej z Warszawy, znaleźć się jaknajdalej od Culmera i od znajomych, którzyby go ciekawie wypytывali o to, co zaszło.

Umówiono się, że panie za tydzień zjadą do siedziby Twardowskiego.

Wkrótce po obiedzie Wanda zręcznie wyprawiła oboje rodziców na wczesny wypoczynek, a sama zabrała narzeczonego do siebie.

— Obawiam się — rzekła — o zdrowie tatka. Strasznie się zmienił. Te przejścia bardzo go zgnębiły. Dopiero, gdy poznałam ciebie, zrozumiałam, jakim on zawsze był słabym człowiekiem. Widziałam, jak się gniewałeś, kiedy bronił Culmera. A wiesz, dlaczego on to robił? Bo dla niego to za ciężki cios tak się na kimś zawieść. Przez całe życie prawie we wszystkim polegał na Culmerze i na jego zdaniu, a teraz stracił to oparcie. Ach, żeby on się oparł na tobie! Bo on biedny sam stać nie może... I mamusia bardzo się zmieniła... Ale to już od dłuższego czasu, chyba od poznania ciebie. Zrobiła się obojętniejszą i dla tatka i dla mnie. Zawsze jest dobra, ale ciągle chodzi zamyślona. Mam wrażenie, że dowiedziała się czegoś szalenie ważnego, i to od ciebie. Coś ty jej mógł powiedzieć?... No, ale teraz wszystko będzie dobrze, prawda? Kiedy usłyszałam od ciebie przez telefon, że już ci nic nie grozi, jestem spokojna i wesoło mi na duszy. Tylko musisz mi raz nareszcie powiedzieć, co o mnie myślisz.

— A nie będziesz się gniewała?

— Bądź spokojny. Tyle się nawściekałam na ciebie, że mi się tu już sprzykrzyło.

— Więc dobrze. Przedewszystkiem ci powiem, że jesteś czarująca dziewczyna.

— Oho! kiedy tak zaczynasz, to na pewno masz zamiar coś bardzo brzydkiego mi powiedzieć. Mniejsza o to. Kiedyś to zauważył?

— Od pierwszego spojrzenia.

— I dlatego takeś mi dokuczał?

— Pewnie, że dlatego.

— Dziwny sposób wyrażania zachwytu.

— Gdybym nie był pod wrażeniem twego czaru, nie zwracałbym na ciebie uwagi. Od pierwszej chwili

zaczęłaś mię mocno obchodzić, i dlatego gniewały
mię w tobie pewne rzeczy, o których ci już mówiłem.

— Niech będzie i tak. A co dalej?

— Dalej ci powiem, że masz charakter i jesteś
osobą, na której można polegać.

— Ślicznie. Sama to o sobie myślałam. Ale bar-
dzo mi przyjemnie słyszeć to od ciebie.

— Jesteś dobra bez ckliwości i szlachetna bez
pozy. To są wielkie cnoty.

— To ładnie powiedziane. Nie umiałabym tak.

— Jesteś inteligentna. Tylko twoją żywą inteli-
gencję kobiecą wpływy środowiska zaczęły maniero-
wać, wprowadzać na drogę naśladowania umysłowości
męskiej. Na szczęście cofasz się z tej drogi.

— Pod twoim wpływem. Po pierwsze, zrozumia-
łam, że to głupie, powtórę, chcę ci się podobać.
Wszystko, coś dotąd powiedział, jest przyjemne. Kie-
dyż zaczną się te rzeczy przykre?...

— Właśnie teraz ci powiem rzecz najprzy-
krzejszą.

— Mów, jestem przygotowana.

— Czy lubisz Żydów?

— Nie: mam wstręt do nich.

— A gdybym ci powiedział, że w pewnym wzglę-
dzie jesteś przez nich wychowana...

— Odpowiedziałabym ci, że się mylisz. Ja ich
przecie nie spotykam.

— A Kulmer? a pani Brzozowska? Zresztą wy-
starczy, że naśladujesz tych, co naśladują Żydów, i tym
sposobem ulegasz pośrednio ich wpływowi. Ten
wpływ czuje się dziś wszędzie.

— W czym go widzisz?

— W tem, z czego wy, młode kobiety, jesteście
bardzo dumne. Jak to dziś rano powiedziałaś? My
nie jesteśmy naiwne panienki: wiemy więcej, niż na-
sze matki. Mogę dalej mówić?

— Mów.

— Ja nie tęsknię za dawnymi panienkami z ich szczerą czy udawaną naiwnością. Młoda dziewczyna może dużo wiedzieć, i to jej nie zaszkodzi, nawet pomoże w życiu. Ale dziś panuje moda, nakazująca młodym dziewczynom głuszyć w sobie wstyd kobiecy, mówić głośno o tem, o czem się nie mówiło, pokazywać to, czego się nie pokazywało... A wstyd kobiecy to wielka zdobycz naszej cywilizacji, tak samo, jak poczucie honoru u mężczyzn. Tego nie znają Żydzi: oni są niehonorowi, a ich kobiety bezwstydne. I to jest ich wielkie zwycięstwo, że dziś pod ich wpływem u nas jedno i drugie zanika.

— Więc ja jestem bezwstydna? — zapytała dziewczyna tonem, w którym nie było urazy, ale jakby obawa, czy Twardowski nie ma czasem słuszności.

— Nie. Tylko i ty ulegasz modzie i starasz się w sobie wstyd zgłuszyć. Przyznaj, że czasem wyrzucasz sobie nieśmiałość w tym względzie.

Dziewczyna zamyśliła się.

— Prawda. Jak ty wszystko widzisz!... Nigdy nie przyszło mi do głowy, że to Żydówki są naprawdę bezwstydne. A przecie ta Brzozowska... Jakie to prawdziwe! Ale, powiedz, jeżeli tak patrzysz na to, dlaczego nie masz wstrętu do mnie?...

— Raz myśląc o tobie, powiedziałem sobie, że gdybyś nawet była naprawdę zła, jakaś siła, niezależna od wszelkiego rozumowania, kazałaby mi cię kochać.

Po raz pierwszy padł z jego ust ten wyraz. Spostrzegł to i zamilkł.

Dziewczyna utkwiała w nim błyszczące oczy.

— To ty naprawdę mnie kochasz! Boże, jaka ja jestem szczęśliwa!

Nie próbował zapanować nad sobą. Otoczył ją ramieniem, przycisnął do piersi i usta do jej ust przycisnął...

Odsunął się od niej i znów zaczął mówić spokojnie:

— Można kochać kobietę i nie myśleć o pojęciu jej za żonę. Ja nie jestem młodym chłopaczkiem, działającym bez zastanowienia. Pomimo że ciągnęłaś mię do siebie z nieprzepartą siłą, że jesteś jedyną w mojem życiu kobietą, która mię do siebie przykuwa, nie myślałem o tobie jako o mej przyszłej żonie. Dopiero...

— Dopiero?

— Pamiętasz tę naszą rozmowę, tę chwilę, kiedyśmy się wzięli za ręce i w milczeniu patrzyli sobie w oczy?...

Dziewczyna się zarumieniła i potwierdziła tylko skinieniem głowy.

— Wyrwałaś swe ręce z moich...

— Jakiś lęk mię ogarnął.

— A ja natychmiast wyszedłem.

— Tak.

— A wiesz dlaczego?... Bo w tobie odezwał się wstyd kobiety, a we mnie honor mężczyzny — dwie wielkie instytucje naszej cywilizacji. W chwilę potem powiedziałem sobie: Ta kobieta musi być moją żoną.

Zapanowało milczenie. Przerwała je Wanda:

— Teraz już wiem wszystko, czego dziś chciałam się od ciebie dowiedzieć. Idź już, mój najdroższy. A ja będę myślała o tem wszystkim, coś mi powiedział.

Pożegnała go krótkim, jakby małżeńskim pocałunkiem.

XXVII.

Mecenas Culmer miał na obiedzie córkę i syna, który przed tygodniem przyjechał z Anglii. Obiad odbywał się w atmosferze grobowej, Jakób po zetknięciu z brązowym sfinksem chodził z obandażowaną głową, uważał się za inwalidę i nie usługiwał.

Do stołu podawała pokojówka, a przy niej można było mówić tylko o rzeczach obojętnych. Że zaś do rzeczy obojętnych nikt z trojga nie miał serca, więc prawie przez cały czas panowało przy stole ponure milczenie.

Dopiero gdy pokojówka podała im czarną kawę w gabinecie pana domu i odeszła, Culmer zwrócił się z sarkazmem do córki.

— Będiesz miała teraz brylanty... Podziękuj temu idjocie, który po wagonach głośno krzyczy o swoich interesach.

Charles uważał za stosowne zrobić obrażoną minę.

— Kto mógł wiedzieć, że ten łajdak rozumie po polsku! On wcale na to nie wyglądał.

— Tak... Co to obchodzi kogo, czy wyglądał, czy nie wyglądał... Tylko niepoczytalny głupiec głośno o takich rzeczach mówi. Z ciebie nigdy nie będzie człowiek do poważnych interesów. Ty zawsze będziesz zwyczajny łobuz.

Charles tak się obraził, że zamilkł.

— No, jakże będzie z temi pieniędzmi? — zapytał Culmer.

— Z jakimi pieniędzmi? — zapytał Charles z flegmą angielską.

— Co ty udajesz, że nie wiesz, o co chodzi! Musisz mi oddać tę prowizję, którą wzięłeś od Stuarta. To są moje pieniądze i ja je teraz mieć muszę.

— Ja teraz nic dać nie mogę. Przecie nie będę siedział w tej głupiej Polsce. Wyjadę zaraz w tych dniach. Muszę zacząć jakiś większy interes i będę potrzebował pieniędzy.

— Gdzie interes? W Anglii?...

— Nie, tam tymczasem nie można. W Ameryce.

— Tam cię nie wpuszczą.

— Czy ja jestem polski chłop, żeby mnie nie wpuścili?... Za trzy tygodnie będziesz miał ode mnie list z New-Yorku.

— Słuchaj, Karol — wtrąciła się pani Brzozowska — ty nie możesz zabrać tych całych pieniędzy. Ty okradasz nie tylko tatę, ale i mnie. Tata tylko w ciebie pakuje.

Rozmowa rozwinęła się w kłótnię.

Skończyło się na tem, że Charles, trzymając się mocno zasady *beati possidentes*, nie oddał ani grosza. Zajął stanowisko jedynej ofiary w całej tej katastrofie: Zbychów przecie był kupiony dla niego, a teraz tata go oddał. Zresztą, wszyscy troje wiedzieli, że Culmer zrujnowany nie był, choć operacja ze Zbychowem dużo mu krwi upuściła.

Gorszem od straty pieniężnej było dla Culmera poczucie, że istnieje człowiek, który go trzyma w rękę i każdej chwili może zniszczyć jego pozycję. Dopóki ten człowiek żyje, dopóty nad głową jego, Culmera, wisi miecz Damoklesa. Ten zaś człowiek jest zbyt przebiegły, zbyt ostrożny, ażeby łatwą rzeczą było usunięcie go ze świata. W tej chwili, upojony zwycięstwem, może nic nie będzie przedsięwziął. Zresztą ma narzeczoną, a u nich to bardzo ludzi absorbuje. Jednakże za pierwszym lepszym powodem może znów zacząć walkę... Gdyby jeszcze był goły, byłby jak pies bez zębów. Ale ten łajdak zataił, że ma pieniądze... Teraz łatwiej zrozumieć wszystko: i te napaści w gazetach, i tę zorganizowaną robotę przeciw grabarzom, i te fotografowane listy Karolka... Z pieniędzmi wszystko można zrobić. I bogatego człowieka trudniej usunąć: jeździ własnym automobilem, ma straż koło siebie...

Odprawiwszy syna i córkę, mecenas zaczął się zastanawiać nad swoim nieszczęściem. O mało nie zaczął płakać nad sobą. Nigdy nie wiedział, co to jest zmęczenie — dziś czuł się naprawdę zmęczony; nic mu się nie chciało robić...

Dni upływały, a on nic nie przedsięwziął, nie czytał nawet gazet: obrzydło mu życie i wiadomości o niem.

Tylko od czasu do czasu Jakób komunikował mu, że coś ważnego się stało...

Świat, w którym miał pozycję, wiedział tylko, że pan mecenas Culmer jest chory. Spędzał czas samotnie: syn wyjechał zagranicę, córka się nie odzywała.

Twardowski w towarzystwie Grzegorza i Pioruna pojechał do Turowa. Trzeba było obejrzeć roboty, wykonywane przez sprowadzonych z Warszawy rzemieślników, i sprawdzić, czy dom jest przygotowany na przyjęcie gości.

Zaczęła się już polska wiosna, której od lat dziecięcych nie widział. Trawniki dookoła domu były zielone świeżą, soczystą zielonością; wczesne krzewy i niektóre drzewa już kwitły: przeważało młode, nawiśnięte kwiecie różowe. Pod krzewami żółciły się gdzieś kępy żonkilów, przypominając żółte na łąkach kaczeńce, z których barwą łączyło się w jego wspomnieniach pojęcie polskiej wiosny. Rabaty i klomby były przygotowane do sadzenia kwiatów, a w wygrabionym z liści parku rozlegał się koncert wszelkiego rodzaju ptactwa. W powietrzu unosił się zapach fermentującej ziemi...

Nie wszedł do domu; zapuścił się w głąb parku. Usiadł na ławce, opanowało go bezgraniczne lenistwo. Jak tu rozkosznie!... Spojrzał na ławkę obok siebie: dlaczego tu niema Wandeczki?... Przecie i ona jest wiosną...

Przypomniał sobie, że trzeba i dla niej dom przygotować. Poszedł oglądać roboty w domu.

Pokoje na górze były na wykończeniu. Pokój dla pani Czarnkowskiej, buduar, pokój dla Wandy, garderoba, łazienka, izdebka pokojówki; lekkie mebelki, ładne dywany, firanki — wszystko jak należy. Na dzień ich przyjazdu powstawia się w wazonach kwiaty...

Poza wielkim salonem, którego tymczasem nie miał zamiaru meblować, w całym domu porządku wio-

senne były zrobione. Tylko w bibliotece stopy książek i papierów, zniesionych z góry, leżały, jak je zostawił, wyjeżdżając do Warszawy. Te postanowił uporządkować i rozmieścić w szafach i na półkach, zanim panie przyjadą. Tą robotą zajął się odrazu, mając parę godzin wolnych przed obiadem.

Wieczór robił się chłodny, ale Grzegorz pomyślał o roznieceniu niewielkiego ognia w kominku biblioteki. Przed tym kominkiem, jak zwykle, podał po obiedzie czarną kawę.

Twardowski znów siedział, wpatrzony w ogień. Jaka tu cisza!... Jak tu można wejść w siebie i zapomnieć o świecie...

Zapomnieć?... Nie. Walka, której jeden akt dopiero co się rozegrał, będzie trwała dalej i wyjść z niej nie wolno, dopóki się nie skończy zwycięstwem. A jeżeli się skończy, to zacznie się inna. Bez walki życie nicby nie było warte. Nie?... A Wanda?... I bez niej już trudno sobie wyobrazić życie. Nigdy nie przypuszczał, że kobieta może zająć tyle miejsca. Ale ona ma miejsce swoje: życie to za wielka rzecz, żeby najwięcej ukochana, najbardziej pożądana kobieta mogła je całe wypełnić...

Grzegorz wpuścił psa, który się ułożył u stóp pana, a wkrótce potem przyniósł herbatę.

Ogień się dopalał, z rozżarzonych węgli płynęła rozleniwiająca fala ciepła. W tym cieple myśl traciła energię, stopniowo się zatracala... Odpoczywający po Warszawie dziedzic Turowa drzemał.

Ocknął się. Ktoś chodził po pokoju. Znów te same miarowe kroki tam i spowrotem, tam i spowrotem...

Opanowało go przygnębienie. Zaczął wyrzucać sobie, że buduje szczęście w tym domu klęski, że oczekuje ukochanej kobiety tu, gdzie on rozpaczal po stracie swojej. Przypomniawszy sobie panią Czarnkowską.

Przecie to ona pierwsza wyraziła chęć przyjazdu do Turowa...

— Przyjeżdża do ciebie jako pokutnica — zaczął mówić — prosić o przebaczenie. Czy jej przebaczysz?...

Potał ręką po czole.

— Znów rozmawiam ze zmarłymi. Tradycja starych wierzeń jest chwilami silniejsza od rozumu.

Wstał i zadzwonił na Grzegorza. Gdy ten przyszedł, zapytał go:

— Czyś słyszał kiedy w tym pokoju kroki, jakby ktoś po nim chodził tam i spowrotem?...

Twarz służącego miała wyraz religijnej powagi.

— Pan słyszał?...

— Przed chwilą.

— To kroki nieboszczyka pana. On za życia tak samo chodził. Zaraz pierwszego wieczora po wyniesieniu ciała do kościoła przyszedłem tu i słyszałem, jak pan dalej chodzi po swej bibliotece...

— Cóż ty o tem myślisz?

— Cóż tu myśleć?... Widać, dusza jego nie ma spokoju...

Twardowski nie czuł się na siłach do dyskusji z prostym człowiekiem. Nie miał dla niego argumentów.

— My sami — pomyślał — skłonni jesteśmy uważać za nadprzyrodzone zjawiska, których nie umieliśmy dotychczas zbadać i wytłumaczyć.

Poszedł na górę poczytać jeszcze, poczem położył się do łóżka. Piorun zajął swoje miejsce.

Rano, po pierwszym śniadaniu, zabrał się do papierów stryja i w porządku rozmieszczał je w szafach. Przerwał mu tę pracę Grzegorz, który wszedł trochę za energicznie jak na służącego i stanął przed nim, czekając na pozwolenie zabrania głosu.

— Czego sobie życzysz? — zapytał Twardowski.

— Proszę pana, przyszedłem spytać, jak to będzie z tym Kulmerem.

Ton jego był tak stanowczy, jakby przemawiał z rozkazu władzy wyższej, niż obecny właściciel Turowa.

Zdziwiony Twardowski bacznie nań spojrzał. Przy innym przedmiocie nie zniósłby tego tonu. Ale tu widział, że przez usta służącego przemawia tylko gorące przywiązanie do pamięci stryja. Odpowiedział łagodnie:

— Myślę, że z nim nie będziemy mieli kłopotu. Po tem, com zrobił, dla niego niema miejsca w Warszawie. Będzie musiał gdzieś wyjechać.

— Rozumiem.

Wykonał zwrot prawie żołnierski i wyszedł.

Przy śniadaniu Grzegorz, zazwyczaj rozmowny i przyjacielski, zachowywał się sztywno, jak najbardziej stylowy służący wielkiego domu.

Popołudniu, gdy Twardowski znów był zajęty w bibliotece, Grzegorz znów wszedł.

— Co się stało? — zapytał Twardowski.

Służący miał minę trochę zakłopotaną.

— Przyszedłem z pokorną prośbą.

— Czego chcesz?

— Zwolnić się od służby.

Twardowski szeroko otworzył oczy.

— Już teraz jestem panu niepotrzebny. Z Kulmerem już skończone, w domu porządek zrobiony, wszystko na przyjęcie pań przygotowane. Antoni to bardzo dobry służący i pewny człowiek, a jakby pan sobie życzył, to mam dla niego pomocnika: mój rodzony siostrzeniec, uczciwy i zdolny chłopak. A ja, proszę pana, mam żonę i dzieci, mam grunt, com go dostał od nieboszczyka pana, postawiłem sobie w zeszłym roku domek. Chciałbym w nim zamiesz-

kać, zająć się gospodarstwem i dziećmi, żeby wyrosły na ludzi.

Twardowski nie mógł zaprzeczyć, że pragnienia Grzegorza są słuszne, aczkolwiek uderzyło go, że ten, wyłuszczając je, nie patrzył mu prosto w oczy.

— Kiedyżbyś chciał odejść? — zapytał.

— Zaraz, gdyby pan był łaskaw pozwolić. Teraz wiosna, czas na robotę w gospodarstwie...

— Dlaczegożes mi przedtem nic nie mówił?

— Nie mogłem pana opuścić. Dopiero teraz, kiedy z Kulmerem już załatwione...

Odpowiedź była logiczna. Tylko dlaczego on takim dziwnym tonem wymówił ostatni wyraz?...

Pomyślawszy chwilę, Twardowski rzekł:

— Mój drogi, niedawno się znamy, ale miał sposobność się przekonać, żeś człowiek bardzo uczciwy i że mam w tobie szczerego przyjaciela. Ja też jestem twoim przyjacielem. Rozumiem dobrze, że masz obowiązki względem żony i dzieci, i nie zaprzeczam, że prośba twoja jest słuszna. Przykro mi się z tobą rozstać, ale trudno — idź na swoje gospodarstwo. Będziemy bliskimi sąsiadami i mam nadzieję, że zajrzysz do mnie od czasu do czasu. Proszę cię, licz na mnie, gdy ci moja pomoc w czem będzie potrzebna.

Grzegorz się pochylił, pocałował go w rękę i odszedł lekkim krokiem.

Twardowski pozostał z poczuciem, że wierny służący stryja nie wszystko mu powiedział, co miał w duszy.

Nazajutrz Grzegorz z rodziną wyprowadził się z domu turowskiego do siebie, przedtem przedstawivszy panu swego szesnastoletniego siostrzeńca, Janka, dobrze wyrosniętego i sprytnie patrzącego chłopaka, i oddawszy go pod komendę Antoniego.

Po paru dniach Twardowski dobiegał do końca z porządkowaniem papierów w bibliotece. Nie zna-

laźł nic, coby mogło mieć wagę dla Culmera i dla grabarzy. Nie było też książek, o któreby im mogło chodzić. Czy to zostało wszystko zniszczone, czy umieszczone gdzieś poza domem, czy może w domu jest jeszcze jakaś skrytka, na którą nie wpadł?...

Miał list od Wandy, która donosiła, że jej go bardzo brakuje, że tatko jest w Zbychowie, że ona z mamusią przygotowują się do najazdu na Turów i zgóry ogromnie się cieszą.

W dwa dni dostał drugi list, zawierający mniej więcej to samo z dodatkiem, że od tatka ze Zbychowa niema żadnych wiadomości.

Jednocześnie, również ze stemplem warszawskim, przyszedł drugi list, adresowany po francusku. Otworzył kopertę, spojrzął na podpis: Prof. R. Paloma Oldenhuis.

Czytał był w gazetach o przyjeździe profesora do Warszawy dla studjów nad kwestją mniejszości narodowych. Znał go, spotykał tego Żyda holenderskiego w Paryżu. Miał z nim raz interesującą rozmowę, w której Oldenhuis pouczał go, że jedyną drogą do zdobycia wiedzy wyższej jest wejście do organizacji, która tę wiedzę posiada — to samo, co mu w parę lat potem powiedział Kulmer.

— Niezawodnie — pomyślał Twardowski — przyjazd jego jest w związku z kłopotami mecenasa.

Profesor przypominał się pamięci Twardowskiego, chciał się koniecznie z nim zobaczyć, gotów był przyjechać do Turowa, jeżeli ten nie będzie w Warszawie.

Twardowski postanowił za dwa dni rano pojechać do Warszawy i przyjąć tam profesora przedpołudniem. Odpisał mu, a jednocześnie napisał do Wandy, zapraszając się do nich tegoż dnia na śniadanie.

W dwa dni potem o jedenastej rano siedział w swem mieszkaniu warszawskim, oczekując holenderskiego profesora, z którym obiecywał sobie interesującą rozmowę.

Profesor, wszedłszy do gabinetu Twardowskiego, wyraził przedewszystkiem ogromną radość spowodu spotkania się w tem obcym dla niego mieście z dawnym a tak miłym znajomym.

Gdy usiadł, zapytał:

— Cóż, prowadzi pan dalej studja metapsychiczne?

— W ostatnich czasach je przerwałem; zajęty jestem sprawami osobistymi. Odziedziczyłem majątek po stryju.

— Majątek albo pomaga studjom, albo im przeszkadza — rzekł, śmiejąc się, profesor.

— Mnie dotychczas przeszkadza, ale mam nadzieję, że w przyszłości pomoże. Ma się rozumieć, część energii trzeba będzie oddać praktycznemu życiu.

— Bardzo słusznie. Ja to samo robię i udział w praktycznem życiu bierze u mnie coraz więcej przewagę nad pracą naukową.

— Chyba brał zawsze — zauważył znacząco Twardowski.

— Pamięta pan naszą długą rozmowę w Paryżu, nieprawda? Chciałbym teraz ją z panem kontynuować...

— W celu?

— To się okaże z rozmowy, jeżeli pan sobie jej życzy.

— Ależ owszem.

Twardowski spodziewał się jeszcze czegoś dowiedzieć.

— Pan domyślił się — mówił powoli profesor — że się bardzo interesuję pewną organizacją.

— Naturalnie.

— Otóż ta organizacja miewa poważne trudności. Rzadko, raz na dziesiątki lat, ale zdarza się czasami, że się popełni błąd i wpuści w jej szeregi człowieka, który nie dorasta moralnie do wymaganego poziomu...

Profesor przerwał i widocznie czekał jakiejś uwagi od słuchacza. Ten wszakże milczał.

— Taki właśnie wypadek zdarzył się tu, w Warszawie. Wielki kłopot sprawił mi niejaki Henryk Culmer... Pan go zna?

— Miałem sposobność z nim się zetknąć.

— Ostrzegam pana. To człowiek bardzo zdolny, ale okazał się bardzo nieuczciwym.

Twardowski śmiał się w duchu z tego przyjacielskiego ostrzeżenia.

— To jest tragedia — ciągnął profesor. — Jużemy z nim zerwali. Mamy tu wielu poważnych ludzi, którzy zasługują na to, ażeby na ich czele stała osobistość nie tylko nieskazitelna, ale bardzo wybitna. Niestety, niema nikogo, kto by się na to wielkie stanowisko nadawał, kto by umiał korzystać należycie z posiadanej władzy...

Twardowski ciągle milczał. Profesor po krótkim wahaniu znów zaczął:

— Myślałem sobie, że gdybyśmy mieli tak wybitnego i tak europejskiego człowieka, jak pan, w krótkim stosunkowo czasie moglibyśmy pana na to stanowisko wysunąć...

Zapanowało kłopotliwe milczenie. Wreszcie przerwał je Twardowski:

— Przecenia pan moje zdolności. Wątpię też, że bym kiedykolwiek mógł rozwinąć w sobie ambicję w tym kierunku.

— Dlaczego? — zapytał gorąco profesor.

— Jestem indywidualistą i cenię nadewszystko swoją wolność.

— Cóż człowiek znaczy sam? do czego dojść może? co może zdziałać?...

Wywiązała się dyskusja, w której Twardowski robił wszelkie wysiłki, żeby zachować zimną krew i spokój, a także nie okazać, że wie za wiele.

Wreszcie profesor się rozgorączkował i rzekł:

— Pan jest bardzo nierozsądny.

— Culmer był rozsądniejszy — Twardowski się uśmiechnął.

— Culmer był najnierozsądniejszym człowiekiem w świecie!

— A ja myślałem, że mu brakowało tylko uczciwości.

Ironja w tonie Twardowskiego zirytowała profesora.

— Mniejsza o Culmera, on już dla nas nie istnieje. Mowa o panu. Czy pan wie, że bywają sytuacje, kiedy można wszystko wygrać, albo wszystko przegrać? Obawiam się, że pan się obecnie w takiej znajduje.

— Toby było interesujące.

— I że pan niedość poważnie swą sytuację traktuje.

— A jakże się na swoją zapatruje Culmer? — zapytał Twardowski uśmiechnięty.

Profesor nie odpowiedział. Powstał ze słowami:

— Jestem pewien, że nie ostatni raz o tym przedmiocie rozmawiamy...

— Może być.

Pożegnali się.

Było pół do pierwszej. Twardowski kazał zajechać i udał się do pań Czarnkowskich.

Służący otworzył mu drzwi z jakąś grobową miną. Czuł, wchodząc, atmosferę zamieszania. Chodził po salonie, zapytując siebie, co się stać mogło.

Za chwilę weszła Wanda, blada, z zaczerwienionemi oczyma. Miała na sobie czarną sukienkę, której nigdy nie widział.

— Tato nie żyje — rzekła cicho, wyciągając do niego rękę.

Nie wyrzekł ani słowa. Otoczył ją ramieniem, przygarnął do siebie i pocałował w czoło. Dziewczyna rozplakała się.

Począł, aż się uspokoiła i łzy otarła. Posadził ją na kanapie, usiadł koło niej i zapytał:

— Jak to się stało?

— Dziś rano przyjechał rządca ze Zbychowa z wiadomością, że tatko umarł o północy na atak sercowy. Cały dzień jeździł po folwarkach, wieczorem poczuł się słabo i koło dziesiątej kazał telefonować po doktora. Zanim doktor przyjechał, już nie żył.

Znów się rozplakała.

— Po powrocie z Londynu — rzekł po chwili — zastałem go strasznie zmienionym. Nie przypuszczałem jednak...

— Tatko nie był silnym człowiekiem, ale na pewno byłby żył...

— Gdyby nie te przejścia — rzekł Twardowski.

— Gdyby się był tak strasznie nie zawiódł na człowieku, któremu ufał bezgranicznie.

Mimowoli zboleła dziewczyna postawiła najlepszą diagnozę: Czarnkowski był za słabym człowiekiem, żeby żyć bez oparcia się o kogoś. Gdy zabrakło mu Culmera, wszystko się zawaliło...

Weszła pani Czarnkowska, również czarno ubrana. Miała twarz skupioną, usta jakoś dziwnie zaciśnięte, oczy suche.

— Wie pan o wszystkim? — zapytała.

W milczeniu pocałował ją w rękę. Powstrzymał się od wyrażenia jej współczucia.

— Moje kochanie — zwróciła się do córki — przynieś mi mój woreczek.

Gdy Wanda wyszła, odezwała się jakimś mocnym głosem:

— Nowa ofiara Culmera. Umarł na serce, tak jak Alfred. Teraz kładę żałobę, którą już dawno winnam była nosić.

Wanda wróciła i podano śniadanie.

Panie mu powiedziały, że popołudniu wyjeżdżają do Zbychowa, gdzie staną wieczorem. Nie śmiał zapytać, jaki los spotka projekt wyjazdu do Turowa; ale pani Czarnkowska sama o tem pomyślała i upewniła go, że zaraz po pogrzebie, który się odbędzie

w Zbychowie, przyjadą do niego. Ofiarował się im do Zbychowa towarzyszyć, co obie przyjęły z wdzięcznością.

XXVIII.

Mecenas Culmer siedział przy pierwszym śniadaniu. Machinalnie pociągał kawę z filiżanki, patrząc w przestrzeń, jakby goniąc jakąś myśl, która przed nim uciekała.

To zajęcie przerwał mu Jakób, kładąc przed nim gazetę i wskazując palcem na telegram z Londynu. Mecenas drgnął i zaczął czytać:

„W związku ze sprawą *Tugela River Gold Co.*, która niedawno zawiesiła wypłaty, aresztowany został znany finansista sir Joseph Turner. Wywołało to niebywałą sensację, nie tylko ze względu na fakt, że aresztowany należy do utytułowanej sfery angielskiej, ale także, iż cieszył się on wielkim autorytetem w świecie finansowym i posiadał niemałe wpływy polityczne.”

Mecenas zdrętwiał. To już jest katastrofa! To gorsze, niż wszystko. Skandal z Turnerem pociąga za sobą konsekwencje nieobliczalne.

Z biciem serca oczekiwał następnego dnia. Otrzymywał stale *Daily Telegraph*: w najbliższym numerze pewnie będą wiadomości obszerniejsze.

Nazajutrz, przerzucając chciwie numer angielskiego dziennika, znalazł artykuł o aresztowaniu wybitnego finansisty. Kończył się on ustępem:

„Jesteśmy pewni, że sir Joseph Turner łatwo się oczyści z zarzutów, które podobno opierają się na zeznaniach niejakiego Charlesa Culmera, Polaka, osobistości bardzo podejrzanej, znanej od paru lat wśród najlichszych żywiołów City i w nocnych lokalach West Endu.”

Wypuścił z rąk gazetę. Przez parę minut był sparaliżowany...

Nagle zerwał się z miejsca i zaczął biegać nierównymi krokami po pokoju, krzycząc:

— Kto mnie przeklął?... kto mię przeklął?...

Wreszcie usiadł przy biurku, oparł głowę na łokciach, wpił palce w swą białą grzywę.

Na biurku od wczorajszego wieczora leżała sina obwoluta — jedno z licznych *dossiers*, spoczywających w aktach mecenasa. Wzrok jego padł na nią... Wielkie, czarne litery tworzyły napis:

ALFRED TWARDOWSKI.

— Tak, to on... — wyszeptał. — On mnie przeklął... On nakazał zemstę synowcowi... On zostawił na to pieniądze... Przekleństwo, przekleństwo, przekleństwo!...

Zaczął trząść się jak liść.

Gdzieś się podział cywilizowany Europejczyk — pozostał tylko prosty talmudyczny Żyd, który rażony klątwą wydziera sobie włosy z głowy...

Wyczerpany atakiem rozpaczyny opadł bezwładnie na plecy fotela. Próbował wyobrazić sobie, co się dzieje w Londynie, ale mózg przestał działać...

Tymczasem w Londynie działy się rzeczy całkiem proste.

Pan Charles Culmer, wybierając się do Ameryki, uznał za potrzebne zobaczyć się po drodze z pewną londyńską przyjaciółką. W Duwrze przy rewizji paszportowej zaproszono go do osobnego pokoju i tam zakomunikowano mu, że mają polecenie aresztowania go i odesłania do rozporządzenia komisarza Sinclaira. Ten się nim zaopiekował, pokazał mu jego własne listy do Stuarta, wraz z protokołem rozmowy w wagonie, jako komentarzem do nich, wobec czego młody finansista uczuł się zmuszony do opowiedzenia wszystkiego, co wiedział o współpracy Turnera z *Tugela River*.

Po otrzymaniu tych zeznań Sinclair zrealizował jedno z dwóch swoich marzeń: osadził „szlachcica angielskiego” w areszcie i zaczął z nim rozmowę, która okazała się trudniejszą, niż z latoroślą rodu Culmerów, ale zato o wiele więcej interesującą.

Charles Culmer był całą sprawą mocno zmartwiony, ale najwięcej tem, że dokonano przy nim rewizji osobistej i położono rękę na znaleziony w jego kieszeniach znaczny zapas dolarów, reprezentujący jego kapitał zakładowy na nowe interesy. Sinclair zakomunikował mu uprzejmie, iż jest wszelka nadzieja włączenia tej sumy do masy upadłości *Tugela River*. Wobec tego zdjęła biedaka skrucha, że nie zostawił rodzicowi przynajmniej znacznej części tych pieniędzy.

Tak się przedstawiały wypadki, które ułamkowo zreferowane w gazetach, doszły do mecenasa Culmera.

Pewnego ranka, kiedy Culmer leżał w łóżku, nie mając ochoty wstać na powitanie dnia, conajmniej równie wstrętnego jak poprzedni, wszedł do sypialni Jakób, rozpostarł przed jego oczyma gazetę i milcząco wskazał palcem na krótką notatkę:

„Znana powaga w dziedzinie prawa międzynarodowego, prof. Robert Paloma Oldenhuis z Holandji, przybywa dziś rano do Warszawy. Podróż wielkiego uczonego związana jest z jego studjami nad sprawą mniejszości narodowych w środkowej Europie.”

Jest... Należało się tego spodziewać, a jednak mróz przeszedł po skórze mecenasa. Wolałby, żeby się to odwlekło...

Leżał jeszcze z pół godziny, myśl jego szybko pracowała. Przygotowywał się do nieuniknionej rozmowy.

Miał już wstać, gdy wszedł Jakób.

— Był telefon z Hotelu Europejskiego. Profesor Oldenhuis zawiadamia, że będzie u pana o piątej popołudniu.

A więc jest jeszcze sporo czasu... Dźwignął się ciężko z łóżka i powoli wciągnął szlafrok, myśląc nieustannie. Zaczął chodzić po pokoju...

Podszedł do dzwonka, nacisnął. Weszła pokojówka.

— Niech tu Jakób przyjdzie.

— Jakóba niema.

— Gdzie jest?

— Ubrał się i wyszedł na miasto.

Odprawił ją gestem.

Jakóba niema... Poszedł do Oldenhuisa — musiał go wezwać. Pierwej z Jakóbem o mnie, a potem ze mną. To nie jest dobrze...

Mecenas Culmer nie mylił się. Jakób, wyszedłszy z domu, złapał pierwszą taksówkę i kazał się wieźć do hotelu Europejskiego. /

W hotelu, nie informując się u nikogo, wszedł po schodach na pierwsze piętro, odnalazł numer drzwi, którego szukał, i zapukał lekko w jakiś kunsztowny sposób.

— *Herein* — rozległ się głos zewnątrz.

Jakób wszedł.

Za niewielkiem biurkiem siedział lekko otyły, średniego wzrostu mężczyzna, w wieku jakichś lat pięćdziesięciu, wygolony, szpakowaty, z ostrym, lekko garbatym nosem, z suchymi czarnymi oczyma.

Wskazał Jakóbowi krzeselko.

— Niech pan siada — rzekł po niemiecku grzecznie, głosem jednak, w którym brzmiała komenda.

Jakób bez wahania usiadł. Przez chwilę obaj milczeli. Wreszcie profesor odezwał się:

— Ja myślę, że on już jest skończony.

— Bez żadnej wątpliwości. Narobił za wiele szkody.

— Kiedyż to się zaczęło?

— Właściwie zaczęło się już przed wojną. Wtedy już nie umiał sobie poradzić z tym zdrajcą Twardow-

skim. Znadto wierzył w siebie. Zwracałem na to uwagę, ale myślałem, że to jeden błąd, który się nie powtórzy. Szkoda go było, bo to człowiek zdolny i umiał sobie wyrobić silną pozycję. Teraz się to powtórzyło z drugim Twardowskim. Ten jest dużo niebezpieczniejszy, i to sprawa gorsza. Wywołał ją sam Culmer przez to, że zbyt był pewny siebie. Największym nieszczęściem jego jest słabość do syna, tego gałgana, który jest przyczyną całego skandalu londyńskiego.

Widoczne było, że Jakób jest nie tylko służącym i pomocnikiem Culmera, ale i kontrolerem jego postępowania z ramienia władzy wyższej.

Na rozkaz profesora opowiedział szczegóły wszystkich spraw, które Culmera postawiły w położenie bez wyjścia. Gdy skończył, profesor milczał chwilę, a potem rzekł:

— Jedno jest tylko rozwiązanie: Culmer musi zniknąć.

— Dotychczas nie myśli o ucieczce: tyle nici wiąże go z Warszawą...

— Nie może być mowy o tem. Ucieczka człowieka tak znacznego — to nowy, wielki skandal. Tu trzeba możliwie zamknąć usta gawiedzi. On musi zniknąć w inny sposób. Tylko czy on się na to zgodzi?...

— On bardzo kocha życie...

— Zobaczymy. Proszę przyjść do mnie jutro rano o tej samej porze.

Jakób wyszedł i taksówką wrócił do domu.

Culmer go nie pytał, poco wychodził na miasto. Cekał, czy Jakób sam czego nie powie, ale jego służący i powiernik tak się zachowywał, jak obcy sublokator w jego mieszkaniu. Robił swoje, starając się jaknajmniej zważać na obecność pana. Zdenerwowanie Culmera dochodziło do granic, poza którymi pozostaje już tylko szaleństwo.

Czekał popołudniowej wizyty, jak tchórz oczekuje pojedynku, z przekonaniem, że skończy się dla niego fatalnie. Patrzył co chwila na zegarek...

Punkt o piątej rozległ się dzwonek.

Gość wszedł z miną surową. Dla Culmera twarz jego była odbiciem zimnego okrucieństwa.

Podał rękę gospodarzowi bez słowa powitania, usiadł w fotelu i rzekł po niemiecku:

— Nie myślałem, że spotkamy się w okolicznościach tak smutnych.

— Dla mnie tragicznych — odrzekł Culmer z emfazą.

— Nietylko dla pana.

Culmer zaczął szeroko mówić o przyczynach tego, co się stało, wskazując je stale poza sobą.

Profesor mu przerwał:

— Nie ma pan potrzeby opowiadania mi o tem, co się stało. Ja wszystko wiem, jestem dokładnie poinformowany. Chciałbym tylko mieć ściśle zeznanie w sprawie *Tugela River* z pańskiej strony.

To było dla Culmera najcięższe. Wiedział wszakże, iż nic utaić się nie da. Bijąc się tedy w piersi, przyznał się do wszystkiego.

— Pan wie — rzekł gość zimno — że my staramy się nie krępować swoich ludzi w interesach; owszem, pomagamy im. Ale żądamy rozumu i taktu. Skandale są niedopuszczalne.

Culmer zaczął przytaczać okoliczności łagodzące, a gdy widział, że to nie sprawia wrażenia, powoływać się na swoje zasługi.

— Wiem, wiem, wiem — mruczał gość. — Wszystko pan przekreślił. Dziś jest pan niemożliwy.

— Tak — rzekł zrozpaczony mecenas — położenie jest prawie bez wyjścia...

— Wyjście zawsze jest — rzekł gość twardo.

— Jakież?...

— Gdy nie można wyjść z położenia, to się wychodzi z życia.

Culmer odrzucił się wtył i blady patrzył w gościa szklanemi oczyma.

— Ja... mam?...

— Tak — rzekł spokojnie profesor, nie dając mu dokończyć.

— Ja tego nie mogę zrobić!

Oldenhuis wzruszył ramionami. Czekał chwilę i powstał.

— Pewne stanowiska obowiązują — rzekł sucho. — Radzę się zastanowić... Współczuję panu, ale to jest jedyne wyjście. Pozostaje już tylko...

— Co? — wykrztusił Culmer chrapliwym głosem. — Co zrobicie?

— Wolę tego nie mówić. Żegnam pana.

Z temi słowy profesor Paloma Oldenhuis opuścił mieszkanie mecenasu Culmera. Ten pozostał w fotelu, sparaliżowany trwogą. Chciał powstać, zatrzymać odchodzącego, ale nogi i ręce odmówiły mu posłuszeństwa.

Miotał się wewnętrznie jak w agonji. Później przyszło przytępienie i apatja.

Obiadu tego wieczora nie jadł, kazał sobie podać tylko czarną kawę i koniak. Wypił dużo obu płynów i to go postawiło nieco na nogi. Zaczął myśleć nad innem wyjściem. Zlikwidować interesy i wyjechać gdzieś daleko?... Ale dokąd?... Do Ameryki? Tam nie można; tam ich jest za wielu... Może do Włoch?... Tam teraz chyba najbezpieczniej. Rzecz zaczęła mu się przedstawiać prawie realnie...

Zdecydował się iść spać. Jutro spokojnie trzeba wszystko przemyśleć.

Wszedł do sypialni i odkręcił światło. Zadrżał...

Na stoliku, przy łóżku ujrzał swój nieużywany browning, który tam nigdy nie leżał.

Zbliżył się powoli, jakby do węża jadowitego. Broń była świeżo wyczyszczona, przygotowana do użycia. Patrzył na nią zdrętwiały... To Jakób mu tak ułatwia powzięcie postanowienia... Nagłym ruchem chwycił broń, wrócił do gabinetu, wyciągnął szufladę, wrzucił w nią automatyk i zamknął na klucz.

— Nie doczekacie się tego! — zazgrzytał.

Nazajutrz Jakób znów siedział u profesora Oldenhuisa.

— Byłem pewny — mówił — że on się na to nie odważy.

— W takim razie trzeba skończyć z nim na innej drodze.

W głosie profesora brzmiał wyrok nieodwołalny.

Jakób tonem spokojnym, jakby mówił o najzwyczajszej w świecie rzeczy, odpowiedział:

— Myślałem o tem przed przyjściem tutaj.

— Trzeba to zrobić tak, żeby nie było skandalu.

— Możeby się udało zrobić tak, że skandal byłby, ale nie dla nas.

— Co pan chce powiedzieć?

— A gdyby się dało tak urządzić, że sprawcą okazałby się drugi człowiek, którego musimy się pozbyć?...

— Kto?

— Twardowski.

Oczy profesora błysnęły.

— Czy to możliwe?

— Nie mogę jeszcze powiedzieć, że na pewno możliwe. Potrzebuję na to trochę czasu.

— Ile?

— Może z tydzień.

— Ja tu dłużej zabawię. Gdy pan plan przygotuje, obejrzymy go. Tylko proszę pamiętać, że nie mamy czasu do stracenia i że sprawa musi być załatwiona.

— Amen — rzekł Jakób. Wobec pożegnalnego gestu profesora Oldenhuisa złożył głęboki ukłon i poszedł pracować.

Przed wyjściem zostawił profesorowi dość długi spis adresów w Warszawie i na prowincji, który ten kazał być dla siebie przygotować.

Profesor Oldenhuis siedział dłuższą chwilę nieruchomy. Myślał o czymś głęboko. Wreszcie rzekł do siebie:

— Trzeba i tego spróbować. Kto wie?... może?...

Wziął do ręki pióro i napisał ów list do Twardowskiego.

Po włożeniu listu do koperty wziął słuchawkę telefonu i podał numer.

Mówił tym razem po angielsku.

— Zdaje się, że poznaję głos pański. Mówi Paloma... Chciałbym pana jaknajprędzej widzieć... Na śniadanie?... Dziękuję bardzo, przyjdę... Mogę przyjść wcześniej? o pół do pierwszej?... Dobrze.

Zajrzawszy do spisu, pozostawionego mu przez Jakóba, zaadresował list do Twardowskiego i, nie zalepiając koperty, włożył go do kieszeni.

Po pół do pierwszej prof. Paloma Oldenhuis siedział w głębokim, skórą krytym fotelu, w obszernym, kosztownie i poważnie umeblowanym gabinecie, którego ściany, ozdobione długimi szeregami grubych tomów na półkach, świadczyły o powadze umysłowej gospodarza.

Naprzeciw niego, w takimż fotelu, siedział sam gospodarz, starszy o kilkanaście lat od gościa, z suchą twarzą, której wygolenie uwydatniało jej ostre rysy żydowskie, tak stylowo żydowskie, że aż rzadko spotykane. Czarne oczy jego były utkwione w gościa, a na ustach, zarysowanych coprawda po żydowsku, z wargami jednak bardzo cienkimi, błąkał się ledwie dostrzegalny uśmiech. Nie był to uśmiech uprzejmy —

raczej mówił on o poczuciu wyższości u jego właściciela.

— Nie przypuszczałem, że Culmer nam sprawi tyle kłopotu — mówił Oldenhuis. — Syn takiego zasłużonego człowieka.

— Tak — rzekł gospodarz — ojciec jego to był pierwszorzędny człowiek. Chcąc wszakże spełnić swe zadanie, musiał się ochrzcić. A za to się drogo płaci. Bo już nie można dzieci wychować w naszej religji, naprawdę po żydowsku. Oni są Żydami, bo Żydem przestać być nieposób, ale są Żydami płytkimi i niepoważnymi. Żałuję, że formalnie należę do jego grupy, żem czasami brał udział w jej zebraniach. To, co się stało, jest bardzo nieprzyjemne.

— Właśnie przyszedłem pana pytać o radę, jak to naprawić. Panby nam mógł pomóc.

Uśmiech na ustach gospodarza stał się wyraźnie ironicznym.

— Nie proponuje mi pan chyba, żebym go zastąpił? Nie mogę się przecie tak zdegradować.

— Ależ nie śmiałbym nigdy. Tylko gdyby pan chciał wziąć teraz trochę więcej udziału...

— Pan wie przecie — przerwał gospodarz — że moje wysokie stanowisko nie pozwala mi na zbyt określoną rolę w tej organizacji, na pełnienie w niej jakichkolwiek stałych funkcji...

— Prawda.

— Rozumiem trudność położenia, bo wśród tej reszty niema ani jednego człowieka.

— Co pan myśli o Twardowskim?

Gospodarz spojrział bystro na mówiącego.

— Śmiała myśl — rzekł. — Niestety, ja go nigdy nie widziałem.

— Ja go trochę obserwowałem przed paru laty. Miałem z nim raz ciekawą rozmowę.

— O czym?

— O Kabale.

— Oho! — zawołał gospodarz ożywiony. — Cóż on mówił?

— Przedewszystkiem widziałem, że dużo wie. Chwilami mówił tak, jakby był Żydem. Zna wcale nieźle hebrajski...

— I ja słyszałem, że on wie dużo. Tacy ludzie powinni być w naszych rękach, albo nie powinno ich być wcale. Tylko takiego człowieka trzeba za coś mocno trzymać.

— Więc?...

— Można spróbować.

Rozmowę przerwało śniadanie.

Profesor Paloma Oldenhuis, wyszedłszy po śniadaniu na ulicę, wyjął z kieszeni list zaadresowany do Twardowskiego, zalepił go i wrzucił do skrzynki pocztowej.

XXIX.

Koło piątej Twardowski zajechał po panie, ażeby je swą limuzyną zawieźć do Zbychowa. Ich automobil odszedł o godzinę wcześniej, wioząc służącego, pokojówkę i kuferki. Wanda chciała nim pojechać, ale matka jej nie pozwoliła.

W drodze pani Czarnkowska opowiadała Twardowskiemu o Zbychowie i o dzieciennych latach Wandeczki, widocznie chcąc oderwać od obecnej chwili myśl dziewczyny, która siedziała w milczeniu, od czasu do czasu ocierając łzy, cisnące się jej do oczu.

Już było dobrze ciemno, kiedy zajechali przed dom zbychowski, obszerny dwór wielkoszlachecki, zbudowany, sądząc ze stylu, w końcu 18 wieku. Służący na wstępie zaraportował, że ciało złożono już do trumny i wystawiono w wielkiej sali.

Wanda, nie zdejmując płaszcza, pobiegła do sali. Pani Czarnkowska powoli się rozbierała, zatrzymując Twardowskiego.

— Niech mi pan nie próbuje w niczem pomagać — mówiła do niego. — Ja sobie sama ze wszystkim poradzę. Niech się pan zajmie Wandeczką — ona jest bardzo biedna.

W tonie jej i ruchach Twardowski zauważył jakąś nową energję. Później stwierdził, że ta energja nie opuszczała jej ani na chwilę przez cały czas pobytu w Zbychowie. Była w wielkim stylu panią domu, pamiętającą o wszystkim, wydającą rozkazy spokojnie, bez podniesienia głosu, rozkazy, które były natychmiast ściśle wykonywane.

Powoli przeszli do sali, gdzie zastali dziewczynę, klęczącą przed trumną ojca i zalaną łzami. Pani Czarnkowska zatrzymała się, wzrok jej padł na otwartą trumnę, na którą dwie wysokie świece woskowe rzucały żółte, falujące światło, poczem uklękła i zaczęła się modlić. Oczy jej były suche...

Twardowski patrzył to na jedną, to na drugą z klęczących kobiet, porównywał je i próbował sobie odtworzyć, co się dzieje w duszy każdej z nich... Przypomniawszy sobie słowa pani Czarnkowskiej o Wandzie: „ona jest bardzo biedna”... A ty? — zapytał w duchu ze ściśniętym sercem.

Śmierć Czarnkowskiego była dużym wypadkiem nie tylko dla okolicy. Miał on stosunki w całym kraju i niemało krewnych. Telegramy kondolencyjne napływały jeden za drugim tak, iż należało się spodziewać wielkiego zjazdu na pogrzeb.

Pani Czarnkowska o wszystkim myślała. Zarządziła pogrzeb: pojutrze rano nabożeństwo żałobne w miejscowym kościele, po nabożeństwie złożenie zwłok do grobów rodzinnych. Rozpisała listy do okolicznego duchowieństwa z zaproszeniami do udziału w obrzędzie. Przygotowywała dom na przyjęcie licznych gości i wielkie śniadanie dla nich po pogrzebie. Wszystko robiła równo, ze spokojem. Twardowski

nie mógł zrozumieć, skąd się w tej kobiecie wzięło tyle energii.

On sam starał się przebywać jaknajwięcej w towarzystwie Wandy. Mówił dużo, usiłując oderwać jej myśli od tej stojącej w domu otwartej trumny: opowiadał jej wiele o sobie, o swej przeszłości od lat dziecinnych, wiedząc, że to ją interesuje. Dziewczyna była bierna, uległa, wpatrzona weń słuchała wszystkiego, co mówił. Straciwszy ojca, całkowicie już oparła się o niego, trzymała się go jakby w strachu, że bez niego zginie. Wszystko, co jej zalecał, wykonywała jak posłuszne dziecko...

— Mama postanowiła — mówił do niej — przedstawić mię krewnym i znajomym, jako twego oficjalnego narzeczonego. To dobrze, prawda?...

Przytuliła się do niego.

— Jaka ona dobra! — szepnęła. — O wszystkim myśli i wszystko rozumie. Ja już nie mam siły grać dłuższej komedji. Będę mogła mówić głośno, żeś mój...

W dzień pogrzebu od wczesnego rana zaczął się ruch pojazdów, zwożących gości na pogrzeb. Bliżsi zajeżdżali do domu, dalsi do kościoła. Wielu z nich znało cały bukiet wieści, puszcanych po Warszawie o Twardowskim, a byli między nimi i tacy, którzy mieli sposobność mu okazać, że tym plotkom wierzą. Pani Czarnkowska wszakże, która istotnie myślała o wszystkim, zdążyła szepnąć paru paniom, że Twardowski jest bardzo bogaty i włoży parę milionów w Zbychów, aby podwoić jego dochody. Ta wieść z błyskawiczną szybkością rozeszła się wśród całego zgromadzonego towarzystwa. Natychmiast zapomniano o wszystkich plotkach, zaczęto mówić o świetnej partji, jaką robi panna Czarnkowska, a jej narzeczony stał się centralną osobą wśród zgromadzonych. W czasach takiego braku gotówki człowiek, rozporządzający milionami, był bohaterem.

Dyskretnie, ze względu na smutną chwilę, składano młodej parze życzenia.

Twardowski przez cały czas porównywał ten okazały pogrzeb z bezdennie smutnym w swem ubóstwie obrzędem, odprawionym wśród nocy zimowej przez księdza Rybarzewskiego.

Podczas pogrzebu pani Czarnkowska trzymała się mężnie, ani na chwilę nie opuściły jej siły. Niemniej dobrze trzymała się przy śniadaniu, na które zaproszono kilkadziesiąt osób. Tylko ból, wypisany na twarzy Wandy, i takt zebranych sprawił, że nie wykołęiło się ono w ucztę zaręczynową. Gdy goście się rozjechali, gdy Twardowski, odprowadziwszy ostatniego do samochodu, wrócił do pań, siedzących w małym saloniku, zastał Wandę w ramionach matki i ujrzał łzy na twarzach obu kobiet.

Pani Czarnkowska otrząsnęła się.

— No, dziecinko — rzekła — idź, gotuj się do drogi. I my pojedziemy.

— Dokąd? — spytała dziewczyna.

— Do Turowa.

Wanda zdziwiła się, że to następuje tak rychło, ale spojrzała na Twardowskiego i szybko wyszła wykonać rozkaz.

Jej przybrana matka odetchnęła z ulgą i rzekła do Twardowskiego:

— Ostatnie obowiązki pani Czarnkowskiej spełnione. Już ten dom nie jest moim domem.

Uprzejmy a nieinteligentny narzeczony panny Czarnkowskiej byłby ją upewnił, że zawsze jej domem będzie. Twardowski wszakże zrozumiał myśl nieszczęśliwej kobiety i nic nie odpowiedział.

Poszedł do swego pokoju przebrać się. Kazał przysłać sobie Marka. Szofer już był uprzedzony i gotów do drogi. Z mapą w ręku obliczył, że boczniemi drogami, niezawodnie bardzo lichemi, można się będzie dostać do Turowa w ciągu trzech godzin.

Twardowski, zeszedłszy nadół, zastał przed domem oba automobile. Wszystkie rzeczy były złożone w wielkim, otwartym samochodzie Czarnkowskich, do którego stylu były przymocowane dwa duże kufty. Siedziała w nim pokojówka.

Za chwilę zeszły panie.

— Pan nas zabierze do siebie — rzekła pani Czarnkowska — a Antosia pojedzie za nami.

Widać było, że wszystko do końca obmyśliła i przygotowała.

Już mieli wsiadać, gdy do przedpokoju wszedł administrator Zbychowa, którego Twardowski przedtem był poznał.

— Pani była łaskawa mię wezwać — rzekł do pani Czarnkowskiej.

— Tak. Chciałam panu podziękować za pańskie trudy w tej smutnej chwili i pożegnać się z panem — mówiła to tak, jakby opuszczała Zbychów na zawsze. — Pan wie, że pan Twardowski jest przyszłym mężem mej córki. Otóż on tu teraz rządzi: jemu pan będzie łaskaw składać sprawozdania i do niego się zwracać po zarządzenia.

Twardowski był zaskoczony; nie myślał jeszcze o tych nowych obowiązkach, które musiały nań spaść z konieczności. Nie okazał tego jednak. Wyciągnął rękę do administratora ze słowami:

— Zobaczymy się wkrótce.

Jechali dłuższy czas w milczeniu. Każde z nich pogrążyło się w swych myślach. Najbardziej skupiona była pani Czarnkowska: brwi jej ściągnęły się, oczy patrzyły wdal nieskończoną, a zaciśnięte usta świadczyły o powzięciu jakichś decyzji nieodwołalnych.

— Dopiero dziś dowiedziałem się — przerwał milczenie Twardowski — że ze Zbychowa do mnie nie jedzie się przez Warszawę.

— To dobrze — odezwała się Wanda. — To mi daje poczucie, że będę niedaleko tatka.

Pani Czarnkowska drgnęła.

— Dziecko moje — rzekła — to jest bardzo daleko...

I jakby się spostrzegła, że powiedziała to niepotrzebnie, poprawiła się:

— Oczywiście nie dla ciebie. Cóż w twoim wieku znaczą trzy godziny choćby najgorszej drogi...

Wyrwana raz z zadumy zrobiła się rozmowna. Wypytywała Twardowskiego o dom turowski, o okolicę, o odległość od kościoła...

Droga, którą jechali, prowadziła przez miasteczko, które Twardowski znał dobrze, gdyż odwiedzał tam doktora Zemłę, i przez wieś kościelną.

Właśnie zbliżali się do miasteczka.

— Tu mieszka — rzekł Twardowski — zacny człowiek, doktor Zemła, który leczył mego stryja...

Pani Czarnkowska ożywiła się.

— Bardzo chciałabym go poznać.

— Zaprosimy go na jutro na obiad razem z proboszczem, dobrze?...

Przerwał i na brudnej ulicy miasteczka zatrzymał samochód. Wyskoczył na ulicę i podbiegł do idącego wpobliżu starego, małego wzrostu człowieka. Serdecznie się przywitali, zamienili parę słów i podeszli do automobilu.

— Pozwolą sobie panie przedstawić mojego przyjaciela, doktora Zemłę...

Doktor przez drzwiczki ucałował rękę pani Czarnkowskiej, czyniąc to niezgrabnie, tak, że się o mało nie przewrócił. Stał, poprawiając sobie okulary, i nie widział wyciągniętej do niego ręki Wandy, która się uśmiechnęła po raz pierwszy od śmierci ojca. Nareszcie się spostrzegł i zaczął ją przeproszać za swoje gapiostwo.

— Mój narzeczony — rzekła Wanda, której widocznie zależało na tem, żeby wszyscy wiedzieli — obiecał nam, że będzie pan u nas jutro na obiedzie. Ogromnie się z tego cieszymy.

— Czułabym się bardzo pokrzywdzona — dodała pani Czarnkowska — gdyby pan nam zrobił zawód.

Doktor wyjąkał obietnicę stawienia się, otrzymał za to podziękowanie i, pożegnany serdecznie przez towarzystwo, pozostał na środku ulicy. Tyle wrażeń w ciągu tak krótkiej chwili oszołomiło go. Wolnym krokiem ruszył ku domowi, gdzie czekało nań niezawodnie kilkanaścioro brudnych żydów.

— Cóż to za oryginalny człowiek! — zawołała Wanda. — Jeszcze takiego nie widziałam. Ale ogromnie miły: musi być bardzo dobry. Ja się z nim zaprzyjaźnię.

Twardowski cieszył się, że dziewczyna nareszcie się ożywiła.

— Oto nasza wieś kościelna — informował panie.

— To tu jest ten cmentarz?... — zapytała pani Czarnkowska.

— Tak.

— Niech pan każe stanąć przed cmentarzem — rzuciła jakby rozkaz.

Wysiedli, weszli przez otwartą bramę.

— Gdzie? — zapytała.

— Tam, gdzie ten człowiek klęczy.

Nieco większa i wyższa od sąsiednich wznosiła się usypana z ziemi, zieleniejąca mogiła; u jej głowy stał wkopany w ziemię duży z prostego, okrągłego drzewa krzyż, a u stóp klęczał wysoki, barczysty człowiek.

— To Grzegorz — szepnęła do Twardowskiego Wanda, która widocznie dobrze zapamiętała słującego.

Ten, słysząc za sobą kroki, obrócił się. Zerwał się na nogi, złożył głęboki ukłon zbliżającym się i oddalił się, ustępując im miejsca przy grobie.

Pani Czarnkowska szła szybko naprzód. Padła na kolana, oparła głowę o mogiłę i tak pozostała bez ruchu.

Na widok tej kobiety w grubej żałobie, leżącej na mogile, nikt nie mógł mieć wątpliwości, po kim nosi żałobę.

Wanda stanęła, jak wryta. Z przerażeniem patrzyła na Twardowskiego, pytając oczyma, co to znaczy. Ten był niemniej przerażony; dziewczyna była zbyt inteligentna, żeby nie zrozumieć...

Obejrzał się, jakby szukając pomocy. W bramce cmentarza stał ksiądz Rybarzewski, patrząc ze zdumieniem na tę scenę.

— Chodź — rzekł do Wandy — poznam cię z moim proboszczem.

Poszła posłusznie. Ksiądz ruszył na ich spotkanie.

— Moja narzeczona, panna Czarnkowska — rzekł Twardowski, wymawiając nazwisko z naciskiem.

Ksiądz machinalnie wyciągnął do niej rękę, a oczy jego pobiegły ku kobiecie, leżącej na mogile. Wanda czytała w tych oczach, że rozumie on to, czego ona jeszcze nie rozumiała.

— Chodźmy do mamusi — szepnęła.

— Zostawcie ją w spokoju — rzekł ksiądz, zatrzymując dziewczynę za rękę. Wyprowadził ich za ogrodzenie cmentarza.

Chcąc widocznie odwrócić uwagę od tamtej kobiety, rzekł do Wandy:

— To pani! Nic dziwnego...

— Co ja? i co księdza nie dziwi?

— Oddawna już zauważyłem w panu Twardowskim wielką zmianę. Byłem pewien, że spotkał nareszcie tę, którą mu Bóg przeznaczył. I nawet mu to powiedziałem, ale on się nie chciał przyznać. Patrząc na panią, nie dziwię się, że zrobił ten wybór.

Błada twarzyczka dziewczyny zaróżowiła się. Patrzyła to na księdza, to na narzeczonego.

— Nie wiedziałam — rzekła zmieszana — że w tej okolicy księża mówią paniom komplementy.

— Niesłuszny zarzut — odparł proboszcz zadowolony, że udało mu się zająć uwagę dziewczyny. — Ksiądz mówi szczerze to, co myśli. Nie uwierzy pani, jaki będę szczęśliwy, jeżeli to ja będę wam ślub dawał. Bez żadnego wahania biorę ten akt na swoją odpowiedzialność.

Pocziwie się uśmiechnął.

— No — rzekł po chwili — ale pani już pewnie skończyła modlitwę. Chodźmy do niej.

Gdy się zbliżali, pani Czarnkowska podniosła głowę i otarła szybko łzy z twarzy. Wanda pochyliła się nad nią.

— Mamusiu, tu jest z nami ksiądz proboszcz.

Twardowski skoczył i pomógł podnieść się kobiecie, która stanęła przed nim biała, z wyrazem dziwnej pokory na twarzy. Znikła gdzieś wielka pani z dworu zbychowskiego.

Patrzyła badawczemi oczyma na księdza, którego jej przedstawiano.

— Czy ksiądz może mię jutro rano przyjąć do spowiedzi? — zapytała cichym głosem.

Twardowski poprowadził Wandę ku wyjściu z cmentarza, zostawiając panią Czarnkowską z księdzem. Dziewczyna, idąc obok niego, głośno myślała:

— Mamusia tak traktuje tego księdza, jakby go znała oddawna...

— Słyszała wiele o nim ode mnie — objaśnił ją Twardowski.

Spojrzała mu w oczy, jakby chcąc się więcej dowiedzieć, ale Twardowski dorzucił tylko:

— Ten ksiądz to duży człowiek.

Doszli do samochodu. Za chwilę zbliżyła się pani Czarnkowska z proboszczem, który na zaproszenie Twardowskiego obiecał przybyć nazajutrz na obiad.

Parę ostatnich kilometrów przejechali w milczeniu. Wanda ukradkiem spoglądała na matkę i myślała z widocznym wysiłkiem. Nie spostrzegły się obie, jak samochód stanął przed domem.

Twardowski sam poprowadził panie na górę do ich pokoi i objaśnił im ich rozkład.

— Za chwilę przyniosą rzeczy pań — rzekł — przyjechały one tuż za nami.

Wyszedł, zostawiając je w buduarze.

Wanda posadziła przybraną matkę na szeszlunku i sama usiadła przy niej. Popatrzyła jej w oczy i rzekła:

— Mamusiu, czy mogę cię o jedną rzecz zapytać?

— Słucham.

— Dlaczegoś ty była zawsze dla mnie, jak rodzona matka? dlaczegoś mnie tak kochała?...

Pani Czarnkowska, zaskoczona tem nieoczekiwanem pytaniem, chwilę milczała. Wreszcie odpowiedziała cichym głosem:

— Dziecko, przecie ty jesteś córką mojej biednej, ukochanej siostry.

— Rozumiem.

Rzuciła się przybranej matce na szyję.

— Mamusiu, mamusiu, jaka ty byłaś nieszcześliwa!...

Pani Czarnkowska patrzyła na nią z przestachem.

— Tyś tatka nie kochała, tyś kochała tamtego... Biedna kobieta oniemiała.

— Czy on był taki, jak Zbigniew?

To pytanie dodało pani Czarnkowskiej odwagi. Zdobyła się na odpowiedź:

— Zbigniew bardzo podobny do niego.

— Toś musiała go kochać.

Temi słowy córka Czarnkowskiego po jego śmierci dała absolicję jego owdowiałej żonie.

Po obiedzie, przy którym rozmowa toczyła się o doktorze Zemle i o księdzu Rybarzewskim, pani Czarnkowska, powołując się na zmęczenie, poszła do siebie na górę, a Twardowski z Wandą pozostali w hallu.

Nie chcąc, ażeby panie wchodziły wieczorem do biblioteki, nie kazał jej oświetlać, kawę zaś kazał stale podawać w „sieni”.

Zaraz po oddaleniu się pani Czarnkowskiej Wanda zwróciła się do narzeczonego.

— Teraz musisz mi powiedzieć wszystko o mojej mamusi i o twoim stryju.

Twardowski oniemiał.

— Nie bój się — rzekła — ja wiem, że mamusia kochała twojego stryja i jako żona mego tatka była bardzo nieszczęśliwa. Domyśliłam się tego i jej to powiedziałam, a ona nie zaprzeczyła. Tego tylko nie wiem, dlaczego, kochając twego stryja, była żoną mego tatka. Jej o to pytać nie mogłam, więc ty mi musisz powiedzieć.

Widział, że niema wyjścia. Zresztą, jeżeli dziewczyna wiedziała tyle, lepiej było, żeby wiedziała wszystko. Opowiedział jej więc całą historję w postaci jaknajmniej drastycznej.

Dziewczyna słuchała chciwie, wkońcu zaś rzekła:

— Więc ona aż do spotkania się z tobą żyła w przekonaniu, że ukochany przez nią człowiek był dotknięty obłędem?...

— Tak.

— I dopiero od ciebie dowiedziała się, że to jest kłamstwo? że wszystko zmyślił Culmer?... Boże, jakie to okropne!

Zamilkła. Otworzyła szeroko oczy; na twarzy jej malowało się przerażenie.

— Gdybym ja uwierzyła temu, co o tobie mówiono...

Rzuciła mu się na szyję.

— Nie! nie! jabym nigdy nie uwierzyła! Nigdy!...

Tuliła się do niego cała drżąca. Bezskutecznie usiłował uspokoić ją pocałunkami.

— Ja od ciebie nie uciekłam... i nie pójdę od ciebie nigdy... choćbyś był najgorszy dla mnie. Ale ty?...

— Nie wierzysz we mnie?...

— Ja? w ciebie?... Niema nic na świecie, coby mogło moją wiarę zachwiać. Ale... ale jeżeli ciebie stracę? Ja już nie będę mogła żyć!

— Dlaczegoż masz mię stracić?

— Ja wiem, że to nie ma sensu, ale znów się boję o ciebie...

— Bądź spokojna, kochanie — mnie już nic nie grozi.

Drzwi się uchyliły, i wpadł Piorun.

Z oznakami szalonej radości rzucił się ku panu i z widoczną rozkoszą przyjmował jego pieśszoty. Twardowski wskazał mu Wandę.

— Przywitaj swoją panią. Rozumiesz, to twoja pani.

Pies zwrócił się do niej i położył łeb na jej kolanach. Twarz dziewczyny rozjaśniła się.

Wzięła łeb Pioruna w swe ręce, przytuliła do twarzy i pocałowała.

— Co ty robisz, Wandeczko? — zawołał Twardowski.

— To za ten gramofon — odpowiedziała. — Gdyby nie on... Boże, ja o tem myśleć nie mogę!...

— Nie trzeba myśleć o tem — rzekł Twardowski. — Nie trzeba, kochanie. Wiele strasznych rzeczy mogłoby nas spotkać, gdyby... gdyby nie to, że nas nie spotkały. Trzeba iść przez życie i walczyć z wiarą w zwycięstwo, a zwycięstwo przyjdzie. Ja

nie jestem z tych, którzy są bici... Mam pewność, że prędzej czy później zwyciężę.

Wpatrzyła się w niego: widział w jej oczach, że pod wpływem słów jego i w nią wiara wstępuje. Twarz jej zaczęła się rozjaśniać.

— Wiesz, mamusia, gdy się dowiedziała, że mam być twoją żoną, powiedziała: „Będiesz szczęśliwa za siebie i za mnie”.

Odprowadził ją do drzwi jej pokoju, i żegnając się z nią, spostrzegł, że u pani Czarnkowskiej jeszcze się świeci...

XXX.

Rano Twardowski, wróciwszy ze zwykłej przechadzki, zastał Wandę w hallu. Siedziała beczynnie, zamyślona. Gdy otworzył drzwi, drgnęła tak silnie, że go to uderzyło. Wydało mu się, że przywitała go chłodno.

Wziął ją pod rękę i poprowadził na śniadanie. Siedli naprzeciw siebie.

— Moja matka pojechała do kościoła — rzekła jakimś dziwnym tonem, w którym było coś więcej, niż stwierdzenie zwykłego faktu.

Zauważył, że nie powiedziała „mamusia”.

— Umówiła się wczoraj z proboszczem — przypomniał.

Popatrzyła nań długo. Żrenice jej oczu były nienormalnie rozszerzone.

— Tak — mówiła raczej do siebie — spowiada się z jednego grzechu, za który pokutuje męczarnią całego życia...

Po chwili milczenia dorzuciła:

— Życie jest okrutne... bezlitosne...

Znów zamilkła. Nagle zwróciła się do niego:

— Powiedz mi, dlaczego nam zawczasu nie mówią, co to jest życie?... Dlaczego ukrywają przed nami, że jesteśmy skazane na mękę?...

Przeraził się. Ta dziewczyna, z której zawsze tryskała zdrowa energia, naraz zmieniła się w kłębek zmęczonych nerwów.

— Nie, moje serce — rzekł prawie po ojcowsku — życie nie jest męką. Ono jest walką, i w tem tkwi wielki jego urok. Spadają na nas ciosy, ale nie trzeba się pod nimi ugiąć.

— Mylisz się — odparła. — Ja nie mówię tak, dlatego że mi ojciec umarł...

Znów zauważył, że nie powiedziała „tatko”.

— Nie. To dla mnie ból wielki, ale go przeżyłam i on mnie nie złamie. Od małego dziecka wiedziałam, że ludzie muszą umierać i że często umierają za wcześnie, jak moja rodzona matka. Są rzeczy gorsze niż śmierć...

W rozszerzonych źrenicach jej oczu migotał blask niezdrowy.

— Patrz na tę kobietę — mówiła dalej głosem drżącym — na moją przybraną matkę. Co ona przeszła! co cierpi nieustannie!... I cierpieniu temu niema końca... Tylko śmierć...

Nie umiał na to nic odpowiedzieć.

— A ja... — zawołała. — Ja nie popełniłam jej błędu, nie uciekłam od ciebie... Powinnam być szczęśliwa. Tymczasem...

— Co? — zapytał przestraszony.

— Boże, jak ja się męczę!... Ten strach, że mogę cię stracić... Nie wiem, czy boję się więcej o ciebie, czy o siebie. Bo gdybym ciebie straciła, już nie miałabym sił do istnienia...

W głosie jej nie było czułości, ale jakaś rozpaczliwa beznadziejność.

— Ależ, dziecko, przecie uwierzyłaś, że mi już nic nie grozi.

— Tak, powiedziałeś mi to i uspokoiłeś mię. Ale nie na długo... Dziś nie spałam: całą noc prześladowało mię poczucie, że jesteś otoczony niebezpieczeństwami. Cóż ja na to mogę poradzić!... Dopiero teraz dowiaduję się, co to jest nieodstępujący człowieka strach, smutek, przygnębienie...

Słuchał jej z niewymownym bólem, z bólem matki, siedzącej przy łóżku mającego w gorączce dziecka. Jednocześnie nie przestawał myśleć. To było niepojęte. Śmierć ojca, którego bardzo kochała; odkrycie tragicznej tajemnicy przybranej matki, którą kochała bodaj jeszcze więcej — to wszystko nie tłumaczyło przerażającej w niej zmiany. Naraz przemknęła mu przez głowę myśl. Myśl śmiała, niejedemby powiedział — nienormalna... Dla niego jednak, ocierającego się od szeregu lat o zjawiska, których jedni nie uznają, gdy inni uważają je za nadprzyrodzone, myśl ta nie wybiegała poza kres rzeczy możliwych. Niezwykłych — tak, ale możliwych.

Wstał, podszedł do niej, pocałował ją w czoło.

— Chodź ze mną w pole — rzekł. — Tu, w domu duszno.

Wyszli do sieni. Naraz zatrzymał się.

— Nie widziałaś jeszcze biblioteki — rzekł. — Chcesz wejść na chwilę?

Poszła za nim.

Otworzył drzwi i wprowadził ją. Zatrzymali się na środku wspaniałej sali. Rozglądała się szeroko otwartemi oczyma, on zaś uważnie patrzył na nią.

Nagle drżącą ręką uczepiła się go.

— Chodźmy stąd — wyszeptała — zabierz mnie... Coś strasznego ze mną się dzieje, ja tu zwaruję...

Wyprowadził ją do hallu, stamtąd do przedpokoju. Pomagał jej włożyć płaszcz, zadzwoniwszy przedtem na Antoniego.

— Gdzie Piorun? — zapytał — idziemy w pole.

Za chwilę wpadł pies, i Antoni poprowadził ich ku wyjściu.

Dziewczyna przyglądała się, jak stróż odryglowywał furtkę.

Gdy znaleźli się za bramą, zwróciła się do niego z odcieniem ironji w głosie:

— To dlatego dom tak zamknięty i tak strzeżony, że ci nic nie grozi?...

— To dawny zwyczaj, z czasów stryja; jeszcze go nie zmieniłem...

— Proszę cię na wszystko, nie zmieniaj go...

Szli długo polną drogą w milczeniu. Wreszcie dziewczyna zaczęła mówić głosem już znacznie spokojniejszym:

— Ty pewnie myślisz, że trochę warjatka. Nie protestuj: ja sama siebie pytam, czy to nie szaleństwo. Nie wmawiaj jednak we mnie, że wszystko, co się naokoło mnie dzieje, jest proste, naturalne i zrozumiałe. Ojciec mój umarł niespodzianie: zapewne przyśpieszyły mu śmierć te przejścia z majątkiem... To jeszcze można zrozumieć. Matka kochała twego stryja, a wyszła za mego ojca, bo ją okłamano, że jej ukochany jest szaleńcem. Dlaczego to zrobiono, w jakim celu?... Dlaczego twój stryj zamknął się w Turowie, w domu, ogrodzonym jak klasztor, strzeżonym, jak więzienie?... Dlaczego ciebie prześladują oszczerstwami prawie od chwili, kiedyś się pokazał w Warszawie?... A zamachy na twoje życie? czy one były tylko w związku ze sprawą Zbychowa?... A ten Culmer: skąd on się wziął? co on znaczy? dlaczego taki nikczemny żyd ma tyle zaufania u ludzi?... Czy to wszystko jest proste, naturalne?... W mojej biednej głowie nie może się to pomieścić. Można stracić rozsądek...

Nie mógł zaprzeczyć, że dziewczyna mówi z sensem.

— Masz, kochanie, słuszość — rzekł. — Moja wina, że ci wszystkiego nie powiedział. Nie miałem

wszakże prawa odsłaniać przed tobą tajemnicy pani Czarnkowskiej, która się z tem wszystkim ściśle łączy. Dziś, kiedy ją już znasz, mogę ci wszystko powiedzieć.

Wyłożył jej historję swego stryja podobnie, jak mu ją niedawno wykładał ksiądz Rybarzewski. Zakończył swojemi przejściami z Culmerem i ogólnikowo ją powiadomił o walce prowadzonej z nim i grabarzami.

Słuchała chciwie, ale z coraz większym spokojem. Gdy skończył, rzekła:

— To wszystko jest dla mnie takie nowe i dziwne, że nie uwierzyłabym, gdybym nie od ciebie to słyszała. Ale, mój drogi, sam mówisz, że tych grabarzy jest mnóstwo. Więc to jest walka na całe życie?...

— A gdyby nawet?...

— Nic. Tylko chcę wiedzieć, chcę zrozumieć obowiązki twojej żony. Teraz, gdy wiem, co mię czeka, jestem spokojna.

Była istotnie prawie spokojna. I wyglądała już inaczej, niż rano przy śniadaniu. Znać było jeszcze na twarzy ślady nieprzespanej nocy, oczy były podkrążone, źrenice nie wróciły jeszcze do normalnych rozmiarów, ale już nie było w nich tego chorobliwego, nerwowego blasku: zaczynała patrzeć z nich zdrowa energja.

Twardowski z radością stwierdził tę zmianę i ciągle myślał, jak lekarz, obserwujący pacjenta. Uderzyła go inna jeszcze zmiana.

Wandeczka, ten żywy, tryskający energją dzieciak, raz powtarzający głupstwa, których napakowano mu w głowę, to znów rzucający oryginalne i dowcipne uwagi, czarująca w szczerości, podbijająca świeżym urokiem — ta Wandeczka znikła bezpowrotnie. Koło niego szła dojrzała kobieta, myśląca o swych obowiązkach i o odpowiedzialnościach, które na siebie bierze, silna moralnie, gotowa stanąć oko w oko

z rzeczywistością życia. Porównywał je obie i nie żałował tamtej. Urok tej był mniej błyskotliwy, ale stokroć trwalszy. Pierwszy raz poczuł naprawdę, że jest związany z nią na zawsze.

Gdy wrócili do domu, pani Czarnkowskiej jeszcze nie było. Czekali z pół godziny, nim wróciła. Wyspowiadała się, wysłuchiwała mszy, poczem zaprosiła się do księdza Rybarzewskiego na kawę i przesiedziała u niego do południa. Mówiła o proboszczu z uwielbieniem.

— Jak ja panu dziękuję, że nas pan tu zaprosił! Ten ksiądz, jaki on mądry, jaki dobry! To wielki lekarz dusz ludzkich!... Nigdy nie myślałam, że tacy są na świecie. Ja już nie chcę mieć innego spowiednika. Jeżeli mię pan stąd wypędzi — rzekła ze smutnym uśmiechem — zostanę babą przy jego kościele.

Twardowski podszedł do niej, pocałował ją w rękę, mówiąc:

— Dom ten jest domem pani.

I dodał pocichu:

— Więcej, niż moim.

Wzięła jego głowę między swe dłonie i pocałowała w czoło.

— Mnie już nic więcej nie potrzeba i życie nic mi już dać nie może.

Po śniadaniu Wanda z polecenia Twardowskiego poszła do siebie spocząć po nieprzespanej nocy.

Przed wieczorem Twardowski pojechał do miasteczka po doktora, żeby go przywieźć na obiad. Wracając z nim do Turowa, opowiedział mu pokrótce historję pani Czarnkowskiej i swego stryja, żeby się czasem doktor, nieświadomy rzeczy, nie wyrwał z czem, coby mogło zboleć biedną kobietę.

Z przykrością dowiedział się od Wandy, że nie mogła zasnąć, i spostrzegł, że znów wygląda gorzej.

Przy obiedzie ratował sytuację proboszcz, który mówił więcej, niż wszyscy inni razem. Chwilami uda-

wało mu się nawet wywołać uśmiech na smutnych twarzach pani Czarnkowskiej i Wandy.

Pod koniec obiadu Wanda przyznała się, że całą noc nie spała.

— Czy to się pani często zdarza? — zapytał doktor.

— Właściwie nigdy. Czasem, gdy miałam o czym myśleć, długo nie mogłam zasnąć. Ale pierwszy raz zdarzyło mi się nie spać do samego rana.

— Żałuję, żem nie przywiózł z sobą podręcznej apteczki...

— Daj doktor spokój ze swoją apteczką! — zawołał ksiądz. — Taką młodą osobę, taką chodzącą świeżość truć waszemi paskudztwami!...

W tej chwili Antoni zaczął nalewać stary tokaj, który niegdyś księdzu tak zaimponował. Chciał zacząć od pani Czarnkowskiej, ale i ona i po niej Wanda odmówiły.

— Tego pani musi się napić — rzekł ksiądz do Wandy. — To jest najlepsze lekarstwo. Napewno pani po niem będzie dobrze spała.

— Ależ ja wina nie lubię i nigdy go nie piję.

— Właśnie dlatego. Jeżeli ono nam, starym pijakom, sen przynosi, to coś dopiero osobie nieprzyzwyczajonej! Doktorze, powiedz swoje słowo!

— Ja tylko mogę zalecić — rzekł doktor.

Ksiądz próbował namówić i panią Czarnkowską, ale ta się stanowczo oparła.

Dziewczyna, spotkawszy się z zachęcającym wzrokiem narzeczonego, podniosła z niedowierzaniem kieliszek do ust i zatrzymała go przy ustach. Patrząc na Twardowskiego, ciągnęła powoli szlachetny napój, aż wysączyła kieliszek do dna.

— Proszę mi dolać! — zawołała, wywołując przestrach na twarzy pani Czarnkowskiej.

— Brawo! — zawołał ksiądz. — Ale to będzie ostatni. Więcej pani nie damy.

Dziewczyna wolniej już zaczęła ciągnąć wino z drugiego kieliszka, nie odrywając oczu od narzeczonego, jakby pytając, czy aprobuje jej nadużycie.

Twardowski widział, że odbywa się w niej walka między jego wpływem, wlewającym w jej duszę wiarę, spokój i odwagę do życia, a innym — wiedział już, skąd pochodzącym — który budzi w niej niepokój i nastroja ją na beznadziejny smutek. Na kieliszek wina przy jej ustach patrzył, jak na swego sojusznika.

Wysączyła go do dna i wstała.

— A teraz dobranoc państwu — idę spać.

Widoczne było, że w głowie jej się trochę kręci.

Pani Czarnkowska też się pożegnała i razem wyszły.

Twardowski naraz uczuł wstręt do myślenia na trzeźwo. Zachciało mu się pić aż do upojenia.

Wychylił do dna swój kieliszek i sięgnął po butelkę.

— Nie rozumiem, skąd ta nagła bezsenność u panny Czarnkowskiej — rzekł doktor. — Nie sprawia wrażenia osoby z natury bardzo nerwowej.

— Bo nią nie jest — odrzekł Twardowski. — Ale wy nic nie pijecie. Chciałbym sobie dolać, a muszę czekać na was.

Ksiądz patrzył nań badawczo.

— Cóżto się z panem dzieje? — zapytał. — Zaczyna się pan kochać w węgrzynie?..

— Chcę dziś pić i chciałbym, żebyście wy byli mniej trzeźwi.

— A to dlaczego?

— Bo życie jest mniej trzeźwe, niż wam się zdaje.

Ksiądz wytrzeszczył oczy. Od początku uważał Twardowskiego za najtrzeźwiejszego człowieka na świecie.

Gospodarz napełnił wypróżnione kieliszki i zadzwonił na Antoniego. Kazał podać kawę w bibliotece i przynieść nową butelkę wina.

— Niech ksiądz patrzy na doktora — mówił. — Męczy go pytanie, dlaczego moja narzeczona spać nie może, i na trzeźwo nie umie znaleźć odpowiedzi. Ale możeby ją znalazł, gdyby wypił trochę...

— Alkohol tylko osłabia zdolność myślenia — oponował doktor.

— Niezawsze, nie o wszystkim... Ale wy nic nie pijecie...

Znów zmusił ich do wysuszenia kieliszków i znów ponalewał.

Ksiądz mu się przypatrywał z rosnącym zdziwieniem.

— Pani Czarnkowska — rzekł Twardowski — chce już tu pozostać. Powiedziała żartem, że jeżeli będę chciał jej się pozbyć, to zostanie babą przy tu-tejszym kościele.

Ksiądz smutnie się uśmiechnął.

— Biedna kobieta — rzekł pocichu.

I dodał głośno:

— Dlaczegożby pan chciał jej się pozbyć?

— Jej nie... — mówił powoli Twardowski. — Ale gdyby nie wzgląd na nią, narzeczoną moją wywiózł-bym dzisiaj.

I ksiądz i doktor szeroko otworzyli oczy. Twardowski mówił dalej:

— Ona tu nigdy spokojnie spać nie będzie. To dom niepokoju i rozpacz. Jest zbyt wrażliwa i nie umie się przeciw niemu bronić...

Antoni zawiadomił, że kawa podana.

— Chodźmy do biblioteki — rzekł gospodarz i poprowadził gości.

Przed kominkiem, w którym ognia nie było, stała na stoliku kawa i butelka wina.

— Za wiele światła — rzekł Twardowski.

Poprzykręcał elektryczność, zostawiając tylko jedną lampę nad kominkiem. Oświetlała ona ich stolik,

zostawiając resztę sali w mroku. Nalał kieliszki i swój podniósł w górę.

— Wypijcie ze mną zdrowie mej narzeczonej. Zapewniam was, że ona na to zasługuje i że tego jej potrzeba w tej chwili.

Wypili do dna i usiedli dokoła stolika.

— Jak wiecie — mówił dalej — w tym pokoju biedny mój stryj ciągle przebywał przez ostatnie dziesięć lat swego życia. Chodził po nim, jak więzień po celi, miotany niepokojem i rozpaczą, chodził wielkimi krokami tam i spowrotem, tam i spowrotem...

Ksiądz i doktor zasępiли się. Odżyły w nich smutne wspomnienia.

— Pijcie! — zawołał gospodarz — to jego wino. Gromadził je dla przyjaciół, którzy pić mogą i umieją... On was obu kochał i cieszyłby się, widząc was tu razem...

Posłusznie pili w milczeniu, a on ciągle dolewał.

Antoni uchylił drzwi, wpuścił Pioruna i sam zniknął. Pies, jakby szanując milczenie obecnych, ułożył się spokojnie u nóg pana. W bibliotece zaległa cisza... Nie dochodził do niej najmniejszy szmer ani zewnątrz domu, ani ze świata...

Wszyscy trzej pogrążeni byli w smutnej zadumie.

Nagle przerwały ciszę wypowiedziane półgłosem słowa doktora:

— Ktoś jest w tym pokoju...

— Prócz nas niema nikogo — odparł Twardowski.

— Wyraźnie słyszę kroki ludzkie.

— A ksiądz słyszy? — spytał Twardowski.

— Tak jest, słyszę.

— Długie kroki — cicho mówił gospodarz — od ściany do ściany, tam i spowrotem, tam i spowrotem, prawda?... Patrzcie, i pies słyszy.

Spojrzeli na Pioruna, który nastawił uszy i niespokojnie nasłuchiwał.

— Co to może być? — spytał ksiądz.

— To są kroki mego stryja...

Drgnęli obaj, zaniepokojeni zarówno krokami, które słyszeli, jak słowami gospodarza.

— Czy nie macie uczucia, że tu się dzieje coś niesamowitego?...

Milczeli ciągle.

— Ja nie wiem — rzekł wreszcie doktor — czy słyszę te kroki w pokoju, czy w swojej głowie...

— Ale i my je słyszymy — rzekł Twardowski — i pies widocznie je słyszy...

— Pan wierzy w duchy, chodzące po świecie? — zapytał ksiądz z niepokojem.

— Nie.

— A więc co tu się dzieje?...

Twardowski podniósł palec do góry — zaległa cisza. Wszyscy wpatrywali się w mrok wielkiej sali. Wszyscy chwyтали ledwo dosłyszalne kroki, tam i spowrotem, tam i spowrotem...

— Pijcie! — zawołał Twardowski. — Widzicie, że świat nie jest taki trzeźwy, jak wam się zdaje. Tylko wy jesteście za trzeźwi...

Tym razem pili chętniej, niż poprzednio. Coś chcieli w sobie zgłuszyć.

— Niech pan powie odrazu — rzekł prawie z gniewem doktor — co pan tu urządził?...

— Oto człowiek trzeźwy! — zawołał Twardowski — tą trzeźwością, której nas uczą od kilku pokoleń, która nic nie chce wiedzieć poza tem, co jej pięć zmysłów przynosi. Tak, panie doktorze, ma pan prawo powiedzieć, że pan nie słyszał żadnych kroków, bo one nie przez ucho doszły do pańskiej świadomości.

— A przez co? — spytał ksiądz.

— Przez mózg, przez system nerwowy.

— Nie rozumiem. Wyraźnie je słyszałem.

— Wszyscyśmy słyszeli. I powiadam wam, że to są kroki mojego stryja. Grzegorz, który nieraz widział go chodzącego po bibliotece, poznał je odrazu.

— Jakże pan to tłumaczy? — zapytał doktor.

— Zbyt potężne uczucia szarpały duszę nieszczęśliwego człowieka, gdy mierzył krokami tę salę, zbyt potężne, żeby nie pozostawić po sobie śladu... Nie myślcie, żeby duch ludzki nie był zdolny wyciskać śladu na martwych przedmiotach, śladu tak silnego, że ten skolei działa na mózgi, na systemy nerwowe innych ludzi... W tej oto postaci przychodzi do nas echo jego cierpień...

— Jestem pijany — rzekł doktor.

— Nareszcie! — zawołał Twardowski. — Więc pijmy dalej...

Ksiądz spojrział na zegarek.

— Mnie już nie wolno — rzekł. — Muszę jechać do domu.

Wstał, wyciągnął rękę do gospodarza i rzekł:

— Dziwny dom i dziwny z pana człowiek. Będziemy o tem mówili, ale całkiem na trzeźwo.

— Wątpię, czy na trzeźwo uda się nam dogadać — zauważył doktor.

— Doktor powiedział, że jest pijany — rzekł z uśmiechem Twardowski. — Proszę choć po pijanemu zrozumieć, dlaczego biedna dziewczyna nie może spokojnie zasnąć w tym domu.

Ksiądz odjechał swojemi końmi, doktora zaś odwiózł samochód gospodarza.

Twardowski z nieodstępnym Piorunem poszedł do siebie. Rozbierając się, łamał sobie głowę nad nierozwiązalnym problemem. Chciałby wywieźć Wandę z Turowa, widząc, że się męczy w domu jego stryja. Nie mógł namawiać pani Czarnkowskiej na wyjazd wobec tego, co od niej usłyszał. Tymczasem zaś nie mogło być mowy o rozdzieleniu dwóch kobiet. Trzeba pierwiej wziąć ślub z Wandą.

Przez kilka dni następnych głównem zajęciem Twardowskiego było wyszukiwanie rozrywek dla Wandy, którą ciągle prześladowały myśli smutne i trawił niepokój. Starał się, żeby jaknajmniej przebywała w domu. Wyciągał ją na przechadzki po polach i po lesie, pokazywał jej gospodarstwo, jeździli konno lub robili dalsze wycieczki automobilem.

Raz, wracając z takiej wycieczki, wstąpili do proboszcza. Gospodarz zatrzymał ich na podwieczorek, więc odesłali samochód do domu z zamiarem wracania pieszo.

Ksiądz był bardzo pogodny i rozmowny: dobry jego humor zdołał prawie rozweselić dziewczynę, za co mu Twardowski był niezmiernie wdzięczny. Zaledwie atoli gospodarująca na plebanji czerstwa starowina wniosła słynną swoją kawę z wiejskim chlebem, ujrze-li przez okno wracający samochód, a w nim panią Czarnkowską. Ksiądz wybiegł ją powitać.

Weszła do pokoju ze zwykłą smutną powagą, ale Twardowski wyczytał w jej oczach niezwykle podnie-cenie.

— Marek mi powiedział — rzekła na wstępie — że jesteście u księdza proboszcza, więc przywiozłam wam wiadomość: Culmer nie żyje...

Gdyby pani Czarnkowskiej chodziło o wywołanie efektu, mogła być zadowolona. Wszyscy, nie wyłączając księdza, znieruchomieli.

— Nareszcie! — zawołała Wanda z widocznem uczuciem ulgi.

Matka dziwnie na nią spojrzała.

— Został zamordowany... — rzekła cichym głosem, patrząc na Twardowskiego.

Oczy Wandy i proboszcza również zwróciły się na niego.

Poczuł, iż wszyscy troje myślą, że on coś wie o tem.

— Skąd ta wiadomość? — zapytał.

— Telefonował z Warszawy mecenas Osiecki. Wrócił świeżo z sądu. Tam się rozeszła wieść, że dziś w południe policja, wezwana do mieszkania Culmera, zastała tam jego i jego służącego — obu zamordowanych. Sprawcy niewiadomi.

— W jaki sposób ich zamordowano? — pytał dalej Twardowski.

— Tego pan Osiecki nie wiedział. Trzeba czekać na gazety.

Zaległa cisza. Po chwili przerwał ją ksiądz:

— Kara boska go dosięgła. Nie mogę wszakże powiedzieć, żebym się z tego cieszył...

Gdy nikt ust nie otworzył, mówił dalej:

— Jest to niezawodnie akt zemsty..., czyn niegodny chrześcijanina. Morderstwo, bez względu na to, kto jest jego ofiarą, jest zbrodnią. Dałbym wiele, żeby to się było nie stało...

Twardowski czuł, że proboszcz go oskarża jako pośredniego sprawcę zbrodni. Nie miał czasu na to odpowiedzieć, gdy Wanda z niezwykłą namiętnością napadła na księdza:

— Jaktol więc człowiek, na którego życie zbrodniarz czyha i czyni zamachy, nie ma prawa zabić go dla ratowania swego życia?...

Twardowski osłupiał. Więc i Wanda myśli, że on jest sprawcą morderstwa Culmera. Tylko go nie potępia, ale broni... Nie mógł się zdobyć na żal do niej za to posądzenie — stokroć silniejsze wrażenie robiła obrona. Tak postępuje kobieta, która naprawdę kocha...

Pani Czarnkowska patrzyła na Wandę ze zrozumieniem. Onaby to samo powiedziała, gdyby Alfred zabił swego prześladowcę...

Ksiądz nie czuł się dotknięty słowami dziewczyny. Widać było, że ją też rozumie. Był jakiś dźwięk przyjacielskiego współczucia w słowach, z którymi się do niej zwrócił.

— Proszę pani, człowiek ma prawo zabić człowieka tylko w bezpośredniej obronie swego życia. Gdy sam napada nań, popełnia zbrodnię. W tem położeniu można go nieco łagodniej sądzić, ale sądzić trzeba.

Odtąd rozmowa już się nie kleiła. Ksiądz zrobił się zimny, dość niezgrabnie starał się być jaknajgrzeczniejszym gospodarzem, ale nie umiał się pozbyć sztywności.

Twardowski powstał, a za nim panie.

— Jutro — rzekł do proboszcza — pozwoli ksiądz, że pomówię z nim o tej sprawie... Nad ranem wyślę Marka automobilem do Warszawy, żeby nie czekać długo na gazety. Trzeba się więcej dowiedzieć.

Pożegnali się prawie oficjalnie.

— Ksiądz jest przekonany — odezwał się Twardowski w automobilu — że jestem sprawcą morderstwa Culmera. Nie dziwię mu się.

Żadna z obu kobiet nie odpowiedziała na to bezpośrednio.

— Gdym usłyszała — rzekła Wanda — że ten nikczemnik nie żyje, wolniej odetchnęłam. Już nie popełni żadnej zbrodni...

Pani Czarnkowska odezwała się:

— Ja się będę modliła za tego, który go zabił...

Szofer dostał polecenie, żeby o piątej rano pojechał do Warszawy i przywiózł kilka dzienników.

Wieczorem, przy obiedzie, rozmową kierowała pani Czarnkowska. Zastanawiała się nad tem, jakie wrażenie w Warszawie musiała wywrzeć tragiczna śmierć mecenasa, który miał tak rozległe stosunki. Robiła to z wyraźnym zamiarem. Rozumiała, iż śmierć Culmera jest wypadkiem tak ważnym dla wszystkich trojga, że nie można mówić o niczem innem. Nie

chciała zaś najwidoczniej mówić o samym wypadku, o sprawcach morderstwa, więc mówiła o jego możliwych odgłosach.

Zaraz po obiedzie poszła do siebie, zostawiając Twardowskiego z Wandą samych w hallu przy czarnej kawie.

Dziewczyna wcisnęła się w fotel skulona, jakby zbita. Rzucała co chwila na Twardowskiego spojrzenia niepewne, bojaźliwe. Widział jej niepokój i myślał tylko o tem, jak go rozproszyć. Przysunął się z fotelem do niej i, biorąc ją za rękę, rzekł:

— Nic mi już teraz nie grozi. Najgorszy mój wróg nie żyje. Pocóż więc się niepokoić?...

— Tak — odparła — jego się już nie boję... Ach, jak jabym chciała nikogo i niczego się nie bać, tylko...

— Tylko?...

— Ciebie.

— Myślałem, że żartujesz, gdyś mówiła, że mnie się boisz.

— Wtedy może trochę żartowałam, ale teraz nie. Nie martw się: mnie z tem dobrze. Życie jest takie straszne, że tylko z tobą mogę pójść przez nie... Boś ty mocny, bardzo mocny. Ale twoja moc budzi lęk we mnie...

Zdawało mu się, że rozumie stan jej duszy.

— Broniłaś mię dziś wobec proboszcza. Więc naprawdę uważasz, że miałem prawo zabić Culmera?

— Nie pytaj mnie o to. Ja nie chcę zastanawiać się, czyś miał prawo czy nie. Wszystko, co zrobisz, będzie dla mnie dobre, i zawsze cię bronić będę. Gdybyś nawet mnie co złego zrobił...

Pochylił się ku niej, objął ramieniem i zaczął całować jej czoło, oczy, usta...

— Ja... tobie... co złego?... Dziecko, dziecko, ty nie wiesz jeszcze, jak ja cię kocham... A ja już wiem, jak ty mnie kochasz: zrozumiałem, gdyś broniła mnie jako mordercę.

Tuliła się do niego, czuł drżenie całego jej ciała.
— A ksiądz Rybarzewski miał słusność — szep-
tał jej do ucha.

Odsunęła się nagle i spojrzała mu w oczy.

— Miał słusność — rzekł głośno. — Ja taksamo,
jak on, myślę. Mógłbym zabić Culmera czy innego
łotra w walce o swe życie lub w czyjejs obronie, ale
tak na zimno, z rozmysłem...

— Więc?...

— Nic o tem zabójstwie nie wiem i nie domyślam
się nawet, kto jest jego sprawcą.

Patrzyła nań szeroko otwartemi oczyma. Piers jej
się wzduła i odetchnęła, jakby spadł z niej wielki ciężar.
W oczach ukazały się łzy, padła bezwładnie
w głąb fotela i zakryła sobie twarz dłońmi.

Twardowski usiadł na poręczy i pochylił się
nad nią.

— Teraz już mnie się nie boisz, prawda?...

Podniosła ku niemu twarz, na której poprzez łzy
ukazał się ledwie dostrzegalny uśmiech.

— Boję się — szepnęła — ale inaczej.

— A jednak — rzekł po chwili — jaki ja byłem
szczęśliwy, słuchając twej obrony!... Ona cię więcej
kosztowała, niż ci się zdawało. Staralaś się rozumo-
wać na moją korzyść, ale w głębi twej duszy bunto-
wały się instynkty, odziedziczone po szeregu cywili-
zowanych pokoleń. One są silniejsze od wszelkiego
rozumowania... Tylko twoja miłość dla mnie mogła
je przemóc. Tak, moje życie, umiesz kochać!

— A ty?...

Nic nie odpowiedział, tylko usta swoje do jej ust
przycisnął...

— Ktoś tu jest w pokoju — wyszeptała Wanda
i odsunęła się od niego.

W hallu nie było nikogo.

Dziewczyna rozglądała się zdziwiona i niespo-
kojna.

— Idź, dziecko, spocząć — rzekł Twardowski. — W tym domu nie będziemy mieszkali. On pozostanie jego domem... domem niepokoju i rozpacz, w którym szczęście już nie zamieszka.

Popatrzyła nań dziwnie, jakby odgadywała myśl w jego słowach zawartą.

Rano siedzieli we troje przy pierwszym śniadaniu, niecierpliwie czekając na powrót Marka z Warszawy, gdy Antoni zaanonsował:

— Ksiądz proboszcz.

Na twarzy wchodzącego księdza malował się głęboki smutek. Z gospodarzem przywitał się bardzo serdecznie i pokornie. Nie było w nim nic z surowego sędzi dnia wczorajszego, przeciwnie, jakby starał się, żeby mu zapomniano wczorajsze zachowanie się.

— Przepraszam — rzekł — za wczesne najście. Nie miałem cierpliwości czekać: przyszedłem po wieści z Warszawy.

— Jeszcze nic nie wiemy — odrzekł Twardowski. — Marek lada chwila winien wrócić.

Nie upłynęło kilku minut, gdy Antoni wniósł dzienniki, przywiezione przez szofera. Wszyscy rzucili się na nie.

Odrazu wpadły w oczy wydrukowane wielkimi literami sensacyjne nagłówki, po których następowały długie opisy zbrodni. Nagie fakty, odarte ze zwykłej frazeologii reporterskiej, przedstawiały się niezwykle.

Przedpołudniem poprzedniego dnia jeden z komisarjatów policji warszawskiej został zaalarmowany telefonem. Służący mecenasa Culmera zawiadamiał, że jego pan został przed chwilą zamordowany, że widział uciekającego mordercę i poznał go. Nagle rozmowa się ucięła i, gdy próbowano ją nawiązać, telefon mecenasa nie odpowiadał. Policja pośpieszyła na miejsce i, zastawszy drzwi uchylone, weszła do mieszkania. W gabinecie mecenasa zastała dwa trupy: pana i służącego. Mecenas był uduszony: na szyi wi-

doczne były ślady palców mordercy. Służący był powalony uderzeniem w skroń, zdaje się poprostu pięścią. Słuchawka telefonu wisiała: widocznie zabito go w trakcie rozmowy. W mieszkaniu nie znaleziono żywej duszy. Dopiero po upływie kilkunastu minut kucharka, a po niej pokojówka wróciły z miasta.

Twardowski doczytywał opisu, który kończył się wyrażeniem zdania, że morderca musiał być człowiekiem niezwykle siły fizycznej. Przemknęła mu przez głowę myśl i zdrętwiał. Spojrzał na księdza Rybarzewskiego. Ten patrzył w ziemię, a twarz miał jak zmurowaną.

W pokoju panowała cisza, nikt nie wyrzekł jednego słowa. Twardowski trzymał w ręku dziennik, w który włożył sporo pieniędzy i który uważał potrosze za swój organ. Zaczął go przeglądać machinalnie, gdy oko jego padło na tytuł: „Ś. p. Henryk Culmer”. Wspomnienie pośmiertne o zamordowanym mecenasie: ciekawa rzecz, co oni mogli napisać... Czytał i oczom nie wierzył. Artykuł był jednym panegirykiem: Culmer pochodził z zacnej rodziny; ojciec jego był wielkim, zasłużonym patriotą; on sam, zacny obywatel kraju, mądry prawnik, otoczony powszechnym zaufaniem i szacunkiem; śmierć jego jest niepowetowaną stratą: zwyrodniały morderca ugodził swym ciosem nie tylko jego, ale całe społeczeństwo...

Zerwał się wzburzony.

— A to hołota! — krzyknął.

Wszyscy spojrzeli nań przestraszeni.

— Niech ksiądz to przeczyta!

Rzucił przed proboszcza gazetę.

Ksiądz się zagłębił w artykule. Doczytał go do końca i, odkładając nabok gazetę, rzekł spokojnie:

— Tak, to niegodne. Nie wolno tak kłamać. Nie rozumiem nadto powodu: wszak nie należą do jego przyjaciół...

— Powód?... — zawołał z wściekłością Twardowski. — Nikczemne tchórzostwo! Ponieważ pisali przeciwko niemu, więc boją się, żeby nie oskarżono ich o moralny przynajmniej udział w zabójstwie, i ratują się wychwalaniem łotra...

Zadzwonił — wszedł Antoni.

— Powiedz Markowi, żeby za pół godziny był gotów. Jadę do Warszawy.

— Może lepiej — zauważył ksiądz z prośbą w głosie — żeby się pan teraz tam nie pokazywał...

— Muszę — odrzekł — inaczej wszystko mi popsuja.

— Zabierz mię ze sobą — prosiła Wanda.

— Nie, kochanie, nie będę miał tam chwili czasu dla ciebie. Cóżbyś robiła sama w mieście? Dziś wieczorem wrócę.

Pożegnał się i poszedł przygotować się do drogi.

Ledwie się drzwi za nim zamknęły, panna Czarnkowska zaatakowała proboszcza:

— Zdaje mi się, że ksiądz od wczoraj zmienił zdanie.

Ksiądz popatrzył na nią.

— Tak jak pani — odrzekł spokojnie.

— Ja co innego. Ja z nim wczoraj cały wieczór rozmawiałam.

— A ja cały wieczór o nim myślałam.

— Cóż wy rozmawiacie jakiemis zagadkami — wtrąciła się pani Czarnkowska. — Nic nie rozumiem.

— Ksiądz proboszcz — objaśniała dziewczyna — był wczoraj przekonany, że zabójstwo Culmera to dzieło Zbigniewa, i surowo go sądził.

— A panna Wanda — uzupełnił proboszcz — w tem samem przekonaniu zawzięcie broniła narzeczonego.

— To wy myślicie — zapytała zdziwiona kobieta — że Zbigniew w tem nie miał udziału?...

— Najmniejszego — odparła Wanda. — Dla niego wczorajsza wiadomość była taksamo niespodziewana, jak dla nas.

— Myślę, Wandeczko, że się mylisz — rzekła matka. — On zawsze mówił, że jego zadaniem jest ukarać zbrodniarza, który zniszczył życie Alfredowi i nie tylko jemu. On miał prawo to zrobić i Bóg mu wybaczy.

Ksiądz patrzył na nieszczęśliwą kobietę ze współczuciem.

— Nie, mamusi — odrzekła Wanda. — Zbigniew mi powiedział, że taksamo myśli, jak ksiądz proboszcz. Ja wczoraj tak mówiłam, jak mama dzisiaj, bo ja tak w niego strasznie wierzę, że zawsze go będę broniła. Ale byłam ogromnie szczęśliwa, gdy mi powiedział, że on z tem nie ma nic wspólnego.

Ksiądz czule spojrzał na Wandę.

— Ach, jaki to szczęśliwy człowiek ten pan Twardowski! Niech pani powie poprostu, że go pani strasznie kocha, a że jest pani prawdziwą kobietą, więc ta miłość nie pozwala pani sądzić, tylko każe bronić. I dobrze pani robi. Mówię to nie jako ksiądz, ale jako zwyczajny człowiek i przyjaciel, który pragnie, żeby pani była szczęśliwa.

Spojrzała wdzięcznie na proboszcza i zapytała z łagodnym wyrzutem:

— A dlaczego ksiądz był wczoraj taki surowy?...

— Ja sobie wyrzucałem, że jestem niedość surowy. Przedewszystkiem jestem księdzem i staram się być księdzem uczciwym. Nie mam potrzeby pani mówić, jak religja nasza sądzi zabójstwo. Powtóre, jestem obywatelem cywilizowanego społeczeństwa. W co się zamieni życie tego społeczeństwa, jeżeli przyznamy jednostce ludzkiej prawo karania śmiercią krzywd swoich i nieswoich? Przecie w tem społeczeństwie niewszyscy są naprawdę chrześcijanami i nie-

wszyscy są cywilizowani moralnie: na najwyższych nawet stanowiskach spotyka pani ludzi z instynktami dzikimi, którzy, jeżeli nie mordują, to tylko dlatego, że się boją. Niech im pani da to prawo, to każde morderstwo uzasadnią jakimś urojonemi krzywdami. Lepiej nie ukarać dostatecznie jednej krzywdy, niż otworzyć pole dla mnóstwa zbrodni...

— Ale ja was obie, drogie panie, rozumiem — dorzucił po chwili milczenia. — Przyznaję się z pokorą, że się ucieszyłem, kiedym się dowiedział, że ten zbrodniarz nie żyje. Już nikogo nie zamorduje, powiedziałem sobie. I gdyby mi przyszło wydać wyrok na jego zabójcę, byłaby to najcięższa chwila w mojem życiu... Kiedy już mam mówić szczerze, wyświadczam się z wielkiego grzechu: żyję dziś w strachu, żeby sprawca tego zabójstwa nie dostał się w ręce urzędowej sprawiedliwości.

— Niech go Pan Bóg strzeże! — zawołała pani Czarnkowska, która długo milczała, bo dowiedziawszy się, że to nie Twardowski zabił Culmera, musiała na nowo przemyśleć całą sprawę.

— Ale wobec tego, że Zbigniew jest obcy sprawie tego zabójstwa — zapytała Wanda — dlaczego mu ksiądz odradzał pokazywania się w Warszawie?

Proboszcz się nieco zmieszał i nie zaraz odpowiedział.

— Ja się o niego nie obawiam — rzekł po chwili. — Tylko on może mimowoli zaszkodzić innym. Niejeden człowiek cichy, żyjący w cieniu, miał porachunki z Culmerem. Niejeden z nich miał stosunki z panem Zbigniewem. Ten, jako człowiek znany, może przez swoją obecność w Warszawie zwrócić uwagę na kogoś, całkiem nawet niewinnego, i przypisać go o kłopoty, nie mówię o nieszczęście...

Wanda, wysłuchawszy tej mętnej odpowiedzi, doszła do przekonania, że proboszcz, gdyby chciał, mógł wyraźniej wypowiedzieć, co myśli.

Koło południa Twardowski zajechał do swego warszawskiego mieszkania. Z pewnem zdziwieniem dowiedział się od Michała, że o dziewiątej rano zapytywał o niego telefonicznie profesor Paloma Oldenhuis. Jeszcze więcej się zdziwił, gdy usłyszał dalszy ciąg raportu. Pan profesor zapowiedział, że zadzwoni drugi raz podczas śniadania, koło drugiej, bo pan pewnie przyjedzie.

O dziewiątej rano sam jeszcze nie wiedział, że będzie dziś w mieście: skądże mógł wiedzieć o tem holenderski profesor?... Domyślił się, że śmierć Culmera ściągnie go do Warszawy. Pewnie chce mówić o czemś w związku z tą sprawą. Ciekawa rzecz, co powie...

Kazał sobie przygotować śniadanie na pierwszą i zadzwonił do starego Grzybowskiego. Umówił się, że będzie u niego o trzeciej i że na pół do czwartej Grzybowski ściągnie kilku przyjaciół, poczem wsiadł w samochód i pojechał do redakcji dziennika, który go rano wprowadził w taką wściekłość.

Redaktor, dotychczas ogromnie przyjacielski i okazujący Twardowskiemu zrozumiały respekt, przyjął go zimno, z widocznem zakłopotaniem.

Zaczął od tego, że jest niezmiernie zajęty, ma bardzo pilną robotę, a zaraz potem wyraził żal, że Twardowski niepotrzebnie przyszedł do redakcji, że wolałby sam przyjść do jego mieszkania. Jedno z drugiem niebardzo się kleiło.

— Nie mam za wiele czasu — rzekł Twardowski — przyjechałem do Warszawy na kilka godzin. Czytałem dziś rano na wsi wspomnienie o Culmerze w waszem piśmie i chciałbym, żeby mi pan wytłumażył, co podyktowało panom ten panegiryk. Jak on się godzi ze stanowiskiem pisma, które walczyło z tym łotrem...

— Proszę pana — odparł sucho redaktor — myśmy prowadzili walkę piórem, ale nie chcemy mieć nic wspólnego z morderstwem.

— Któż żąda od panów, ażebyście mieli z niem co wspólnego?...

Zamiast odpowiedzi redaktor, widocznie mocno zdenerwowany, mówił:

— Gdybyśmy byli przypuszczali, że to się tak skończy, nigdybyśmy tej walki nie zaczynali. Dziś położenie nasze jest bardzo niebezpieczne.

— Boicie się, że policja w was będzie widziała morderców Culmera?

— Nie o to chodzi. To nam nie grozi. Ale sam pan mówił przecie, że Culmer ma za sobą potężną organizację. Oni się będą mścili.

— Na was?

— Na tych, którzy są na widowni, a nie na tych, którzy się ukrywają.

— I żeby przebłagać mścicieli Culmera, wypisaliście tyle obrzydliwych kłamstw.

— Żeby się odgrodzić od ludzi, którzy wojują nie naszą bronią.

— Czy nie było innego sposobu?... mniej uciążliwego pismu?... mniej poniżającego?...

Redaktor zbladł. Głos mu zaczął drżeć w krtani.

— Proszę pana, ja dłużej z panem mówić nie mogę... Ja jestem odpowiedzialny za pismo, za jego redakcję i robię, co uważam za potrzebne, do zabezpieczenia...

— Swej skóry — przerwał mu Twardowski. — Żegnam pana.

Z tej rozmowy, z jej treści i tonu Twardowski wyciągnął kilka wniosków: redakcja jest w panicznym strachu; uważają jego wizyty za niepożądane, mogące ściągnąć na nich niebezpieczeństwo; widzą w nim sprawcę śmierci Culmera.

Podczas śniadania zadzwonił Oldenhuis. Prosił, żeby Twardowski przed zobaczeniem się z nim nie wyjeżdżał z Warszawy, i przyrzekł przyjść o piątej.

Po śniadaniu Twardowski poszedł do Grzybowskiego.

Starzec, witając się z nim, uściśnął mu rękę długo i mocno.

— Dawno pan przyjechał?

— Dziś w południe.

— To pan jeszcze nie wie, co się tu dzieje. Cała Warszawa się trzęsie... Ogromne wrażenie zrobiło sprzątnięcie tego łajdaka.

— Musiało wywołać powszechne oburzenie...

— Tak... Ale ludzie dzisiejsi niebardzo umieją się oburzać: są dość otrzaskani. Głównie ich obchodzi, jacy to są sprawcy zabójstwa i jakie są ich motywy. Kursuje cały szereg teoryj.

— Ciekawym bardzo.

— Według jednej zabili go bolszewicy rosyjscy jako wybitnego wroga Sowietów. Inni powiadają, że u niego były złożone papiery generała Podolskiego. Ci, których te akta kompromitowały, żądali ich wydania, a gdy odmówił, zamordowali go i archiwum zabrali. Jeszcze inni mówią, że posiadał nici spisku Ukraińców i Niemców przeciw Polsce i został uprzątnięty przez ich agentów... Zabawnie się tego wszystkiego słucha, gdy się wie, kto był pan Culmer...

— A cóż policja?

— Przedewszystkiem na policję ludzie wygadują. W biały dzień, w środku miasta zamordowano dwóch ludzi i sprawcy bezkarnie zbiegli... Ona zaś sama łamie sobie głowę nad zagadkami, których nie umie rozwiązać. Służący Culmera na chwilę przed swoją śmiercią alarmował telefonicznie policję i mówił, że poznał zabójcę. Tymczasem zeznania kucharki i pokojówki wskazywałyby raczej, że był współnikiem

zabójców: pierwszej przeszkodził wyjść wcześniej na miasto po zakupy, tak że poszła dopiero po dziesiątej, drugą zaś wyprawił z całą listą sprawunków do załatwienia: widocznie mu zależało na tem, żeby w chwili zabójstwa żadnej z nich nie było w domu. Zabójca, zdaniem policji, był tylko jeden: załatwił się z dwoma ludźmi w sposób, świadczący o niezwyklej sile fizycznej. Toteż w jego poszukiwaniu zwrócono uwagę na sferę zawodowych bokserów.

Grzybowski był widocznie tem wszystkiem bardzo podniecony.

— Byłem w redakcji — rzekł krótko Twardowski.

— Zrobili świństwo z tym artykułem o Culmerze — zauważył Grzybowski, jak zwykle, bezceremonjalny. — Wiedziałem, że nie są bohaterami, ale nie myślałem, że to tacy tchórze... Swoją drogą, gdyby to było nie spadło na nich tak nieoczekiwanie, gdyby byli do tego choć trochę przygotowani, napewno nie zareagowaliby w tak idiotyczny sposób...

Twardowski się uśmiechnął.

— Zdaje się, że pan mi przypisuje zasługę uprzątnięcia Culmera ze świata.

Grzybowski szeroko otworzył oczy. Widać było, że nie miał w tym względzie żadnej wątpliwości.

— Nie, panie — mówił Twardowski — nie mam powołania na mordercę. Załatwianie się na tej drodze nawet z takimi łotrami, jak Culmer, nie zgadza się z memi instynktami, ani z memi zasadami etycznymi, ani z memi poglądami na potrzeby cywilizowanego społeczeństwa. Zresztą, gdybym wszedł kiedykolwiek na tę drogę w walce o sprawę, której służę, uważałbym za konieczne przedewszystkiem zrobić to, co pan powiedział, mianowicie przygotować swych towarzyszy walki, żeby się umieli należycie zachować.

— Więc ktoś zabił Culmera? — zapytał Grzybowski.

— Nie wiem. Mam tylko przypuszczenie, ale rozumie pan, że w tej właśnie sprawie nie powinno się przypuszczeń wypowiadać.

Zaczęli się schodzić zaproszeni przyjaciele, znośząc wiadomości o tem, co mówią na mieście i co wiedzą od policji. Nie przybyło nic istotnie nowego.

Gdy się zeszli wszyscy, zabrał głos gospodarz:

— Wczoraj wieczór, proszę panów, rozmawialiśmy tu o zabójstwie Culmera w związku z walką, którąśmy z nim prowadzili. Otóż dziś uważam sobie za obowiązek stwierdzić, że to zabójstwo żadnego związku z naszą walką nie ma.

Wszyscy ze zdziwieniem spojrzeli na Twardowskiego.

— Dla wszystkich tu obecnych — mówił dalej starzec — nawet dla pana Twardowskiego, który wiele musiał się stykać z tym łajdakiem, śmierć jego jest całkowitą niespodzianką. Zasłużył się nam i całemu społeczeństwu — dodał z sarkastycznym uśmiechem — ktoś nieznany, kto miał z nim widocznie swoje porachunki. To, co mówię, jest bezsprzeczną prawdą.

Grzybowski widocznie zawiadamiał obecnych w jaknajbardziej przekonywający sposób, że się dotychczas mylili. Widać też było po twarzach, że ich przekonał.

— Mam pewne dane — rzekł jeden z obecnych — że grabarze nas o to posądzają.

Przytoczył kilka rozmów, które do niego doszły.

— To może nie jest źle — zauważył Twardowski. — Rzuci na nich postrach, a ten zawsze jest czynnikiem dezorganizującym, zwłaszcza w sferze, nieodznaczającej się bohaterstwem. Gorzej jest, gdy śmierć naszego wroga wywołuje panikę wśród naszych ludzi.

— Panikę...? — odezwało się kilka głosów z odzieniem obrazy.

— Czegóż innego dowodzi artykuł o Culmerze w naszym piśmie?

— Nasi ludzie są oburzeni na ten artykuł — ktoś odpowiedział.

— Ale ukazał się on w naszym piśmie. Artykuł ten jest wyrazem nikczemnego tchórzostwa, które w strachu o swą skórę szerzy szkodliwe kłamstwa. Jest przytem samobójczy, bo rozzuchwala przeciwnika.

— Mówiono mi — rzekł Piętka, znajdujący się wśród obecnych — że, gdy wiadomość o zabójstwie Culmera przyszła do redakcji, redaktor zawołał: „Teraz nas zacząć mordować!”

Twardowski spojrzał na gospodarza.

— Piękna reakcja! — szydził.

— Tak... — mówił, gryząc wargę, Grzybowski. — Pewnie nie on jeden tak zareagował.

— Mojem zdaniem — rzekł Twardowski — on tym jednym artykułem dowiódł, że jest niemożliwym na swem stanowisku. Trzeba znaleźć kogoś innego.

— To zdolny dziennikarz — bronił redaktora Grzybowski — a przytem porządny człowiek i dobry Polak.

— Nie można być dobrym Polakiem, gdy się jest takim tchórzem — twierdził z zawziętością Twardowski. — Jak może polskie sumienie człowiekowi pozwolić na takie zatruwanie kłamstwami swego społeczeństwa dla ratowania swej osoby!

Przez usta Twardowskiego przemawiał ścisły umysł i konsekwencja moralna człowieka zachodniego.

— Dziwna rzecz — myślał głośno Grzybowski — ten człowiek wykazywał zawsze ogromną odwagę swoich przekonań...

— Na papierze! — zawołał Twardowski — w polemikach, niepociągających za sobą żadnych nieprzyjemnych następstw. W moich oczach to nie jest człowiek uczciwy: on nie ma poczucia odpowiedzialności

za to, co pisze. A w każdym razie to poczucie go opuszcza pod wpływem strachu. Ja mu dalej ufać nie mogę i nie mogę mieć nadal stosunków z pismem, na którego czele on stoi.

Wyszedł od Grzybowskiego, otrzymawszy zapewnienie, że w krótkim czasie postarają się o innego redaktora. Widział wszakże, iż robią to tylko dla niego, dla człowieka, który dziennik zasila swemi pieniędzmi, że chętnie uznaliby oburzający artykuł za chwilowe poślizgnięcie się i w krótkim czasie zapomnieliby go autorowi.

Gniewało go to i martwiło. Przecież ten człowiek postąpił tak, jak dowódca oddziału na wojnie, który haniebnie stchórzył, zrejterował i otworzył nieprzyjacielowi drogę do okrążenia armji. Może oni i tamtego nie sądziliby, i nawet nie odebraliby mu dowództwa... Czyż z takimi ludźmi można iść do zwycięstwa?... Nawet i ten Grzybowski... Człowiek niepospolity; a jednak i on nie był konsekwentny, nie miał odwagi wyciągnięcia wniosku z oburzającego postępuku redaktora... To wszystko są niedojrzałe charaktery: najwybitniejsi nawet ludzie w tem społeczeństwie są trochę dziećmi.

Jeszcze niedawno możeby go to zniechęciło. Możeby sobie powiedział, że lepiej rzucić wszystko, co tu rozpoczął, wyjechać z Polski i wrócić do dawnej pracy. Dziś jednak czuł się już z tem wszystkiem tak mocno związany, że mu podobne wnioski do głowy nawet nie przyszły.

Wrócił do mieszkania przed piątą i czekał wizyty holenderskiego profesora w humorze niebardzo odpowiednim do przyjmowania gości.

— Z czemże ta kanalja znów przychodzi? — zapytywał siebie.

Rozległ się dzwonek u drzwi.

— Jestem pod wrażeniem śmierci Culmera — rzekł Oldenhuis, siadając we wskazanym mu fotelu.

— Chyba niezbyt ciężkiem, zważywszy to, co pan o nim ostatnim razem mówił — zauważył nieuprzedzenie Twardowski, którego zły humor nie opuszczał.

Profesor bystro nań spojrzał. Twardowskiego tknęło, że mimowoli ugodził w jakiś punkt słaby. Zanotował to sobie w myśli.

— Tak — mówił powoli profesor — dla nas to nie jest cios. Ten człowiek już nam był niepotrzebny.

— Nawet zawadzał — dodał Twardowski, idąc dalej w tym samym kierunku, ciekawy, co z tego wyniknie.

Oldenhuis zrobił mimowoli ruch niespokojny.

— Władze — mówił — zdaje się, jeszcze nie wpadły na trop winowajców. Ale to chyba nie będzie trudne. Czy pan wie, kto go zamordował? — zapytał raptem.

— A pan wie? — odpowiedział pytaniem Twardowski.

Ku jego zdziwieniu profesor odpowiedział śmiało:

— Wiem.

— To ciekawe.

— I dlatego przyszedłem pomówić z panem.

— Słucham.

— Culmera i jego służącego zamordował pański służący, Grzegorz, znany z niezwyklej siły fizycznej.

Twardowski był jak piorunem rażony. Strach go ogarnął o biednego Grzegorza. Umiał wszakże panować nad sobą i tego nie okazał.

— Nie wiem, skąd pan ma tę wiadomość, i nie wierzę w jej prawdziwość. Zauważę tylko, że Grzegorz był wprawdzie moim służącym, ale nim już od pewnego czasu nie jest.

— Moja wiadomość jest pewna. Co zaś do pańskiej uwagi, to przecie można formalnie rozstać się ze służącym, gdy mu się powierza inną robotę...

— Zdaje się — rzekł, uśmiechając się ironicznie Twardowski — iż pan przyszedł tu powiedzieć mi, że to ja zamordowałem pańskiego ekspryjaciela.

— Nie. Tylko przyszedłem ostrzec pana, że panu grozi wielkie niebezpieczeństwo. Mam dla pana życzliwość i boję się o pana. Próbuję myśleć tak, jak myśli w podobnych wypadkach policja. Zwłaszcza, że policja może znaleźć pomoc ze strony nieżyczliwej panu.

— To znaczy ze strony pańskiej organizacji.

— Przypuśćmy, że tak. Cóż pan wtedy zrobi?...

— Hm, będę w głupim położeniu...

— Łagodnie to pan określa.

— Nie zwykłem rzeczy tragizować.

— Tym razem sama rzecz przedstawia się już tragicznie.

— Cóżby pan zrobił na mojem miejscu?

— Postarałbym się, żeby ci, którzy mi są nieżyczliwi, stali się życzliwymi.

— Czyż to możliwe?...

— Wskazałem panu drogę do tego w poprzedniej rozmowie.

Aha — pomyślał Twardowski — znaleźli nareszcie sposób szantażowania mnie. Sądzą, że już mnie mają.

Postanowił zabawić się w cynizm.

— Wie pan — rzekł — że sporo się zastanawiałem po naszej ostatniej rozmowie...

— I?...

— I powiedziałem sobie, że, gdybym się nawet zdecydował pójść wskazaną przez pana drogą, to, co mi pan zaproponował, jest dla mnie za mało.

— Za mało?... — zapytał profesor zdziwiony.

— Nazwijmy rzeczy po imieniu. Cóż to jest Związek Uczynnych Grabarzy?... Powie pan: wielka, potężna organizacja, szeregująca miliony ludzi na całym

świecie. Dobrze, ale czy ci ludzie wiedzą, poco istnieją, jakiemu celowi służą, kto nimi kieruje?...

— Nie rozumiem, co pan chce powiedzieć... — rzekł niespokojnie profesor.

— Chcę powiedzieć, że cały związek grabarzy jest tylko biernym narzędziem w rękach innej organizacji.

— Pan jest w błędzie.

— Nie, panie. Ja to wiem napewno. Dzięki moim sumiennym studjom wiem o wiele więcej, niż pan myśli. Otóż, gdybym miał wejść na wskazaną przez pana drogę, to wstąpiłbym do tamtej organizacji. Bo ja lubię sam kierować i mam swoje cele, dla których chciałbym organizację zużytkować.

— Postawił pan rzecz tak nierealnie — rzekł Oldenhuis — że właściwie niema możliwości mówienia dalej. Ale niech mi pan powie, jakie są pańskie cele. Może panu dowiodę, że godzą się one z celami naszej organizacji.

— Wątpię, żeby je pan zrozumiał: to są cele nasze, polskie...

— Czyż cele polskie, jak je pan rozumie, nie godzą się z ogólnoludzkimi?

— Panie Oldenhuis, nie żartujmy. Jesteśmy obaj ludźmi na tym poziomie, że nie powinniśmy bawić siebie głupstwami, wymyślonemi dla gawiedzi. Pan dobrze rozumie, co ja myślę. Taki mądry człowiek, jak pan, zna napewno istotną wartość tak zwanych celów ogólnoludzkich. Pan wie taksamo jak ja, że cała historia cywilizacji od najdawniejszych do dzisiejszych czasów to historia poszczególnych społeczeństw ludzkich, ich pracy dla swoich celów, ich walk o swoje cele. I nikt tak sobie nie drwi w głębi duszy z celów ogólnoludzkich, jak pan właśnie.

— Pan mię obraża...

— Nie, ja mówię panu komplementy. To świadczy wysoko o inteligencji pańskiej i panu podobnych, że pod wezwaniem celów ogólnoludzkich umiecie za-

prząc miliony do służenia celom waszym. Mówiłem panu, że mógłbym należeć tylko do tamtej organizacji, kierującej temi milionami; ale ja wiem, że tam są tylko ludzie wasi, waszej wybranej rasy...

— Bardzo interesujące są pańskie poglądy — rzekł z ironją Oldenhuis — aleśmy zanadto odbiegli od przedmiotu. Mówiliśmy o pańskim położeniu w sprawie zabójstwa Culmera.

— Prawda. Czy pan pozwoli, żebyśmy pomówili i o pańskim?...

— O mojem?...

— Tak.

— Cóż ja z tą sprawą mogę mieć wspólnego?

— Zaraz zobaczymy. Pan powiada, że zabójcą jest mój dawny służący, Grzegorz, i że pan to wie na pewno... Otóż ja nie wiem, kto jest zabójcą, i robię tylko domysły; pan zaś wie na pewno. Jak to się stało?...

— My wszystko wiemy.

— Znów frazes dla gawiedzi. Zapomina pan, że rozmawia z człowiekiem, który was zna wcale nieźle.

— Do czego pan zmierza?

— Zaraz panu powiem. Ja nie wiem wszystkiego, ale wiem trochę faktów, z których umiem wyciągnąć wnioski. Culmer narobił wam wiele kłopotów. Przede wszystkim przez swój szwindel skompromitował ważnego dla was człowieka, który się nazywa dziś sir Joseph Turner i jest jeszcze mniej Anglikiem, niż pan Holendrem. Culmer więc zasłużył na ciężką karę i stał się dla was niedogodnym. Postanowiono z nim się załatwić i w tym celu pana tu przysłano. Kilkakrotnie wzywał pan do siebie do hotelu jego służącego i coś o wiele więcej, niż służącego — mądrego Jakóba. Naradzał się pan z nim, jak się pozbyć Culmera. Wreszcie Jakób wynalazł zabójcę — był to genialny wynalazek. Kto nim był, wiedzieliście tylko wy dwaj. Dziś wie tylko pan. Pierwszym człowie-

kiem, któremu pan to powiedział, jestem ja. Otóż niech pan sobie dobrze zapamięta moje słowa: jeżeli ktoś inny poza mną o tem się dowie, ja się zajmę tem, żeby pańskie położenie w tej sprawie stało się bardzo trudnem. Nie żądam od pana żadnego oświadczenia. Zdaje się, żeśmy rozmowę skończyli.

Powstał i profesor to samo zrobił.

— Jeszcze jedno — rzekł gość zagraniczny. — W posiadaniu pańskiem są pewne dokumenty, które stryj pański ośmielił się...

— *Stop!* — krzyknął Twardowski.

Profesor zamilkł przestraszony. Twardowski się uśmiechnął i rzekł uprzejmym tonem:

— Chciałem pana uchronić od nieprzyjemności, na którąby się pan naraził, gdyby pan powiedział coś obrażającego pamięć mego zmarłego stryja.

— Te dokumenty...

— Są moją własnością. Mój stryj przywłaszczył je sobie tem samem prawem, jakim wy usiłowaliście przywłaszczyć sobie jego osobę i jego sumienie. Są one dowodem waszej zbrodni i, jako takie, są bronią w mem ręku. Nie myślę się ich pozbywać i radzę panom pożegnać się z nadzieją ich odzyskania.

Profesor wbił w niego oczy szkliste, mordercze.

— Panie Twardowski — rzekł — pan gra grę bardzo niebezpieczną.

— Ale interesującą, prawda, panie Oldenhuis?...

Ten nic nie odpowiedział i wyszedł.

Twardowski kazał powiedzieć Markowi, że za pięć minut jedzie do Turowa.

Rozmowa z holenderskim profesorem poprawiła mu humor. Wracał do domu w znacznie lepszym usposobieniu, niż z niego wyjeżdżał.

Tylko męczyła go myśl o dokumentach, które mu Oldenhuis przypomniał. Co się z niemi stać mogło?... Jakby mu się przydały!...

Zastał w hallu domu turowskiego obie panie i księdza Rybarzewskiego, czekających nań z obiadem, na który spóźnił się blisko godzinę. Poczciwy proboszcz w jego nieobecności towarzyszył zaniepokojonym kobietom cały dzień z krótkimi przerwami.

Siedli natychmiast do stołu.

— Co cię tak zatrzymało? — zapytała Wanda. — Myślałam, że już dziś nie wrócisz.

— Miałem — odrzekł — trzy ważne rzeczy do załatwienia: położyć koniec wychwalaniu zbrodniarzy w piśmie, które mi jest bliskie; zawiadomić ludzi, że to nie ja zabiłem Culmera; wreszcie tak rzeczy urządzić, żeby władze nie wykryły zabójcy.

Przy ostatniem zdaniu zauważył niespokojne poruszenie się księdza. Patrząc na niego, kończył:

— Tuszę sobie, że mi się wszystkie trzy udało załatwić pomyślnie.

— Nie mogę sobie wyobrazić — odezwał się proboszcz — jak pan tę trzecią sprawę mógł załatwić.

— To tymczasem moja tajemnica.

Swym humorem ożywił wszystkich.

Pod koniec obiadu skinął na Antoniego i wkrótce zjawiła się butelka węgryzna.

— Proszę i panie — rzekł — o wypicie tym razem. Wzniosę toast.

Gdy nalano kieliszki, podniósł swój ze słowami:

— Oby ten biedny człowiek, który uwolnił świat od jednego z najnikczemniejszych łotrów, nie zapłacił za to zbyt ciężko. Niech go Bóg ma w swojej opiece!

Ksiądz Rybarzewski chwilę się zawahał. Wreszcie rzekł:

— To mi wolno: największych nawet grzeszników trzeba polecać opiece boskiej.

Zwrócił swój kieliszek ku Twardowskiemu i do dna go wychylił.

Po wyjeździe proboszcza i udaniu się pani Czarnkowskiej na spoczynek Wanda zapytała narzeczonego:

— Słuchaj, wy z proboszczem wiecie, kto zabił Culmera?

— To jest pytanie, nad którym radzę ci się nie zastanawiać. Powinno ci wystarczyć, że nie będzie wykryty.

— Więc ty nawet taką rzecz możesz zrobić. I jak ja mam nie bać się ciebie!...

Następnego dnia popołudniu siedzieli oboje w hallu, przeglądając ranne gazety, świeżo przywiezione z poczty. Twardowski w kronice miejscowej spostrzegł notatkę:

„Znany uczony, prof. R. Paloma Oldenhuis, zebrawszy u nas potrzebne mu dane w sprawie mniejszości narodowych, dziś opuszcza nasze miasto i wyjeżdża zagranicę.”

Podniósł oczy od gazety i spotkał się z wpatrzonemi weń oczyma Wandy.

— Teraz — rzekł — napewno już mogę powiedzieć, że zabójca Culmera nie będzie wykryty.

Poszedł do siebie na górę, a dziewczyna rzuciła się na gazetę, która pozostała na stole, otwarta na tej kolumnie, którą czytał. Przeszukała całą kolumnę, ale nie znalazła nic, coby miało jakikolwiek związek z zabójstwem Culmera.

XXXIII.

Niewielu ludzi wiedziało o istnieniu Grzegorza. Żył w odosobnieniu, w turowskim domu, w którym prawie nikt nie bywał. Gdy go ksiądz Rybarzewski przysłał Zbigniewowi Twardowskiemu do Warszawy, ten umyślnie go nie pokazywał nikomu. Przedstawił go tylko swej narzeczonej. W Warszawie Grzegorz, szukając ludzi do tropienia Culmera i jego przyjaciół, odnowił trochę dawnych stosunków, ale tylko w swojej sferze.

Ci, co go znali, wiedzieli, że był bardzo przywiązany do swego zmarłego pana. Istoty wszakże stosunku między tymi dwoma ludźmi dobrze nie rozumieli. Najlepiej jeszcze znał go ksiądz Rybarzewski. Mógłby go poznać młody Twardowski, ale nie było na to dość czasu: miał go w służbie zbyt krótko, a za wiele rzeczy w tym czasie go zajmowało.

Grzegorz nie był typem starego sługi, którego całe istnienie obraca się dokoła pana. Miał swoje cele w życiu i swoje ambicje: pan mu był drogi, bo do urzeczywistnienia tych celów pomagał.

Kiedy jeszcze był chłopakiem, kręcącym się przy pańskiej stajni, tkwiły w nim duże możliwości. Gdyby był stryj Zbigniewa tych możliwości w nim nie odkrył, pozostałyby pewnie w stanie utajonym, ażeby ujrzeć światło dzienne dopiero w jego synu lub wnuku. Alfred Twardowski, wywiózłszy go do Warszawy, obudził je i uświadomił je samemu Grzegorzowi. Porównyując siebie z innymi podobnymi mu chłopakami, widział, że ma więcej od nich siły, nietylko w mięśniach, ale i w głowie. Zrodziły się w nim wtedy ambicje pójść wyżej niż inni i wydobyć się ze stanu, w którym się urodził. Rozumiał, że wejście na nową drogę zawdzięcza panu, był mu za to wdzięczny, postanowił trzymać go się i wiernie mu służyć. To też w czasie wojny, gdy pan był nieobecny a stary służący umarł, całą duszę włożył w opiekę nad domem turowskim, pewny, że pan po powrocie pozna się na tem i sprawiedliwie go wynagrodzi. Nadzieja go nie zawiodła: został zwierzchnikiem całej służby i jedynym powiernikiem pana. Był po panu największą osobą w turowskim domu. Otrzymywał zaś takie wynagrodzenie, że z oszczędności zaczął sobie gromadzić wcale poważny kapitałik. A gdy po ożenieniu się dostał w prezencie od pana kawał gruntu, większy od posiadłości zamożnego gospodarza, poczuł się

założycielem potężnego rodu, który będzie rósł dalej w swej sile i zamożności.

Był bezwzględnie uczciwym, nietylko dlatego, że był synem uczciwych rodziców i miał to w swej naturze, i nietylko dlatego, że obcował z niepospolicie uczciwym panem, od którego się uczył, ale także dlatego, że był inteligentnym; rozumiał, że w jego położeniu uczciwość najdalej go zaprowadzi. Zresztą sam siebie szanował i miał swoją dumę.

Był mocno religijny, nietylko dlatego, że go tak wychowano: brał przykład z pana, który we wszystkim był dla niego wzorem. Rozumiał, że jest dobrym katolikiem, ale religja jego, prawie w tym stopniu, co religja Hindusa, była nawarstwieniem wszystkich wierzeń jego przodków od najodleglejszych czasów. Księża Rybarzewskiego, który go bardzo lubił, umiał do rozpacz doprowadzać swemi wynurzeniami w konfesjonale: wyłaził z nich czasami surowy, pierwotny poganin.

Stosunek do pana, pozbawiony wszelkiej służalczości, regulowała jego uczciwość i religijność. Pan mu dał wszystko, co ma, o czym marzył, więc on powinien dać panu wszystko, czego ten od niego potrzebuje.

Gdy Alfred Twardowski umarł, Grzegorz nie uważał, że jego obowiązki względem pana się skończyły. W części wiedział, w części starał się odgadnąć, czego pan potrzebuje od niego po śmierci. Gdy pierwszego zaraz wieczora po śmierci pana usłyszał kroki jego w bibliotece, w której nikogo nie było, powiedział sobie, że dusza jego nie ma spokoju i czegoś żąda. Od kogoby zaś żądała, jeżeli nie od niego, Grzegorza, który był wykonawcą wszystkich rozkazów pana. Potem słyszał te kroki często i zgodnie ze swą religją utwierdził się w myśli, że dusza zmarłego nie będzie miała spokoju, dopóki śmierć jego nie będzie

pomszczona. Nawet ksiądz Rybarzewski nie zdołałby go przekonać, że katolikowi tak myśleć nie wolno.

Dlatego tak się oddał Zbigniewowi Twardowskiemu, wierząc, że razem wykonają zemstę. Wkońcu jednak zawiódł się na nim: doszedł do przekonania, że ten naprawdę o zemście nie myśli. Porzucił więc służbę u niego.

Odkąd zyskał całkowitą wolność, myśl o niespełnionym obowiązku zemsty zaczęła go prześladować na każdym kroku. Chodził często na cmentarz i, modląc się po chrześcijańsku za duszę zmarłego, jednocześnie po pogańsku przysięgał nad grobem, że pana pomści, gdy tylko znajdzie sposób.

Chodził, jak przestępca, trawiony wyrzutami sumienia; gospodarstwem mało się zajmował, wszystkie roboty pozostawił ludziom najemnym. Wreszcie zaczął na cały dzień znikać z domu.

Żeby nie wiadziiano, dokąd się udaje, szedł piechotą do bardziej oddalonej stacji kolejowej, gdzie go nie znano, i tam wsiadał do pociągu warszawskiego. W mieście włóczył się po ulicy w okolicach mieszkania Culmera.

Nie miał żadnego określonego zamiaru, żadnego planu: wierzył, że jakaś sposobność się nadarzy, i stanie z łotrem oko w oko. A wtedy... Także nie zastanawiał się nad tem, co robi. Zrobi coś, co uspokoi duszę zmarłego.

Było to w czasie, kiedy profesor Paloma Oldenhuis naradzał się z Jakóbem w swoim numerze hotelowym nad tem, co zrobić z Culmerem.

Jakób, po drugiej wizycie u profesora, wyszedł z zamiarem próbowania planu, który się narodził w jego dużej głowie poprzedniej nocy.

Mając oczy otwarte na wszystko, zauważył on spacery Grzegorza po ulicy. Poznał go, a wiedział o nim sporo jeszcze z dawnych czasów.

Gdy stanęła w rozmowie między nim a profesorem kwestja pozbycia się Culmera, pomyślał o Grzegorzu, a myśl ta rozwinęła się w genialny plan załatwienia się jednym pociągnięciem z Culmerem i z Twardowskim.

Podczas jednej z włóczęg ulicznych Grzegorza zrównał się z nim przechodzień niskiego wzrostu i rzekł półgłosem:

— Dobrze, że pana spotykam: muszę z panem pomówić.

Grzegorz spojrzał na przechodnia — poznał go odrazu.

— Jestem służącym mecenasa Culmera — rzekł tamten — i znam pana z widzenia. Możebyśmy gdzie wstąpili na kufelek, tobyśmy pogadali.

Grzegorz, który miał przekonanie, że Jakób jest tyle wart, co jego pan, nie mógł zdać sobie sprawy z powodów tej zaczepki. Przyjął jednak zaproszenie, gdyż pociągało go wszystko, co się wiązało z Culmerem.

Jakób zaprowadził go o kilka ulic do małej restauracyjki i tam usiadł z nim w ciemnym kącie.

— Wiesz pan co — rzekł w zaufaniu — że już mi się sprzykrzyła służba u Culmera. Odejdę za parę tygodni.

— Złe warunki? — zapytał Grzegorz.

— Nie o to chodzi. To jest, panie, ostatni łajdak. Z nim razem można zajechać do kryminału.

Grzegorz nigdy nie oczekiwał takiego wynurzenia ze strony Jakóba. Sam niepozabawiony chytrości, zaczął się zastanawiać, czy to szczere, czy nie. Nareszcie doszedł do przekonania, że dwaj złodzieje musieli się między sobą pokłócić.

— Zrobił co panu? — zapytał.

— Żeby tylko mnie... Niema chyba człowieka, którego by nie skrzywdził. Ten łotr niewart, że go

święta ziemia nosi. Najgorzej, że jak się u niego służy, to trzeba mu w jego złodziejstwach pomagać. Już mam tego dosyć.

— Tak, to ciężka służba — zauważył sentencjonalnie Grzegorz.

— Czy pan go zna? — zapytał odniechcenia Jakób.

— Trochę.

— Widział go pan pewnie u pana Twardowskiego?

— Jeszcze u nieboszczyka. Będzie z dziesięć lat temu.

— O, to dawno. Ja wtedy jeszcze u niego nie służyłem — skłamał beczelnie Jakób.

— Ale pan pewnie znał starszego pana Twardowskiego?

— Nie, nie znałem — znów zełgał.

Grzegorz narazie uwierzył. Postanowił być rozmowniejszym.

— Dobrze pamiętam — rzekł — jak Culmer ze swoim przyjacielem przyjechali do naszego pana na wieś i jakim chwycił jednego i drugiego za kołnierz, wyniosłem z domu i wrzuciłem do samochodu. On to pewnie też pamięta. Dobrze, że się na tem skończyło.

Jakób patrzył z udanym zachwytem na atletę.

— Oj, żebym ja miał taką siłę! — zawołał.

— Cóżbyś pan zrobił?

— Porządniebym go nabił przed odejściem.

— Naprawdę?

— Jak pragnę jutra dożyć.

Grzegorz zaczął szybko myśleć.

— Jabym to za pana zrobił.

— E, pan przy swojej sile mógłby go zanadto uszkodzić. Nie chciałbym się w to mieszać.

— No, już nie bój się pan — rzekł Grzegorz dwuznacznie. — Tylko mi pan pomóż do niego się dostać.

— To pan taki zawzięty na niego?...

Grzegorz milczał, ale spojrzał tak, że famulusowi mecenasu skóra ścierpła.

Wkrótce doszli do porozumienia.

— Bądź pan pojutrze o dwunastej — rzekł Jakób przy pożegnaniu — tu, przy tym samym stoliku, to ułożymy wszystko. A tymczasem nie pokazuj się pan: nie powinni pana widzieć.

Grzegorz poszedł prosto na kolej. W drodze przypominał sobie całą rozmowę z Jakóbem i zastanawiał się nad nią. On od swego pana nielepszego, ale musieli się pokłócić i teraz jest na niego zawzięty. To nareszcie daje mu sposobność... A może to pułapka? Cóż mu zrobić?... On sobie z nimi poradzi...

Po drodze ze stacji do domu wstąpił na cmentarz i długo klęczał przy grobie pana.

Przy następnym spotkaniu z Jakóbem dowiedział się, którego dnia i o której godzinie może śmiało wejść do znanego mu domu: na pierwszym piętrze zastanie drzwi uchylone, w przedpokoju nie będzie nikogo, a z przedpokoju pierwsze drzwi na lewo do gabinetu, w którym zastanie tego, kogo szuka...

Mecenas Culmer przygotowywał się do zniknięcia z Warszawy. Likwidował swe interesy z nerwowym pośpiechem, ale jednak bez niepotrzebnego hałasu. Robił to nawet wcale poprawnie, żeby po jego wyjeździe policja nie miała powodu do zajmowania się jego osobą. Wyjedzie dla poratowania zdrowia na czas dłuższy. To nikogo nie obchodzi. Pobyt Oldenhuisa w Warszawie przerażał go, niepokoiło go zachowanie się Jakóba, a nadto uprzykrzało mu życie majster, który był użyty przez Jakóba do umieszczenia gramofonu w mieszkaniu Twardowskiego, a którego ten mu nasłał. Złożył mu już dwie wizyty, które kosztowały sporo pieniędzy. To także powód do jaknajśpieszniejszego opuszczenia Warszawy.

Przygotowania tak się posunęły, że oznaczył sobie dzień wyjazdu. Im bliższy był ten dzień, tem sil-

niej był zdenerwowany, tem więcej się bał, że nie zdąży umknąć swoim prześladowcom.

Nigdy się nie czuł tak źle, jak w przeddzień wyjazdu. Siedział od rana w swym gabinecie, uprzątając niepotrzebne papiery drżącymi ze zdenerwowania rękoma. Aby tylko zdążyć...

Naraz zdało mu się, że słyszy przymknięcie drzwi frontowych. Zaczął nasłuchiwać...

Wtem drzwi od przedpokoju się otwały i stanęła w nich potężna postać, z dużą kanciąstą twarzą i z dziko patrzącymi oczyma.

Chciał zapytać przybysza, czego chce, ale głos mu odmówił posłuszeństwa. On tego człowieka zna... Tak, to było w Turowie...

Siedział bez ruchu, sparaliżowany strachem. Wielkim wysiłkiem wyciągnął rękę i nacisnął dzwonek. Ale na dzwonek nikt nie przychodził, a ten człowiek ciągle stał we drzwiach i patrzył nań dziko, okrutnie... zrobił parę kroków ku niemu i znów stanął... Złodowaciały z trwogi mecenas chciał krzyknąć, ale głos mu uwiązł w krtani...

Spróbował wyciągnąć rękę w kierunku telefonu. Przybysz skoczył jak tygrys i chwycił go obu rękami za gardło... Ręce coraz bardziej zaciskały się na gardle, mecenasowi robiło się coraz ciemniej w oczach...

Grzegorz z oczyma krwią zalanymi nie zastanawiał się, nie myślał, nie miał świadomości tego, co robi. Czuł tylko, że ma nareszcie w rękach mordercę swego pana, i zaciskał je coraz mocniej...

Nareszcie spojrzał na wroga i oprzytomniał. Wypuścił z rąk gardło... Przed nim leżał trup Culmera.
— Zamordowałem... — rzekł cicho.

Mówił tak, jakgdyby zrobił coś, czego się nie spodziewał.

Stał długo nieruchomy, wpatrzony w swoją ofiarę. W pokoju panowała cisza.

Naraz usłyszał kroki, skradające się w przedpokoju. Skoczył ku oknu i skrył się za grubą firanką.

W drzwiach przedpokoju ukazał się Jakób. Rozejrzał się po gabinecie, spostrzegł leżącego na ziemi trupa, zbliżył się... Na brzydkiej jego twarzy ukazał się uśmiech, który zrobił ją jeszcze brzydszą. Wziął do ręki słuchawkę telefonu.

— Czy komisarjat policji?... Mówi służący mecenasa Henryka Culmera. Pan mój przed chwilą został zamordowany, widziałem uciekającego mordercę i poznałem go. Jest to...

— Ty zdrajco! — krzyknął Grzegorz, wyskakując za firanki, i wymierzył ciężką pięść w głowę Jakóba.

Ugodził w samą skroń i uczuł pod pięścią chrupnięcie. Jakób wypuścił słuchawkę i padł na ziemię. Grzegorz uczył się boksu i nie miał potrzeby oglądać swej drugiej ofiary. Wiedział, że Jakób jest już trupem.

Nie oglądając się za siebie, skoczył ku drzwiom, wyszedł na schody, potem na ulicę. Poszedł prosto na dworzec.

W kilka godzin potem ksiądz Rybarzewski, odmawiając brewjarz w ogrodzie, z którego był widok na cmentarz, spostrzegł Grzegorza, klęczącego przy grobie Alfreda Twardowskiego. Ksiądz długo stał i patrzył, a Grzegorz ciągle klęczał.

Tegoż dnia wieczorem pani Czarnkowska przywiozła na plebanję wiadomość o zamordowaniu Culmera. W umyśle księdza wiadomość ta nie związała się z widokiem Grzegorza, klęczącego przy grobie. Widywał go tam nieraz.

Wcześniej rano kościelny przyszedł powiedzieć, że czeka człowiek do spowiedzi.

— Idę zaraz — rzekł proboszcz.

— To Grzegorz, ten, co służył w Turowie — dodał kościelny.

Księżda coś tknęło.

Szedł do kościoła niezwykle skupiony i smutny.

Po wysłuchaniu spowiedzi i odprawieniu mszy kazał założyć konie i pojechał do Turowa. Wszystkich uderzyła jego serdeczność dla Twardowskiego, z którym poprzedniego wieczora pożegnał się tak oziębłe.

XXXIV.

Przy śniadaniu pani Czarneckowska wydała Antoniemu polecenie, by zaprzężono dla niej powóz, którym codzień wyjeżdżała z domu zwykle na cmentarz i do proboszcza.

— Muszę odwiedzić Grzegorza — rzekła, gdy Antoni wyszedł.

Twardowski spojrzał na nią zdziwiony.

— To ty go znasz, mamusiu? — zapytała Wanda.

— Nie znam dotychczas. Kiedyśmy tu przyjechali, mówił mi wiele o nim ksiądz Rybarzewski. To był człowiek bardzo przywiązany do Alfreda i całkiem mu oddany. Jeździłam już dwa razy do niego z proboszczem, ale za każdym razem nie było go w domu.

— Zabierz mię ze sobą. Ja go znam i bardzo go lubię.

— Zostań, kochanie, z panem Zbigniewem. Dziś chciałabym być u Grzegorza sama.

Twardowski patrzył na nią, chcąc odczytać jej myśli.

— Nie rozumiem proboszcza — mówiła dalej. — Spoczątku opowiadał o nim wiele, wychwalał go bardzo; ale teraz, od paru dni unika rozmowy o nim. Coś musiało się stać. Jakiś głos mi mówi, że...

Zawahała się.

— że?... — zapytała Wanda zaniepokojona.

Pani Czarnkowska pochyliła się ku dwojgu młodym i rzekła cicho:

— że to Grzegorz zabił Culmera.

Wanda spojrzała badawczo na narzeczonego.

— Skądże takie przypuszczenie! — rzekł Twardowski, starając się nadać swym słowom ton jaknajbardziej sceptyczny.

— Mój Zbigniewie — odparła kobieta — ty to samo napewno myślisz i ksiądz także...

Wanda milczała, czując, że matka ma słuszość.

— O nim to myśleliście, kiedyście przy stole polecali opiece boskiej sprawcę zabójstwa. I jego starałeś się ratować w Warszawie... Bóg ci zapłać za to, bo biedny Grzegorz karał nikczemnika za krzywdę Alfreda... I moja!... — dodała z mocą.

Twardowski patrzył na tę wysoce kulturalną kobietę i podziwiał w niej siłę namiętności. Kto wie, czy ona sama nie byłaby zdolna do krwawej zemsty...

— Ja muszę zobaczyć tego człowieka: on musi wiedzieć, że jest ktoś, kto go rozumie...

Twardowski widział, że powstrzymywanie jej nie dałoby żadnego skutku.

Zaraz po śniadaniu pani Czarnkowska wyjechała.

— Więc to Grzegorz!... — rzekła Wanda, gdy zostali sami.

— Tak. On poto wymówił mi służbę. Najwidoczniej liczył, że zrobimy to razem: gdy się na mnie zawiódł, opuścił mnie i sam poszedł spełnić to, co uważał za swój obowiązek.

— Jestem o niego niespokojna, choć mię zapewniłeś o jego bezpieczeństwie.

— Grzegorza nikt nie zna i nikt na trop jego nie wpadnie. Ci tylko wiedzieli o nim, którzy go użyli za narzędzie...

— Za narzędzie?...

— Tak, moje dziecko. Skandalem ze Zbychowem i z kopalniami złota Culmer przy pomocy swego synka skompromitował nietylko siebie, ale i swych potężnych przyjaciół zagranicą. Stał się dla nich tak niedogodnym, iż postanowili go się pozbyć. Służący Culmera, który był ważną u nich figurą i był mądrzejszy od swego pana, wiedział o Grzegorzu jeszcze z dawnych czasów i musiał teraz spostrzec, że szuka on zemsty. Powziął tedy plan użycia biedaka do zamordowania mecenasa. Plan był genialny: oni pozbyliby się niedogodnego człowieka i donieśliby władzom, kto go zabił. Pod sąd poszedłby Grzegorz i widocznie stojący za nim pan Zbigniew Twardowski, gdy właściwymi mordercami byli oni...

— Boże, jakie to okropne!... — szepnęła przeżona dziewczyna.

— Otóż było ich dwóch, którzy wiedzieli wszystko. Służący Culmera i pewien żyd zagraniczny. Pierwszego usunął Grzegorz, który widocznie w ostatniej chwili przejrzał jego zamiary. Z owym zaś żydem rozmówiłem się w Warszawie. Domyśliłem się całego ich planu, powiedziałem mu to i zagroziłem oskarżeniem o zabójstwo Culmera. Miało to ten skutek, że wyjechał nazajutrz zagranicę. W interesie jedynego człowieka, któryby mógł wprowadzić policję na trop Grzegorza, leży dziś, ażeby sprawca zabójstwa nie był wykryty.

Panna Czarnkowska sięgnęła do torebki, wyjęła z niej złożony wielokrotnie kawałek gazety, rozłożyła go i, przebiegłszy po nim okiem, zaczęła czytać:

— „Znakomity uczony, prof. Paloma Oldenhuis”...

— Dziewczyno! — zawołał Twardowski. — Jesteś niebezpieczna. Jak to dobrze, że ty będziesz moją żoną, nie zaś którego z moich przeciwników!

Wanda nie zamanifestowała swego triumfu, co byłaby niezawodnie zrobiła dawniej i co chciał wywołać Twardowski.

— Więc tak się przedstawia historia zabójstwa Culmera. Dziękuję ci, żeś odstąpił od swego zwyczaju i opowiedział mi wszystko. Zrobiłeś to, ażeby uspokoić me obawy o Grzegorza... Ale, powiedz, czy można być spokojną i nie bać się, gdy się naokoło nas dzieją podobne rzeczy. Tyś mię ciągle uspokojał, a przecie teraz właśnie groziło ci straszne niebezpieczeństwo...

— Ale mi się nic nie stało i nic mi już nie grozi.

— Gdy jesteś ze mną, gdy słyszę twoje słowa, jestem spokojna. Ale gdy zostaję sama, znów opanowuje mię niepokój i dręczą mię okropne przeczucia.

— Bo wtedy on zdobywa wpływ na ciebie.

— On?... kto?...

— Ten dom.

— Dom?...

— Tak. To jest dom niepokoju i rozpacz, dom nieszczęścia.

— Mówisz to tak poważnie...

— Najpoważniej w świecie.

— Czy to nie przesąd?...

— Nie. Ten dom zbudował i w nim mieszkał jeden z najnieszczęśliwszych ludzi, trawiony nieustannym niepokojem, szarpany rozpaczą... On na nim swoje piętno wycisnął. To nie jest dom dla szukających spokoju i szczęścia... Czy nie widzisz sama, jak się zmieniłaś od czasu przyjazdu tutaj? Zaraz pierwszej nocy spać nie mogłaś, a rano przeraziłem się, gdym cię zobaczył.

— A ty?...

— Ja co innego. Ja się umiem takim wpływom opierać, choć także niecałkowicie.

— Więc co będzie?...

— Teraz musimy tu przebywać ze względu na twoją matkę, która już nie może się od tego grobu oddalić. A gdy się pobierzemy, nie będziemy tu mieszkali...

Wanda patrzyła nań w milczeniu. Na zmęczonej jej twarzy zjawił się jakiś dziwny wyraz.

— Zdaje mi się — rzekła — że i z tobą coś złego się dzieje...

Kazał podać automobil i wyjechali w okolicę.

Pani Czarnkowska wróciła dopiero przed wieczorem. Zamknęła się u siebie i zapowiedziała, że obiadu jeść nie będzie.

Twardowski z narzeczoną zjedli obiad sami i sami potem siedzieli w hallu przy herbacie. Chcąc oderwać jej myśl od spraw bieżących, bawił ją wykładem jednego z rozdziałów swej niedokończonej książki. Mówił o przenoszeniu się myśli od jednego człowieka do drugiego bez pomocy zmysłów...

Nagle usłyszeli w bibliotece krzyk, a po nim głuchy łoskot.

Twardowski się zerwał i skoczył ku drzwiom biblioteki. Za nim pobięła Wanda.

Otworzył drzwi; w pokoju było ciemno. Odkręcił światło i zdrętwiał.

Na środku pokoju leżała nawznak z rozkrzyżowanymi rękoma pani Czarnkowska. Była nieprzytomna.

— Mamusiu, co ci jest? — krzyknęła przerażona Wanda i rzuciła się ku leżącej.

Twardowski usunął łagodnie dziewczynę, przyłożył ucho do piersi leżącej kobiety.

— Nie bój się, dziecko — rzekł spokojnie. — To omdlenie, to zaraz przejdzie. Zadzwoń na służbę, tam jest dzwonek.

Z pomocą Antoniego i pokojówki przenieśli biedną kobietę do jej pokoju. Tam Wanda z pokojówką rozebrały ją.

Twardowski wysłał automobil po doktora Zemłę.

Pani Czarnkowskiej wkrótce wróciła przytomność. Otworzyła oczy, patrzyła długo przed siebie, wreszcie spytała Wandę:

— Dlaczego ja tu jestem?... To było...

— Przynieśliśmy cię, mamusiu, bo cię siły opuściły.

Nic nie odpowiedziała i znów patrzyła przed siebie, jakby na jakąś wizję.

Nie upłynęło wiele więcej nad pół godziny, kiedy przybył doktor. Widocznie nie stracił ani chwili.

Twardowski w kilku słowach powiedział mu, co się stało, zaprowadził go na górę i zostawił samego z panią Czarnkowską.

— Nie rozumiem, co mama mogła sama robić w bibliotece pociemku — rzekła Wanda.

Twardowski nic nie odpowiedział. On rozumiał. To skutek rozmowy z Grzegorzem. Powiedział jej, że duch stryja przebywa w bibliotece, i posłał go powitać. Usłyszała jego kroki... Wrażenie było dla niej za silne...

Doktor siedział długo na górze. Gdy zeszedł do hallu, Wanda ofiarowała mu filiżankę herbaty i spytała o stan matki.

— Nic szczególnego niema — rzekł Zemła. — Tylko działanie serca słabe. Trzeba unikać silnych wstrząśnień. Niech pani idzie do mamy; prosiła o to.

Wanda pobiegła na górę.

— Między nami mówiąc — zwrócił się do Twardowskiego — jest źle. Jest to jeden z tych wypadków, w których chory żyć nie chce. Powiada, że musi odejść, bo jest potrzebna tam, bo tam ją wzywają... W tych wypadkach medycyna jest bezsilna.

Twardowski się zasępił. Myślał o Wandzie: za szybko na nią spada jeden cios za drugim.

— Nie można nic ściśle przewidzieć — mówił doktor. — Musicie być przygotowani na wszystko. Koniec może przyjść w ciągu kilku dni.

Zapowiedział, że rano przyjedzie, i pożegnał się.

Po jego wyjeździe zeszła Wanda. Oczy miała zaczerwienione.

— Mamusia zasnęła — rzekła zdławionym, przez łzy głosem — jest bardzo wyczerpana. Kazała na rano wezwać księdza.

Twardowski starał się ją uspokoić i namawiał, żeby poszła spocząć.

— Nie, ja będę przy niej czuwała. I takbym spać nie mogła. Ty idź, połóż się, bo musisz mieć siły za wszystkich.

Wcześniej rano przyjechał ksiądz Rybarzewski z Sakramentami. Siedział długo, zamknięty z chorą.

Wanda zeszła nadół wymizerowana, blada z podkrążonemi oczyma.

— Trzeba, żebyś trochę się przespała — rzekł Twardowski. — Ty się, kochanie, zabijasz.

— Nie mogę; czuję, że nie zasnę. Czy doktor prędko przyjedzie?...

— Kazał przysłać po siebie o dziesiątej.

Siedzieli tak w oczekiwaniu, wymieniając czasami parę słów bez znaczenia.

Zjawiła się pokojówka: ksiądz prosi ich oboje do pokoju pani Czarnkowskiej.

Wanda spojrzała na Twardowskiego z niepokojem.

Weszli do pokoju. Ksiądz składał komżę i stułę; pani Czarnkowska leżała bez ruchu z przymkniętymi oczyma.

— Siadajcie — rzekł ksiądz i zwrócił się do Wandy:

— Mama wyraziła wolę, żebyście się pobrali za jej życia. Nie wiedząc dnia ani godziny, pragnie, żeby to nastąpiło jaknajrychlej tu, w jej obecności.

Pani Czarnkowska z wysiłkiem uniosła głowę.

— Tak, nie odmówicie mi tego — rzekła ledwie dosłyszalnym głosem.

Z oczu Wandy łzy trysnęły. Uklękła przy łóżku i całowała bezwładnie zwieszającą się rękę matki.

— Jestem gotów każdej chwili — odezwał się Twardowski.

— Jadę zaraz do Warszawy — rzekł ksiądz — żeby jaknajszybciej otrzymać dla was indult. Załatwi się to telegraficznie. A teraz dajmy pani spocząć: jest bardzo zmęczona.

Wyszli z Twardowskim. Wanda została przy łóżku matki.

— Niestety — mówił ksiądz po drodze — biedna kobieta długo nie pożyje..., bo żyć nie chce — dodał, jakby słyszał słowa doktora. — Życzenie jej jest bardzo mądre, bo życie wasze, a zwłaszcza panny Czarnkowskiej, po śmierci matki byłoby bardzo utrudnione, gdybyście nie byli mężem i żoną. Trzeba się śpieszyć ze ślubem. Nie będziecie mieli wesela... — zakończył z westchnieniem.

Twardowski przyznał, że przytoczone przez proboszcza argumenty za natychmiastowym ślubem są słuszne, ale był przekonany, że motywy pani Czarnkowskiej były inne.

Ksiądz pojechał do Warszawy automobilem Czarnkowskich, żeby nie stracić dnia w swem przedsięwzięciu.

Wkrótce przybył doktor. Zastał chorą pogrążoną w śnie głębokim. Nie kazał jej budzić i odjechał natychmiast. Zapowiedział przyjazd na wieczór.

Wanda ciągle siedziała przy matce.

Popołudniu pani Czarnkowska obudziła się i wezwała do siebie Twardowskiego.

Widocznie sen ją wzmocnił. Usiadła na łóżku i mówiła prawie bez wysiłku, acz urywanemi zdaniami.

— Mój drogi Zbigniewie, pozwól mi mówić do ciebie, jak do syna. Dziękuję ci, żeś się zgodził na taki smutny ślub. Zrobicie to dla mnie. Ona jest moją siostrzenicą i przybraną córką, którą kocham jak rodzoną. Tyś jego synowcem i właściwie także przybranym synem. Wasz ślub będzie, jak mój ślub z Alfredem. Alfred się będzie z niego cieszył...

Nabierała sił, a Twardowski mówił sobie, że takich właśnie motywów się domyślał.

— Ja tego ślubu dożyję, zrobię wysiłek i dożyję. Ale potem umrę. Posłuchaj więc. Pochowajcie mnie na tutejszym cmentarzu, obok niego i taksamo, jak jego. Cicho i skromnie. Pozwól, żeby ciało moje stało w twoim domu, w jego domu, w bibliotece, i żeby stąd było wyniesione na cmentarz. Dobrze?...

— Wszystko, mamó, co każesz, będzie spełnione. Wyciągnęła ku niemu ręce i pocałowała go w czoło.

— Jeszcze jedno. Wezwij do mnie Grzegorza. Muszę go pożegnać. On był taki wierny Alfredowi...

— Dobrze.

— Idź teraz i przyslij mi co jeść. Muszę jeszcze żyć...

Doktór wieczorem stwierdził, że stan chorej znacznie się poprawił.

Przy wsiadaniu do automobilu rzekł do Twardowskiego:

— Będzie żyła, dopóki będzie trwała chęć życia.

Nazajutrz przedpołudniem przyszedł Grzegorz. Wyglądał źle: przygarbił się i jakby przychudł. Nieśmiało się przywitał z niedawnym panem i poszedł do pani Czarnkowskiej...

Przez następne parę dni Twardowski nie wiedział, co z sobą zrobić. Wandę widywał tylko przez krótkie chwile: siedziała przy matce, a gdy ta jej kazała iść spać, robiła to z mniejszym lub większym skutkiem. Gdy spotykała się z nim przy stole, była smutna i małomówna. Prawie nic nie jadła i mizerniała coraz bardziej.

W domu panowała grobowa cisza. Służba chodziła na palcach i rozmawiała szeptem. Bał się od domu zbyt oddalać, wiedząc, że kryzys każdej chwili może nastąpić. Próbował pracować, ale praca mu nie szła: i jego nerwy już się wymykały spod kon-

troli. Rozwagał wydarzenia ubiegłych tygodni i zaczynał czarno patrzeć na życie...

Upokorzony, przyznawał się przed sobą, że ten dom ze swoją tragiczną atmosferą jest od niego silniejszy.

Wreszcie wrócił ksiądz Rybarzewski z pozwoleniem na ślub w kieszeni.

Zajechał przed dom koło wieczora i udał się przede wszystkim do pani Czarnkowskiej. Wyszedłszy od niej, rzekł do czekających nań na dole Twardowskiego i Wandy:

— Jutro przyjdźcie o ósmej do kościoła. Złatwię waszą spowiedź i odprawię mszę na waszą intencję. Po mszy podpiszemy akt ślubny i przyjedziemy tutaj na ślub. Świadkiem, jak pan mówił, ma być Zemła; trzeba go przywieźć na czas.

Nie dał się zatrzymać na obiedzie.

Przy wsiadaniu, obejrawszy się, czy kto nie słyzy, rzekł cicho do Twardowskiego:

— Trzeba być przygotowanymi na wszystko. Ona się trzyma tylko do waszego ślubu. Boję się, że potem rychło przyjdzie koniec.

Przygnębiony Twardowski wrócił do Wandy.

— Smutny będzie nasz ślub, moja już bliska żono — rzekł, całując ją w czoło.

— Mój najdroższy — odrzekła z jakąś bolesną rezygnacją — nie wyobrażam sobie już wesela. Marzyłam o niem wtedy, kiedy nie wiedziałam, co to jest życie. Poco robić wesoły wstęp do tragedji...

Chciał jej coś odpowiedzieć, ale słów nie znalazł. Nie był w tej chwili usposobiony do pocieszania kogokolwiek.

Rano Twardowski kazał zaprząć konie do powozu i zeszedł na dół.

Przybiegła do niego pokojówka pań.

— Panienska za chwilę zejdzie. Prosi o automobil. Zmienił zarządzenie, kazał zajechać Markowi.

Za chwilę zbiegła po schodach Wanda.

— Jedźmy zaraz — rzekła z pośpiechem.

W drodze powiedziała mu tylko:

— Prosiłam cię, żebyśmy jechali automobilem, bo się boję zostawić mamę samą na długo.

Traktowała ten ślub, jak coś drugorzędnego. Zająca była matką.

Ksiądz już czekał. Widocznie widział niepokój i pośpiech dziewczyny. Odbył spowiedź obojga krótko, poczem wyszedł ze mszą. Podczas mszy przyjechał doktor Zemła. Poszli po mszy i komunji do kancelarji parafjalnej. Podpisali akt ślubny, który ksiądz wieczorem przygotował, i wsiedli wszyscy czworo w automobil. Twardowski z respektem patrzył na księdza, jak sprawnie i szybko wszystko załatwiał.

Za kilka minut byli już w domu turowskim i udali się wszyscy do pokoju pani Czarnkowskiej.

Czekała na nich, siedząc na łóżku, z dziwnym, gorączkowym ogniem w oczach.

Zaledwie zdołali się z nią przywitać, ksiądz już stał przed nimi w szatach obrzędowych. Kazał im uklęknąć. Wanda z nerwowym pośpiechem powtórzała za nim słowa przysięgi, jakby jej chodziło tylko, żeby się to jaknajprędzej skończyło. Doktor, który obserwował chorą, nie spostrzegł się, kiedy ksiądz wezwał obecnych, ażeby zawsze i wszędzie świadczyli o małżeństwie tem prawnie zawartem i od Kościoła potwierdzonem.

Pani Czarnkowska pochyliła się nad Zbigniewem i Wandą, błogosławiąc im, i szepnęła:

— Będę świadczyła przed Panem Bogiem i... przed nim.

Zemła rzekł do niej:

— Teraz nie będę pani męczył.

Dał znak wszystkim, żeby wyszli.

— Idźcie — rzekła Wanda — ja zostanę z mamą.

Ksiądz i doktor zeszli z Twardowskim na dół i złożyli mu życzenia w formie powściągliwej, podyktowanej przez smutną chwilę.

Ledwie zamienili parę zdań, gdy na schodach ukazała się zaalarmowana pokojówka.

— Proszę pana doktora...

Zemła, nie czekając, pobiegł na górę.

Gdy Twardowski wraz z księdzem pośpieszyli za nim i weszli do pokoju chorej, ujrzeni Wandę, klęczącą przy łóżku, wpatrzoną w głowę matki, leżącą nieruchomo na poduszkach.

Doktor rzucił im spojrzenie, które zrozumieli.

Pani Czarnkowska nie żyła...

XXXV.

Ksiądz Rybarzewski dał radę Twardowskiemu, żeby się teraz zajął wyłącznie swoją żoną, która jego zdaniem bardzo potrzebowała opieki. Sam ofiarował się wyręczyć go w kłopotach związanych z pogrzebem.

Skomunikował się z przedsiębiorcą pogrzebowym w Warszawie, dał mu szczegółowe instrukcje, i tegoż dnia przed wieczorem ciało zmarłej, zgodnie z jej wolą, wystawione zostało wśród świec i zieleni w przybranej kirem biblijotece.

Wanda doprowadzała Twardowskiego do rozpaczy. Przebywała bądź w biblijotece przy zmarłej, bądź zamykała się u siebie, bądź słuchała apatycznie tego, co jej mówił. Nic ją nie interesowało, nie odpowiadała, gdy zaczynał snuć plany na przyszłość. Miał uczucie, że, stawszy się jego żoną wobec Kościoła i prawa, oddaliła się od niego, stała mu się bardziej obcą, niż kiedykolwiek. Jedynymi objawami jej życia były odruchy nerwowe; drgała na najśłabszy szelest, na najmniejsze poruszenie wpobliżu...

Twardowski, sam zdenerwowany, zaczął jej unikać: widział, że spotkanie się z nią męczy ich oboje i zamiast zbliżać oddala od siebie.

Widział to ksiądz Rybarzewski i starał się być z nimi jaknajwięcej. Wpadał w ciągu dnia, zapraszał się na wieczór: robił wszystko, żeby ich jaknajmniej pozostawiać sam na sam ze sobą w tym ponurym domu, okrytym świeżą żałobą.

Twardowski wreszcie znalazł sobie zajęcie. Zawiadomił Wandę, że zaraz po pogrzebie wyjadą, ażeby ponad potrzebę nie spędzić w tym domu jednej nawet nocy. Poleciał pokojówce Wandy spakować rzeczy pani tak, żeby nie zwlekając, można było odjechać, sam zaś zabrał się do porządkowania swoich papierów i książek, które Antoni układał do kufrów. To nudne zajęcie było dla niego najlepszą w tej chwili rozrywką. W przeddzień pogrzebu już wszystkie jego kufry zostały odwiezione na kolej i wysłane do Warszawy.

Wieczorem tego dnia przyjechał ksiądz, przywożąc ze sobą Zemłę.

Zjedli we czworo skromny obiad, przy którym tylko ksiądz starał się rozmawiać, poczem Wanda pożegnała ich i poszła do siebie. Zostali w jadalnym pokoju, żeby być jaknajdalej od biblioteki.

— Więc historia biednego pana Alfreda Twardowskiego już się zakończyła — rzekł ksiądz. — Ten, który go prześladował i zniszczył mu życie, nie żyje. Nie żyje człowiek, który zabrał mu narzeczoną. Wreszcie i ona jutro spocznie obok niego. Księża zamknięta... Panie Zbigniewie, trzeba otworzyć teraz swoją. Całe pańskie życie już do pana należy. Ma pan żonę taką, że lepszej pan znaleźć nie mógł, ma pan młodość, siły, rozum — życie na pana czeka...

Twardowski spojrzał chmurnie.

— Historia mego stryja — rzekł — nie jest skończona — bo nic nigdy w życiu odrazu się nie koń-

czy. Ślady jego trwają tu, pod tym dachem. Czuję je sam i widzicie obaj, co się w tym domu zrobiło z mej narzeczonej...

— Żony — poprawił ksiądz.

— Niech będzie żony.

— Pan znów, zdaje się, wraca — wtrącił doktor — do przedmiotu owego wieczora, kiedyśmy to pili w bibliotece.

— I kiedy doktor spotkał się ze zjawiskiem, którego przedtem nie znał...

— I którego dotychczas nie rozumiem — rzucił doktor.

Twardowski zadzwonił.

— Przynieśno, Antoni, tego węgrzyna.

— Dobra myśl — rzekł ksiądz — panu to dziś potrzebne.

— I wam się przyda, bo lepiej zrozumiecie to, co chcę powiedzieć. Zresztą, po moim ślubie — mówił z goryczą — powinniście byli wypić zdrowie nasze, a przede wszystkim mej żony. Wtedy po ślubie nie zrobiliśmy tego, bo śmierć nam stanęła na drodze. Teraz ksiądz powiada, że trzeba zacząć życie, a więc na ten początek należy nam się od was toast. Szkoda, że tu niema mej żony, ale widzicie sami, że ona jeszcze nie jest do życia...

Antoni wniósł wino i nalał kieliszki. Ksiądz powstał.

— Niech Bóg wam raczy zapisać w waszej księdze tyle szczęścia, ile w tamtej było smutku i rozpacz.

Ucałował serdecznie Twardowskiego, a Zemła poszedł w jego ślady.

Ten niezwykły toast weselny, pity w domu, w którym stała niezamknięta jeszcze trumna, pogrążył wszystkich trzech w smutne zamyślenie.

Po paru kieliszkach Twardowski naraz zrobił się rozmowny.

— Owego wieczora w bibliotece — rzekł — czytałem na waszych twarzach strach, nie przed zjawiskiem, broń Boże, z któremście się spotkali, ale przed tem, co usłyszycie ode mnie. Ksiądz się bał, żebym nie zaczął mówić o duszy ludzkiej herezyj, przeciw którym on, ksiądz katolicki, musiałby się bronić; doktor zaś — żebym nie zaatakował jego ortodoksji naukowej. Nie bójcie się: ani jednemu, ani drugiemu nic ode mnie nie grozi... Tylko, na miłość boską, nie zamykajcie oczu, nie zatykajcie uszu, nie zaprzeczajcie faktu...

Po chwili milczenia ciągnął dalej:

— Jesteśmy dumni, żeśmy odkryli tyle postaci energii we wszechświecie i żeśmy wynaleźli tyle sposobów jej zużytkowania dla siebie. Coprawda, zużytkowujemy ją często dość niedołąźnie: zapasy tej energii trwonimy niesłuchanie. Spalając naprzykład węgiel, jakże znikomą cząstkę tego ciepła zaprzęgamy do pracy, gdy resztę marnotrawimy... Otóż jest jedna postać energii, którą najwięcej się posługujemy, a którą najmniej znamy; z możliwości jej, ze sposobów jej działania i z jej potęgi najmniej zdajemy sobie sprawy, i nie tylko ją trwonimy, ale działanie jej zwracamy nieświadomie przeciw samym sobie. To energia nerwów ludzkich. Czegoby ludzie nie dokonali, gdyby umieli tą energją gospodarować...

— Oto patrzcie, mój biedny stryj. To był człowiek z bardzo wysokim ustrojem nerwowym i z niezwykłą, zawartą w nim siłą. Zdawało się, że ma wszystkie dane do zużytkowania tej siły w życiu... Tymczasem dwa błędy, przezeń popełnione, wystarczyły, żeby ta olbrzymia, tkwiąca w nim siła przestała pracować twórczo, dobroczynnie, a natomiast zaczęła niszczyć jego samego...

— O jednym błędzie wiem — przerwał ksiądz. — Ma pan niezawodnie na myśli jego wstąpienie w młodych latach do grabarzy.

— Dla marnego, podrzędnego celu, dla poparcia w karierze, wszedł naoslep do organizacji, której nie znał, nie zapytawszy nawet, czego ta żądać będzie od niego wzamian za usługi, które mu odda. Nie wiedział, jakim celom ta organizacja służy, ani kto nią rządzi...

— Ale z nią zerwał — rzekł ksiądz.

— I tu popełnił drugi błąd. Gdy się przekonał, że nie może im dać tego, czego od niego żądają, że sumienie mu na to nie pozwala, zerwał z nimi, co było równoznaczne z wypowiedzeniem walki. Nie zrozumiał — i w tem tkwił błąd jego — że z organizacją nie można walczyć w pojedynkę. Gdy się taką walkę wypowiada, trzeba szeregom nieprzyjaciela przeciwstawić swoje szeregi, jego broni swoją broń. On tego nie chciał i nie umiał zrobić, i zwyciężyli go: nie poddał się, ale zginął...

Ksiądz smutnie kiwał głową.

— W wieku — mówił dalej Twardowski — w którym człowiek dochodzi do najwyższego napięcia sił, został wyrzucony poza nawias życia. Energia, która w nim tkwiła, nie przestała się wyładowywać. Ale na co szła?... Na tragiczne przeżycia wewnętrzne, tak potężne, że aż na ścianach tego domu wycisnęły ślady. Tak, panowie, ta postać energii, która tkwi w naszym systemie nerwowym, nawet na martwą materję umie działać. To, co mówię, panie doktorze, nie jest przeciwne nauce, tylko dotyczy przedmiotu niedość zbadanego. Ja właśnie mam odwagę badać te tajemnicze zjawiska, od których urzędowa nauka ucieka tchórzliwie, pozostawiając nadużywanie ich szarlatanom i zbrodniarzom...

— Energia tego człowieka, odwrócona od pracy twórczej, budującej, poszła w kierunku niszczyliśkim. Zniszczyła najpierw jego samego. Potem ofiarą jej padł Culmer...

— Któż zabił Culmera? — zapytał doktor.

— Mój stryj.

— Niech pan nie żartuje...

— Mówię na serjo. Gdybym był sędzią i przede mną postawiono człowieka, który swemi rękoma zabił Culmera, zawyrokowałbym, że był on tylko narzędziem, że temi rękoma, niestworzonemi do niszczenia życia ludzkiego, poruszała energja mego zmarłego stryja... Podjąłbym się dowieść, że pośrednio i Czarnkowski padł jej ofiarą; niema zaś żadnej wątpliwości, gdy chodzi o kobietę, która tam leży w trumnie...

— Ale już koniec! — zawołał ksiądz. — Już więcej ofiar nie będzie. Jak powiedziałem, ta nieszczęsna księga jest już zamknięta...

— Nie wiem...

— Jakto, cóż jeszcze stać się może? — W głosie księdza drgała trwoga.

— Nie wiem, powiadam. Tymczasem patrzę na dziewczynę, z którą mi, księżu, ślub dałeś, i widzę, jak w moich oczach ginie...

Ksiądz spojrzał nań przerażony.

— Panie Zbigniewie, ma pan słuszość. Uciekajcie czempredzej z tego domu, bo oboje w nim zginięcie.

Wstał, podniósł ostatni kieliszek.

— Za wasze nowe życie! Idźcie w nie z wiarą: Bóg wam pobłogosławi!

Na tym toaście skończyła się niezwykła biesiada weselna Zbigniewa Twardowskiego.

XXXVI.

Nazajutrz rano odbyło się w kościele parafjalnym żałobne nabożeństwo, na którym był obecny Twardowski z żoną, doktor Zemła, służba i niewielka garstka ludzi ze wsi. Pogrzeb, zgodnie z życzeniem

zmarłej, wyznaczono na późne popołudnie, na tę samą porę, w której pochowano Alfreda Twardowskiego.

Wanda ciągle była odrętwiała: nie można z nią było kilku słów zamienić.

Gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, z domu turowskiego wyruszył prowadzony przez księdza Rybarzewskiego kondukt pogrzebowy, posuwając się wolno przez las i przez pola ku cmentarzyskowi parafjalnemu.

Złożono trumnę do dołu, wykopanego obok mogiły dziedzica Turowa, i zaczęto ją zasypywać. Ksiądz zaintonował „*Salve Regina*”...

Uwaga Twardowskiego cała była skupiona na Wandzie, którą, chwiejącą się na nogach, podtrzymywał...

Naraz spostrzegł poruszenie w niewielkim, zgromadzonym dokoła grobu tłumie. Ku niemu przeciskał się... Grzegorz.

Dawny służący stanął za jego plecami i szepnął mu do ucha...

— Dom się pali... Podpalony.

Twardowski spojrzał w stronę Turowa: nad lasem wzbijał się ku niebu potężny, czarny słup dymu.

— W bibliotece — szeptał dalej Grzegorz — jest skrzynka z papierami. Muszę jechać automobilem, bo nie zdążę.

— Jedź — rzekł krótko Twardowski.

Ksiądz, który stał zwrócony twarzą do lasu turowskiego, widział również dym na tle nieba; kończył jednak żałobną pieśń tym samym równym głosem, po czem odmówił wspólnie z obecnymi „Wieczny odpoczynek”. Wtedy dopiero zaczął szybko zdejmować z siebie kapę, stulę i komżę. Skinął na Twardowskiego.

— Zabierzecie mnie z sobą. Trzeba się śpieszyć do Turowa.

Wanda stała nieruchoma, patrząc w ziemię.
— Dom się pali — rzekł do niej Twardowski.
Spojrzała nań obojętnym, tępym wzrokiem.
— Dom?... który dom?..
— Turowski.

Wskazał jej słup dymu nad lasem. Patrzyła, jakby nic nie rozumiejąc.

— Dom mego stryja.

Dopiero te słowa coś w niej poruszyły. Zaczęła mówić do siebie ledwie dosłyszalnym głosem:

— Dom niepokoju i rozpacz... Dom nieszczęścia...

Wpatrywała się suchemi oczyma w ponury widok.

— Jedziemy zaraz — rzekł Twardowski.

Wziął ją pod rękę i razem z księdzem ruszyli ku wyjściu z cmentarza.

Cmentarz w jednej chwili opustoszał, na drodze widać było sznur ludzi, biegnących w kierunku Turowa.

W tej chwili stanął przed cmentarzem automobil, który zawiózłszy Grzegorza i towarzyszących mu ludzi, wracał teraz po państwo.

Gdy ruszyli, Twardowski zwrócił się do księdza:

— Grzegorz pojechał ratować skrzynkę z papierami. Czy ksiądz co wiedział o nich?

— Wiedziałem o ich istnieniu — odrzekł proboszcz. — Ale jedynie Grzegorz wiedział, gdzie są schowane. W pół roku po śmierci pana miał polecenie przez niego wydobyć je z ukrycia i postąpić zgodnie z moją decyzją: albo oddać je panu, panie Zbigniewie, albo złożyć je w jednej z wielkich bibliotek prywatnych, której kustosz zobowiązał się był je ustrzec od niebezpiecznych oczu i rąk.

Słońce już zaszło i zmrok zapadał. Znalazłszy się za lasem, ujrzeni wspaniały w swej grozie widok domu turowskiego na wzgórzu, całego w płomieniach.

Wanda, niema, patrzyła szeroko otwartemi oczyma na roztaczający się przed nią obraz.

Spojrzała na męża.

— Jaka to potężna rzecz ogień, gdy jest tak wielki! Nigdy nie widziałam pożaru.

Twardowski odczuł w tych słowach pierwszą u niej od wielu dni zdrową refleksję żywej istoty.

— Tak — odrzekł, biorąc ją za rękę — to piękne w swej grozie... I to właściwe zakończenie wielkiej tragedji.

Chciała coś powiedzieć, ale automobil zatrzymał się przed wrotami turowskiego domu.

Otworzył im drzwiczki Antoni, który czekał z nią przerażoną i zrozpaczoną zarazem.

— Dom podpalony — mówił tonem winowajcy. — Podpalacz musiał się znajdować między ludźmi z zakładu pogrzebowego. Oni tu jeszcze zostali z godzinę po eksportacji, uprząтали swoje rzeczy, a potem odjechali ciężarówką do Warszawy. Pożar wybuchł zaraz po ich odejście.

Twardowski słuchał relacji i pewne rzeczy w myśli zestawiał. Mówił sobie, że profesor Paloma Oldenhuis musiał przed wyjazdem zostawić komu należało instrukcje, jak załatwić sprawę niedogodnych dokumentów. Instrukcje ściśle i umiejętnie wykonano.

Weszli do parku i zaczęli się zbliżać do ognia.

Przed palącym się domem, w odległości, na jaką pożar pozwalał, stała gromada ludzi bezczynnych, nie umiejących się na nic przydać, przeszkadzających tylko akcji ratunkowej. W mniej zajętych przez płomień częściach domu co chwila otwierało się jakieś okno i wylatywały z niego meble, obrazy, zwinięte dywany... Podbiegali ludzie i odnosili to wszystko za dom w głąb parku, stratowanego już całkiem po wiosennych porządkach. Każde wszakże nowo otwarte

okno wywoływało nowy prąd powietrza, za którem szedł ogień, zmuszając domowników do ucieczki.

Twardowski szukał okiem Grzegorza, ale nigdzie nie było go widać.

Zbliżył się do nich rządcą folwarku, który widocznie kierował akcją ratowniczą i zimnej krwi nie stracił.

— O ratowaniu domu — rzekł — nie było mowy. Postarałem się tylko nie dopuścić ognia do stajen i wozowni i kazałem zasypać schody do piwnicy, żeby tam się żar nie dostał. Zresztą, nic jej nie grozi; jest głęboka i ma grube sklepienie. Ocaliło się trochę sprzętów, ale nie najważniejszych. Z biblioteki nic się nie dało wynieść: ogień stamtąd się zaczął.

— Gdzie jest Grzegorz? — zapytał Twardowski zaniepokojony.

Rządcą stał przez chwilę z otwartymi ustami.

— Grzegorz?... Wziął ludzi do wynoszenia rzeczy z domu. Ale już dom opuścili... Biegnę go szukać... Niech państwo przejdą na drugą stronę domu: tam są tylko wyniesione rzeczy i nasi ludzie, którzy ich pilnują.

Na trawniku leżały zwalone w beładzie na kupę przeróżne sprzęty, przy nich zaś stali dwaj ludzie z folwarku. Obok leżał na ziemi Piorun, skulony, patrząc wystraszonemi oczyma na szalejący żywioł.

Na widok Twardowskiego podniósł się i podbiegł do niego bez zwykłej werwy ze skomleniem, jakby prosząc o współczucie.

Ludzie, strzegący sprzętów, ustawili na trawniku parę foteli; w jednym z nich Twardowski posadził Wandę. Piorun podszedł do niej, położył jej łeb na kolanach i patrzył smutnie w oczy.

Głaskała go machinalnie, wpatrzona w ogień, od którego oczu oderwać nie mogła. Twardowski, który ją ciągle z niepokojem obserwował, spostrzegł, że do-

tychczasowe odrętwienie zaczyna ją powoli opuszczać. Łód, w który się zamieniła, jakby tajał pod wpływem ognia. Popatrzyła na Pioruna, wzięła jego łeb w obie ręce i zaczęła do niego mówić:

— Biedny Piorun! taki smutny, taki przerażony... Straszne rzeczy się dzieją, prawda?... Twój dom ginie... Ale twój pan jest i weźmie cię z sobą...

Twardowski cieszył się, że go sobie choć w rozmowie z psem przypomniła. Odszedł go na chwilę niepokój o Grzegorza.

Naraz z tłumu, stojącego po drugiej stronie domu, rozległ się krzyk.

Twardowski skoczył.

— Nie ruszajcie się stąd — rzekł do Wandy i księdza i pobiegł w kierunku domu.

Na jego spotkanie biegł szofer Marek. Staął przed panem biały jak ściana.

— Co się stało? — zapytał Twardowski.

— Grzegorz zginął w ogniu...

— Skąd wiesz?

— Ludzie widzieli, jak okno biblioteki wywaliło się i stanął w niem człowiek, cały w płomieniach; trzymał skrzynkę w ręku... Potem znikł... Głupie baby zagadały, że to nieboszczyk pan się pokazał... To był Grzegorz!

Twardowski odruchem chciał biec do płonącego domu. Wtem rozległ się straszny łoskot i z domu buchnął w górę słup iskier.

— Pułap się zawalił — jęknął Marek. — Już koniec...

Zaległa grobowa cisza.

Wśród niej rozległo się ponure wycie.

Twardowski obrócił się: na trawniku poza nim przysiadł Piorun, podniósł mordę ku górze i wył... Raz, drugi, trzeci...

— To jego pieśń pogrzebowa dla Grzegorza — rzekł Twardowski głosem zdławionym.

Nie chciał iść do Wandy z wieścią o nowej śmierci. Wziął szofera i poszedł szukać rządcy.

— Wszyscy ludzie — mówił rządcą — którzy ratowali sprzęty, uciekli z domu. Tylko jego nie widzieli. Musiał zostać. Dlaczego poszedł do biblioteki, która już cała była w ogniu?... Chodziło mu widać, biedakowi, o tę skrzynkę, którą trzymał w ręku, gdy go ludzie widzieli. Straszną śmiercią zginął. Dobry i dzielny człowiek...

Twardowski wyrzucał sobie, że pozwolił jechać Grzegorzowi. Trzeba go było zatrzymać i jechać razem. Byłby go nie puścił do biblioteki...

Zgnębiony wracał do Wandy, bojąc się, że może być niespokojna.

Ksiądz, spojrzawszy na jego twarz zmienioną, zapytał:

— Co, panie Zbigniewie?

— Nic, wszystko się już kończy.

Wanda wbiła weń oczy.

— Nie oszczędzaj mnie — rzekła. — Ja wiem, co się stało. Grzegorz zginął w płomieniach?...

Twardowski ruchem głowy potwierdził.

Ksiądz Rybarzewski wstał, odkrył głowę, przeżegnał się i odszedł w głąb parku.

Wanda zasłoniła sobie twarz dłońmi i łkała.

— Nareszcie płacze — rzekł w duchu Twardowski — jest ocalona.

W tej chwili dopiero przyznał się przed sobą do prześladowanej go obawy, że dziewczyna oszaleje.

Płakała długo. Wreszcie otarła twarz i podniosła nań oczy. Z oczu tych patrzyła niewypowiedziana tkliwość. Wyciągnęła do niego ręce, które uchwycił, pomagając jej powstać.

— Tyś mi jeden został na świecie — rzekła. — Chodźmy stąd...

— Trzeba się pożegnać z księdzem — rzekł Twardowski. — Poszukajmy go.

Skierował się w głąb parku.

— Kto ci powiedział, że Grzegorz zginął? — zapytał.

— Piorun. Zawył tak żałośnie...

— Tak, to mogło być tylko po stracie Grzegorza, albo...

— Nie kończ — chwyciła go za rękę. — Ty zostałeś, ciebie mam i już ciebie nie stracę. Ani Culmer, ani ten straszny dom już nikogo nie zabije. Biedny Grzegorz...

W czerwonym blasku, oświetlającym część parku, spostrzegli księdza, klęczącego z głową pochyloną ku ziemi. Modlił się.

Widocznie usłyszał ich kroki, bo wstał, nakrył głowę i ku nim się zbliżył.

— Bóg mu okaże miłosierdzie — rzekł. — To była dusza surowa, ale dobra. Zabił nikczemnika dla swego pana i dla niego sam straszną śmiercią zginął... Miał pan słuszność, panie Zbigniewie, że księga jeszcze nie zamknięta. Ale teraz?...

— Teraz tak, bo ten dom już nie istnieje. Śmierć domu zamknęła księgę zmarłych.

— Więc dla nich — rzekł ksiądz — już tylko mamy obowiązek modlitwy za wieczny ich dusz spokój. Trzeba myśleć o żywych i o obowiązkach swego życia. Ono się teraz dla was zaczyna. Odjeżdżacie pewnie zaraz?... Bywajcie zdrowi. Ja tu jeszcze zostanę.

Podał rękę Wandzie i spłoszył się niesłychanie, gdy ta rzuciła mu się na szyję i w twarz go pocałowała.

Twardowski uściskał się z nim gorąco.

— Odwiedzę was wkrótce — rzekł ksiądz — i zdam relację z tego, co się stało. Dokąd jedziecie?

Twardowski spojrział na żonę.

— Do Zbychowa, czy do waszego mieszkania w Warszawie? — zapytał.

— Do ciebie — odparła bez wahania.

— Ależ ja mieszkam po kawalersku.

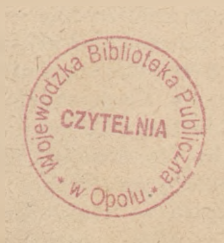
— Tam, gdzie ty mieszkasz, i dla twojej żony miejsce się znajdzie.

Ksiądz uśmiechnął się zadowolony.

Za odchodzącymi zrobił znak krzyża. Potem zawołał:

— A nie zapomnijcie zabrać Pioruna!

K O N I E C.



Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 313533



000-313533-00-0